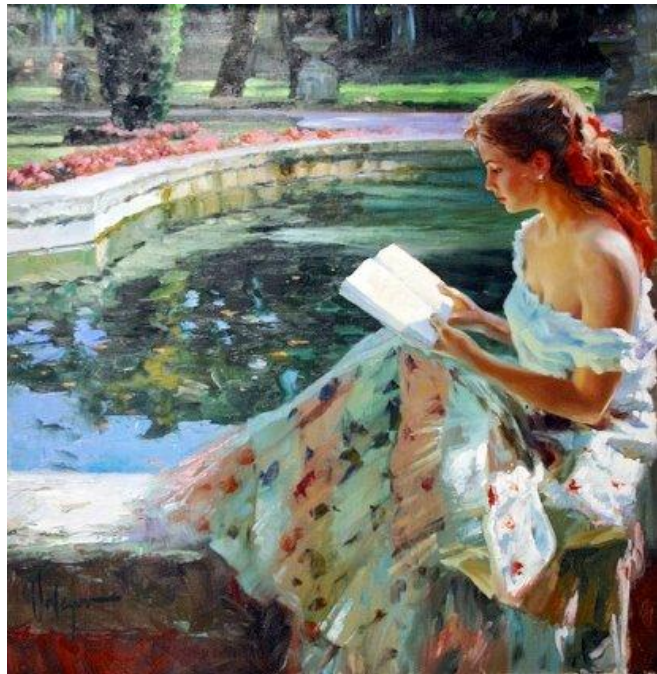




Karen Kingsbury

Historia rodziny Baxterów 03
Wschód słońca 03

Pewnego dnia



Tłumaczenie: Paweł Kopycki

Do Donalda, mojego czarującego księcia

W rym trudnym czasie po odejściu mojego taty jesteś dla mnie oparciem, a Twoja miłość jest mi szczególnie droga. Pracowałeś cicho i wytrwale, aby mnie zastąpić, kiedy zbliżał się termin oddania tej książki albo gdy dzieci potrzebowały dodatkowej pomocy przy nauce. W ostatnim czasie zaglądałeś do mnie częściej niż zwykle, aby mnie wspierać i motywować. Rozumiesz tę ogromną stratę, której doświadczamy, tę pustkę, którą teraz czujemy, gdy na zawsze utraciliśmy uśmiech mojego taty. Lecz to, co zrobiłeś tego ranka, na nowo pokazuje mi, dlaczego tak bardzo Cię kocham. Jutro są urodziny mojej mamy, a Ty pamiętałeś o tym. W sytuacji, gdy przed niespełna miesiącem opuścił nas mój tata, a ja muszę skończyć tę książkę, pojechałeś do kwiatarni, kupiłeś bukiet kwiatów i napisałeś do mojej mamy dwustronicowy list mówiący o tym, dlaczego kochałeś mojego tatę i kim staniesz się teraz dla niej po odejściu taty. Niesamowitą sprawą, której doświadczam jako Twoja żona, jest sposób, w jaki Twoja miłość potrafi się zwielokrotnić. I nie mówię już o tym, jak kochasz i troszczysz się o mnie, ale jak kochasz naszą rodzinę... i naszą szerszą rodzinę. To jest niesamowite... naprawdę jesteś, Donaldzie, moim czarującym księciem, mówię poważnie. Z każdym dniem kocham Cię coraz bardziej, mając świadomość tego, że nasze obecne lata nie są czymś zagwarantowanym, czymś oczywistym. Dzień dzisiejszy jest darem, a jutro może wcale nie nadejść. Dlatego bardzo cenię sobie te przepiękne, pełne miłości dni, czekając jednocześnie z niecierpliwością na wspólne chwile, kiedy wybierzemy się razem na jakiś długi, spokojny spacer albo będziemy mogli śmiać się z czegoś, co tylko dla nas będzie zrozumiałe. Ten bieg jest niewiarygodnie piękny, Mój Kochany. Modlę się, aby trwał długo, aż w końcu nadejdzie zmierzch naszego życia. Lecz zanim to nastąpi, będę radować się naszą jednością, nie zawsze wiedząc, gdzie ja się kończę, a Ty zaczynasz. Kocham Cię zawsze i na zawsze.

Do Kelsey, mojej najdroższej córki.

Masz już osiemnaście lat, Młoda Kobieto, i kiedy widzę, kim jesteś, kim się stałaś, moje serce przepełnia radość. Modliliśmy się z tatą, abyś w tym nastoletnim okresie Twojego życia pozostała wierna sobie i obietnicy trwania w czystości aż do ślubu, którą złożyłaś w wieku trzynastu lat, siedząc na ławeczce z widokiem na skąpaną w słońcu rzekę. Lecz nawet nie

marzyłam, że aż w tak cudowny sposób będziesz wypełniała tę obietnicę. Teraz zaś radośnie czekasz na ten odległy jeszcze dzień, kiedy swój dar będziesz mogła ofiarować temu mężczyźnie, który tego dnia będzie Twoim mężem. A w międzyczasie zaufaj Bogu, że wraz z Nim śmiech, przyjaźń, taniec, śpiew i przebywanie z Twoją rodziną będą wystarczające. Nawet więcej niż wystarczające. Kochanie, każdego dnia stajesz się coraz piękniejsza, wewnątrz i na zewnątrz. I wiedz, że zawsze bardzo cenię sobie rozmowy z Tobą; to, że opowiadasz mi o swoich nadziejach, marzeniach i tym wszystkim, co drogie jest Twemu sercu. Prawie wyczuwam plany, które Bóg przygotował dla Ciebie, bardzo dobre plany. Modlę się, byś wciąż trzymała Go za rękę, przez cały ten czas, kiedy On Sam prowadzi Cię do wypełnienia się ich w Twoim życiu. A kiedy za kilka miesięcy zaśpiewasz na scenie, dziadek będzie siedział w niebie w pierwszym rzędzie - dumny z Ciebie jak zawsze. Pamiętaj o tym. Kocham cię, Skarbie.

Do Tylera, mojej trwałej pieśni.

Wiem, Synu, że to jest dla Ciebie bardzo ciężki czas. Tyle łączyło Cię z dziadkiem. Dziś wieczorem przyszedłeś do mnie, usiadłeś obok i powiedziałeś: „Brakuje mi go. Tęsknię za słuchaniem z nim muzyki poważnej, za rozmowami o starych filmach i za głośnymi marzeniami o kolejnym, dużym przedstawieniu”. Oparłeś głowę na moim ramieniu i dodałeś: „Tak bardzo za nim tęsknię”. Mój Drogi Tylerze, ja też za nim tęsknię. Jednak wśród tych wszystkich darów, które otrzymałam od Boga, jest także i ten: jesteś do niego tak podobny, Synu. W Tobie widzę jego radość życia i miłość dla rodziny, jego upodobanie do śpiewu i pasję do teatru. Nawet wyglądasz podobnie jak on, kiedy był w Twoim wieku. Trzymaj się tego wszystkiego, co składa się na obraz Twojego wspaniałego dziadka, jaki nosisz w pamięci. Kochaj tak jak on i śmiej się tak samo jak on, ceń sobie życie, tak jak on wysoko je cenił. Jestem z Ciebie dumna, Tylerze, z tego młodego mężczyzny, którym się stajesz. Jestem dumna z Twojego talentu i Twojego współczucia dla ludzi, i z miejsca, jakie zajmujesz w naszej rodzinie. Lecz kiedy patrzę wstecz, dwie rzeczy wysuwają się na pierwszy plan: sposób, w jaki śpiewasz „Dumni ze swojego syna”, i spojrzenie Twoich oczu, gdy w ubiegłym tygodniu powiedziałeś mi, że być może - ale na razie tylko być może - chciałbyś zostać nauczycielem jak twój

dziadek, oczywiście nauczycielem aktorstwa. Mógłbyś wówczas uczyć dzieci tego, jak odnosić sukcesy na scenie. Masz czternaście lat i ponad metr osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, Tylerze, i już nie mogę dodać: mój mały chłopczyk. Lecz kiedy patrzę w Twoje oczy i widzę w nich przyszłość, cieszę się wspomnieniami wszystkich etapów Twojego życia, a zwłaszcza tymi chwilami, które spędziłeś szczególnie blisko dziadka. Kiedy zaczną spełniać się Twoje marzenia, będę siedziała w pierwszym rzędzie i patrzyła, jak to się dzieje. Trzymaj się Jezusa, Tylerze. Kocham Cię.

Do Seana, mojego szczęśliwego słoneczka.

Dzisiaj po powrocie ze szkoły powiedziałaś mi z błyszczącymi oczyma, że na zajęciach z lekkiej atletyki osiągnąłeś rekord szkoły w skoku wzwyż. Fakt, że nie uznano Twojego wyniku, ponieważ nie stało się to podczas zawodów, ani trochę nie ugasił Twojego entuzjazmu. Kiedy opisywałeś mi swój skok, uderzyło mnie, jak ta opowieść symbolizowała to wszystko, co odnosi się do Ciebie, Seanie. Jesteś tak szczęśliwy i pełen optymizmu.

Teraz, Drogi Synu, nie będzie już dziadka kibicującego Ci z trybun. Ale będziesz miał mnie, tatę, babcię i całą naszą rodzinę, która jest z Ciebie taka dumna. Seanie, Ty znasz sposób na to, jak wnosić uśmiech do naszej rodziny, nawet podczas najbardziej zwyczajnych, prozaicznych chwil. Modłę się, aby Bóg wykorzystał Twój niesamowity optymizm do przemieniania życia tych wszystkich, którzy Cię będą otaczać. Jesteś' dla nas drogocennym darem, Synu. Uśmiechaj się i szukaj Boga nieustannie, najlepiej jak potrafisz. Upewnij się, czy poprzeczka jest ustawiona wystarczająco wysoko - nie tylko podczas zajęć z lekkiej atletyki. Kocham Cię, Synu.

Do Josha, mojego perfekcjonisty o czułym sercu.

Pewnego dnia, gdy patrzyłam na Ciebie, jak pisziesz wypracowanie na temat jakiejś książki, po raz kolejny ujrzałam to, co zawsze zdumiewało mnie w Tobie. Pracujesz z takim pietyzmem, tak dokładnie, że czasami zastanawiam się, czy nie powinnam powiedzieć Ci, żebyś był dla siebie bardziej wyrozumiały. Lecz w tym semestrze odkryłam w Tobie coś jeszcze, Joshu. Jesteś wspaniałym pisarzem! Byłam zachwycona, kiedy przeczytałam, ile inwencji twórczej wnosisz w każde opowiadanie, choćby to było najzwyczajniejsze szkolne wypracowanie. Niezależnie od tego, czy grasz

w futbol, czy w piłkę nożną, ćwiczysz na bieżni czy też sprzątasz pokój, wykorzystujesz czas w poszukiwaniu perfekcjonizmu we wszystkim, co robisz, zmagając się ze swoimi ograniczeniami. Musisz na nowo odkryć to, że dary i talenty, które nosisz w sobie, należą do Boga, a nie do Ciebie. Musisz wiedzieć, że doskonałość nie jest dla nas osiągalna, a jedynie dla Boga. Mimo to moje serce rozrywa дума z powodu tego młodego mężczyzny, którym się stajesz. Drugie imię masz takie samo jak Twój dziadek i wierzę całym sercem, że rozślawisz je w nadchodzących latach. Masz przed sobą nieograniczoną niczym, świetlaną przyszłość, Joshu. Zawsze będę Cię oklaskiwać z trybun. Miej Boga na pierwszym miejscu w Twoim życiu, a kto wie... może pewnego dnia Ty i Alex Smith staniecie się kolegami. Zawsze Cię Kocham.

Do EJ-a, mojego wybranego dziecka.

Któregoś wieczoru mieliśmy spotkanie rodzinne. Była to jedna z tych rozmów z powodu których Wy, Dzieci, czasami sobie z nas żartujecie. Przypominaliśmy Wam o tym, że siedząc co wieczór z rodziną przy kolacji, przebywacie w towarzystwie najlepszych przyjaciół, jakich kiedykolwiek będziecie mieć; mieliśmy oczywiście na myśli Waszą siostrę i braci. Mówiliśmy jeszcze o pomaganiu sobie nawzajem i o tym, abyśmy zawsze dawali z siebie sto procent. Pewnego dnia bowiem, i to już niebawem, kiedy każdy z Was urośnie i założy własną rodzinę, zawsze będziecie musieli dawać z siebie sto procent, bo na tym polega miłość. W dniach, które nastąpiły po naszej rodzinnej rozmowie, tata i ja byliśmy zachwyceni, widząc, że Ty naprawdę zaczęłaś wkładać więcej pracy w pomoc innym. Zobaczyliśmy Cię, jak stoisz przy zlewie, zmywasz naczynia i podśpiewujesz sobie wesoło. Kiedy nas zobaczyłaś, uśmiechnęłaś się tylko i powiedziałaś: „Sto procent!”. EJ-u, modlę się, abyś zawsze postępował według tego, co usłyszałaś podczas tej prostej lekcji. Dziadek też wierzył w jej sens. Jesteś wspaniałym chłopcem, Synu, i masz taki ogromny potencjał. Każdego dnia, podczas każdego etapu życia, dawaj z siebie sto procent, ponieważ Bóg przygotował dla Ciebie ogromne plany, a my chcemy być pierwsi, żeby pogratulować Ci pracy nad ich odkrywaniem. Dzięki za Twoje ofiarne serce, EJ-u. Tak bardzo Cię Kocham.

Do Austina, mojego cudownego dziecka.

Upłynął już prawie miesiąc od chwili, kiedy dziadek odszedł do domu w niebie, a wciąż każdego wieczoru, kiedy utulam Cię do snu, chwytasz mnie kurczowo i szepczesz to samo: „Czuję taką pustkę bez dziadka. On powinien tu z nami być, mamó”. I ja też zawsze odpowiadam Ci to samo: „Masz rację, Kochanie. On powinien tu z nami być. Musimy go więc wspominać, przypominać sobie to wszystko, co było w nim takie wyjątkowe, abyśmy tego nigdy nie zapomnieli”. Dziadek bardzo Cię kochał, podobnie jak kochał każdego z nas - całym sobą. Uwielbiał siedzieć obok babci w swojej furgonetce i patrzeć, jak grasz w bejsbol, i nikt nie cieszył się bardziej od niego, kiedy udało Ci się mocno trafić piłkę. Lecz on kochał nie tylko Twoją grę. Kochał te spokojne chwile, kiedy siadałeś obok niego i rozmawialiście o tym, jak minął Ci dzień. Wiem, że za tym tęsknisz teraz najbardziej i rozumiem to. Nie wiem, czy ta tęsknota kiedyś całkowicie minie. Mogę Ci tylko powiedzieć, że ja też najbardziej lubię te nasze spokojne chwile. Jesteś moim najmłodszym, ostatnim dzieckiem, Austinie. Bądź pewien, że przechowuję w pamięci każdą taką chwilę. Dzięki, że dajesz mi tak wiele cudownych powodów, abym mogła cieszyć się każdym dniem. Dziękuję Bogu za Ciebie, Austinie, za cud Twojego życia. Kocham Cię.

I do Boga Wszechmogącego, Autora Życia, Który obdarował mnie nimi.

Podziękowania

Podczas pisania tej książki mój ojciec, Theodor C. Kingsbury, doznał rozległego zawału serca, wskutek czego żył jeszcze tylko przez osiem tygodni, po upływie których 14 września odszedł do domu w niebie. Tego wieczoru, kiedy dowiedziałam się o zawale serca mojego taty, byłam na kolacji zorganizowanej przez wydawnictwo Tyndale. Przebywając w Atlancie z daleka od domu z dwójką moich najstarszych dzieci, na wieść o tym zdarzeniu wyszłam z sali, w której odbywało się przyjęcie, i zatrzymałam się w holu prowadzącym do kuchni. Tam osunęłam się na kolana i zaczęłam płakać.

Po kilku minutach, nie mając wyboru, wróciłam do stołu na swoje miejsce. Pomimo wspaniałej atmosfery, w jakiej odbywała się kolacja, moi towarzysze widzieli, jak bardzo cierpiałam. Zanim skończył się wieczór, czułam, że otacza mnie grono wspaniałych przyjaciół z wydawnictwa

Tyndale. Byli wśród nich Ron Beers, Karen Watson, Randy Alcorn i Vonette Bright.

Tamtego wieczoru moi przyjaciele z wydawnictwa Tyndale stali się dla mnie rodziną. Modlili się ze mną i tulili mnie, a kiedy wróciłam do hotelu, aby przygotować się do jak najszybszego wylotu do domu, miałam nieodparte wrażenie, że Bóg wysłuchał naszego wspólnego błagania o pomoc. W dniach, które potem nadeszły, czuwaliśmy przy łóżku mojego taty, a po dwóch tygodniach okazało się, że pierwsze prognozy dotyczące stanu jego zdrowia – mówiące o tym, że nigdy już nie wybudzi się ze śpiączki - na szczęście nie spełniły się.

Tata wybudził się, był sprawny umysłowo i w pełni świadomy. Choć miał tracheotomię, aby móc oddychać, byliśmy w stanie się porozumiewać i spędziliśmy razem wiele wspaniałych, niezapomnianych chwil. Powiedziałam mu, jak bardzo jestem mu wdzięczna za to, że był moim tatą, i podziękowałam mu, że odkąd tylko pamiętam, wierzył we mnie jako pisarza. Powiedziałam mu, że gdyby nie on, dziś z pewnością bym nie pisała.

Wiele rozmawialiśmy też o Panu i o niebie. Mój tata bardzo kochał Jezusa - wciąż Go kocha. Ze smutkiem mówił nam „do widzenia”, lecz nie bał się śmierci. Powiedział mi o tym. Zdążyłam go nawet poprosić o to, aby - jeśli trafi do nieba przede mną - uściskał ode mnie mojego jedyne go brata, Dave'a. Czuję, że podczas tych niesamowitych ośmiu tygodni udało nam się porozmawiać o wszystkich ważnych sprawach.

I za to chciałabym moim przyjacielom z wydawnictwa Tyndale bardzo podziękować.

Ta książka miała trafić do ich biura na koniec lipca, dwa tygodnie po zawale serca mojego taty. Ponieważ mój tata do końca sierpnia przebywał na oddziale intensywnej terapii, nie byłam w stanie w tym czasie napisać nawet jednego rozdziału. Potrzebowałam taty, musiałam z nim być, rozmawiać z nim i śpiewać dla niego różne pieśni. Musiałam tam być razem z moją mamą i siostrami, napełniając jego salę słodką obecnością Boga, aby ani przez chwilę nie musiał odczuwać lęku czy samotności.

Tata mówił mi, że nosił w sobie tylko jeden lęk - bał się umierać w samotności. Na szczęście nie musiał, i w tym miejscu chciałabym podziękować moim przyjacielom z wydawnictwa Tyndale, że dali mi taką możliwość, abym trwała przy tacie do samego końca.

Tato... dla mnie John Baxter zawsze będzie miał Twoją twarz. Nawet nie wiesz, jak bardzo za Tobą tęsknimy.

Dziękuję także mojemu niesamowitemu agentowi, Rickowi Christianowi, prezesowi Alive Communications. Rick, Ty zawsze we mnie wierzyłeś. Kiedy wytyczamy sobie cele na przyszłość, Ty zawsze podkreślasz, że możemy osiągnąć znacznie więcej, niż potrafimy sobie wyobrazić. Jesteś znakomitym menedżerem i chciałabym, abyś wiedział, że dziękuję Bogu za Ciebie. Lecz pomimo tego, jak wiele robisz dla służby, którą staram się pełnić jako pisarka, najbardziej cenię sobie Twoją modlitwę. Fakt, że Ty i Twoja wspaniała żona, Debbie, modlicie się za mnie i za moją rodzinę, napędza mnie co rano ufnością, że Bóg będzie nieustannie wprowadzał w życie te historie, które noszę w sercu. Nigdy nie uda mi się znaleźć odpowiednich słów, aby wyrazić całą moją wdzięczność wobec Was.

Specjalne podziękowania należą się mojemu mężowi, który musi mnie znosić, co jest szczególnie uciążliwe, kiedy zbliża się termin oddania mojej kolejnej książki, i nie buntuje się, gdy po skończonym meczu bejsbola zajeżdża z dziećmi do baru szybkiej obsługi, aby coś zjeść, kiedy ja piszę przez cały dzień. Ten szalony bieg nie byłby możliwy bez Ciebie, Donaldzie. Twoja miłość pozwala mi pisać, a Twoja modlitwa dodaje mi wiary w to, że Bóg pragnie tej mojej służby. Dzięki za Twoją pomoc przy prowadzeniu księgi gości na mojej stronie internetowej. Zawsze czekam z niecierpliwością na tę chwilę wieczorem, kiedy dzielisz się ze mną tym, co nowego się w niej pojawiło, udostępniając to potem innym za pośrednictwem Internetu, i kiedy modlimy się razem we wszystkich intencjach, które zgłaszają moi Czytelnicy. Dziękuję Ci, Kochanie. Dziękuję też moim dzieciom za tak wspaniałe współdziałanie ze sobą, za mrożoną zieloną herbatę, którą mi stale przynoszą, i za ich wyrozumiałość wobec mojego, czasami zwariowanego, harmonogramu pracy. Kocham Was i wiedzcie o tym, że wciąż jesteście ważniejsi od jakichkolwiek terminów.

Składam także podziękowania mojej mamie, Anne Kingsbury, i moim siostram: Trici, Sue i Lynne. Mamo, bardzo mi pomagasz, czytając całymi dniami wiadomości od moich Czytelników. Wysoko sobie cenię Twoją pracę, bardziej niż sądzisz.

Tricio, jesteś najlepszą asystentką, jaką mogłabym sobie wymarzyć. Bardzo sobie cenię twoją lojalność i uczciwość. Bardzo odpowiada mi sposób, w jaki przedstawiasz mi poszczególne sprawy, pytając o moje zdanie; dotyczy to również fantastycznych zmian, jakie wprowadzasz na mojej stronie internetowej. Od kiedy się tym zajęłaś, ta strona całkowicie się odmieniła, na czym tak bardzo skorzystali Czytelnicy moich powieści.

Chciałabym, abyś wiedziała, że modłę się o to, by Bóg zawsze Ci błogosławił za Twoje oddanie i wyjątkową pomoc, jakiej mi udzielasz na obecnym etapie mojej pracy. A czyż ten czas nie jest także wspaniały dla naszej wzajemnej relacji? Bóg z tymi, którzy Go miłują, współdziała we wszystkim dla ich dobra!

Sue, uważam, że jesteś niesamowitą doradczynią! Do twojego domu, który jest niestety tak bardzo oddalony od mojego, codziennie przychodzą kolejne porcje listów od moich Czytelników, na które sumiennie odpowiadasz z pomocą Bożej mądrości i Słowa. Kiedy Czytelnicy otrzymują list od „Susan, siostry Karen”, mam nadzieję, że wiedzą, jak bardzo się za nich modliłaś i za odpowiedź, którą dostają od Ciebie. Dziękuję, że z taką miłością i zaangażowaniem zajmujesz się tym, co robisz, Sue. Masz ogromny dar do prowadzenia innych do Boga i cieszę się, że mogę Cię mieć „na pokładzie”.

Dziękuję tym wszystkim przyjaciółom i członkom rodziny, którzy byli przy nas w tym trudnym czasie, kiedy załamało się zdrowie mojego taty i gdy odszedł do domu w niebie. Wasza miłość była dla nas ogromnym wsparciem, pomogła nam przejść przez to trudne doświadczenie i umocniła nas w przekonaniu, jakim błogosławieństwem jest Wasza obecność w naszym życiu.

A najbardziej dziękuję Bogu. Ten dar pochodzi od Ciebie. Modłę się, abym mogła wykorzystywać go przez lata i abym robiła to w taki sposób, który przyniesie Ci uwielbienie i chwałę.

Na zawsze w powieści

Składam specjalne podziękowania Jane Drummer, która wygrała aukcję „Na zawsze w powieści” zorganizowaną w siedzibie C.L.U.B. ETHAN. Jane postanowiła uhonorować swojego czteroletniego przyjaciela, którym jest Ethan Blaine Teeple, przez wymienienie jego nazwiska w powieści. Tuż po pierwszych urodzinach wykryto, że Ethan ma raka. Od tamtej pory chłopiec stale walczy o życie z takim optymizmem, który można spotkać jedynie u naprawdę wyjątkowych dzieci.

Ethan ma niebieskie oczy i blond włosy. Jest bardzo przyjazny, wielkoduszny, cierpliwy i pełen życia. Dzięki „Make-A-Wish Foundation” Ethan i jego rodzina odbyli cudowną podróż do Krainy Walta Disneya, jego ulubionego miejsca. Kiedy Ethan przebywa w szpitalu, lubi malować obrazy i lepić różne rzeczy z ciastoliny. Nie cierpi leżenia w łóżku w jednym

miejscu, więc pielęgniarka Lindsay, jego wyjątkowa przyjaciółka, często wywozi go wraz z łóżkiem i stojakiem do podawania medykamentów na korytarz. Ethan jest przekonany, że są z Lindsay zaręczeni i że kiedy dorośnie, to się z nią ożeni. Doskonale wie, w jaki sposób poszczególne rurki powinny być podłączone do jego drobnego ciała i czasami służy radą lekarzom, kiedy zbyt długo zastanawiają się nad właściwym przyłączeniem którejś z nich.

Kiedy Etan wychodzi ze szpitala, uwielbia bawić się na świeżym powietrzu. Wyjątkową sympatią darzy T-ball, czyli dziecięcą wersję bejsbola. Ponadto lubi spędzać czas z rodziną, którą tworzą jego starszy brat Trevor i rodzice Gary i Autumn Teeple. Ethan cieszy się każdą chwilą życia i nieustannie walczy z chorobą. Pomódlcie się, proszę, za Ethana i jego rodzinę.

W powieści „Pewnego dnia” bohater o imieniu Ethan jest chorym chłopcem, walczącym o życie. Jego pojawienie się w życiu Brooke zaowocuje jej społecznym zaangażowaniem się we wznowienie działalności poradni dla kobiet w niechcianej ciąży w Bloomington.

Jane, mam nadzieję, że Ethan, dzięki prezentowi, jaki mu zrobiłaś, został właściwie uhonorowany poprzez umieszczenie postaci o podobnym imieniu w powieści „Pewnego dnia”, i że zawsze będziesz dostrzegać jakąś część Ethana, kiedy zobaczysz jego imię na stronach tej książki, gdzie on będzie „Na zawsze w powieści”.

Dziękuję także Molly McCabe, która wygrała aukcję „Na zawsze w powieści” zorganizowaną w Szpitalu Dziecięcym Doernbecher. Molly postanowiła uhonorować swoją sześciomiesięczną bratanicę, Paige Tagliaferri, przez wymienienie jej w powieści.

Paige jest jasnym promieniem światła w życiu swojej rodziny. Ma niebieskie oczy, włosy ciemny blond i uroczy malutki nosek. Ma jasny uśmiech i jest córką Megan Tagliaferri, dekoratorki wnętrz, i Jaffa Tagliaferriego, handlowca. Paige kocha muzykę poważną, a zwłaszcza Mozarta i Beethovena. Urodziła się 5 maja, w dniu meksykańskiego święta narodowego Cinco de Mayo i jest wspaniałym podróżnikiem.

Wymyślona przeze mnie postać Paige jest noworodkiem, którym opiekuje się doktor Brooke Baxter. Narodziny Paige, jako fikcyjnej postaci, bohaterki powieści „Pewnego dnia”, są dobrze zaplanowane, lecz jednocześnie towarzyszy im wiele komplikacji. Później jest zdrowym, szczęśliwym dzieckiem i zarazem wspaniałym obrazem wymodlonego, upragnionego

potomka. Jej pojawienie się w życiu Brooke pomaga uświadomić pani doktor, jak ważne jest wznowienie działalności poradni dla kobiet w niechcianej ciąży, aby wszystkie dzieci miały taką szansę, jaką ma malutka Paige.

Molly, mam nadzieję, że Paige, dzięki prezentowi, jaki jej zrobiłaś, została właściwie uhonorowana poprzez umieszczenie postaci o podobnym imieniu w powieści „Pewnego dnia” i że zawsze będziesz dostrzegać jakąś część Paige, kiedy zobaczysz jej imię na stronach tej książki, gdzie ona będzie „Na zawsze w powieści”.

W końcu dziękuję Diane Geer, która wygrała aukcję „Na zawsze w powieści” zorganizowaną w szkole Upper Valley Christian School. Diane postanowiła uhonorować swojego zmarłego w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat męża Louie Jamesa Geera przez wymienienie go w powieści. U Louie wykryto raka w 2003 roku i ostatecznie przegrał swoją walkę z chorobą. Jego rodzina wybrała formułę „Na zawsze w powieści”, aby w ten sposób uhonorować miłość, jaką ich darzył, i uczcić dar jego życia, i aby dzięki temu jego pamięć żyła w sercach członków rodziny i przyjaciół.

Louie był bardzo wysoki i dobrze zbudowany, miał ciemnobrązowe włosy i niebieskie oczy. Miał wspaniałe poczucie humoru, był towarzyski, życzliwy i wielkoduszny, lubił ciężką pracę. Był mężem Diane Geer przez dwadzieścia pięć lat. Mieli dwoje dzieci: Jamie Anne i Kelly Marie. Louie kochał Kolumbię Brytyjską, a szczególnie Vancouver. Był aktywnym człowiekiem i miał własne, świetnie prosperujące biuro podróży. W tej pracy był doskonałym przewodnikiem, z którym chętnie się przebywało, a do swoich klientów zawsze odnosił się z uśmiechem i radością. Louie był wspaniałym chrześcijaninem opiekującym się swoją rodziną, który kochał Boga i zawsze stawiał Go we wszystkim na pierwszym miejscu. Jego bliscy i przyjaciele bardzo za nim tęsknią.

W powieści „Pewnego dnia” jego imię nosi nieżyjący ojciec aktorki Randi Wells. Randi zmaga się w swoim życiu z wieloma problemami i czasami wraca we wspomnieniach do pełnego życzliwości i łagodności chrześcijanina, jakim był jej ojciec, uświadamiając sobie, jaką rolę odegrał w jej życiu, kiedy była młodsza.

Diane, mam nadzieję, że Louie, dzięki prezentowi, jaki mu zrobiłaś, został właściwie uhonorowany poprzez umieszczenie postaci o podobnym imieniu w powieści „Pewnego dnia” i że zawsze będziesz dostrzegać jakąś część

Louie, kiedy zobaczysz jego imię na stronach tej książki, gdzie on będzie „Na zawsze w powieści”.

Tych zaś, którym nie jest jeszcze znana inicjatywa „Na zawsze w powieści”, chciałabym poinformować, że jest to mój sposób zaproponowania Wam, Czytelnikom moich powieści, zbierania pieniędzy na cele dobroczynne. W odpowiedzi na ten apel na aukcjach dobroczynnych na terenie całego kraju zostało już zebranych ponad 100 000 \$. Jeśli jesteście zainteresowani otrzymaniem pakietu „Na zawsze w powieści”, aby wystawić go na własnej aukcji, skontaktujcie się z moją asystentką, Tricą Kingsbury, pisząc na adres: Kingsburydesk@aol.com. Wiadomość proszę zatytułować „Na zawsze w powieści”. Chciałabym zaznaczyć, że corocznie jestem w stanie przekazać w ten sposób ograniczoną liczbę pakietów. Z tego powodu wyznaczyłam dość wysoką minimalną stawkę za taki pakiet. Dzięki temu zostanie zebrana i przeznaczona na cele dobroczynne maksymalna ilość środków.

RS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

John Baxter podjął tę decyzję, kiedy jego rodzina opuszczała szpital.

Elaine przeżywała te tragiczne, a zarazem pełne ogromnej miłości chwile wraz z nim i jego rodziną, chwile wypełnione cierpieniem, jakiego chyba jeszcze nigdy nie zaznali. Kiedy szli do samochodu, trzymała go za rękę. Za kilka godzin wszyscy mieli się ponownie spotkać na kolacji w domu Baxterów. Musieli być razem, musieli porozmawiać o tym, jak to krótkie życie i śmierć malutkiej Sarah, jego wnuczki, wstrząsnęły nimi i ich przemieniły.

Nagle z nową siłą zdał sobie sprawę, że nie potrafił zagłuszyć w sobie tego wewnętrznego poczucia, tej wewnętrznej pewności, że pragnął obecności Elaine w swoim życiu nie tylko w chwilach takich jak ta, ale zawsze.

Samochód Elaine był zaparkowany obok jego auta, lecz zanim weszła do środka, zatrzymała się i powiedziała: - Jesteś taki milczący.

Uśmiechnął się i poczuł, jak spokój ogarnia jego duszę. Był znużony i wycieńczony, lecz nie odczuwał zniechęcenia, nie po tym, co przeżył dzisiejszego popołudnia w sali szpitalnej swojej wnuczki. - Zamyśliłem się - odparł łagodnym głosem.

Po krótkim odpoczynku w swoim domu Elaine też miała przyjechać do niego na kolację. Każdy z nich potrzebował chwili wytchnienia. Lecz spojrzenie jej oczu powiedziało mu, że mogłaby stać na tym parkingu nawet przez cały dzień, gdyby jej potrzebował. - Chcesz o tym porozmawiać? - spytała, przechylając lekko głowę i patrząc na niego łagodnie.

John poczuł, jak ciepło, którego doświadczał w sercu, zaczęło przenikać jego spojrzenie. - Bóg daje mi poznać w nowy sposób, jak bardzo cię potrzebuję - wyznał.

Elaine wyglądała na zaskoczoną i przejętą tym, co powiedział, a może nawet trochę onieśmiałoną. - To chyba coś dobrego - odpowiedziała po chwili.

- Porozmawiamy o tym później - zaproponował i uścisnął ją na pożegnanie.

Kiedy John był już w samochodzie, utwierdził się w swym przekonaniu. Czuł, jak wypełnia ono jego serce i duszę i zmienia obraz jego przyszłości. Droga do domu wydawała mu się dłuższa niż zwykle. Poczuł w swym wnętrzu, gdzieś na dnie serca, jakiś nowy rodzaj radości, ale jednocześnie, jakby dotkliwiej niż przedtem, zaczęła ciążyć mu samotność. Wszedł do

starego domu, lecz zamiast rzucić klucze na blat, zatrzymał się i oparł o futrynę. Każdy centymetr tego domu wciąż przechowywał wspomnienia o Elizabeth, tak jak zawsze. Poszedł na górę do ich pokoju i zaczął wpatrywać się w zdjęcie Elizabeth stojące na jego szafce. - Byłaś tam dzisiaj z nami, kochanie. Czułem to - szepnął.

Chwycił się szafki i przeniósł myślami do wcześniejszego wydarzenia z trwającego wciąż dnia. Zanim opuścił szpital, Ashley pokazała mu rysunek wykonany przez Cole'a. Praca jego ośmioletniego wnuka przyniosła mu upragnione poczucie ulgi, jakiej wcześniej doznali po zobaczeniu tego obrazka Ashley i jej mąż Landon. Nic w tej chwili nie dałoby im bowiem więcej pokoju i radości niż postać Elizabeth tuląca w ramionach malutką Sarah i opiekująca się nią w niebie do czasu, kiedy wszyscy będą znowu razem.

Podszedł do stolika stojącego przy jego łóżku. Leżały na nim listy napisane odręcznym pismem Elizabeth, trochę bardziej uporządkowane niż zwykle, a po jednej stronie blatu znajdował się stos listów już skopiowanych. Widać było, że na stoliku zaczęło brakować miejsca na dokończenie tego przedsięwzięcia, więc będzie musiał później przenieść listy do jadalni. Kiedy skończy je kopiować, będzie miał sześć zestawów listów Elizabeth - po jednym dla każdego z dzieci. Kiedy wcześniej otwierał z uwagą i w skupieniu poźółkłe listy i czytał je, jego serce napełniało się obecnością Elizabeth, powodując ogromną tęsknotę za zmarłą żoną. Lecz teraz ten bolesny proces miał już prawie za sobą. Prawie już dojrzał do tego, aby włożyć te listy do albumów i przekazać je dzieciom. Miał przecucie, że w słowach Elizabeth było coś takiego, co może znacząco wpłynąć na życie ich dorosłych dzieci.

Mimo że jeszcze w tym tygodniu miał się odbyć pogrzeb malutkiej Sarah, zamierzał dokończyć pracę przy kopiowaniu listów. Czuł, że był to najważniejszy ku temu czas i że powinien to zrobić właśnie teraz. Kiedy się z tym upora, pewien etap jego życia zostanie ostatecznie zamknięty, w końcu przejrzy to wszystko, co pozostało po kobiecie, którą wciąż tak bardzo kochał. Gdzieś głęboko w swym sercu potrzebował tego zamknięcia z powodu decyzji, którą przed godziną podjął. Decyzji, że pewnego dnia, i to już wkrótce, uczyni coś, co z całą pewnością nie miało nigdy nastąpić.

Poprosi Elaine Denning, aby została jego żoną.

Dayne Matthews chwycił się drewnianej balustrady na werandzie za swoim domem i zaczął wpatrywać się w wodę. Jakby nie wiedząc o

smutnym dzisiejszym wydarzeniu, słońce zdawało się okrywać kocem światła powierzchnię jeziora Monroe. Z wnętrza domu dochodził go cichy głos jego żony, Katy, rozmawiającej ponownie z jej agentem i usiłującej jak najszybciej skończyć tę wymianę zdań.

To nie był odpowiedni dzień na rozmowy o sprawach zawodowych.

Zmrużył oczy z powodu światła bijącego od połyskującej wody i podniósł wzrok na błękitne niebo. Choć zagrał tyle ról w Hollywood i tak wiele emocji musiał wyrazić, występując przez lata na dużym ekranie, nigdy nie widział takiej siły i wiary, jakie zobaczył u swojej siostry Ashley.

Znów odżyły w nim wydarzenia sprzed kilku godzin - telefon od jego ojca, Johna Baxtera, który poprosił ich, aby przyjechali jak najszybciej do szpitala, i to, co przeżywał, idąc do sali, w której leżała Ashley. Jego rodzina - Brooke, Kari, Erin, Luke, ich współmałżonkowie i dzieci, ludzie, których mu tak bardzo brakowało przez całe życie - zgromadzili się wokół łóżka Ashley, wypełniając każde możliwe miejsce.

Oczywiście Ashley i Landon od miesiący wiedzieli, że ich nienarodzona córeczka nie przeżyje więcej niż kilka dni. Bezmózgowie nie znało litości. Choć wszyscy modlili się o cud, tak naprawdę nie liczyli na niemożliwe do wytłumaczenia uzdrowienie, ale raczej na to, co wydarzyło się dzisiaj podczas tych niewielu godzin życia malutkiej Sarah.

Usłyszał za sobą odgłos otwieranych drzwi i spojrzał przez ramię. Nawet podczas tak niewymownie smutnego dnia gdzieś w głębi jego serca wciąż było miejsce dla zabarwionego ogromną radością niedowierzania. Katy Hart naprawdę wyszła za niego, zgodziła się pozostawić swoje spokojne chwile, które spędziła w Bloomington w Indianie,

1 wyruszyć razem z nim w podróż przez życie pełne sławy.

Teraz musieli tylko przetrwać ten bieg. Odwrócił się i rozpostarł ramiona.
- Chodź do mnie - szepnął.

Szła powoli z miną zagubioną i odległym spojrzeniem, tak jakby śmierć jego siostrzenicy wycieńczyła ją, odbierając jej siły. Kiedy podeszła do niego, objęła go w pasie i położyła mu głowę na ramieniu. Przez długi czas jedynym dźwiękiem, który słyszeli, był pisk samotnego jastrzębia siedzącego na jakimś odległym drzewie.

W końcu Kary odetchnęła, wydając z siebie drżący odgłos, i odsunęła się trochę, aby widzieć jego oczy. - Zrobimy to... prawda, Dayne? - spytała ze smutkiem.

Jeszcze przez chwilę cieszył się jej dotykiem i słodką pieśczołą jej głosu, po czym rzekł: - Ale co?

Katy westchnęła. Jej spojrzenie wyrażało jednocześnie lęk i determinację. - Wykorzystamy najbliższe cztery tygodnie, aby uświadomić sobie, co jest w naszym życiu najważniejsze - powiedziała. - Zanim świat znów będzie chciał nas od siebie oddzielić.

Cztery tygodnie. Tylko tyle czasu zostało im, aby delektować się normalnością, aby cieszyć się domem nad jeziorem i wspominać powody, dla których zakochali się w sobie. Tylko cztery tygodnie. Zaczęła narastać w nim frustracja i wypierać te pozytywne uczucia, które miał w sobie. Wysunął lekko naprzód dolną szczękę i przez chwilę spoglądał w dal na wzgórza rozciągające się za ich domem. O czym on myślał, zachęcając ją do zagrania w filmie u swego boku? Tabloidy dostały taką pożywkę, kiedy ostatnio wystąpili w reality show nakręconym podczas zdjęć do filmu, w którym po raz pierwszy zagrali razem. Emisja reality show, jak i moment pojawienia się na ekranach ich pierwszego filmu zostały przesunięte ze stycznia przyszłego roku na nadchodzącą jesień. Jego agent wytłumaczył tę zmianę terminów w ten sposób: „W tej chwili nie ma ludzi bardziej pożądanym niż wy dwoje. Wszyscy w branży doskonale to rozumieją”. Każdy, kto chciał zarobić, liczył na konflikty pomiędzy Dayne'em i Katy, na pikantne nagłówki mówiące o tym, że podczas zdjęć doszło do ostrych spięć między nimi, że znajdowali się na granicy rozstania.

Tak było, zanim wrócili do domu w Bloomington. Tutaj odnalezienie miłości stało się tak naturalne jak oddychanie. Wśród rozciągających się wokół pól, łagodnych pagórków i niekończącego się nieba ich miłość powróciła jak letnia bryza, owiewająca ich od strony jeziora i zapewniająca, że wszystko będzie dobrze. Jak mogło być inaczej, skoro na nowo znaleźli się wśród Baxterów, otoczeni taką miłością, jakiej Dayne nigdy w życiu nie zaznał.

- Nie odpowiadasz mi - przerwała milczenie Katy, patrząc na niego łagodnie i z lekkim smutkiem w oczach.

Potaął policzkiem o jej policzek i szepnął: - Żałuję, że to nie będą cztery lata.

- Albo więcej - podchwyciła, opierając ponownie głowę na jego ramieniu. - Nie ma odwrotu, prawda?

Mówiła o ich kolejnych filmach; o tym, że za parę tygodni ona poleci do Londynu, a on do Cabo San Lucas w Meksyku. Wypełniając swoje

zobowiązania, przez dziesięć tygodni pozostaną rozdzieleni, a paparazzi będą robić im w tym czasie tysiące zdjęć. Na samą myśl o tym zrobiło mu się ciężko na sercu.

- Och, Katy - szepnął i przyciągnął ją blisko do siebie. Delikatny zapach jej perfum i skóry pobudził jego zmysły, a w jego przyciszonym głosie zaczęła pobrzmiwać nutka zniecierpliwienia. - Może pewnego dnia... Kiedy to wszystko już pozostanie za nami - szepnął. Ani on, ani ona nie wypowiedzieli tego głośno, co będzie, jeśli ten dzień nigdy nie nadejdzie. Co się stanie, jeśli oboje zostaną wciągnięci przez własne światy, które otwierały się teraz przed nimi, jeśli odległe wybrzeża pociągną ich tak mocno, że stracą z pola widzenia te obietnice, które złożyli sobie na plaży na meksykańskiej riwierze, co wydawało się im już takie odległe?

Często rozmawiali o tym pewnym dniu, zwłaszcza po powrocie z Los Angeles do domu. Chodziło o dzień, o czas, kiedy wreszcie pożegnają Hollywood, aktorstwo i wszelkie aspekty towarzyskiego życia gwiazd, kiedy na stałe osiadą w Bloomington i być może ponownie założą Chrześcijański Teatr Młodzieżowy, za którym Katy tak bardzo tęskniła. Będą mogli wówczas spokojnie spacerować wzdłuż brzegu jeziora Monroe, jadać niedzielne kolacje w towarzystwie Baxterów i przede wszystkim zajmować się własnymi dziećmi. To pragnienie wzmagало się i coraz bardziej wypełniało serce i duszę Dayne'a, ponieważ dla niego nie mogło istnieć nic wspanialszego.

Lecz pomiędzy tym odległym czasem a chwilą obecną musieli wygrać wojnę, którą sami rozpętali, zgadzając się na uczestnictwo w reality show. Ich udział w programie „Na serio” miał być białą flagą wyciągniętą w stronę paparazzich, aby żądni sensacji fotografowie i operatorzy kamer nie połknęli ich w całości. Lecz ekipa telewizyjna, która pojawiła się na planie ich ostatnio nakręconego filmu, wcale nie była nastawiona na uchwycenie sielankowych scen. Od samego początku próbowała sprowokować czy wywołać jakiś konflikt między nimi, aby mogły pojawić się w prasie krzykliwe nagłówki podające w wątpliwość ich wzajemną miłość czy wręcz sugerujące niewierność.

A przecież to reality show nawet nie pojawiło się jeszcze na antenie.

Dayne pocałował ją w czoło. - Co powiedział twój agent? - spytał.

- Chciał się upewnić, czy mam paszport - odparła zmęczonym głosem. - Oczywiście powiedziałam mu, że mam, bo był nam potrzebny w związku ze ślubem.

Na chwilę cały świat przestał dla niego istnieć. Spojrzał na nią w taki sposób, jakby potrafił zajrzeć do wnętrza jej duszy, tak jak zdarzało się to już kiedyś, zanim nastąpiły pełne napięcia ostatnie miesiące. - Był przepiękny, prawda? - rozmarzył się.

Katy uśmiechnęła się i odparła: - Czasami w moich snach widzę go ponownie. Wszystko rozgrywa się jakby na jawie, dosłownie czuję zapach powietrza znad oceanu.

Przytulił twarz do jej twarzy i szepnął: - Szkoda, że nie można przenieść twojego filmu do Cabo.

Zachodzące słońce rzucało cienie na taras, jakby uwypuklając w ten sposób trudności, które ich czekały. - Trudno byłoby w Cabo nakręcić Big Bena - zażartowała.

- To prawda - potwierdził, ujmując delikatnie jej twarz w swoje dłonie i dotykając ustami do jej ust. Był to długi, powolny pocałunek, zawierający na początku jakby odrobinę niezdecydowania zrodzonego z napięcia, którym naznaczone były ich ostatnie tygodnie. Lecz rozpałił w nich taką bezgraniczną namiętność, że po chwili ich oddechy zmieniły się, a jej oczy zapłonęły miłością.

- Kocham cię, Dayne - wyszeptła, a te słowa ujawniły intensywność jej uczuć i sposób, w jaki jej ciało reagowało na jego bliskość.

Nawet w najtrudniejszych chwilach ich małżeństwo naznaczone było niemalże boskim doświadczeniem zmysłowej miłości - darem od Boga, w którego oboje wierzyli, a którego prosił Dayne, aby zachował ich w jedno w nadchodzących miesiącach, kiedy będą poważnie narażeni na oddalenie się od siebie.

- Ja też cię kocham - odparł, wtulając ją w siebie. - Nigdy nie przestań mi tego mówić, dobrze? I ja też nie przestanę.

Katy zawahała się. - Nigdy... nigdy nie przestanę - szepnęła. Potem ponownie go pocałowała i dodała, zbliżając usta do jego ucha: - Wejźmy do środka.

Przełknął ślinę i splótł palce z jej palcami. Kiedy weszli do środka, minęli kuchnię i szli korytarzem do ich sypialni, Dayne wciąż nie wiedział, kiedy nadejdzie ten upragniony dzień, o którym marzyli. Lecz na razie mieli coś, co obecnie najbardziej się liczyło.

Mieli dla siebie cztery tygodnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Ashley Baxter Blake ścisnęła mocno rękę Landona, swojego męża, kiedy wyszli na zewnątrz na zalany światłem słonecznym chodnik, słysząc, jak zasuwały się za nimi automatyczne drzwi szpitala. Wydawało się jej, że minął już tydzień od chwili, gdy przywiózł ją tu Landon w ogromnym pośpiechu z wyraźnie zaawansowaną akcją porodową. A przecież te wszystkie cudowne i straszne zarazem chwile, które towarzyszyły narodzinom i niemalże natychmiastowej śmierci ich córeczki zdarzyły się zaledwie wczoraj.

Czuła na twarzy ciepło wrześnie słońca, lecz mimo to zaczęła się trząść. - To boli, Landon... bardzo boli - szepnęła.

Mąż mocniej uściśnął ją w talii, lecz o nic nie pytał, czuł się bowiem podobnie.

Ashley starała się nie myśleć o porodzie, bała się, że nie wytrzyma z rozpaczą, upadnie na chodnik i zacznie płakać. Chciała już zapytać Landona, jak uda im się to zrobić, jak wsiaść do swojego auta z tak boleśnie pustymi rękami, kiedy zatrzymał się przed nimi mały, czterodrzwiowy samochód.

Zanim Ashley zdążyła zrobić kolejny krok, zamrużyć lub nabrać powietrza, zza kierownicy wyskoczył jakiś mężczyzna, obiegł przód samochodu i skierował się w pośpiechu w stronę wejścia do szpitala. Ashley i Landon mimowolnie zaczęli go obserwować i po chwili poznali powód jego pośpiechu. Przy wyjściu ze szpitala, za podwójnymi, szklanymi drzwiami siedziała na wózku inwalidzkim roześmiana dziewczyna, tuląc w ramionach malutkie zawiniątko.

Był to noworodek udający się w swoją pierwszą podróż do domu. W podobny sposób powinna pojechać do domu Sarah, malutka córeczka Ashley i Landona. Ashley nie była w stanie się odwrócić. Patrzyła, jak mężczyzna chwyta mały wózek, na którym leżały różowe kwiaty, balony z napisem „To dziewczynka” i różne torby z prezentami. Obserwowała pielęgniarkę przeprowadzającą przez drzwi wózek inwalidzki, rozmawiającą z młodymi ludźmi i śmiejącą się razem z nimi.

Mężczyzna delikatnie wziął dziecko w ramiona i przeniósł je do samochodu. Z ogromną czujnością i troską ułożył je w malutkim foteliku, ostrożnie przekładając paski ze sprzączkami ponad jego główką. Pielęgniarka pomogła kobiecie wstać z wózka inwalidzkiego i młodzi

rodzice, nie zwracając uwagi na Ashley, Landon ani nikogo innego z wyjątkiem ukochanej córeczki, zajęli miejsca w samochodzie.

Zanim szczęśliwa rodzina odjechała, Ashley poczuła napływające do oczu łzy. Miała przed sobą rozmazany obraz i ledwie dostrzegała cokolwiek wokół, gdy Landon prowadził ją przez parking obok dwóch rzędów samochodów do ogromnego dodge'a, którego kupili na tydzień przed narodzinami dziecka. Landon wytłumaczył jej, że ten samochód pomoże chłopcom przejść przez zbliżające się narodziny i śmierć ich siostrzyczki, że będzie nim jeździć z synami na biwaki i wyprawy na ryby, aby ich jakoś pocieszyć i móc robić z nimi to, co lubią.

Jednak te plany wspólnych wypraw nie rozjaśniły nawet pojedynczym promieniem światła smutku panującego w duszy Ashley. Odchyliła do tyłu głowę, zamknęła oczy i poczuła gorące strumienie łez spływające jej po twarzy. Bloomington nie było przecież dużym miastem. Gdyby Sarah żyła, mogłaby chodzić do tego samego przedszkola z dziewczynką, którą przed chwilą widzieli. Mogłyby razem z nią grać w piłkę albo być w tej samej grupie cheerleaderek. Mogłyby zostać najlepszymi przyjaciółkami.

Ashley krwawiło serce i zrozpaczona objęła się ramionami. W ciąży z Sarah nie przybrała dużo na wadze, a teraz jej stosunkowo płaski brzuch tylko pogłębiał jej smutek. Obniżyła się trochę na siedzeniu rozciągającym się na całą szerokość pojazdu i oparła się o Londona. - Tak bardzo mi brakuje naszej córeczki - szepnęła, a jej głos załamał się.

- Tuliłam ją tylko przez kilka godzin - dodała po chwili. Rozluźniła uścisk ramion opasujących jej własne ciało, przypominając sobie te chwile, kiedy poprzedniego dnia przytulała swoją malutką córeczkę.

- Bóg jest taki dobry - powiedział Landon zachrypłym głosem. Nie mówił wiele, ponieważ sam bardzo cierpiał.

- Żyła tylko przez kilka godzin, ale chyba żadne dziecko nie było bardziej kochane w tak krótkim czasie.

Pomimo kolejnej fali łez napływającej do oczu Ashley, kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu. - To był cud, że ona wyglądała na tak zdrową, że wszyscy byli tam z nami - pociągnęła nosem. - Zapamiętam to na zawsze.

Landon też uśmiechnął się nieznacznie. - Tak myślisz? - spytał.

- Tak - znów pociągnęła nosem. - Irvel i mama popijają sobie teraz herbatę miętową, a Sarah jest z nimi.

To była przepiękna scena, więc jakby nie chcąc uwalniać się spod wpływu tego pocieszającego wyobrażenia, wzięli się za ręce i trwali w milczeniu.

Ojciec Ashley musiał wiedzieć, jak trudna będzie dla nich droga ze szpitala, ponieważ kiedy weszli do środka, w domu panowała cisza.

Po chwili z kuchni wyszedł Cole i kiedy ich zobaczył, posłał im niepewny uśmiech i pomachał im jakby bez przekonania. - Cześć - przywitał się, idąc powoli w ich stronę.

- Dziadek położył Devina, aby się zdrzemnął. Powiedział, że Devin był zmęczony i że to mu dobrze robi.

- Jak się masz, Coley? - spytała Ashley, wyciągając ręce w jego stronę. Wypowiedziała w duchu krótką modlitwę, dziękując Bogu, że jej synowie nie mieli bezmózgowia i że byli tutaj cali i zdrowi.

Cole podszedł do niej, trochę wolniej niż zwykle. Spojrzał na Landona i spytał: - Czy mama dobrze się czuje? Mogę ją uścisnąć?

Landon zaśmiał się cicho. - Tak, już dobrze. Możesz ją uścisnąć - odparł. Kiedy wypowiedział te słowa, spojrzał na Ashley porozumiewawczo. Przecież nie czuła się dobrze, on też nie. Może pewnego dnia to się zmieni, lecz na razie musi upłynąć wiele czasu, zanim będą mogli wypowiedzieć takie słowa z pełnym przekonaniem. Lecz teraz ważne było, aby atmosfera w ich domu jak najszybciej wróciła do normy. Pragnęli tego oczywiście przede wszystkim ze względu na chłopców, a zwłaszcza na Cole'a z jego niezwykłą wrażliwością i troską, którą im okazywał.

Cole uśmiechnął się z wyraźną ulgą. Objął ramionami Ashley i trwał tak dłużej niż zwykle. - Twój brzusek jest znów prawie płaski, mamusiu - stwierdził po chwili.

- Tak, prawie - uśmiechnęła się Ashley i pogładziła Cole'a po głowie. Chłopiec dawno już wyrósł ze swych lat niemowlęcych, lecz kiedy ją objął, przypomniała sobie, co czuła, kiedy trzymała go na rękach, gdy był jeszcze całkiem malutki. Było to uczucie pewnej ulgi wobec bólu, który towarzyszył jej przez cały ranek.

Landon przysunął się bliżej nich i położył rękę na ramionach Cole'a. - Czy byłeś dzisiaj smutny? - spytał.

- Trochę - odparł chłopiec, spoglądając w górę na Landona, a potem przenosząc wzrok na Ashley. - Sarah powinna mieć dzisiaj przyjęcie, a ja zamierzałem pilnować, żeby Devin nie traktował jej źle. Chciałem nauczyć go, jak być starszym bratem - wyjaśnił i zamyślił się na chwilę. - Takie malutkie dzieci chyba nie powinny jeszcze iść do nieba. Gzy mam rację?

Ashley poczuła uścisk w gardle i wolną ręką pomasaowała je. - Tak, masz rację. Nie powinny - odparła.

- Ale... - Landon uśmiechnął się pomimo smutku, który wypełniał jego oczy - założę się, że dzisiaj rano świetnie zajmowałeś się Devinem.

W tej chwili usłyszeli kroki od strony pokoju rodzinnego i zza rogu wyszedł cicho ojciec Ashley. - Zajmował się nim fantastycznie - potwierdził.

Na widok dziadka Cole uśmiechnął się. - Powiedz im, jak ja i Devin bawiliśmy się klockami lego i zbudowaliśmy most, taki największy ze wszystkich - poprosił.

- Oczywiście, że był największy - przyznał ojciec Ashley.

- Był tak wielki, że Devin chciał na niego wejść, ale wytłumaczyłem mu, że nie wchodzi się na mosty z klocków lego - powiedział Cole, odchodząc od Ashley i uśmiechając się do dziadka. - Prawda?

- Prawda, wytłumaczyłeś mu - ojciec Ashley pogładził Cole'a po włosach i spojrział troskliwie na Ashley i Landona.

- Hej! - zawołał Cole, najwyraźniej pod wpływem jakiegoś pomysłu, który niespodziewanie zrodził się w jego głowie. - Pójdę sprawdzić most, zanim mama i tata przyjdą go zobaczyć - stwierdził. Puścił się biegiem przez jadalnię, lecz po chwili zatrzymał się w połowie pomieszczenia i zaczął iść po cichu, prawdopodobnie przypomniał sobie, że Devin wciąż spał. - Chyba byłem trochę za głośno - wyszeptał. - Przepraszam.

Kiedy Cole zniknął im z pola widzenia, ojciec Ashley położył rękę na jej ramieniu, a potem na ramieniu Landona. - Pójdę już - powiedział. - Pewnie chcecie zostać sami - nachylił się i pocałował ją w policzek. Potem zwrócił się do Landona: - Poradźcie sobie. Twoja wiara pozwoli wam przez to przejść.

Landon przytaknął kiwnięciem głowy. - I wiem, że zawsze mogę liczyć na rodzinę - odparł.

Kiedy ojciec Ashley oddalił się, Landon objął żonę i długo tulił ją w ramionach. Słyszeli, jak Cole przestawia coś w pokoju zabaw, prawdopodobnie przygotowując most na przyście rodziców i upewniając się, że klocki dobrze przylegają do siebie i że każdy z nich znajduje się na swoim miejscu.

Ashley oparła głowę na piersi Landona. Wciąż czuła się taka zmęczona. Za dwa dni będą mieli mały, rodzinny pogrzeb, lecz teraz sama myśl o tej smutnej uroczystości wydawała się jej nie do uniesienia. - Myślisz, że będzie ją pamiętał? - spytała, spoglądając w górę w jego oczy. - Za rok od dziś... za pięć lat?

- Nie wiem - odparł zamyślony. - Ale jestem pewien, że ta malutka dziewczynka pozostanie z nami, pomiędzy nami... pozostanie częścią nas, zanim znów ją zobaczymy.

- Obok mojej mamy.

- I Irvel.

Ashley uśmiechnęła się. A potem poszli do Cole'a i przez następne dziesięć minut podziwiali most, który był większy od obu ich synów. Landon poszedł po aparat fotograficzny i zrobił kilka zdjęć. Wkrótce obudził się Devin i cała czwórka usiadła po turecku na podłodze w pokoju zabaw, rozkładając most i budując z pozyskanych klocków wieżę.

Jednak przez cały czas towarzyszyła Ashley bolesna świadomość, że wśród radosnych okrzyków jej rodziny jednego głosu brakowało.

Łagodnego, cudownego kwilenia jej nowo narodzonej córeczki.

Uroczystości pogrzebowe były krótkie i przejmujące - takie jak życie malutkiej Sarah. W kościele Ashley siedziała z Landonem i chłopcami w pierwszym rzędzie, a ze wszystkich stron otaczała ich rodzina Baxterów. Przemówił jedynie ojciec Ashley, cytując Psalm 139 - wersy mówiące o tym, że Bóg zna dziecko, zanim się ono urodzi i że On Sam utkał je w łonie matki. Odniósł się także do jedenastego wiersza z dwudziestego dziewiątego rozdziału Księgi Jeremiasza, gdzie jest mowa o tym, że Bóg ma dobre plany dla swego ludu.

- Jego dobre plany wobec Sarah sięgają daleko poza to życie - mówił, patrząc na twarze osób siedzących w pierwszych kilku ławkach. Jego oczy błyszczały od łez, lecz mimo wszystko uśmiechał się. - A teraz czekamy na ten pełen chwały dzień, kiedy będziemy znów wszyscy razem w domu w niebie, gdzie sami się przekonamy, jakie plany przygotował Bóg dla naszej ukochanej dziewczynki.

Ashley skierowała swój wzrok na małą, białą trumienkę, na której leżała wiązanka białych róż. Trumienka była tak mała, tak żałośnie malutka. Przez krótką, szaloną chwilę Ashley chciała podbiec do niej, podnieść wieko i jeszcze jeden raz wziąć w ramiona swoją córeczkę. Lecz zamiast tego zamknęła oczy i pomodliła się: Boże, przecież nie ma tam Sarah. Wiem, że jej tam nie ma. Pomóż mi, Boże... Pozwól mi ją zobaczyć w ramionach mamy, tak jak widział ją Cole.

Ashley znów spojrzała na ojca. Kończył przemawiać, mówiąc o miłosierdziu, które każdego ranka Bóg okazuje nam z nową mocą. Potem zszedł z podium i wrócił na swoje miejsce obok Elaine.

Organista zagrał utwór „Wielka jest Twoja wierność”, a potem, kiedy uroczystości w kościele dobiegły końca, wszyscy pojechali na cmentarz. Tam obrzędy pogrzebowe trwały zaledwie kilka minut. Po ich zakończeniu wszyscy z wyjątkiem Ashley, Landon i ich dzieci rozjechali się do swoich domów. Ashley uznała bowiem, że nie wystarczyłoby jej sił na zorganizowanie jakiegokolwiek poczęstunku. Pogrzeb był wszystkim, co potrafiła znieść.

W końcu przy trumnie Sarah zostali jedynie Ashley, Landon i chłopcy. Trzymając Devina na rękach, Landon dotknął dłonią brzegu drewnianej trumienki. - Do widzenia, Sarah - wyszeptał. Potem delikatnie wyciągnął z bukietu białą różę i podniósł ją to twarzy, a gdy zamknął na chwilę oczy, widać było, jak bardzo cierpi.

Ashley także wzięła różę, a otwartą dłonią drugiej ręki pociągnęła po gładkiej powierzchni wieka trumienki. - Pewnego dnia, córeczko... pewnego dnia znów cię zobaczymy - powiedziała cicho. Poczowała łyzy na policzkach, a jej serce było jakby zamarłe. Chciała już tylko jak najszybciej znaleźć się w domu z rodziną, z dala od tego przerażająco smutnego miejsca.

Cole patrzył na nich, czubkiem buta zataczając na ziemi koła, tak jakby nie wiedział, co ma zrobić albo co powiedzieć. Lecz w pewnej chwili podszedł do kamienia nagrobnego znajdującego się w miejscu, gdzie miało spocząć ciało Sarah i powiedział: - Tu jest pochowana babcia, prawda? Tu jest napisane „Elizabeth Baxter”.

- Tak, Coley - potwierdziła Ashley i dotknęła go w ramię. - Będą tu razem.

Cole pokiwał głową. Patrzył przez chwilę na płytę nagrobkową, a potem pociągnął palcami po wygrawerowanych na niej literach. - Razem, tak jak w niebie - powiedział.

- Tak jak w niebie - powtórzyła po nim Ashley. Landon pomodlił się na głos, a potem cała czwórka wróciła do nowego samochodu i pojechała do domu.

Ashley nie zbliżyła się do pokoju przygotowanego dla Sarah, zanim Landon i chłopcy nie zasnęli. Wcześniej namówił ją, żeby coś zjadła, i z trudem jakoś udało jej się przetrwać kilka wieczornych godzin. Lecz teraz nie mogła spać. Jak inaczej powinna wyglądać ta noc, podczas której mieli kołysać Sarah do snu, z radości nie zważając na swoje niewyspanie.

Ashley przeszła powoli korytarzem obok pokoju Devina. Zanim jeszcze poznali diagnozę dotyczącą stanu zdrowia Sarah, rozważali kilka pomysłów na wygląd pokoju dla noworodka. Mogli przenieść Devina do pokoju Cole'a

- co oczywiście najbardziej podobało się chłopcom. Lecz dom był stary, a pokoje w nim na tyle niewielkie, że ledwie mogły pomieścić pojedyncze łóżko i komódkę. Nawet gdyby wstawili do pokoju Cole'a łóżko piętrowe, dla dwóch chłopców byłoby w nim za mało miejsca.

Dlatego na pokój dla córeczki postanowili przeznaczyć pomieszczenie, które do tej pory pełniło funkcję pracowni Ashley. Zwykle i tak malowała w domu ojca, więc mogła tam przenieść wszystkie swoje obrazy i przybory malarskie. Dzięki temu dla każdego dziecka przygotowali osobny pokój. Zanim upłynął trzeci miesiąc ciąży, Ashley wyciągnęła z garażu łóżeczko dla noworodka i oczyściła je. Znalazła też do niego pościel i pastelowe wdzianko, które podarowała jej matka, kiedy urodził się Cole. Spakowała swoje obrazy, sztalugę włożyła do garderoby i pełna radości zastanawiała się, czy w pokoju powinien dominować kolor niebieski, czy też różowy.

Lecz kiedy poznała wszystkie przerażające szczegóły dotyczące wrodzonej wady u swojej córeczki - choć wmawiała sobie miesiąc po miesiącu, że lekarze z pewnością się pomylili albo że Bóg uczyni dla niej cud - nie była w stanie przystąpić do dalszych prac w pokoju Sarah. Tak jakby jakaś mała część jej podświadomości brała górę nad wszystkimi jej pragnieniami i brakiem zgody na rzeczywistą sytuację. Zdarzały się takie chwile, kiedy przechodziła obok tego pokoju i nagle się zatrzymywała. Wówczas jej oczy nie mogły nacieszyć się widokiem pięknego, malutkiego łóżeczka, a w jej sercu rodziła się nadzieja wbrew wszelkiej nadziei, że jej córeczka będzie jednak tu kiedyś spała. Gdy wreszcie prawda o stanie zdrowia Sarah dotarła do nich i stała się boleśnie niepodważalna, ani ona, ani Landon nie potrafili odnaleźć w sobie dość siły, aby zdemontować łóżeczko.

W domu panowała cisza. Potwornie zmęczona ciężarem wydarzeń mijającego dnia Ashley weszła do pokoju i oparła się o ścianę. Planowali przenieść tu fotel bujany z pokoju Devina, aby chłopiec zyskał w ten sposób dodatkową przestrzeń na swoje zabawki, lecz ostatecznie nigdy to nie nastąpiło i teraz, za wyjątkiem łóżeczka, pokój wyglądał pusto i zimno.

Ashley podeszła do tego jedyne mebla, jaki się znajdował w tym pomieszczeniu, i położyła palce na osłaniającym go od góry pokrowcu z falbankami. Pod dotykiem materiału wezbrał w niej jeszcze większy smutek. Po chwili przesunęła palcami po miękkim, flanelowym prześcieradle pokrywającym cienki materacyk - miejsce, w którym powinna teraz spać Sarah.

Ledwie zdążyłam ją poznać, Boże - modliła się w duszy, wpatrując się w puste, malutkie łóżeczko. A... a tak bardzo mi jej brakuje...

Ashley zamknęła oczy i przypomniała sobie z całą wyrazistością twarz córeczki - jej delikatne rysy, duże, niebieskie oczy, słodkie usteczka. Ile będzie musiało upłynąć czasu, zanim obraz Sarah, wspomnienie tego niespełna jednego dnia przeżytego razem, pozostanie jakimś niewyraźnym snem? Wstrzymała oddech i przez chwilę niemalże czuła zapach swej córeczki i dotykała jej aksamitnej skóry.

Ufam Ci, Boże, ufam - modliła się w duchu. Ale dlaczego ona? Dlaczego Sarah?

Krwawiło jej serce, ponieważ nie było żadnego sposobu na pokonanie odległości dzielącej ją od Sarah, przynajmniej nie w tym życiu.

Ashley chwyciła kurczowo obiema rękami poręcz łóżeczka, a wówczas usłyszała w swoim sercu jakiś wyraźny i łagodny zarazem głos: Zatrzymaj się, moja córko, i we Mnie uznaj Boga.

Ashley poczuła w duszy ulgę, a jej twarz zalała nowa fala łez. Tak, Ojczy, pomóż mi, abym w Tobie uznała Boga. Pomóż mi zrozumieć... - modliła się.

Ponownie usłyszała wyraźną odpowiedź: Moja córko, we Mnie uznaj Boga wzniesłego wśród narodów, wzniesłego na ziemi.'

Ashley nasyciła się tymi słowami; pozwalała, by porządkowały jej myśli i przynosiły światło zrozumienia do jej duszy. Nie skupiała się tak naprawdę na ostatniej części tego fragmentu, ale na jego początku, ponieważ czego więcej mogłaby teraz potrzebować niż świadomość, że ma się zatrzymać i uznać, że Bóg jest Bogiem; że jej zadaniem jest tylko zatrzymać się i w to uwierzyć?

I nagle usłyszała w swym wnętrzu ostatnią część tego fragmentu niczym krzyk nabierający ogromnego znaczenia. Przypomniała jej się też z nową siłą scena z sali szpitalnej: zobaczyła całą rodzinę zgromadzoną wokół swojego łóżka. Nagle zrozumiała, wręcz wyraźnie poczuła w swym wnętrzu, że krótkie życie Sarah i jej śmierć wywołały wiele przemian w ludziach, których tak kochała - spowodowały cuda, które inaczej mogłyby się nigdy nie wydarzyć.

W tamtym właśnie czasie i miejscu to niezrozumiałe napięcie pomiędzy jej bratem, Lukiem, i jego żoną, Reagan, jakby całkowicie ustąpiło, zbliżając ich bardzo do siebie i do ich kochanych dzieci Tommy'ego i Malin. Zranione uczucia i utrzymujący się od dłuższego czasu dystans oddzielający Ashley od jej siostry Brooke zanikał coraz bardziej wraz z każdym zdjęciem, które

wówczas robiła Brooke, z każdą minutą materiału filmowego, z każdym pełnym łez spojrzeniem.

Byli tam też jej nowo odnaleziony starszy brat, Day-ne, i jego żona, Katy. Nie miało już teraz znaczenia to, co w pierwszych miesiącach ich małżeństwa spotkało ich ze strony tabloidów, nie miała znaczenia związana ze sławą presja, wywierana na nich przez różnych ludzi. Kiedy stali w sali szpitalnej wśród rodziny, patrząc na gasnące życie malutkiej Sarah, Ashley nie miała wątpliwości, że uda im się przetrwać wszelkie czyhające na nich niebezpieczeństwa. Oni wszyscy poradzą sobie z trudami życia, a stanie się to dzięki miłości i zrozumieniu, że każda chwila życia jest bezcenna.

To był spadek, jaki zostawiła po sobie Sarah. Lecz teraz, kiedy słowa Pisma Świętego wciąż pobrzmiewały w jej umyśle, Ashley uświadomiła sobie, że to nie był tylko spadek po Sarah; to było dziedzictwo, jakie otrzymali od Boga. Poprzez niezwykle bolesne odejście Sarah Bóg pozwolił im zrozumieć, że to On miał być uwielbiony. I że ich Ojciec Niebieski będzie uwielbiony właśnie wówczas, kiedy ich wzajemne relacje ulegną przemianie, kiedy zostaną naprawione. Że Bóg będzie uwielbiony na oczach całego świata, gdy Dayne i Katy przetrwają brutalny atak mediów, który w najbliższych miesiącach z pewnością nadejdzie z nową siłą.

Bóg zostanie uwielbiony i uwznioślony tak, jak mówił o tym werseł Pisma Świętego.

Ashley poczuła dreszcze i część ogarniającego ją smutku została zastąpiona przez radość i determinację. Poczowała radość z powodu tego, co Bóg uczynił poprzedniego dnia w zatłoczonej, szpitalnej sali. Poczowała też radość, ponieważ nagle zrozumiała, w jaki sposób uda jej się przetrwać rozpacz związaną z utratą córeczki. Z Bożą pomocą będzie starała się wnosić pokój do tych wszystkich relacji, które wydawały się najbardziej dotknięte przez tak krótkie życie Sarah i przez jej śmierć. Postara się być oparciem dla tych ludzi i pomagać im tak często, jak to tylko możliwe, kiedy tylko będą jej potrzebować. Będzie modliła się za Luke'a i Reagan, za Brooke i za samą siebie, za Dayne'a i Katy, i dwóch rzeczy będzie głęboko pewna.

Tego, że Bóg będzie uwielbiony i że śmierć Sarah nie była daremna.

ROZDZIAŁ TRZECI

John obudził się wcześniej i przekręcił się w łóżku. Była środa. Wyprostował rękę, kładąc ją na pustym miejscu, gdzie powinna leżeć Elizabeth. Ostatnio myślał o niej coraz rzadziej, nie uświadamiał sobie też tak często jak wcześniej, że bardzo mu jej brakowało. Lecz tego ranka było inaczej.

Dzisiaj obchodziliby trzydziestą dziewiątą rocznicę ślubu.

Czy możesz przekazać Elizabeth, jak bardzo ją kocham? - pomodlił się i wyjrzał przez okno. Niebo było błękitne i czyste, tak jak przez cały tydzień. Kiedy zaczął planować dzień, pomyślał, że wybierze się na cmentarz, ponieważ tam znajdowało się ciało jego żony, i wydawało się, iż w ten sposób można najlepiej uszanować pamięć o niej.

John usiadł i wyprostował plecy. Problem polegał na tym, że tak naprawdę nie myślał o Elizabeth, kiedy przebywał na cmentarzu. Myślał o niej, kiedy leżał w ich łóżku albo kiedy był w kuchni, przypominając sobie, jak z filiżanką w ręku opierała się o blat i jak uśmiech rozświetlał jej oczy. Myślał o niej, gdy siedział w bujanym fotelu, tym stojącym w salonie obok rozkładanego łóżka naprzeciwko kominka, na którego gzymsie stało teraz w ramce zdjęcie wszystkich ich dzieci, łącznie z Dayne'em. Widział ją naprzeciwko siebie, siedzącą przy stole w jadalni - bez względu na to, kto naprawdę siedział na tym miejscu - i przypominał sobie o niej za każdym razem, kiedy spacerował ścieżką za domem.

Nie, nie pójdzie na cmentarz, nie w ten sposób zamierzał dziś podkreślić znaczenie dnia, w którym on i Elizabeth podjęli najlepszą decyzję swego życia. Zrobi natomiast owsiankę z ubitymi białkami z jajek i świeżymi jagodami, za którą Elizabeth tak przepadała. Potem pójdzie za dom pospacerować i porozmyślać nad zmianami, które zaszły w jego życiu i nad tymi, które jeszcze go czekają.

Później może popracuje nad albumami dla swoich dzieci. Chciał je im wręczyć na Boże Narodzenie, ponieważ uważał, że zbiór listów od ich matki będzie najwspanialszym prezentem, jaki mógłby im ofiarować. Oczywiście do tego czasu on i Elaine...

Ogarnął go przynębiający smutek, odetchnął powoli i wstał. Dzisiejszego poranka nie był w stanie myśleć o Elaine. Mieli pewne plany na dzień jutrzejszy - wspólne śniadanie na świeżym powietrzu i wyprawę na targ warzywny. Miała jakieś problemy z ubijkarką do śmieci, więc później, po

powrocie z zakupów, planował do niej wstąpić i spróbować naprawić to popsute urządzenie. Ona zaś pewnie zrobi swoją wyjątkową lasagne i resztę dnia będą mieli wypełnioną.

Lecz ten dzień należał do niego i Elizabeth. Choć nie rozmawiali o tym z Elaine, wiedziała, że miał rocznicę ślubu. Podobnie jak przed rokiem, kiedy przez cały dzień nie zadzwoniła do niego ani razu.

John zerknął na zdjęcie, na którym był wraz z Elizabeth, stojące na komodzie, lecz nie patrzył na nie długo. Nie zatrzymał też wzroku na górnej szufladzie zawierającej aksamitne pudełeczko, które przyniósł do domu pewnego wieczoru w ubiegłym tygodniu. Nie chciał myśleć o tym, co znajdowało się w tym pudełeczku ani jakie będą jego przyszłe rocznice, kiedy zrealizuje swoje zamiary.

Zamiast tego przyrządził owsiankę, a kiedy ją zjadł, założył czapeczkę bejsbolową i wyszedł na podwórko za domem. Przez chwilę stał nieruchomo, nie robiąc niczego poza oddychaniem słodkim powietrzem poranka, w którym czuć było zapach kwitnących róż dolatujący z ogrodu, gdzie przed dwudziestoma laty posadziła je Elizabeth.

Ruszył wolnym krokiem, podnosząc wzrok na błękit nieba ponad drzewami otaczający najbardziej odległy koniec jego działki. - Wiem, że nie powinienem pytać, Boże - szeptał. Idąc, wsunął ręce do kieszeni. - Ale wciąż nie rozumiem, dlaczego. Dlaczego potrzebowałeś jej tam, na górze, aby była z Tobą? - mówił cichym, ledwie słyszalnym głosem. - Ona powinna być tutaj obok mnie.

I czuł, że Elizabeth powinna być obok niego. Rozmawialiby wówczas o Katy i Daynie, zastanawiając się z niepokojem, czy presja reality show i filmów, które kręcili, nie będzie dla nich zbyt trudna do przetrzymania. Wymienialiby się obawami o przyszłość Luke'a i Reagan, dzieliliby smutek razem z Ashley i Landonem. Świątowałiby z Kari i Ryanem powiększenie się ich rodziny i odczuwaliby wdzięczność za uzdrowione małżeństwo Brooke i Petera. I modliliby się, aby Erin i Sam mogli przeprowadzić się bliżej.

Elaine interesowała się jego dziećmi, lecz rozmowy z nią o nich nigdy nie mogły dorównać tym rozmowom, jakie kiedyś prowadzili z Elizabeth, ponieważ Elaine nie dzieliła z nimi ich przeszłości. Poza tym sama miała dorosłe dzieci. Nie rozpaczała razem z nim, kiedy Dayne był oddawany do adopcji. Nie wiozła z nim w ogromnym pośpiechu Brooke do szpitala, która była wówczas w pierwszej klasie, gdy po wypadku na rowerze założono jej

piętnaście szwów. Nie było jej na urodzinach ich dzieci i wtedy, gdy zaczynały lub kończyły szkołę, nie spędzała z nimi wspaniałych wakacji; nie było jej obok nich, kiedy miały połamane kości lub złamane serca.

Wszedł na mostek, który wyremontował przed rokiem, aby mogli wraz z Cole'em obserwować ryby i łapać żaby w starą siatkę, którą John trzymał w garażu. Po drugiej stronie mostka zaczął iść trochę wolniej zakręcającą ścieżką, podchodząc do ławki, na której siadali razem z Elizabeth i rozmawiali tyle razy, że nie potrafiłby nawet tego zliczyć. :

Nie tylko musiał pozwolić na przeminięcie tych wszystkich wspomnień, które wiązały się z ich wspólnym życiem z Elizabeth, wszystkich rodzinnych tradycji, które naznaczały każde święto, i wszystkich zabawnych sytuacji z przeszłości. Lecz jeśli ożeni się z Elaine, będą musieli znaleźć dla siebie jakieś nowe miejsce do zamieszkania. Odetchnął głęboko, ścisnął kurczowo brzeg ławki i patrzył na tylną werandę i okna starego domu. Elaine nie będzie chciała przeprowadzić się do domu Baxterów, gdzie musiałaby rywalizować ze wspomnieniami o Elizabeth, a John nie zamierzał jej do tego nakłaniać. Lecz on także nie był gotów do wprowadzenia się do jej domu.

Poczuł w całym ciele napływającą falę niepokoju. Myślał już wcześniej o domu, lecz zawsze udawało mu się odsuwać od siebie wszelkie związane z tym obawy. Ale teraz, kiedy w górnej szufladzie komody znajdowało się to aksamitne pudełeczko, przyszedł czas, aby realnie pomyśleć o przyszłości. Gdzieś przecież będą musieli zamieszkać.

Boże - modlił się - to wszystko powoduje, że czuję się taki stary i zmęczony. Znów odchylił się do tyłu, dotykając plecami oparcia ławki i zamykając oczy. Lepiej będzie, jeśli nie wprowadzą się tutaj z Elaine. Zostając tutaj, w domu Baxterów, żyliby w otoczeniu jego dzieci i wnuków, i jego wspomnień. Przede wszystkim obawiał się tych wspomnień. Przy Elizabeth nie brakowało mi niczego, Panie... Gdzie ja stąd pójdę? - modlił się.

Czekał, lecz początkowo nie słyszał żadnej odpowiedzi, dochodziły do niego jedynie odgłosy wróbli kręcących się na gałęziach drzew nad jego głową i szmer wody w pobliskim strumyku.

Lecz po chwili usłyszał w głębi swego serca rozbrzmiewający z początku cichutko i łagodnie werset z Pisma Świętego: Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię. Weźcie moje jarzmo na siebie i ucztujcie się ode Mnie, bo jestem cichy i pokorny sercem, a

znajdziecie ukojenie dla dusz waszych. Albowiem jarzmo moje jest słodkie, a moje brzemie lekkie.

Te słowa spłynęły jak woda do jego duszy i tchnęły życie w jego serce. Jedenasty rozdział Ewangelii według świętego Mateusza był tym fragmentem Pisma Świętego, do którego John powracał wielokrotnie w ciągu swojego życia. Kiedy Elizabeth miała raka za pierwszym razem i gdy Lukę przechodził przez okres buntu po 11 września.

„Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię...” - te słowa zaczęły stopniowo wypełniać jego umysł. Bóg zawsze posyłał odpowiedni werset Pisma do jego serca i dziś było podobnie. Dziś John czuł się utrudzony. Ciężar decyzji, którą musiał podjąć, wydawał się większy niż jego wytrzymałość, szczególnie w dniu rocznicy ślubu z Elizabeth.

Otworzył oczy i ta wiadomość była dla niego wyraźniejsza niż czyste, letnie niebo. Skoro zamiar poślubienia Elaine był dla niego zbyt trudny, zatem widocznie nie nadszedł jeszcze czas na jego realizację. John rozumiał, że zamiast tego powinien skupić się na Panu, na potężnej mocy Boga, która mogła go poprowadzić i dać mu potrzebną mądrość w sytuacji, w jakiej się znajdował. Te słowa uświadomiły mu, że przecież Bóg zawsze jest wierny człowiekowi. Zrozumiał, że powinien wziąć na siebie jarzmo Pana i pozwolić Bogu pokierować swoim kolejnym krokiem.

Przez chwilę John niemalże czuł, jakby Elizabeth siedziała obok niego; wspomnienie o niej było tak silne.

- Trzydzieści dziewięć lat - wyszeptał i poczuł ukłucia łez, więc zamrugał, aby je powstrzymać. Poczuł radość w sercu, a potem uśmiech wystąpił mu na usta, ponieważ zawsze, kiedy myślał o Elizabeth, doświadczał głębokiej wdzięczności wobec niej za to, kim była dla niego i dla dzieci. Dziękuję Ci za nią, Boże - pomodlił się w sercu. Tak bardzo Ci za nią dziękuję.

Wstał i zebrał siły, aby dobrze przeżyć rozpoczynający się dzień. Po chwili znów usłyszał te słowa: „Przyjdźcie do Mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście...”. Postanowił, że spędzi ten dzień na oglądaniu zdjęć, telefonowaniu do dzieci i czytaniu Biblii, a to wszystko będzie robił, słuchając ulubionych utworów Elizabeth, rozbrzmiewających cichutko w tle. Lecz zanim zacznie, zrobi coś, co musiał wykonać, aby być uczciwym wobec siebie i Elaine

- zadzwoni do niej i odwoła to, co zaplanowali na następny dzień. Ponieważ do czasu, kiedy Pan uporządkuje te wszystkie myśli, które kłębiły się w jego sercu, nie miał prawa posuwać pewnych spraw naprzód.

Mimo pierścionka zaręczynowego, który znajdował się w aksamitnym pudełeczku w jego sypialni.

Katy bardzo cieszyła się pożegnalnym przyjęciem zorganizowanym w domu Flaniganów, ponieważ było ono początkiem wielkich zmian w życiu Rhondy. Rhonda Sanders - jej wieloletnia przyjaciółka i drugi reżyser Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego - przeprowadzała się do Cleveland, aby zamieszkać bliżej Chada Jenningsa, który współpracował z nią po odejściu Katy. Oboje byli pełni energii i zakochani w sobie, i patrzyli z nadzieją w przyszłość. Wyjeżdżali następnego dnia, a Rhonda miała zamieszkać u jednej z rodzin związanych z Chrześcijańskim

Teatrem Młodzieżowym w pobliżu teatru Ohio. Mieli razem zrealizować dwa przedstawienia, a potem, następnej wiosny, planowali się pobrać.

Katy wyciągnęła z zamrażarki paczkę hamburgerów i obserwowała Rhondę i jej narzeczonego, widząc, jak jej przyjaciółce błyszcząły oczy, kiedy patrzyła na Chada, i jak była zaszuchana we wszystko, co mówił.

Przez chwilę poczuła nutkę zazdrości, więc odwróciła się. Pomyślała, że Rhonda i Chad będą mieli wszystko, czego Katy i Dayne pewnie nigdy nie doświadczą: poczucie anonimowości i prywatności oraz otaczający ich świat pełen ludzi pokładających w nich wiarę i dających im wsparcie.

Dayne wyszedł ze spiżarni z dwiema ogromnymi torbami bułek do hamburgerów. - Jenny, gdzie mam je zanieść? - spytał. Był w połowie drogi do Katy, lecz musiał coś niepokojącego dostrzec w spojrzeniu żony, ponieważ położył bułki na granitowym blacie, podszedł do niej i delikatnie dotknął jej łokcia. - Co się stało? - spytał zaniepokojonym głosem.

Katy uśmiechnęła się i objęła go ręką w pasie. - Przepraszam - powiedziała i ponownie spojrzała na Rhondę i Chada. Ktoś w salonie grał na pianinie utwór z musicalu „Piękna i bestia”, a kilka młodych osób śpiewało. - Rozmarzyłam się - dodała.

Dayne podążył za jej wzrokiem i niebawem zrozumiał, co miała na myśli. - Gdybyśmy mogli być na ich miejscu...? - upewnił się.

- Niekoniecznie - odparła, odwracając się do Dayne'a.

- Ale pewnego dnia...

Kilkoro młodych ludzi przebiegło obok w pogoni za przyjaciółmi, krzycząc i śmiejąc się.

Dayne zdawał się ich nie dostrzegać. Dotknął Katy w policzek, a jego spojrzenie wypełniła tęsknota. - Ten dzień w końcu nadejdzie - powiedział.

- Wiem - przytaknęła Katy kiwnięciem głowy; lecz żadne z nich nie wyglądało na przekonane o tym, co powiedział Dayne. Katy położyła na blat mrożone mięso w chwili, gdy wpadła na nich spiesząca z zewnątrz Jenny.

- Grill nie chce się rozpać - rzuciła. - Możecie w to uwierzyć? Musimy zrobić największego na świecie grilla, bo na hamburgery czeka pięćdziesiątka wygłodniałych maślaków, a nie możemy rozpać ognia - mówiła, mijając Katy i Dayne'a i podchodząc do zlewu, aby umyć ręce. - Jim musiał wziąć zapalki i próbuje rozpać go po staremu.

Katy podwinęła rękawy i uśmiechnęła się do Dayne'a. Znow zaczęła cieszyć się chaosem, który panował wokół nich. - Jak rozpać ogień, zawołajcie nas - powiedziała.

- Wyjmijcie tacę z dolnej szuflady i rozłóżcie na niej hamburgery - poprosiła Jenny. Wyglądała na zmordowaną, lecz tryskała radością, tak jak zawsze, kiedy organizowała jakieś przyjęcie. Rzuciła Dayne'owi kilka wskazówek, mówiąc mu, gdzie znajdowały się przyprawy i ile należy pokroić pomidorów. - Kiedy już wyjdziecie na zewnątrz, Jim z pewnością znajdzie dla was jakieś zajęcie - stwierdziła żartobliwie Jenny. - Ucieszy go wasza pomoc przy przygotowywaniu takiego gigantycznego posiłku.

Tego wieczoru hamburgery były wyśmienite. Młodzi ludzie nakładali sobie pełne talerze i siadali przy stolikach ustawionych pod gołym niebem. Katy i Dayne usadowili się na wystawionej na zewnątrz sofie i przyglądali się, jak wieloletni członkowie Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego mieszały się i świetnie funkcjonowały w towarzystwie młodszych kolegów i koleżanek.

- Kiedy tak na nich patrzę, widzę ich na scenie, ich kostiumy, słyszę partie tekstu, wszystko razem - wyznała lekko wzruszonym głosem Katy. Odłożyła hamburgera na swój talerz i spojrzała na stół stojący po drugiej stronie basenu, przy którym siedział Tim Reed. W tym roku rozpoczął studia. Gdyby ich program artystyczny był kontynuowany, to Tim grałby w Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym ostatni rok. Na przyjęciu byli też obecni inni młodzi ludzie: Bailey i Connor Flaniganowie, fantastyczne rodzeństwo będące dla Katy jak rodzina przez wszystkie te lata, kiedy mieszkała w pokoju nad ich garażem; byli Shafferowie i Pickowie, Schneiderowie i Larsonowie.

Po chwili Katy odwróciła od nich wzrok i dostrzegła Bethany Allen, koordynator regionalną Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego. Teraz, kiedy Chrześcijański Teatr Młodzieżowy stracił miejsce, gdzie mógłby wystawiać swoje przedstawienia, jej życie też będzie musiało znacznie się zmienić.

- Wiem, o czym myślisz - powiedział Dayne, kładąc swój talerz na kolanach i obejmując ramieniem Katy.

- Hmm - przytaknęła, opierając głowę o jego ramię. Delikatny wietrzyk gładził pola rozciągające się za domem Flaniganów i szumiał w liściach klonów otaczających ich posesję. Katy lubiła przebywać wśród tych ludzi, uwielbiała panującą wśród nich niewymuszoną zażyłość i pewien szczególny rodzaj zwyczajności, której oboje z Dayne'em nie doświadczali nigdzie poza Bloomington. Uśmiechnęła się do niego i spytała: - O czym?

- O tym, że za kilka tygodni powinny zacząć się przesłuchania - odparł. - I że po raz pierwszy od wielu lat Bloomington nie będzie miało jesiennego przedstawienia przygotowanego przez Chrześcijański Teatr Młodzieżowy.

- I o tych młodych ludziach - uzupełniła Katy, mrużąc oczy. - Chrześcijański Teatr Młodzieżowy był dla nich naprawdę dobry. Co oni teraz poczną? Czy uda im się razem wytrwać?

Nie było dobrych odpowiedzi na te pytania i Dayne nawet nie próbował ich szukać. Po prostu zakończyli rozmowę, przyglądając się dalej młodym ludziom i ich radosnym pogawędkom.

Kiedy młodzież kończyła jeść, ktoś niespodziewanie włączył jeden ze znanych przebojów pochodzący z ulubionego filmu nastolatków, więc po chwili prawie wszyscy poderwali się na nogi i zaczęli tańczyć i śpiewać.

Na co teraz obecne tu dzieciaki spożytkują tę energię, która w nich aż kipi? - myślała Katy. Wśród rówieśników ze szkoły nie mogli pozwolić sobie na taki śpiew, nie uniknęliby bowiem zdziwionych spojrzeń wyrażających dezaprobatę wobec takiego spontanicznego i radosnego zachowania. Wokół Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego powstało środowisko ludzi tworzących pełną akceptacji atmosferę pozwalającą jego członkom na śpiew, taniec i wyrażenie siebie poprzez wszystkie talenty, którymi obdarował ich Bóg. Na myśl o tym, że to wszystko ma być teraz zaprzepaszczone, Katy poczuła uścisk w żołądku. W porównaniu z pracą w Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym kręcenie filmu w Anglii wypadło naprawdę blado.

Kiedy na podwórku zrobiło się ciemno, Jim i Dayne przygotowali ognisko. Wszyscy zaopatrzyli się w koce i składane krzeselka i gdy okrag wokół ognia wypełnił się ludźmi, ktoś przyniósł gitarę.

Potem Jenny rozdała chętnym pianki cukrowe i kijki do ich pieczenia nad ogniem, po czym usiadła dość daleko od ogniska obok Katy. - Niedługo wyjeżdżasz, prawda? - spytała ze smutkiem.

- W następny wtorek - odparła Katy, patrząc na ogień. Jenny podciągnęła kolana pod brodę. - Boisz się? - zapytała.

- Jasne - Katy zaśmiała się smutno. - Tuż po Święcie Pracy zaczynają emitować te odcinki „Na serio” z naszym udziałem. Cały świat będzie mógł na to patrzeć. A do tego ten ich tendencyjny punkt widzenia.

Smuga dymu poleciała w ich stronę i Jenny zmrużyła oczy. - Myślisz, że będzie aż tak źle? - spytała.

Katy pokręciła głową. - Zapowiedzi mówiły tylko o jednym - zaczęła Katy smutnym i zarazem lekko poirytowanym tonem. Zmieniła głos i zacytowała: - „Czy ulubiona para Ameryki przetrwa wspólne kręcenie filmu? Odpowiedzi znajdziesz w »Na serio«”.

- Widziałam to - potwierdziła Jenny, marszcząc brwi.

- Miałam nadzieję, że po prostu chcą narobić szumu, żeby ludzie to oglądali.

- Tak, i wygląda na to, że im się udało. Ludzie będą na to patrzeć - odparła Katy, spoglądając poprzez dym na drzewa rosnące wzdłuż ogrodzenia przy końcu posesji.

- Nie wiem, dlaczego w ogóle się na to zgodziliśmy.

- Ja wiem - stwierdziła Jenny, lekko pochylając głowę na bok i patrząc łagodnie na Katy. - Chcieliście otworzyć im okno, jednocześnie zamykając przed nimi drzwi.

- No i... wszystko obróciło się przeciwko nam.

- Jak czuje się Dayne? - spytała Jenny na tyle cicho, żeby nikt poza Katy jej nie usłyszał.

- Jest nerwowy. Wracamy do Los Angeles, zaraz potem będzie premiera naszego filmu, a po kilku tygodniach znajdziemy się osobno w odległych częściach świata.

Jenny milczała, może potrzebując czasu, aby sytuacja Katy w pełni do niej dotarła. Po chwili odetchnęła głęboko i powiedziała: - Nie do końca jest tak, jak to sobie wyobrażasz.

- Nie?

Znów Jenny nie spieszyła się z odpowiedzią. - Przecież pozwoliliście na to - stwierdziła po chwili. Jej głos nie zawierał krytyki czy potępienia. - Oboje zgodziliście się na to - powtórzyła.

To stwierdzenie towarzyszyło Katy jeszcze długo po zakończeniu się przyjęcia; po tym, jak uściskała Rhondę i Chada i obiecała modlić się za nich, i po tym, jak pożegnała się z Flaniganami i innymi ludźmi związanymi z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym.

Podczas jazdy do domu Katy nie mówiła wiele. Jenny oczywiście miała rację. Film i te wszystkie sytuacje związane z udziałem w reality show mogły się wydarzyć tylko dlatego, że oboje z Dayne'em zgodzili się na udział w nich. Katy wyjrzała przez okno samochodu na nocne niebo rozciągające się nad Bloomington. Film Dayne'a został zaplanowany przynajmniej przed rokiem, na długo przed ich ślubem. Cóż więc miała robić? Siedzieć w domu i liczyć dni, aż jej nowo poślubiony mąż skończy zdjęcia? Ich reżyser nie mógł się doczekać, kiedy zacznie z nią pracę przy kolejnym filmie.

Katy zamknęła oczy. Przecież wyjadą dokładnie w tym samym czasie. Zaangażowanie się w pracę było dla niej najlepszym sposobem na odwrócenie uwagi od faktu, że w najbliższym filmie obok Dayne'a zagra Randi Wells, która - pomimo braku zainteresowania nią ze strony Dayne'a - już raz bardzo jednoznacznie opowiedziała Katy o swoich uczuciach do Dayne'a. Czy zatem nie będzie lepiej, jeśli Katy znajdzie się w tym samym czasie w Londynie, również grając w filmie?

- Nie mówisz wiele - stwierdził Dayne, na chwilę odwracając uwagę od drogi i spoglądając na Katy.

- Hmm - uśmiechnęła się, czując brak autentyczności w swoim zachowaniu. - Myślę o tym, co nas czeka, i że to wszystko będzie takie szalone.

Przez kilka sekund Dayne nie odpowiadał, lecz potem napiął mięśnie szczęki i pokiwał powoli głową. - Bardziej niż to sobie możemy wyobrazić - podkreślił.

Kiedy przyjechali do domu, Dayne odebrał telefon od reżysera swojego kolejnego filmu, a Katy poszła do sypialni. Otworzyła drzwi balkonowe i poczuła słodki, chłodny wietrzyk dolatujący od strony jeziora. Było zbyt ciemno, aby zobaczyć wodę czy choćby linię brzegową porośniętą drzewami. Świeże powietrze muskające ją delikatnie po twarzy przypomniało jej, że naprawdę tu byli, w domu nad jeziorem, a nie w

Hollywood, gdzie na ich balkonie mogli się na nich czaić operatorzy kamer i paparazzi.

Nie mogła otrząsnąć się po tym, co powiedziała Jenny, szczególnie w tej chwili, gdy Dayne rozmawiał o swoim kolejnym filmie. Każdy najdrobniejszy problem, który przydarzy się im w najbliższej przyszłości, był jakby na ich własną prośbę, nie tylko zgodzili się na niego, ale go wręcz sami sprowokowali. Czy naprawdę tak widzieli swoją przyszłość, kiedy stali na meksykańskiej plaży i ślubowali sobie miłość na zawsze?

W sąsiednim pokoju Dayne zaczął mówić trochę głośniej. - Moja odpowiedź brzmi: nie. Powiedz jej, że zobaczymy się wystarczająco wcześniej - tłumaczył mocno poirytowanym głosem. - Nie potrzebuję ćwiczyć tekstu z Randi przez tydzień. Robiliśmy to już wystarczającą ilość razy. Poradzimy sobie.

Katy mocniej wtuliła twarz w poduszkę i zamknęła oczy. Nie obawiała się o uczucia Dayne'a wobec Randi. Rozmawiali już o tej sytuacji wiele razy. Dayne nie był nią zainteresowany - niezależnie od tego, co pisały tabloidy. Lecz Randi potrafiła być bardzo zalotna. Zresztą sama powiedziała Katy, że interesowała się Dayne'em. A może interesowała się pokojem, który odnalazł Dayne dzięki swojej wierze. Cokolwiek to było, Randi nie przegapi okazji, nie w sytuacji, kiedy będą sami w Meksyku.

Ich ślub odbył się przed niespełna sześcioma miesiącami i oboje z Dayne'em uważali, że był idealny. W jakiś cudowny sposób udało się go zorganizować w tajemnicy przed prasą, a w obecności jedynie rodziny i przyjaciół. Później spędzili jeszcze kilka fantastycznych dni tylko ze sobą. Katy nigdy nie zapomni tego czasu.

Odetchnęła głęboko i znów tam była. Stała w pokoju panny młodej w nadmorskim, luksusowym kurorcie otoczona pięknymi druhnami - Ashley, pełniące obowiązki starszej drużny, Brooke, Kari, Erin, Reagan i Rhondą. Katy słyszała ich podekscytowane głosy, widziała ich olśniewające, sięgające kostek suknie wykonane z jasnoróżowej satyny i eleganckie uczesania, o które zadbała fryzjerka sprowadzona przez koordynatorkę ślubu.

Katy przypominała sobie, jak zachwycała się każdym najdrobniejszym detalem tej wyjątkowej uroczystości. Doświadczała wokół siebie pełno miłości, radowała się pięknem swojej nowej rodziny. Nawet jej rodzice czuli się na tyle dobrze, że mogli przybyć, wywołując swoją obecnością jej bezgraniczną radość.

Znów zobaczyła, jak jej druhny zbierają się przy wyjściu, zerkając przez uchylone drzwi i czekając na sygnał. Ich dostarczone samolotem bukiety były zrobione z różowych różyczek, za wyjątkiem wiązanki Katy. Jej bukiet składał się z białych róż, kilku gałązek margerytek i białych różyczek.

Mężczyźni wyglądali niezwykle sztywnie w swoich smokingach, białych koszulach, jasnoróżowych kamizelkach i muszkach. Dayne był ubrany we frak, na którego czarnym tle kamizelka i muszka oznaczały się świeżą bielą. Lecz wiedziała, że nawet gdyby za sto lat wróciła pamięcią do dnia ich ślubu, nie zobaczyłaby jego ubrania. Pamiętałaby bowiem jego oczy; sposób, w jaki patrzył na nią, kiedy o wschodzie słońca szła przygotowanym specjalnie dla niej przejściem.

Katy naciągnęła kołdrę pod brodę i poczuła, że stopniowo rozluźnia się i zaczyna zapadać w sen, odganiając od siebie myśli o niepewnej przyszłości, a skupiając się na pełnych szczęścia wspomnieniach związanych z ich ślubem.

Zdjęcia ślubne zapierały dech w piersiach, ponieważ ukazywały rodzinę, która po ślubie z Dayne'em stała się również jej rodziną. Katy wierzyła, że kiedy wreszcie oboje z Dayne'em wyrwą się z Hollywood, sami założą podobną.

Na ulubionym zdjęciu Katy, na którym widać było wszystkie osoby obecne na ich ślubie, ona i Dayne stali w samym środku, a Ashley i Luke po obu ich stronach. Luke był starszym przyjacielem Dayne'a, a odkąd rozpoczął pracę jako jego prawnik, obaj często ze sobą rozmawiali. Inni mężczyźni z rodziny Baxterów - Peter, Landon, Ryan i Sam - z radością zgodzili się być pozostałymi przyjaciółmi.

Tuż przed ceremonią zaślubin John Baxter wziął Katy na bok i powiedział: - Jesteśmy niewymownie szczęśliwi, Katy. W ostatnich latach nasza rodzina odzyskała syna, a teraz zyskujemy córkę.

Wspomnienia ze ślubu stawały się coraz bardziej wyraźne, a odgłosy wokół niej - szum wiatru dochodzący od strony jeziora i rozmowa Dayne'a w sąsiednim pokoju - stopniowo słabły. Nie leżała już w łóżku w oczekiwaniu na męża, zagubiona w cudownych chwilach z ich przeszłości, ale naprawdę wychodziła z pokoju panny młodej, a Ashley mówiła: - W takim razie: do roboty!

Szła korytarzem z szeleszczącą z tyłu białą suknią, podeszła do ojca i wyszeptła mu do ucha: - Pamiętasz, tato, tyle razy powtarzałeś mi, że mogę być tym, kim chciałabym być, i mieć to, co chciałabym mieć?

Jej ojciec zamrugał, aby powstrzymać łzy i odparł: - Tak, kochanie... pamiętam każde słowo.

W korytarzu, przy drzwiach wyjściowych oddzielających ich od pozostałych uczestników uroczystości, czekających pod gołym niebem, kręciły się dzieci Baxterow. Nagle koordynator ślubu otworzyła drzwi i Katy usłyszała dźwięk skrzypiec. Koordynator odprawiła najpierw druhny, a potem dzieci, mówiąc im: - No dobrze... tylko nie idźcie zbyt szybko.

Muzyka zmieniła się i Katy spojrzała na schorowanego mężczyznę stojącego obok niej. - Tato... - powiedziała, podniosła rękę i koniuszkiem palca starła łzę na jego policzku - tak się cieszę, że czuleś się na tyle dobrze, aby tu ' przybyć.

Pojedyncze nuty zaczęły układać się w piosenkę i Katy . rozpoznała tę melodię. Nagle tuż przed nią otworzyły się j drzwi i światło przeszło ciemności. Katy odetchnęła z za- I chwytem i otworzyła oczy, lekko unosząc głowę.

- Przepraszam - powiedział Dayne, obszedł łóżko, podszedł do niej i dotknął ją w ramię. - Nie chciałem cię budzić.

- W porządku - odparła, znów kładąc głowę na poduszce. - Nie spałam.

Pocałował ją czule i pogładził delikatnie palcami po policzku. - Nie mogłem przerwać tej rozmowy - powiedział.

Katy wymamrotała niezrozumiale, że nic się nie stało, a Dayne poszedł do łazienki przygotowywać się do snu. Dopiero wówczas jej myśli stały się na tyle jasne, że uświadomiła sobie, co się wydarzyło. Zasnęła, powracając wspomnieniami do tych cudownych chwil z ich ślubu. Nic dziwnego, że każdy szczegół wydawał się jej taki świeży i wyraźny, tak jakby znalazła się tam ponownie. Obraz, który zobaczyła, nie był już tylko wspomnieniem, lecz snem.

Nagle zapragnęła przywołać do siebie Dayne'a i błagać go, aby pomodlił się z nią o to, by czekająca ich niebawem rozłąka i wszelkie związane z nią pokusy nie zniszczyły ich małżeństwa. Podniosła się na łokciu i spojrzała za nim. - Dayne! - zawołała.

Lecz jej głos pozostał w ich ciemnej sypialni, nie docierając do Dayne'a. Z wnętrza łazienki dochodził do niej przytłumiony odgłos wody lejącej się z kranu. Nie słyszał jej, lecz nawet gdyby usłyszał, przecież i tak wspólna modlitwa nie powinna być jej propozycją. Dayne podjął się przewodniej roli we wczesnych miesiącach ich małżeństwa, więc i teraz do niego należała inicjatywa.

Katy ponownie położyła głowę na poduszce i poczuła, że powoli mija jej niepokój. Jej sen był taki realistyczny i sugestywny. I kiedy kolejny raz przypomniała sobie, co czuła, idąc tym specjalnym przejściem w stronę jej jedynej, prawdziwej miłości, uderzyła ją przerażająca myśl: że wszystko, co przeżyli razem od dnia ślubu, było jedynie snem.

Cudownym, lecz ulotnym snem, z którego pewnego dnia będą musieli się obudzić.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jeszcze długo po odjeździe ekipy z Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego i po tym, jak Jim, chłopcy i Bailey poszli do łóżek, Jenny Flanigan nie kładła się spać. Postanowiła trochę posprzątać i pomimo późnej godziny miała ochotę się wyciszyć. W powietrzu wyczuwało się pewną zmianę i Jenny chciała o tym porozmyślać. Koniec września zawsze nastrajał ją w ten sposób. W przeszłości, kiedy dzieci były młodsze, kupowała jesienią kalendarz składający się z szesnastu miesięcy, ponieważ rok nigdy nie zaczynał się dla niej w styczniu, lecz wtedy, gdy kończyło się lato. Podobnie jak jej znajomi, którzy mieli dzieci, Jenny mówiła o początku i końcu roku wówczas, kiedy jej dzieci zaczynały i kończyły naukę w szkole.

Tej jesieni nie mogło być inaczej. Oboje z Jimem zdecydowali, że po dwuletnim okresie nauki w domu chłopcy powrócą do szkoły publicznej. Ich synowie bardzo o to prosili, chcąc spędzać więcej czasu w towarzystwie kolegów ze szkoły, a Jim i Jenny uznali, że taka zmiana dobrze im zrobi. Później, po kilku latach, może znów powrócą do nauczania w domu.

Jenny czuła, że była to właściwa decyzja, lecz oznaczała pewne zmiany - większą ciszę w domu w godzinach przedpołudniowych i bardziej wypełnione różnymi działaniami popołudnia, takimi jak odrabianie prac domowych i mecze piłki nożnej. Connor postanowił rozpocząć grę w futbol w szkolnej drużynie Clear Creek High, gdzie zostanie objęty programem Ryana i Jima. Justin i Shawn zdecydowali, że będą grać w futbol dopiero w gimnazjum.

Zaś Ricky, ich najmłodszy syn, powiedział Jenny w ciągu dnia, jeszcze przed rozpoczęciem przyjęcia: - Mamo, jeśli mógłbym zatrzymać czas, to zrobiłbym to ostatniego dnia lata, i zawsze miałbym osiem lat.

Jenny uśmiechnęła się, gdy wyrzucała do kosza pozostałe po grillowaniu frytki, opróżniając w ten sposób dwie duże plastikowe miski. Włożyła pojemniki do zlewu, puściła gorącą wodę i wycisnęła na nie kilka kropel płynu do mycia naczyń. Gdybyśmy tylko potrafili zatrzymać czas - pomyślała. Ponieważ to właśnie te dni, dni pełne różnych zajęć, prac domowych i przygotowywanych w pośpiechu obiadów, zostaną przez nich zapamiętane jako chwile nadające urok i sens ich życiu.

Tak, nadchodząca jesień będzie wypełniona różnymi działaniami. Lecz nie tylko o najbliższych planach rozmyślała Jenny tej letniej nocy. Sięgnęła po ściereczkę do naczyń i jej wzrok padł na stojące na kuchennym blacie

zdjęcie w ramce przedstawiające Bailey i Connora w towarzystwie wielu kolegów i koleżanek, wykonane tuż po ostatnim wystawieniu „Dobrej Nowiny”. Nachyliła się bliżej i spojrzała na swoje dzieci, a potem na inne osoby uwiecznione na fotografii, dostrzegając radość i płomienny zapał w ich oczach. Wierzyli, że jakoś uda się uratować Chrześcijański Teatr Młodzieżowy i że jak co roku, od kiedy Katy sprowadziła się do Bloomington, zostanie wystawiony jesienny spektakl.

Jenny poczuła ciężar na sercu, kiedy wyciągała ze zlewu mokrą miskę. Największa i zarazem najbardziej ekscytująca zmiana, jaką co roku przeżywali we wrześniu, wiązała się z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym. Młodzi ludzie, którzy uwielbiali śpiewać i tańczyć i każdej jesieni ubiegali się o role w kolejnym przedstawieniu, w tym roku doświadczą ogromnej pustki. Niektóre osoby próbowały radzić sobie z ogarniającym je smutkiem, podejmując się nowych działań. Dlatego Connor postanowił rozpocząć grę w futbol, a Bailey ponownie zaangażowała się znacznie bardziej niż ostatnio w lekcje tańca, na które miała chodzić po zajęciach w szkole.

Lecz co stanie się z tymi młodymi ludźmi, którzy mieli trudności w nawiązywaniu relacji z rówieśnikami? Chrześcijański Teatr Młodzieżowy był miejscem, gdzie często przychodziła ta młodzież, która nie potrafiła odnaleźć się wśród kolegów i koleżanek ze szkoły, a która poza teatrem nie doświadczyłaby wsparcia i akceptacji od grupy podobnych do siebie nastolatków. Po jednym z przedstawień Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego biorąca w nim udział dziewczyna wyznała obsadzie, że myślała o samobójstwie, zanim trafiła do teatru. Inni jego członkowie często byli ludźmi nieśmiałymi, zablokowanymi emocjonalnie czy nawet sprawiającymi problemy wychowawcze, ale dzięki odnalezieniu się w środowisku Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego zyskali pewność siebie, której tak bardzo im brakowało.

Jenny zakręciła kran i znów spojrzała na zdjęcie. Już wcześniej zastanawiała się, czy zapytać administrację Clear Creek High o możliwość wynajęcia pomieszczeń szkoły na potrzeby Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego, czy też skontaktować się z którymś z większych kościołów. Lecz okazało się, że koordynatorka Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego, Bethany Allen, już próbowała wszystkich możliwych rozwiązań, włącznie z tymi, o których myślała Jenny. Niestety te działania nie przyniosły pożądanego rezultatu. W miejscu teatru w Bloomington

planowano wybudować budynek mieszkalny i nie było żadnej możliwości uratowania teatru.

Wytarła dwie miski, lecz wciąż nie odczuwała zmęczenia. Pomyślała, że choć zamierzali dalej prowadzić z Jimem swoje cotygodniowe studium biblijne przeznaczone dla członków Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego, to prawdopodobnie teraz, bez wsparcia ze strony wspólnoty tworzącej teatr, wielu z nich stopniowo wykruszy się i w końcu przestanie przychodzić na spotkania. Jenny przewiesiła ścierkę do wycierania naczyń przez uchwyt kuchenki i miała już sprawdzić swoją pocztę elektroniczną, gdy nagle usłyszała, jak ktoś schodzi po schodach.

- Mamo... - usłyszała głos Bailey.

Jenny odwróciła się w chwili, gdy jej córka stanęła na ostatnim schodku i zatrzymała się. Była bosa i w swojej trochę za dużej nocnej koszuli z napisem „Indianapolis Colts” - nazwą ulubionej drużyny koszykówki - nie wyglądała na swoje siedemnaście lat. Miała bladą twarz, a na jej policzkach pobłyskiwały ślady łez. Może myślała o tym samym co Jenny - o tym, jak ich życie zmieni się bez Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego.

Jenny podeszła do niej. - Co się stało? - zapytała zatroskanym głosem.

Bailey otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz zamiast tego padła w ramiona matki i ukryła w nich swoją twarz. Jenny pogładziła ją ręką po plecach, czując, jak ciałem córki nieznacznie potrzęsają krótkie serie niemalże bezgłośnego szlochu. Nagle dotarło do Jenny, że powodem rozpaczy Bailey wcale nie musi być dramatyczne zamknięcie Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego. - Kochanie, czy stało się coś złego? - zapytała tym razem bardziej zaniepokojona.

Bailey pociągnęła nosem i otarła oczy końcem wskazującego palca. Po kilku sekundach zmagających z płaczem odchyliła się do tyłu i spojrzała na Jenny. Na jej młodej twarzy odmalowało się poczucie wstydu, bólu i szoku i w końcu znalazła w sobie dość siły, aby odpowiedzieć: - Chodzi o Marisę Young. Właśnie się dowiedziałam.

Serce zabiło w piersi Jenny jak młot, lecz z całych sił próbowała zachować spokój. - Co się jej stało? - spytała.

- Myślałam... - zaczęła Bailey, zaciskając mocno powieki i opierając czoło o ramię Jenny. Znów przez chwilę zmagająca się z rozpaczą. - Myślałam - powtórzyła - że zachowała dziecko, że rozmawiała o tym ze swoją mamą, pamiętasz? - kiedy spojrzała na Jenny, jej oczy były przesiąknięte bólem. - Tak powiedziała mi wcześniej Marissa. Ze obie z mamą tak postanowiły.

Jakieś złe przeczucie uderzyło Jenny. - Oczywiście, że pamiętam - potwierdziła, czując w sobie lęk przed poznaniem prawdy. - A nie rozmawiała z mamą? - spytała niepewnym głosem.

- Nie to - Bailey znów pociągnęła nosem. - Miała aborcję. Zadzwoiła do mnie i powiedziała mi o tym, bo nie chciała mnie okłamywać i nie chciała, żebym dowiedziała się od kogoś innego.

- Och, kochanie... - Jenny poczuła, jak uginają się pod nią kolana. - Nie mogę w to uwierzyć.

Wstrząśnięta, podprowadziła Bailey do taboretów, gdzie obie usiadły. Marissa była koleżanką Bailey. Poznały się w kościele, kiedy chodziły jeszcze do szkoły podstawowej. Przed kilkoma miesiącami, kiedy Marissa dowiedziała się, że jest w ciąży, Bailey i Jenny zaprosiły ją do swojego domu. Marissa przyszła niechętnie, a gdy Jenny słuchała opowieści młodej dziewczyny, jej serce ogarniał coraz większy smutek. Tamtego dnia obie z Bailey modliły się za Marissę i powiedziały jej o działającej w Bloomington poradni dla kobiet w niechcianej ciąży. Lecz w ostatnich miesiącach poradnia ta została zamknięta, a Jenny nie kontaktowała się już później z Marissą.

Nigdy też nie rozmawiała z matką dziewczyny. Za każdym razem, kiedy dzwoniła do Dotty Young, kobieta była niedostępna. Nie odpowiadała też na wiadomości wysyłane przez Jenny.

Teraz Jenny czuła na sobie tak wielkie brzemie, jakby ciężarówka zaparkowała na jej ramionach. Oparła jeden łokieć na kuchennym stole i położyła czoło na zaciśniętych pięściach. - To moja wina - wyszeptwała. Poczowała, że ogarnia ją jakieś przygnębienie i spojrzała Bailey w oczy. - Powinnam jednak skontaktować się z jej matką.

- Nie - rzuciła Bailey, kręcąc zdecydowanie głową. - Jej matka celowo cie unikała. Tak powiedziała Marissa - wyjaśniła. - To właśnie matka zawiozła ją do kliniki.

Jenny nie byłaby bardziej zaskoczona, gdyby Bailey powiedziała jej, że matka Marissy wyrzuciła ją na ulicę.

- Dotty zawiozła swoją córkę do kliniki aborcyjnej? - spytała z niedowierzaniem w głosie.

- Tak - potwierdziła Bailey przybitym głosem. - Pani Young powiedziała Marissie, że po aborcji będzie tak, jakby to wszystko nigdy się nie wydarzyło.

- Ona naprawdę specjalnie unikała moich telefonów? - zajęczała Jenny.

- Pytałam o to Marissę. Powiedziała, że jej mama nie chciała z tobą rozmawiać.

Oczywiście, że nie chciała - pomyślała Jenny. Dotty Young wiedziała, co Jenny sądziła o aborcji, lecz była przekonana, że Dotty uważała podobnie. Ale teraz, kiedy zagrożona była przyszłość jej córki, kazała zrobić Marissie coś, co kłóciło się z jej przekonaniem. Jenny położyła dłoń na ręce Bailey i powiedziała: - Nic nie jest w stanie spowodować, aby było tak, jakby to nigdy się nie wydarzyło. Wiesz o tym, prawda?

- Tak - Bailey zmusiła się, by powstrzymać szloch.

- Marissa powiedziała, że ona... że ona się okalecza.

- Co? - zawołała Jenny, w ostatniej chwili ścisząc głos. Słyszała od przyjaciół, że niektórzy młodzi ludzie okaleczają się. Lecz zawsze sądziła, iż dotyczy to młodzieży pochodzącej z jakichś patologicznych rodzin, pijącej alkohol, biorącej narkotyki czy stale wagarującej; z pewnością nie takich dzieci jak Marissa Young. Jenny położyła sobie rękę na sercu. - Powiedziała ci, dlaczego? - spytała.

Bailey odetchnęła głęboko i powoli, wyglądała na wyjątkowo przybitą. - Powiedziała, że zasługuje na to po tym, co zrobiła swemu dziecku - wyjaśniła i przygryzła wargę.

Sytuacja była tak dramatyczna, że Jenny nie wiedziała, od czego zacząć. - Marissa potrzebuje natychmiastowej pomocy psychologicznej - powiedziała. - Mogłaby się spotkać z kimś w kościele.

- To właśnie jej powiedziałam - odparła Bailey, a do oczu napłynęły jej świeże łzy. - Mówiła, że nikt nie może się o tym dowiedzieć, o tym okaleczaniu się. Nosi ubrania z długimi rękawami, aby jej mama niczego nie zauważyła.

- Ona musi się o tym dowiedzieć - Jenny próbowała mówić łagodnym tonem, po czym lekko uściśnęła rękę Bailey. - Muszę do niej zadzwonić, nawet jeśli nie będzie chciała ze mną rozmawiać.

Bailey pokiwała głową, a w jej oczach pojawiło się zrozumienie. - Marissa będzie wściekła - stwierdziła - ale ona potrzebuje pomocy. Najwyżej więcej się do mnie nie odezwie za to, że ci powiedziałam.

Nagle pośród ciemności, lęku, poczucia winy i bezsensu zajaśniał dla Jenny promień nadziei. Bailey była już prawie dorosła. I oto, mówiąc Jenny, co robią jej znajomi, już nie nalegała na zachowanie milczenia. Jej córka rozumiała, że bezpieczeństwo rówieśników jest ważniejsze od tego, co pomyślą sobie oni o Bailey przekazującej swojej matce poufne informacje.

Przez chwilę Jenny patrzyła na córkę. Potem wstała, podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę. Kiedy wybrała numer i usłyszała sygnał oczekiwania, modliła się, aby Dotty odebrała telefon. Chwilę później, gdy usłyszała głos matki Marissy, poczuła ulgę. - Przepraszam, że dzwonię o tej porze - zaczęła Jenny, opierając się o blat kuchenny i zamykając oczy. Przez ułamek sekundy przemknęło jej przez myśl, co sama by czuła, gdyby otrzymała podobny telefon dotyczący Bailey, jednak niemal natychmiast odrzuciła od siebie to przerażające wyobrażenie.

- Jest weekend - odparła Dotty wyraźnie zdziwionym głosem. - Wiesz przecież, że zwykle o tej porze jeszcze nie śpimy.

- No tak, prawda... dzwonię w sprawie Marissy - ciągnęła Jenny. Odetchnęła szybko i wyjaśniła, że wiedziała o dziecku i że teraz właśnie dowiedziała się o aborcji. Na początku w głosie Dotty słychać było jakby chęć wyparcia się wszystkiego, lecz kiedy Jenny powiedziała, że informacja pochodziła od Marissy, kobieta zamilkła na chwilę.

- W każdym razie Marissa wyznała Bailey coś bardzo poważnego - Jenny nie ukrywała lęku niemalże paralizującego jej głos.

- Posłuchaj, Jenny - zaczęła Dotty zmienionym głosem. - To, co dzieje się z moją córką, to moja sprawa. Nie życzę sobie, żebyś wydzwaniała do mnie i wmawiała mi, że nie znam własnego dziecka.

Jenny zdusiła w sobie smutny śmiech. Właśnie takiej odpowiedzi obawiała się i głównie dlatego nie kontaktowała się z rodzicami dzieci, o których słyszała różne niepokojące rzeczy od swojej córki, pochodzące z kolei z rozmów Bailey ze znajomymi. Najczęściej ludzie po prostu nie chcieli o niczym wiedzieć. Kiedy młodzież brała narkotyki, upijała się, kiedy wracała bardzo późno do domu, łamiąc ustalone zasady, lub gdy młode dziewczyny spały ze swoimi chłopakami, zwykle rodzice domyślali się tego. Lecz udawali, że niczego nie wiedzą, aby nie musieli zmagać się z rzeczywistością. Jedna ze znajomych nawet powiedziała jej, że jeśli o czymś nie wie, to się tym nie musi przejmować, i że jest oczywiste, iż wszystkie nastolatki od czasu do czasu muszą mieć trochę luzu.

Lecz Jenny nie zamierzała pozwolić na to, aby Dotty ją powstrzymała od powiedzenia jej prawdy, nie w sytuacji, kiedy życie Marissy było zagrożone. Podniosła głos, aby kobieta po drugiej stronie linii wysłuchała jej do końca.

- Dotty, przykro mi to mówić - zaczęła pewnym głosem i opowiedziała krótko o tym, co usłyszała od Bailey o okaleczaniu się Marissy. - Ona potrzebuje pomocy psychologicznej. Wyślij ją jutro do kogoś do kościoła -

poprosiła. - Może sama byś z nią poszła - dodała, starając się, aby w jej głosie słycać było współczucie.

Przez chwilę Dotty milczała, a Jenny zastanawiała się, czy nie była nazbyt zszokowana, aby cokolwiek powiedzieć, albo czy nie rozplacze się i nie rzuci słuchawką. Lecz potem po drugiej stronie linii usłyszała jej westchnienie.

- Ona naprawdę powiedziała tak Bailey? - w pytaniu tym nie było już słycać gniewu, lecz jakby coś podobnego do szoku. - Czy Marissa nie mówiła o kimś innym?

- Mówiła o sobie - upewniła ją Jenny, otwierając oczy i spoglądając na Bailey, która przez cały czas obserwowała ją ze swojego miejsca. - Przykro mi, Dotty - powiedziała.

- Pomyślałam, że powinnaś się o tym dowiedzieć jak najszybciej.

Znów nastąpiło milczenie i Jenny miała nadzieję, że może kobieta przełamie się i odwołując się do ich przyjaźni, szczerze podzieli się z Jenny tym wszystkim, co przechodziła przez ostatnie miesiące.

Lecz odpowiedź Dotty była niezwykle krótka. - Muszę kończyć - rzuciła. Ciężar, jaki przebijał z tonu jej głosu, mówił wyraźnie, że nie była w stanie się otworzyć przed Jenny. - Porozmawiam z córką. Jeśli faktycznie będzie potrzebowała pomocy psychologa, otrzyma ją. Nie musisz się o nią martwić.

Po lakonicznym „dziękuję” wypowiedzianym przez matkę Marissy rozmowa została zakończona. Jenny odłożyła słuchawkę na miejsce i usiadła obok Bailey. - Chyba nie poszło najlepiej - stwierdziła.

- Ona prawdopodobnie ci nie uwierzyła - odparła Bailey, opierając przedramiona na stole. - Ale jeśli spojrzy na ręce Marissy, nie będzie miała wątpliwości.

- I może wtedy pójda gdzieś z Marissa po pomoc - Jenny ponownie położyła dłoń na ręce Bailey. - Teraz możemy tylko mieć nadzieję, że tak zrobią.

Przez chwilę obie milczały. Potem Bailey lekko przekręciła głowę i spojrzała na Jenny smutnym, lecz jakby bardziej zamyślnym wzrokiem niż wcześniej. - Wiesz, czego żałuję? - spytała.

- Czego, kochanie? - odpowiedziała pytaniem Jenny. W domu panowała kompletna cisza za wyjątkiem cichutkiego furkotu zamrażarki i szumu łagodnego wietrzyku dochodzącego z zewnątrz przez otwarte kuchenne okno.

- Żałuję, że zamknięto poradnię dla kobiet w niechcianej ciąży - wyznała Bailey. - Marissa powiedziała, że poradnia została zamknięta, zanim miała aborcję - zmrużyła oczy, zamyślona. - W ubiegłym roku czytałam artykuł o działalności poradni, pamiętasz? Nie miałam pojęcia, że ją zamykają.

- Ja też nie - powiedziała Jenny, czując mdłości z powodu tego, co się wydarzyło.

- W poradni mieli ultrasonograf, informowali kobiety, jakie są skutki aborcji, jakie spustoszenia wywołuje w ciele i psychice matki - przypomniała Bailey, wstając i wzruszając ramionami. - Ale dla Marissy jest już za późno.

- Nie, jeśli dostanie odpowiednią pomoc.

- Miałam na myśli jej dziecko - oczy Bailey pociemniały ze smutku. - To przecież takie straszne, no wiesz?

- Dla dziecka i dla Marissy - Jenny pokręciła głową. Chciała jeszcze dodać, że wśród tego wszystkiego Maris-sa musiała dodatkowo cierpieć z powodu zerwanej relacji z Bogiem, lecz pomyślała, że było już zbyt późno, aby o tym rozmawiać. Wstała i położyła ręce na ramionach Bailey.

- Pomódlmy się za Marissę - zaproponowała. - A potem położysz się, dobrze?

Bailey przytaknęła i skłoniła głowę. Jenny zamierzała rozpocząć modlitwę, lecz jej córka uprzedziła ją, tak jakby jej serce było przepełnione sprawami, które chciała powierzyć Panu. - Drogi Boże, bądź dzisiejszej nocy z Marissą...

- głos Bailey załamał się na chwilę. - Nie mogę w to uwierzyć, że ona sama siebie rani i że czuje się aż tak podle, że musi robić coś takiego. Proszę, pomóż jej, aby była szczerą ze swoją mamą, i prowadź je obie, aby mogły otrzymać pomoc. I proszę jeszcze, aby jej maleńkie dziecko było szczególnie blisko Ciebie. W Imię Jezusa, amen.

Jenny pomyślała, że sama nie wyraziłaby lepiej tego, co czuła. Objęła Bailey i długo tuliła ją do siebie, a potem patrzyła za nią, jak idzie po schodach na górę do swojego pokoju. Kiedy zniknęła jej z oczu, Jenny usiadła ponownie i zaczęła patrzeć przez okno na ledwie widoczny krajobraz na zewnątrz. Po chwili w jej sercu, naturalnie, niczym kolejny oddech, zrodziła się modlitwa: Dziękuję, Ojcze, za córkę, która mnie kocha i która dzieli się ze mną tym wszystkim, czym żyje. Wiem, że to, co nas łączy, jest wyjątkowe. I proszę Cię jeszcze, daj mi mądrość, aby ta więź trwała między nami.

Miała już iść do łóżka, kiedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Skoro nie ma już w mieście poradni dla kobiet w niechcianej ciąży, to ktoś powinien otworzyć ją na nowo. A któż bardziej nadawałby się do tego od siostry Ashley? Zarówno Brooke, jak i jej mąż byli lekarzami, więc mieli pewne kontakty i najłatwiej znaleźliby jakieś środki na ponowne rozpoczęcie działalności takiej poradni.

Kiedy zaczęła o tym dłużej myśleć, poczuła, jak przyspiesza jej serce. Nie znała Brooke zbyt dobrze, lecz mogła przecież porozmawiać z Ashley. Postanowiła opowiedzieć jej o Marissie; o tym, że jedyna w mieście poradnia dla kobiet w niechcianej ciąży została zamknięta i że inne nastoletnie dziewczyny też mogą zdecydować się na aborcję, jeśli nie dostaną kompletnych informacji na jej temat. I wreszcie, że dzięki temu będzie mogła zmienić coś na lepsze w Bloomington.

Wiedziała, że nie można tej sprawy odłożyć na później i że musi zacząć działać z samego rana.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Doktor Brooke Baxter West odłożyła słuchawkę telefonu, sięgnęła po jedną z chusteczek do pudełka leżącego na jej biurku w gabinecie, w którym przyjmowała pacjentów, i przetarła oczy. Nie teraz - powiedziała do samej siebie. Łzy będą musiały poczekać.

Spojrzała na zegarek - była dziesiąta rano, zbliżał się czas obchodu w szpitalu, nadchodziła chwila dnia, która zawsze wymagała od niej największego skupienia i zaangażowania. Była pediatrą, a dzieci, które miała pod opieką w szpitalu, cierpiały zwykle z powodu dolegliwości, z których stosunkowo szybko wychodziły, takich jak zapalenie migdałków czy ostre zapalenie płuc. Lecz dzisiaj jeden z jej pacjentów znajdował się w bardzo poważnym stanie. Ethan Teeple wymagał jej pełnego zaangażowania, bez względu na to, co ją przed chwilą tak bardzo poruszyło.

Zatelefonowała do niej jej siostra, Ashley, i był to dowód na to, że nieporozumienia między nimi odeszły w niepamięć i że Bóg uzdrawiał ich serca, aby na nowo mogły się ze sobą zaprzyjaźnić. Brooke zabrała plik dokumentów, wsunęła je do aktówki i podeszła do drzwi. Budynek szpitala znajdował się niedaleko i najczęściej Brooke udawała się tam pieszo. Tego sierpniowego poranka pogoda na zewnątrz wyjątkowo sprzyjała spacerom, a ponadto mała przechadzka pozwalała na przemyślenie rozmowy z Ashley.

Dowiedziała się, że jej siostra rozmawiała z Jenny Flanigan, jedną z matek związanych z Chrześcijańskim Teatrem

Młodzieżowym. Ashley opowiedziała Brooke o sytuacji, w jakiej znalazła się jedna z nastolatek, koleżanka córki Jenny. Dziewczyna zaszła w ciążę i poddała się aborcji, ponieważ nie widziała dla siebie żadnego innego rozwiązania, nikt też nie zasugerował jej innego wyjścia z sytuacji, w jakiej się znalazła, włącznie z jej własną matką.

- Poradnia dla kobiet w niechcianej ciąży została zamknięta w czasie, kiedy Marissa potrzebowała pomocy. Może nadszedł właściwy moment, aby ktoś otworzył ją na nowo - głos Ashley był pełen emocji. - Może jest to część przesłania, które płynie ze śmierci mojej Sarah.

Łzy napłynęły natychmiast do oczu Brooke, kiedy przypomniała sobie malutką córeczkę Ashley i Landona, która urodziła się z bezmózgowiem, i jej króciutkie życie przed odejściem z tego świata. Od samego początku, kiedy Ashley poznała straszną diagnozę dotyczącą stanu zdrowia swojej nienarodzonej córeczki, Brooke była przeciwna decyzji siostry, aby donosić

tę ciążę. Wykształcenie medyczne i wcześniejsze doświadczenia utwierdziły Brooke w przekonaniu, że w przypadku, gdy u nienarodzonego dziecka zostało stwierdzone bezmózgowie, pozostawało tylko jedno wyjście - aborcja. Jej zdaniem w takiej sytuacji należało przerwać ciążę, aby zaoszczędzić rodzicom traumatycznych przeżyć związanych z porodem, po którym dziecko i tak było skazane na szybką śmierć.

Lecz Ashley i Landon postąpili inaczej, trwając w przekonaniu, że Bóg w jakiś tajemniczy sposób wykorzysta niezwykle krótkie życie ich córeczki, aby uczynić cud.

Narodziny i śmierć Sarah, które nastąpiły później, poruszyły Brooke tak mocno, jak nic wcześniej, przemieniając ją całkowicie. Od tamtej pory już nigdy nie proponowała swoim pacjentom aborcji, nawet jeśli badanie ultrasonograficzne wykazywało u dziecka bezmózgowie. Już nigdy, w żadnym wypadku, nie namawiała do aborcji. Lecz do dzisiejszego poranka ani przez chwilę nie pomyślała, aby to nowe spojrzenie na życie, które zawdzięczała malutkiej Sarah, miało zaowocować w jej pracy zawodowej kolejnym krokiem, krokiem w stronę ponownego otwarcia poradni dla kobiet w niechcianej ciąży.

Kiedy zbliżała się do podwójnych drzwi szpitala, znów wyraźnie usłyszała głos Ashley, który tak dobitnie brzmiał przed chwilą w rozmowie telefonicznej.

- Pomyśl o tym - powiedziała jej Ashley. - Sarah pokazała, że życie jest bezcenne. Ona była tak bardzo kochana przez te kilka godzin, że chyba nie mogłaby doświadczyć więcej miłości, nawet gdyby żyła sto lat. Czy dzieci nastolatek w naszym mieście nie powinny mieć takiej możliwości? Czy nie powinny otrzymać szansy na godne życie?

Brooke poczuła na rękach i nogach gęsią skórę. W tej sytuacji poradnia dla kobiet w niechcianej ciąży wydawała się mieć decydujące znaczenie. Dawała bowiem nastoletnim mamom albo tym kobietom w ciąży, które znajdowały się w bardzo trudnej sytuacji, szansę poznania swoich nienarodzonych dzieci, dawała szansę spojrzenia na ich ciążę w taki sposób, aby zobaczyć w nich to, czym były naprawdę - życiem, które zasługiwało na to, aby mogło się rozwijać.

Brooke westchnęła i weszła do budynku szpitala. Mogła pomyśleć później o poradni. Teraz musiała skupić się na dzieciach, które pozostawały pod jej opieką medyczną, a szczególnie na Ethanie. Wjechała windą na trzecie

piętro, gdzie trafiały dzieci w wyjątkowo poważnym stanie. Następnie poszła korytarzem do sali, w której leżał Ethan.

Był to uroczy, choć całkowicie łysy chłopczyk, z olbrzymimi, niebieskim oczami. Tego ranka wydawał się bardziej zmęczony niż zwykle. Obok łóżka Ethana stała jego matka i trzymała go za rękę. Kiedy Brooke weszła do sali, kobieta podniosła na nią wzrok. Obawa o życie dziecka już zdążyła pomarszczyć jej czoło i pozostawić pod oczami ciemne plamy.

Brooke delikatnie dotknęła chłopca w duży palec u nogi i spojrzała z troską w jego oczy. - Jak się ma dziś mój ulubiony pacjent? - spytała na powitanie.

Oczy Ethana rozjaśniły się. Nawet pośród najciemniejszych dni jego choroby był jak promień słońca rozświetlający mroki smutku panującego w tej części szpitala. - Mam swoje zdjęcia - powiedział, wskazując na album fotograficzny z Myszką Miki na okładce, leżący na stoliku obok jego łóżka. - Te z Krainy Walta Disneya!

Brooke poczuła, że zaczyna ścisnąć ją w gardle, lecz w ostatniej chwili zapanowała nad wzruszeniem. - Zdjęcia z twojej podróży? - zapytała. - Będziesz musiał mi je pokazać.

- Spędził tam wspaniałe chwile - wtrąciła matka chłopca, uśmiechając się słabo, gdy sięgała po album ze zdjęciami. Otwierała go, gdy pielęgniarka Ethana, Lindsay, weszła do sali.

- Doktor West, miło dziś panią widzieć - przywitała się Lindsay, patrząc Brooke w oczy, a w jej wzroku widać było czający się lęk. Brooke miała tylko nadzieję, że Ethan i jego matka nie dostrzegli tego złowrogiego uczucia. Stan zdrowia chłopca nie rokował dobrze. Jego ostatnia operacja i kilka etapów przebytej chemioterapii nie powstrzymały jednak raka. Leczenie, któremu został obecnie poddany, było jego ostatnią szansą.

- Czy już pani opowiadałem, doktor West? - upewnił się Ethan ochryłym głosem, co było kolejnym znakiem jego walki o życie.

Brooke przysunęła się bliżej do łóżka chłopca. Uśmiechnęła się do niego i spytała: - A o czym?

- O Lindsay - odparł Ethan, uśmiechając się do młodej brunetki, która podchodziła do jego łóżka z drugiej strony.

- Ona i ja jesteśmy ze sobą zaręczeni. I kiedy już całkiem dorosnę, to się z nią ożenię.

- To prawda - potwierdziła pielęgniarka, a w jej oczach zajaśniała trudna do opisanego słodycz. - Ethan jest moim małym księciem.

- Poza chwilami, kiedy tak ją drażnię, że gania mnie po korytarzu.

Brooke zaśmiała się, wyobrażając sobie to, o czym powiedział Ethan, i podeszła do systematycznie aktualizowanej historii choroby wiszącej na ścianie przy drzwiach. Gdy wczytała się w najnowsze wyniki badań, wesołość natychmiast zniknęła z jej twarzy. Z morfologii krwi chłopca jednoznacznie wynikało, że działanie raka nasilało się.

Ethan wziął album od swojej matki i zaczął pokazywać Lindsay zdjęcia. - Pani zobaczy je za chwilę, dobrze doktor West? - rzucił. - Jak już pani skończy tę swoją papierkową robotę.

- Dobrze, kolego - odparła Brooke, nie odrywając oczu od najświeższych badań. - Zaraz do ciebie podejść - dodała. Przewróciła kilka kartek wstecz i na wszelki wypadek porównała najnowsze wyniki badań krwi Ethana z tymi sprzed kilku dni. Cyfry nie mogły kłamać - pomyślała Brooke i odetchnęła ciężko. Jak dziwne było życie. Ten kochany chłopiec kolejny dzień walczył o życie, podczas gdy tydzień po tygodniu kobiety udawały się do kliniki aborcyjnej usytuowanej niedaleko, przy tej samej ulicy, aby pozbyć się ze swojego ciała tego życia, które powinny otaczać taką wyjątkową miłością.

Brooke podsumowała wyniki badań i napisała coś na dole strony, tuż pod adnotacją sporządzoną przez onkologa dziecięcego. Chłopiec był w coraz gorszym stanie, co do tego nie miała wątpliwości. „Ale - napisała Brooke - jest radosny jak nigdy, traskocze ze wszystkimi, którzy pojawiają się w jego sali - choć jest zbyt słaby, aby wstać z łóżka. Jeśli ktokolwiek miałby wygrać taką bitwę, to tylko Ethan". Zamknęła plik kartek i umieściła go z powrotem w uchwycie na ścianie.

Matka Ethana obserwowała ją w sposób, w jaki zawsze patrzą rodzice chorych dzieci, szukając w wyrazie twarzy lekarza jakiegokolwiek znaku oznaczającego dla nich choćby iskierkę nadziei. Brooke, starając się unikać jej spojrzenia, przeniosła wzrok na łóżko Ethana, a potem spojrzęła ponad jego ramieniem.

- Widzi pani, doktor West - mówił Ethan pełnym entuzjazmu głosem. - To ja i Myszka Miki. Spotkałem ją osobiście! - wskazał na zdjęcie w jasnych kolorach. - Dzięki tej fundacji, o której pani kiedyś mówiłem, spędziłem z nią wyjątkowo dużo czasu. Czy to nie wspaniałe?

- Pewnie, że tak - przytaknęła Brooke, kładąc rękę na ramieniu chłopca. - Wygląda na to, że to był cudowny czas.

Ethan położył z powrotem głowę na poduszce, wyczerpany wysiłkiem opowiadania swojej historii. Jego uśmiech osłabł odrobinę. Potem spojrzął na matkę i dodał: - Mama mówi, że to był wyjazd naszego życia.

Rzeczywiście - pomyślała Brooke. Uchwyciła spojrzenie matki Ethana stojącej po drugiej stronie jego łóżka. - Czy możemy porozmawiać? - spytała. - Chodźmy może na korytarz.

Kiedy Brooke cofnęła się, Lindsay zajęła jej miejsce, przysuwając się do Ethana. - Pokaż mi jeszcze raz to zdjęcie z Dumbo - poprosiła pełnym czułości głosem. - Uwielbiam go.

- Tak, ja też! - podchwycił Ethan, lecz jego słowa stały się jakby bardziej powolne, a kiedy zamrugał, powieki okazały się cięższe. - Ty i ja możemy się z nim spotkać następnym razem... kiedy pojedziesz tam z nami - dodał.

Brooke i matka Ethana wyszły na korytarz. Kiedy znalazły się poza zasięgiem słuchu Ethana, zatrzymały się, a Brooke spojrzała w twarz kobiety, dostrzegając w niej obawę.

Okolice jej oczu i ust pokryły się wyraźnie widoczną siecią zmarszczek.

- Nie jest najlepiej, prawda? - spytała przestraszona kobieta pełnym desperacji głosem, widocznej także w jej spojrzeniu. - Jego skóra stała się bledsza.

- Zauważyłam to - potwierdziła Brooke, patrząc przez kilka sekund w podłogę, potem westchnęła i podniosła wzrok. - Nie, pani Teeple, nie jest dobrze. Jego wyniki to potwierdzają. Musimy zwiększyć mu dawki. Ale tak naprawdę... to jedyny sposób, jaki nam pozostał, aby mu pomóc - delikatnie ścisnęła rękę kobiety. - Musiałam to pani powiedzieć.

Matka Ethana zacisnęła powieki i kilka razy energicznie pokiwała głową. Brooke obawiała się, że kobieta może stracić przytomność albo osunąć się na kolana, przygnieciona ciężarem usłyszanej przed chwilą informacji. Zamiast tego otworzyła oczy i poprzez łzy podziękowała Brooke. - Wiem, że robi pani wszystko, co tylko możliwe, aby go uratować - powiedziała, a kąciki jej ust lekko się uniosły, pomimo potwornego bólu, jaki musiała odczuwać w tym momencie.

- Nie poddamy się. Każdy, kogo znamy, modli się za niego - oznajmiła. Spojrzała przez ramię w stronę sali Ethana i dodała: - Poza tym, kiedy my już nic nie możemy, Bóg dokonuje rzeczy niemożliwych.

Brooke pomyślała o własnej córce, Hayley, która niemalże utonęła i która - gdyby nie cudotwórcza Boża moc

- znajdowałyby się teraz w stanie wegetacji i nie chodziłaby do szkoły z rówieśnikami. - Tak - podchwyciła Brooke, mając nadzieję, że pani Teeple słyszała szczerą w jej głosie. - Wierzę w to. Mój mąż i ja również modlimy się za Ethana.

Potem wrócili do sali, w której leżał chłopiec, a po kilku minutach Brooke poszła dalej, do swojego kolejnego pacjenta, rocznej dziewczynki powracającej do zdrowia po poważnym przypadku zapalenia płuc. Wszystko wskazywało na to, że u Paige Tagliaferri nastąpi poprawa, więc Brooke spodziewała się, że spotkanie z następną pacjentką będzie się znacznie różniło od odbytego przed chwilą. Poszła na koniec holu i skręciła w następny korytarz. Kiedy minęła pokój pielęgniarek, delikatnie zastukała do sąsiednich drzwi i następnie weszła do środka. Wiedziała, że rodzice Paige czuwali przy jej łóżku od chwili, gdy przed dwoma dniami trafiła do szpitala.

Teraz to, co zobaczyła w sali, aż ją zamurowało. Matka Paige, Megan, weszła na łóżko szpitalne i zasnęła skulona obok córeczki. Z rogu sali dochodziły łagodne dźwięki muzyki klasycznej, chyba Mozarta. Brooke przez chwilę przyglądała się temu niecodziennemu widokowi, który tu zastała - młodej matce tak zaleknionej o życie swojej malutkiej córeczki, że aż potrzebującej nawiązać z nią bliski, fizyczny kontakt, w tym przypadku poprzez położenie się w łóżku obok swojego dziecka.

Brooke podeszła cichutko do miejsca na ścianie, gdzie wisiała historia choroby Paige. Przejrzała ją i uczucie ciepła wypełniło jej serce. Ostatni rentgen, jaki zrobiono, wyglądał znacznie lepiej. Najwyraźniej jej drobne ciało zareagowało natychmiast na antybiotyki. Jeśli badanie, jakie zamierzała za chwilę zrobić, wyjdzie pomyślnie, rano będzie mogła zostać wypisana do domu. Brooke odłożyła kartki na miejsce i jeszcze raz spojrzała na matkę i córkę. Paige miała problemy zdrowotne od urodzenia. Jej rodzice przez lata starali się o dziecko, chwytając się każdej możliwości, aż w końcu dali za wygraną. Po upływie mniej więcej miesiąca od chwili, gdy się poddali, okazało się, że Megan jest w ciąży.

Paige Tagliaferri była śliczną dziewczynką o blond włosach, z jasnoniebieskimi oczami i wyjątkowo delikatnymi rysami twarzy. Uśmiechała się za każdym razem, kiedy Brooke ją widywała, nawet bezpośrednio po szczepieniu.

Brooke bardzo lubiła przychodzić do Paige, ponieważ jej rodzice wprost tryskali radością, tak jakby fakt bycia rodzicami dla Paige nieustannie przeżywali jako ogromne marzenie, które w końcu stało się rzeczywistością.

Brooke podeszła do łóżka, chwyciła jego brzeg i wyszeptała cichutko: - Dzień dobry, Megan. Tu doktor West.

Oczy kobiety otworzyły się i przez chwilę wydawało się, że nie wiedziała, gdzie się znajduje. Potem usiadła, a na jej twarzy pojawił się wyraz zażenowania. Nachyliła się i przed opuszczeniem łóżka pocałowała Paige w policzek. - Przepraszam... chyba nie wolno mi tu wchodzić - powiedziała. Zeszła z łóżka, przechodząc ponad prętami zabezpieczającymi Paige przed upadkiem na podłogę, i pogładziła córkę po rękę. - Ona mnie potrzebuje - dodała.

- W porządku, nic się nie stało - uśmiechnęła się Brooke i wyciągnęła z kieszeni stetoskop. Założyła go i przysunęła się do łóżka. - Jej wyniki badań wyglądają naprawdę dobrze - oznajmiła. - Jeśli praca płuc będzie prawidłowa, jutro wyjdzie do domu.

- Mam taką nadzieję - odparła Megan z wyraźnym uczuciem ulgi w głosie. - W następnym tygodniu zabieramy ją do Kalifornii do moich rodziców - poinformowała kobieta i zaśmiała się cicho. - Podobnie jak my nie mogą się nią nacieszyć.

Brooke skończyła badanie i tak jak przypuszczała, płuca dziecka były już prawie czyste. Skończyła pisać zalecenie, że następnego ranka Paige może wyjść do domu, i ruszyła do kolejnego pacjenta, gdy niespodziewanie znów uderzyła ją pewna myśl. Ethan... Paige... dzieci, które były chciane czy wręcz wymodlone, które tylko dzięki temu, że istniały, były dla swoich rodziców chodzącymi cudami.

A co stanie się z tymi wszystkimi nienarodzonymi jeszcze dziećmi samotnych matek albo z dziećmi kobiet, które z różnych powodów były przerażone i nie wiedziały, co mają dalej robić? Klinika aborcyjna nie mogła stanowić dla nich jedyne rozwiązanie. Nagle z tak silną determinacją, jakiej nie doświadczała od wypadku Hayley, Brooke zrozumiała, co ma robić dalej. To ona musi zmienić tę niepokojącą sytuację. Ashley miała rację; miasto ponownie powinno mieć poradnię dla kobiet w niechcianej ciąży, a ona i Peter faktycznie dysponowali środkami i kontaktami, aby tę dotkliwą lukę skutecznie wypełnić.

Uderzenia jej serca nadawały szybkie tempo stukotowi jej obcasów o parkietową posadzkę. Chcę tego, Boże - modliła się. Chcę zmienić sytuację dziewczyn, które nie widzą innego wyjścia poza...

Zatrzymała się nagle, a jej modlitwa gdzieś uleciała. Po lewej stronie mijała ścianę okien i drzwi prowadzących na taras, gdzie odwiedzający

mogli zaczerpnąć świeżego powietrza i doświadczyć odrobiny samotności po wizycie w szpitalu. Teraz był pusty, więc Brooke powoli przeszła przez drzwi i skierowała się w stronę jednego z narożników. Kiedy doszła do końca tarasu, chwyciła się poręczy i zaczęła patrzeć na kępę drzew rosnących po tej stronie szpitala.

Ileż to razy wypisała zalecenie aborcji w sytuacji, gdy diagnoza dotycząca stanu zdrowia nienarodzonego dziecka okazała się niepomyślna, albo kiedy matka była pewna, że nie chce urodzić dziecka? Zdarzało się to szczególnie często, zanim ona i Peter ponownie odnaleźli wiarę, którą zawsze wyznawali jej rodzice. W ułamku sekundy tak wiele twarzy przewinęło się w jej pamięci; zboląła wewnętrznie Brooke zacisnęła mocno powieki. Przebacz mi, Boże, to, co zrobiłam. Przebacz mi... proszę - modliła się.

Ta modlitwa odbiła się w jej sercu, umyśle i duszy pełnym udręki echem. Brooke zrozumiała, że nie posunie się ani o krok w wysiłkach chronienia dziewczyn przed koniecznością aborcji, dopóki w pełni nie uświadomi sobie swojej niechlubnej roli jako osoby, która nakłaniała inne kobiety do aborcji. Ścisnęła mocnej poręcz i modliła się dalej: Panie, do śmierci Sarah nie rozumiałam życia. Gdybym tylko mogła cofnąć każdą taką sytuację...

Ciepły wietrzyk powiał na tarasie, delikatnie muskając jej twarz. Dopiero wówczas uświadomiła sobie, że miała łzy na policzkach. Otarła je i zwiesiła głowę. Jak może firmować swoim nazwiskiem poradnię dla kobiet w niechcianej ciąży? Przecież ludzie znali jej wcześniejsze stanowisko w sprawie aborcji, którą uważała kiedyś za zwyczajny zabieg medyczny i za prawo każdej kobiety, nic więcej. Spojrzała w górę ponad drzewami na błękit nieba. Boże... jesteś tam?- pytała w swym zboląłym wnętrzu.

Nagle, najpierw w swoim sercu, a potem w głębi swojego jestestwa, coś poczuła. Choć nie usłyszała żadnej odpowiedzi, wyraźnie czuła Bożą obecność. Doznała przebaczenia na mocy obietnicy pochodzącej ze Słowa Bożego. Chrystus umarł za jej grzechy - nawet za grzechy kierowania kobiet do kliniki aborcyjnej. Teraz... teraz nadszedł czas, aby wykonała kolejny krok.

Brooke odetchnęła głęboko, a potem, z nową siłą płynącą od samego Boga, odwróciła się i weszła z powrotem do budynku szpitala. Kiedy szła zobaczyć swojego kolejnego pacjenta, miała w sobie poczucie, że przebywa w niej Duch Święty.

Kiedy skończyła obchód, wróciła pieszo do swojego gabinetu i odsłuchiwała wiadomość głosową od Ashley. - Musiałam znów do ciebie zadzwonić.

Siedziałam w pokoju Sarah i czytałam Biblię - mówiła wyraźnie jej siostra, pomimo wyczuwalnego w jej głosie smutku. - Przypadkiem natrafiłam na czterdziesty trzeci rozdział Księgi Izajasza - zrobiła krótką przerwę. - Brooke, znam cię. Jeśli poważnie potraktowałam to, co ci powiedziałam o poradni dla kobiet w niechcianej ciąży, wiem, co sobie myślisz. Zawsze wymagałaś od siebie perfekcji i, uwierz mi, możesz na sobie polegać.

Tak czy owak, przeczytaj wersety osiemnasty i dziewiętnasty. Wydaje mi się, że one mogą pokazać ci Boże serce w taki sposób, w jaki ja je zobaczyłam - znów zrobiła pauzę. - Kocham cię. Zadzwoń do mnie - zakończyła.

Przez lata Brooke nie miała Biblii w swoim gabinecie. Lecz po wypadku Hayley Peter podarował jej oprawione w skórę wydanie z jej imieniem i nazwiskiem wytłoczonymi na okładce. Zdjęła ją z najbliższej półki i pociągnęła palcami po wytłoczonym, srebrnym napisie na dole okładki: „Doktor Brooke West”. Był to sposób, w jaki Peter powiedział jej, że w nią wierzy i że nigdy już nie zwątpi w jej kompetencje jako lekarza.

Położyła Biblię na biurku i odnalazła czterdziesty trzeci rozdział Księgi Izajasza. Przesuwając palcem po stronie, natrafiła wreszcie na słowa, które poleciła jej Ashley. Zaczęła czytać od wersetu osiemnastego: „Nie wspominajcie wydarzeń minionych, nie roztrząsajcie w myśli dawnych rzeczy. Oto Ja dokonuję rzeczy nowej: pojawia się właśnie. Czyż jej nie poznajecie? Otworzę też drogę na pustyni, ścieżyny na pustkowiu”.

Brooke zamrugnęła i jeszcze raz przeczytała oba wersy, tym razem wolniej, a potem poczuła w oczach ukłucia łez. Naprawdę doznała przebaczenia, a w dodatku dowiedziała się z wiadomości od Ashley, że jej siostra ją kocha. Jakie było prawdopodobieństwo, że Ashley właśnie dziś natrafi na ten fragment?- pomyślała. Albo że zadzwoni do niej i powie coś takiego. Brooke dotknęła kartki i pozwoliła, aby po raz kolejny przeniknęły ją słowa Pisma. Potem wyciągnęła z szuflady biurka długopis i podkreśliła fragment: „Oto Ja dokonuję rzeczy nowej”.

W dniu, w którym jak nigdy żałowała swoich dawnych decyzji, odniosła wrażenie, że te słowa zostały napisane specjalnie dla niej. Boże, czy to jest Twoja odpowiedź? - spytała w głębi serca. Przełknęła ślinę i wyobraziła sobie poradnię dla kobiet w niechcianej ciąży, której tak bardzo brakowało w Bloomington. Przesłanie tych słów z Księgi Izajasza było jednoznaczne. Przeszłość ma zostawić za sobą; teraz Pan dokonywał czegoś nowego w jej życiu.

Pustynię żalu zalewał strumieniami życia.

Słyszę Cię, Panie - modliła się. Czuję Cię. Nie zmarnuję tej sposobności, obiecuję.

Kiedy zamknęła Biblię i spojrzała na zegarek, szykując się do kolejnej wizyty, była pewna dwóch rzeczy.

Po pierwsze, jeszcze dziś wieczorem porozmawia z Peterem o potrzebie reaktywowania poradni. Opowie mu, jak Bóg wyprowadził ją na taras i że jej przebaczył. Powie mu też o wersetach z Księgi Izajasza.

I po drugie, gdy poradnia zacznie już funkcjonować i kiedy pierwsze dziewczyny będą szukać w niej innego wyjścia niż aborcja, zostanie nadana jej nazwa, na zawsze upamiętniająca tę małą dziewczynkę, która odmieniła wszystko:

„Sarah. Poradnia dla kobiet w niechcianej ciąży”.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Księżyc wlewał promienie światła do sypialni Dayne'a i Kary przez drzwi balkonowe zabezpieczone moskitierą. Dayne przekręcił się na bok, nie mogąc zasnąć. Nie chciał tracić ani chwili, do ich wyjazdu z Bloomington pozostały bowiem już tylko dwa dni. Spojrzał na zegar elektroniczny znajdujący się na stoliku nocnym Katy - była dwudziesta trzecia piętnaście. Jeszcze nie jest tak późno - pomyślał. Łagodny wiaterek powiewający od strony jeziora wydawał się cieplejszy niż zwykle podczas letnich nocy w Indianie.

Najpierw w umyśle Dayne'a, a potem gdzieś na dnie serca zaczął kiełkować pewien pomysł, pochłaniając coraz bardziej jego uwagę. Dotknął ramienia Katy i wyszeptał:

- Hej... obudź się.

Kiedy nie reagowała, spróbował ponownie. - Katy, kochanie, obudź się - powiedział łagodnym głosem.

Katy powoli otworzyła oczy, które po chwili przybrały wyraz niepokoju. - Dayne, czy coś się stało? - spytała, z trudem łapiąc oddech.

- Spokojnie, wszystko w porządku - odparł, gładząc ją palcami po policzku. - Nie miałabyś ochoty na spacer? - spytał, czując, jak jego twarz przybiera błagalny wyraz. Potrzebowali tego, należało delektować się każdą chwilą, kiedy ciągle jeszcze przebywali w Bloomington, zanim porwie ich życie, pozostawiając jedynie wspomnienia tych chwil.

Katy budziła się, przecierając oczy, a na jej usta powoli powracał uśmiech. Podniosła się na łokciu i zamrugowała kilka razy.

Dayne usiadł i zatopił palce w jej włosach. Potem pocałował ją i wyszeptał: - Przejdź się ze mną... proszę.

Uśmiechnęła się szeroko i usiadła, zerkając w stronę drzwi balkonowych. - Na zewnątrz jest jasno - stwierdziła zdziwionym głosem.

- Wiem - potwierdził, zsuwając nogę z łóżka. - Nie mogłem spać i coś przyszło mi go głowy.

- Żeby pójść na spacer? - uśmiechnęła się do niego, mówiąc mu w ten sposób, że chciała się dowiedzieć tego, co chodziło mu po głowie. Spojrzała na zegar i dodała: - I to o jedenastej siedemnaście?

- Właśnie tak - podchwycił, wstając i biorąc ją za rękę. - To idealny czas na spacer.

Kiedy Katy też wyszła z łóżka, oboje ubrali się w dżinsy i bluzy sportowe. Zeszli po schodach na dół i kiedy znaleźli się na zewnątrz, Dayne wziął ją za rękę i poprowadził ścieżką w dół w stronę wody. Księżyc był w pełni i tak malowniczo wisiał nad jeziorem, że wyglądało to jak plan filmowy. Dayne zabrał latarkę, lecz okazała się zbędna.

Kiedy dotarli nad brzeg jeziora, prowadził ją dalej w stronę kanu przywiązanego do pomostu. Znaleźli tę starą łódź z ogłoszenia w lokalnej gazecie w pierwszym tygodniu po ich powrocie do Bloomington. Od tamtej pory pływali w niej wiele razy, włącznie z pewnym popołudniem, kiedy przy próbie ominięcia ogromnego kamienia oboje znaleźli się w wodzie.

Lecz nigdy nie wypływali nocą.

Katy zawahała się i puściła rękę Dayne'a. - Kanu? Teraz? - zdziwiła się. - To chyba niebezpieczne?

- Jezioro jest całkowicie puste i bez fal - uspokoił ją, biorąc ponownie za rękę. - Nic nam się nie stanie.

W świetle księżyca dostrzegł, że Katy uspokaja się. - Jesteś szalony - rzuciła.

- Wiem - podchwycił, prowadząc ją po pomoście, a potem schylając się, aby odwiązać linę utrzymującą kanu. Kiedy uporał się z cumą, odwrócił się do niej. - Za kilka dni nie będziemy mogli pozwolić sobie na żadne szaleństwo, o którym nie dowie się cały świat - uśmiechnął się do niej krzywo. - Więc dlaczego nie?

Zaśmiała się cicho, a jej głos zmieszał się z odgłosem wiatru szeleszczącego w gałęziach drzew. - Masz rację - przyznała.

Pomógł jej wsiąść, a potem jednym odepchnięciem wprowadził kanu w ruch, siadając tuż za nią. Podniósł pagaj i włożył go ostrożnie do ciemnej wody. Siedzieli chwilę w milczeniu, wsłuchując się w plusk wody i dochodzące z oddali ujadanie stada kojotów. Kiedy odpłynęli jakieś pięćdziesiąt metrów od brzegu, Dayne przestał wiosłować i włożył pagaj do wnętrza kanu.

Katy chwyciła się ławki i odchyliła do tyłu, zwracając się twarzą w stronę nieba. Na nieboskłonie pobłyskiwały gwiazdy, lecz widać było tylko te najjaśniejsze, zdolne przebić się przez blask księżyca w pełni. - Jest tak pięknie - szepnęła.

- Mmm, tak - potwierdził Dayne, poklepując miejsce obok siebie. - Chodź i usiądź przy mnie.

Ostrożnie, aby nie rozkołysać łodzi, Katy przesunęła się do tyłu, siadając na środkowej ławeczce obok Dayne'a, który objął ją ramieniem i zapytał: - Czujesz to? Czujesz tutaj Bożą obecność?

Katy odetchnęła głęboko i powoli. - Na planie... prawie o Nim całkiem zapomniałam, niemal zupełnie przestałam z Nim rozmawiać i prosić Go o pomoc - wyznała. Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. - Wiesz, co chcę powiedzieć?

Dayne pokiwał głową. - Nie możemy znów do tego dopuścić - stwierdził.

- Nie, nie możemy.

Nie musieli się tłumaczyć przed sobą. Rozmawiali o swojej wierze i o tym, jak bardzo w nadchodzących tygodniach muszą przyłgnąć do Pana, aby przetrwać atak mediów. Lecz tutaj, na jeziorze, z nową siłą i wyrazistością zobaczyli, jak bardzo potrzebują Boga i siebie nawzajem.

- Te kilka ostatnich tygodni - podjął rozmowę Dayne, dotykając ustami jej policzka - upłynęło w taki sposób, o jakim mógłbym jedynie marzyć. Nigdy nie chciałbym stąd wyjeżdżać.

- Ja też nie.

Ostatnie dni ich pobytu w Bloomington były naprawdę precudne. Chodzili na długie spacerunki wokół jeziora Monroe, zatrzymując się w tych samych miejscach, gdzie spotykali się kiedyś, coraz bardziej zakochując się w sobie. Tamte chwile wydawały im się teraz takie odległe. Chodzili z Johnem i Elaine na targ warzywny, kilka razy poszli też z Cole'em na trening piłki nożnej. Ashley i Landon opłakiwali stratę Sarah, lecz także w tym tak trudnym dla nich czasie doceniali obecność rodziny wokół siebie.

Dayne zapatrzył się w nocne niebo. Oczywiście nikt nie cieszył się obecnością bliskich tak jak on. Po długim okresie życia w samotności miał w końcu rodzinę, jakiej każdy pragnął. Gdyby nie musieli wyjeżdżać, on i Katy byliby obecni na trybunach podczas każdego meczu piłki nożnej, a na pokazach tańca jego małych siostrzenic siedzieliby z pewnością w pierwszym rzędzie. Chodziliby do starego domu Baxterów na niedzielne kolacje i uczestniczyliby w każdym pikniku nad jeziorem.

- Znów to robisz - powiedziała Katy cichutko, niemal szeptem.

- Co robię?

- Martwisz się tym, co przyniesie jutro - wyjaśniła, obróciła się lekko i uchwyciła jego spojrzenie. - Nikt nam tego nie zabierze, jeśli postawimy Boga w centrum.

Dayne kiwnął głową wolniej niż poprzednio. Otworzył usta i chciał już zapytać, jak mają postawić Boga w centrum, kiedy będą kręcić swoje filmy tysiące kilometrów od siebie. Każde z nich mogło zaprosić Boga do swojego indywidualnego życia. Ale do centrum? Do centrum czego? Przecież będzie ich dzieliła taka odległość.

Lecz w ostatniej chwili zmienił zdanie. Przecież Katy nie mogła znać sposobu ukojenia lęku, który oboje nosili w sobie, tak jak on go nie znał. Dopiero po upływie kolejnych kilku miesięcy przekonają się sami, jak bolesna była rozłąka i dzięki czemu udało im się przetrwać. Jakkolwiek przeżyją ten czas, Katy miała rację. Kluczem do przetrwania była ich wiara.

Męczyły ich wątpliwości podobne do głębokich cieni otulających drzewa rosnące na brzegu jeziora. Zanim Dayne zdążył je wypowiedzieć, Katy objęła go za szyję i przysunęła twarz do jego twarzy. - Kocham cię, Dayne - powiedziała. - Kocham cię bardziej, niż byłam w stanie to sobie wcześniej wyobrazić - pocałowała go, dając w ten sposób dowód szczerości swoich uczuć. - To, co wydarzyło się przed kilkoma miesiącami, już nigdy się nie powtórzy. Już dostaliśmy swoją lekcję.

Dayne uśmiechnął się i pogładził ją kciukiem po czole. Och, Katy - pomyślał - będzie trudniej, niż myślisz. Lecz także tym razem nie wypowiedział na głos swoich obaw, ponieważ teraz liczyła się tylko ona, otaczające ich jezioro i światło księżycy na jej twarzy.

Odzwajemnił jej pocałunek i po kilku minutach jego obawy zeszły na drugi plan. Pozostała tylko Katy, jego mocno bijące serce i dar miłości, który ofiarował im Bóg. Ona miała rację. Skoro poprzednio udało im się przetrwać napór mediów, powiedzie im się po raz kolejny. Ich miłość była teraz silniejsza. I dopóki będą mieli możliwość powrotu nad jezioro Monroe, i jeśli będą pamiętali, kim są i do Kogo należą, pokonają wszelkie przeszkody.

Nawet gdyby musieli oddać w zamian wszystko, co posiadali.

Dayne powiosłował kanu z powrotem do brzegu i kiedy ścieżką wspięli się na górę i wyszli na balkon, Dayne odwrócił się i objął Katy. - Dziękuję - szepnął.

- Za co? - spytała, obejmując go w pasie. Przez chwilę, wtuleni w siebie, kołysali się delikatnie. Poczucie bliskości obudziło w niej namiętność, która nadała specyficzny wyraz jej oczom.

- Za to, że zaufałaś mi... że zgodziłaś się na przejażdżkę kanu, uznając to za najlepszy sposób spędzenia nocy.

Wiatr rozwiał jej włosy, utrwalając tę chwilę na zawsze w pamięci Dayne'a. Katy jedną dłonią ujęła jego twarz, a drugą położyła mu na sercu. - Kiedy poczujesz lęk... gdy będziesz na plaży w Cabo w Meksyku, a ja będę w autobusie w zalanym deszczem Londynie, zapamiętaj tę chwilę - powiedziała. Zawahała się, a jej wzrok sięgał w głąb duszy Dayne'a. - Zatrzymaj ją w swoim sercu, abyś nie zapomniał, co czeka na nas w domu.

I w jakiś niezrozumiały do końca sposób, kiedy trwali tak wciąż otuleni niezwykłą atmosferą nocy, jej słowa ukoili jego lęk, usunęły wszelkie obawy z jego serca. Ponownie ją pocałował, a potem zrobił coś, co było ich codziennością, odkąd wrócili do Bloomington. Ponownie przyciągnął ją blisko do siebie i cichym, lecz wyraźnym głosem zaczął się modlić.

- Boże - odezwał się - przeprowadź nas przez najbliższe miesiące. Spraw, by jak najmniej o nas pisano i pomóż skupić się na tym, co dobre, właściwe i odpowiadające prawdzie. Pomóż postępować zgodnie z tym, czego uczy nas Twoje Słowo. - Przytulił mocniej Katy i dodał: - I nie dopuść, Panie, aby cokolwiek nas rozdzieliło. A kiedy się rozjedziemy na swoje plany zdjęciowe, pomagaj nam odnajdywać się w Tobie, bez względu na to, jak daleko od siebie będziemy. W imię Jezusa, amen.

Kiedy skończył, długo przyglądał się Katy, patrząc, jak światło księżyca, które odbijało się od powierzchni jeziora, błyszczało w jej oczach. - Jesteś piękna, Katy - powiedział wreszcie.

Nieśmiały uśmiech pojawił się na jej ustach. - Pan też, panie Matthews - odparła.

A potem, nie wypowiadając już ani słowa, poprowadził ją z powrotem do ich sypialni, gdzie godzinę później zasnęła z głową na jego ramieniu.

Zasypiając, Dayne myślał o tym, że kiedy będą już mieli za sobą te trudne najbliższe miesiące, znów czekały ich równie cudowne noce jak ta dzisiejsza, miłość bez obecności kamer, spotkania z Baxterami i regularne wizyty w kościele każdej niedzieli. To wszystko będzie na nich czekało, kiedy wrócą do domu.

A teraz pozostało mu tylko odliczać dni do tej upragnionej chwili.

Od momentu, gdy tuż przed drugą wyczarterowany przez nich samolot wylądował w Los Angeles, Dayne odczuwał skurcze żołądka. Nadchodzącej nocy, drugiej po Święcie Pracy, obawiał się od miesięcy. Dziś rano opuścili Bloomington i nie wrócą tam przynajmniej do Bożego Narodzenia. Jakby tego było mało, również dziś rozpoczynała się emisja odcinków programu

„Na serio” z ich udziałem, który z całą pewnością stanie się powszechnie oglądanym widowiskiem.

Wynajęty samochód czekał na nich na płycie lotniska, zabierając ich natychmiast po opuszczeniu samolotu do domu w Malibu, z którego nie korzystali od kilku miesięcy. To miał być zwariowany tydzień nie tylko z powodu reality show i fali zainteresowania nimi, która zostanie przez ten program wywołana, lecz także dlatego, że w najbliższą sobotę wchodzi na ekrany „Nigdy więcej” - film, w którym Dayne i Katy wystąpili razem. To podczas zdjęć do tej produkcji ekipa telewizyjna bezlitośnie rejestrowała każdą ich wspólną chwilę na planie.

Dyskretnie wnieśli swoje rzeczy do środka. Paparazzi nie wiedzieli, że wrócili już do domu w Malibu, lecz w każdej chwili mogli o tym zostać poinformowani. Na premierze filmu pojawią się wszyscy fotografowie. Dopiero gdy się rozpakowali i wyszli na taras za domem, Dayne uświadomił sobie swoje milczenie.

Podszedł do Katy na tyle blisko, że ich ręce się dotykały. - Już to robię, prawda? - spytał.

- Czekasz na kłopoty i inaczej się zachowujesz. O to pytasz, prawda? - upewniła się. W jej oczach nie było napięcia, które on tak intensywnie odczuwał. - Tak, już to robisz, ale to zrozumiałe - stwierdziła. Przez chwilę znów milczeli, a potem Katy spojrzała na ocean i dodała: - Burza jest tuż przed nami.

Dayne podążył za jej wzrokiem i zaczął obserwować fale rozbijające się o brzeg. W zasięgu ich wzroku znajdowało się niewielu turystów i jak zwykle kilka osób pływających na deskach surfingowych. Spojrzał dalej poza fale na horyzont i na jego twarzy pojawiło się zdziwienie. - Był taki czas, że nie wyobrażałem sobie życia bez tego, bez widoku na ocean i ukojenia, jakie daje pobyt na plaży - powiedział cicho i na chwilę poczuł spokój. - Bez względu na to, jaki miałem dzień i jak szalone prowadziłem życie towarzyskie, ocean zawsze był taki sam - uniósł lekko podbródek, wdychając słonawe powietrze znad oceanu. - I ciągle jest taki sam - dodał.

- Tak - potwierdziła Katy, wciągając powoli powietrze przez nos. - Uwielbiam to tutaj - uśmiechnęła się do niego.

- Dopóki nie wystartują kamery.

- Bez wątplenia jest to niesamowite - powiedział, odwracając się do niej. - Ale w dniu, w którym skończy się mój kontrakt, wywieszę na tym domu tabliczkę „Na sprzedaż” i nigdy nie będę go żałował. Plaża Malibu nie może

się równać z jeziorem Monroe - stwierdził, położył rękę na jej ramionach i przyciągnął ją do siebie. - Po kilku ostatnich miesiącach, jakie spędziliśmy w Bloomington, tutaj już nigdy nie będzie nasz dom.

- Do czasu, kiedy wrócimy, spadnie tam śnieg - zamyśliła się Katy. - Zwykle w tym okresie kończyliśmy wystawiać pierwsze w sezonie przedstawienie Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego.

Dayne poczuł ból w klatce piersiowej. Nie mógł się pogodzić z tym, że budynek teatru został sprzedany i, co gorsza, że nie można było uratować młodej, chrześcijańskiej grupy aktorskiej przed jej rozwiązaniem. Gdyby to wydarzyło się w innym czasie, mógłby interweniować, kupując ten budynek, zanim został on przejęty przez firmę developerską. Poglądził ją palcami po rękę. - Tęsknisz za nimi? - spytał.

- Bardzo - potwierdziła, unosząc w górę wzrok i spoglądając na niego, gdy nagle świeże łzy napłynęły jej do oczu.

- Te dzieciaki potrzebują Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego - stwierdziła, zamrugła i znów spojrzała na wodę. - Lecz Bóg pozwolił, aby to się skończyło. I teatr, i moja praca reżysera. Widocznie tak miało być - wyprostowała się, jakby chciała oszukać samą siebie, że aż tak bardzo nie odczuwa bólu straty. - Tak, tęsknię za nimi - dodała po chwili.

Porozmawiali jeszcze chwilę, a potem Katy pojechała do miasta kupić coś do jedzenia, ponieważ z ich dwojga wciąż była mniej rozpoznawalna. Miała zrobiony delikatny makijaż, założyła stare dzinsy i zwyczajny sweter, a włosy spięła z tyłu w koński ogon. Wróciła do domu z pełnym samochodem jedzenia i wiadomością, że nie spotkała nikogo z kamerą.

Tego wieczoru Dayne zrobił na grillu mięso z kurczaka i warzywa. Lecz gdy zbliżała się ósma, ich rozmowa stawała się coraz bardziej napięta. Wcześniej tego popołudnia Dayne zatelefonował do ojca, który poinformował go, że cała rodzina Baxterów miała zamiar zasiąść przed telewizorami, aby się przekonać, jaki będzie pierwszy odcinek programu „Na serio”. Choć zobaczą ten program na trzy godziny przed jego emisją na Zachodnim Wybrzeżu, to jego ojciec powiedział, że nie zadzwoni do nich tego samego dnia, aby Katy i Dayne sami mogli najpierw obejrzeć ten program.

- Modlimy się za ciebie, synu - powiedział podczas rozmowy telefonicznej jego ojciec głosem pełnym troski i głębokiego niepokoju. - Pamiętaj, że to także minie.

- Dzięki, tato - odparł na te słowa Dayne. - Postaram się o tym pamiętać.

Czas mijał wolno, lecz w końcu, tuż przed ósmą, Dayne dołączył do Katy siedzącej w salonie w narożniku sofy z podkurczonymi nogami i poduszką na kolanach. Telewizor był już włączony.

- Cała się trzęsę - zmusiła się Katy do słabego uśmiechu. - Usiądź przy mnie, proszę.

Gdy szedł w jej stronę, czuł, jak narasta w nim frustracja. Dlaczego musimy to wszystko znosić? - przyszło mu nagle go głowy. Powinniśmy przecież wyłączyć telewizor i polecieć z powrotem najbliższym samolotem do Bloomington, informując producentów, że na zawsze skończyliśmy z przemysłem filmowym. Niech w kolejnych filmach ktoś inny zajmie nasze miejsca.

Dayne usiadł na sofie i wziął Katy za rękę. Kiedy to zrobił, przypomniał sobie realizm sytuacji. Był związany kontraktem. Gdyby go wypowiedział, zostałby pozwany do sądu, a co gorsza, złamałby dane słowo. Zawsze dane słowo dużo dla niego znaczyło, nawet wtedy, gdy prowadził płytkie życie w Hollywood, dzieląc wolny czas pomiędzy przyjęcia i kolejne kobiety. Lecz teraz, gdy ofiarował swoje życie Bogu, jego słowo liczyło się jeszcze bardziej.

Kiedy rozmawiali o filmach, które Dayne musiał jeszcze zrobić, jego przyjaciel, misjonarz Bob Asher, uważał, że należało dotrzymać tych zobowiązań. - Odpowiedź nie leży w tym, aby uwolnić się od złożonych obietnic - powiedział mu przed kilkoma dniami Bob - ale aby wypełnić je w taki sposób, który zadowoli Boga. Zrób tak, a wszyscy wygrają.

Dayne zgodził się z tymi słowami, lecz teraz, gdy za chwilę miał się rozpocząć pierwszy odcinek programu „Na serio”, nie był już taki pewien, że on także może wyjść z tego zwycięsko. Wciąż jednak, pomimo ochoty wycofania się z przemysłu filmowego, zamierzał dobrze wywiązać się z kontraktu i dotrzymać danego słowa.

Katy podała mu pilota od telewizora. - W razie czego wyłącz to - powiedziała i uśmiechnęła się do niego nerwowo.

Na ekranie właśnie dobiegła końca reklama Chevrole-ta, a po niej ostre dźwięki muzyki z czołówki reality show wypełniły pokój. Dayne mocniej ścisnął rękę Katy. Błyskały kolejne zdjęcia Katy i Dayne'a, przechodząc jedno w drugie. Niektóre sekwencje wyglądały jak wideoklipy, na których Katy, być może z powodu oślepiającego ją słońca, mrużyła oczy, a Dayne pocierał sobie brew. Lecz całość była zmontowana w taki sposób, że odnosiło się wrażenie, iż oboje byli ze sobą skłócenii.

- To wygląda gorzej, niż myślałam - Katy uśmiechnęła się smutno. - Najchętniej zakryłabym sobie oczy.

Oczywiście miała rację. Trwający godzinę odcinek zaczął się ładnymi ujęciami Katy i Dayne'a, lecz bardzo szybko uległo to zmianie. Na początku spiker poinformował, że Katy i Dayne wzięli udział w programie jako zakochani w sobie nowożeńcy, gotowi udowodnić światu swoją miłość.

- Lecz już pod koniec pierwszego tygodnia - mówił spiker - rzeczywistość okazała się całkowicie inna.

Po kilku minutach trwania programu pojawiły się w nim nagłówki z tabloidów i plotki mówiące o sprzeczkach ulubionej pary Ameryki. - Furia ogarnęła inne kobiety, które przewinięły się w życiu Dayne - żartował spiker - ale najgorsze miało dopiero nadejść.

W połowie oglądania filmu Dayne poczuł w sobie taką wściekłość, że gotów był wynająć adwokata, aby wycofać program z emisji. Lecz choć płonął w nim gniew, to nie stracił kontaktu z rzeczywistością. Nie mógł nic zrobić, aby powstrzymać emisję programu. Oboje z Katy zgodzili się na swój udział w reality show, ufając producentom, że program pokaże prawdę.

Jednak stało się inaczej. Wśród oskarżeń padających z ekranu blask nowej miłości słabł coraz bardziej, aż w końcu ekipa filmowa reality show prawie dostała to, co byłoby idealne dla wskaźników oglądalności programu - kolejne małżeństwo Hollywood w gruzach.

W przerwie na reklamę pod koniec odcinka Dayne ściszył dźwięk. Usiłował zrobić głęboki wdech, lecz ucisk, jaki odczuwał w klatce piersiowej, nie pozwalał mu na to. - Powinniśmy poprosić o klauzulę pierwszeństwa - rzucił przez zaciśnięte zęby i spojrzał na Katy. - Dlaczego mój agent o tym nie pomyślał?

- Nie wiedzieliśmy - odparła, opierając głowę na jego ramieniu i mocniej przytulając się do niego. Wskazała ręką na telewizor i dodała: - Nie mogliśmy przewidzieć, że tak się to potoczy.

Dayne powstrzymał się, aby nie warknąć na nią za to, że to ona się pomyliła. On wiedział, że tak będzie, spodziewał się tego. Miał znacznie większe doświadczenie z paparazzimi. To Katy chciała ich udziału w tym programie, wierząc, że jeśli dadzą operatorom to, co chcieli nagrać na planie, to potem w ich prywatnym życiu poza pracą zostawią ich w spokoju. Lecz mimo to przecież nie ona była winna temu wszystkiemu.

On jednak powinien był to przewidzieć. Klauzula pierwszeństwa pozwoliłaby im na obejrzenie poszczególnych odcinków przed ich emisją. A

wówczas z pewnością nie wyraziliby zgody na pokazanie telewidzom tych wszystkich sporów, jakie przed kilkoma miesiącami prowadzili ze sobą na planie.

Lecz teraz nic już nie można było zrobić. Reality show w sposób oczywisty zmierzało w tę fałszywą stronę. Oparł łokcie na kolanach. - Powinieniem był to przewidzieć - rzucił.

- Dayne... - powiedziała Katy delikatnym, pełnym zrozumienia głosem i wyprostowała się. - To był mój pomysł. To nie jest nasza wina.

- Jest - upierał się. Spojrzał jej w oczy i poczuł, że jego gniew słabnie. - Znam ten biznes. To było oczywiste, że wszystko obrócić przeciwko nam - ciągnął, delikatnie dotykając jej ramienia. Pomimo jej lęku dostrzegł w niej także siłę, która miała przeprowadzić ich przez nadchodzące tygodnie. - Szczęśliwe pary nie sprzedają się dobrze - dodał z ironią w głosie.

- Hej... - Katy dotknęła jego twarzy. Jej palce delikatnie gładziły jego skórę, lecz nawet bliskość jej ciała nie była w stanie całkowicie usunąć nagromadzonego w nim lęku. Uniosła się lekko na sofie i musnęła ustami jego usta. - Jestem tutaj. Pamiętasz? Z Bogiem uda nam się przez to przejść - znów go pocałowała, tym razem w taki sposób, że jej obawy również stały się dla niego czytelne. - To wystarczy, prawda?

Dayne spojrzał jej głęboko w oczy. W ciągu ostatniego miesiąca ich relacja stała się dla niego tak cudowna, jak ją sobie wyobrażał wówczas, gdy prosił Katy o rękę. Byli sobie bliźsi niż kiedykolwiek wcześniej, zdeterminowani w byciu razem i, co ważniejsze, oddani Bogu.

Mimo to Dayne wiedział, co ich czeka. Premiera filmu spowoduje, że media będą się prześcigały w wyszukiwaniu problemów w ich małżeństwie i w pogoni za jakimkolwiek sygnałem wskazującym na to, że konflikty, jakie przeżywali na planie filmu „Nigdy więcej” wciąż ich prześladowały, a może, co byłoby bardziej pożądane, że jest między nimi jeszcze gorzej. Po premierze udadzą się do różnych krajów, aby kręcić swoje filmy. Tabloidy już wspominały o nieuniknionych problemach, które mieli przed sobą.

Dayne pogładził Katy po plecach. Lęk nie może wygrać tej bitwy - pomyślał - nie może zwyciężyć świat czekający jedynie na naszą porażkę. Odrzucił duszący go lęk i przyłgnął do żony. Trzymał ją mocno w taki sposób, jakby nie chciał pozwolić, aby ktokolwiek albo cokolwiek stało między nimi.

- Tak, kochanie - szepnął, przyciskając policzek do jej twarzy. - Bóg, my i nasza rodzina. To wystarczy - dodał, wielokrotnie powtarzając te słowa w

swoim sercu. Tak, Katy miała rację. To było oczywiste. To, co oboje wybrali, Boga, siebie nawzajem i swoją rodzinę, na pewno wystarczy do przetrwania wszelkich przeciwności.

Nawet jeśli cały świat oczekiwał czegoś innego.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Był drugi dzień nowego roku szkolnego, a Ashley już zaczęła tęsknić za Cole'em, żałując, że jej syn nie może być w domu przez cały dzień. Jakoś dłużył jej się czas do piętnastej, szczególnie dziś. Landon pojechał do pracy na pierwszą zmianę i miał być w domu tuż przed powrotem Cole'a ze szkoły, aby zdążyć odebrać go na przystanku autobusowym.

Ashley wzięła stertę listów ze stołu w jadalni i w drodze powrotnej do salonu uśmiechnęła się do Devina. - Tata i Coley już idą, kochanie - powiedziała, podniosła go i posadziła sobie na biodrze. - Chodźmy ich przywitać!

Podeszli do drzwi wejściowych w chwili, gdy Landon i Cole pojawili się na alejce prowadzącej do ich domu. Ashley otworzyła drzwi i uśmiechnęła się na ich widok - Landona w granatowym mundurze i Cole'a z blond włosami i jasnoczerwonym plecakiem.

Cole zauważył ją pierwszy. - Mamo! - zawołał. - Robiliśmy w szkole eksperyment naukowy! Mam cały woreczek jajek komara - zatrzymał się, położył plecak na chodniku i odsunął górną jego część. Potem wyciągnął ze środka gruby, plastikowy woreczek w połowie wypełniony jakąś ciemną substancją. - Widzisz - Cole uśmiechnął się i podniósł woreczek. - Mamy obserwować, gdzie komary najlepiej rosną.

Ashley zrobiła krok do tyłu. - Aha - przeniosła wzrok z Cole'a na Landona. Jego oczy śmiały się. Zakrywał dłonią usta, aby nie parsknąć śmiechem. Ashley zmarszczyła brwi.

- Odpowiedź brzmi, że na zewnątrz - powiedziała, wskazując na rząd krzewów rosnących kilka metrów przed ich oknami. - Właśnie tam rosną najlepiej.

- Ale mam, tam nie będę ich widział - zaprotestował chłopiec i spojrzał na Landona, szukając u niego wsparcia.

- Prawda, tato? Nauczyciel dał nam specjalne pojemniki, aby te komary nie wydostały się z nich. Nawet jeden!

- Prawda - Landon wzruszył ramionami, robiąc niewinną minę, tak jakby nie dopuszczał możliwości, aby larwy komarów miały być przechowywane jedynie na zewnątrz.

- Cole musi mieć pięć różnych środowisk dla ich rozwoju.

- Lodówka - podchwycił Cole, unosząc wysoko brwi.

- Mój nauczyciel powiedział, że to naprawdę dobre miejsce, bo daje możliwość porównania.

Devin zadarł głowę do góry i zaśmiał się, jak gdyby zrozumiał plan przechowywania komarów w lodówce i jakby ten pomysł był przezabawny.

- Zewnętrzna lodówka - oznajmiła Ashley, machając na Cole'a i Landon, aby poszli za nią do domu. - W żadnym wypadku w kuchni, nieważne co...

- Za wyjątkiem kuchenki - przerwał jej Landon, podchodząc do Ashley i robiąc zażenowaną minę. Wziął od niej Devina i pocałował ją, kiedy wchodzili po schodach do domu.

- Powiedziałem mu, że może włożyć je do kuchenki.

- A ile ma trwać ten eksperyment? - jęknęła Ashley. Cole podskoczył do niej z drugiej strony i objął ją ręką w talii. - Tylko tydzień - odparł. A kiedy wchodzili do domu, przybił piątkę z Landonem. - One potrzebują paru dni, żeby się wykluć, a niektóre nigdy się nie wylęgną, bo nie będą w odpowiednim środowisku.

- A my z pewnością potrzebujemy odpowiedniego środowiska do tego eksperymentu - stwierdził Landon, spoglądając poważnie na Cole'a, a potem puszczając oko do Ashley.

Kiedy to zrobił, Ashley poczuła, jak mięknie jej serce. Na tym przecież polegało życie, aby cieszyć się, jak rosą ich synowie i pomagać im wzrastać w wierze, dawać im wsparcie i brać udział w rym, co wiązało się z ich nauką w szkole, nawet jeśli to oznaczało przechowywanie larw komarów przez tydzień w kuchence. Z Landonem i chłopcami poradzenie sobie ze stratą malutkiej Sarah było tylko kwestią czasu.

Zjedli na obiad spaghetti, a potem cała czwórka poszła na spacer do parku znajdującego się na końcu ich ulicy. Doświadczali zapewne ostatnich letnich dni; niebo było błękitne, a wieczór wyjątkowo ciepły jak na ten okres w ciągu roku. Poprzedniego dnia Devinowi wreszcie przebił się ząbek przez dziąsło, więc nie grymasił tak jak w ostatnim tygodniu, siedział spokojnie w swojej spacerówce i ssał smoczek. Kilka metrów przed nimi szedł Cole, kopiąc piłkę.

Ashley czuła się cudownie. Była obok Landon, pchała razem z nim wózek z Devinem, a ich ramiona od czasu do czasu dotykały się. Jedyne, co mogłoby ją bardziej uszczęśliwić w tej chwili, to obecność Sarah pośród nich.

Ashley wzięła Landon pod rękę i patrząc przed siebie, powiedziała: - Jest cudownie, prawda?

Landon uśmiechnął się. - Pewnie - potwierdził. - Czasami rano muszę upewniać się, że to naprawdę jest moje życie - wyznał, przechylając głowę. - Takiego życia pragnie Dayne dla siebie i dla Katy. Ale po tym wieczorze...

- Wiem - westchnęła Ashley. - Rozmawiałam wczoraj z Katy. Hollywood nie przestaje mówić o tym reality show.

- Boję się o nich - stwierdził Landon, mrużąc oczy pod wpływem oślepiającego słońca. - To nie jest tego warte - powiedział i spojrzął na żonę. - Ze też musieli zgodzić się na coś takiego.

Dotarli do parku i Ashley pomogła Devinowi wyjść z wózka. Trzymała go za rękę, kiedy szedł w stronę huśtawki, potem podniosła go, posadziła w niej i zapięła łańcuch.

- Huśtać! - zawołał Devin i zaczął żywo podnosić raczki w górę.

Ashley zaśmiała się i delikatnie popchnęła chłopca.

Trzydzieści metrów dalej Cole dobiegał do końca trawnika. - Podam do ciebie, tato... - zawołał. - Potem ty z nią biegnij, a ja ci ją zabiorę.

Sezon gry w piłkę nożną właśnie się rozpoczynał; w sobotę miał być pierwszy mecz. Cole bardziej lubił koszykówkę, lecz gra w piłkę nożną zaczynała wchodzić mu w krew. Ashley patrzyła, jak kopie piłkę do Landona. - No dalej, tato - wołał chłopiec. - Nie pozwól, żebym ją odebrał.

Przez następne pół godziny Cole i Landon grali w piłkę, aż w końcu Cole podbiegł do Devina i zaczął prowadzić go za ręce po placu zabaw, a Ashley i Landon usiedli na pobliskiej ławce. Landonowi błyszczały oczy, a policzki miał zaczerwienione od biegania z Cole'em za piłką. Nie było wątpliwości, że rola ojca mu odpowiadała, nawet bardziej niż bycie strażakiem i bohaterem. Ashley uznała, że nigdy nie był bardziej przystojny niż właśnie teraz.

- A co nowego słyszeć u twojej rodziny? - spytał Landon, odchylając się do tyłu i opierając się o ławkę. - Twój tata był jakoś dziwnie wyciszony, kiedy wpadł do nas ostatnio.

- To prawda - potwierdziła Ashley, przysuwając się do męża i splatając palce z jego palcami. - Przygotowuje dla nas te albumy z kopiami listów od mamy, ale wydaje mi się, że przeżywa jakiś trudny czas.

- W związku z Elaine?

- Tak sądzę - potwierdziła, wodząc wzrokiem za Cole'em i Devinem spacerującymi przez cały czas po placu zabaw. - Myśli o tym, żeby się z nią ożenić. Nie powiedział tego, ale widać to po nim. To poważna decyzja.

- Oj tak. Ale wszyscy i tak spodziewają się tego.

- Prawda - przytaknęła, choć jego słowa wywołały pewien ból w jej duszy. Nie wynikało to z faktu, że była przeciwna planom ojca albo że miała jakieś zastrzeżenia wobec Elaine, ale wciąż nie mogła pogodzić się ze śmiercią matki. - Może dlatego był taki wyciszony. Ma o czym myśleć.

Landon zawahał się. - Pogodziłaś się z tym, prawda? Z tym, że twój tata miałby się powtórnie ożenić? - spytał łagodnym głosem.

- Tak - odpowiedź Ashley była natychmiastowa. Przyjaciółka ojca okazywała jej wyjątkową serdeczność. - Elaine jest cudowna. No ale to ciągle jest takie dziwne. No wiesz, mój tata żeniący się z kimś - stwierdziła, podniosła się z ławki i wyciągnęła rękę do Landona, aby pomóc mu wstać. - Chodźmy do chłopców.

Ruszyli wolnym krokiem w stronę placu zabaw. - Ciekawe, czy zostawią sobie dom - powiedział nagle Landon.

Ashley zatrzymała się. - Dom Baxterów? - spytała zaskoczona. Serce zakolało jej w piersi i zaczęło bić szybciej.

- Tak - potwierdził Landon, unosząc lekko jedno ramię. - Elaine może nie chce rozpocząć nowego życia z twoim tatą w domu, w którym mieszkał z twoją mamą.

Ashley poczuła, że uginają się pod nią kolana. Spojrzała na ziemię, a po chwili podniosła wzrok, spoglądając Lando-nowi w oczy. - Nigdy o tym nie pomyślałam - wyznała.

- Mogę się mylić.

Ale nie mylił się; nagle ten fakt dotarł do Ashley. Pomyślała, że przecież dom Baxterów reprezentował jej rodziców, Johna i Elizabeth Baxterów, oraz każdy niezwykły rok, kiedy oboje wychowywali w nim swoje dzieci. Ashley ścisnęła mocniej rękę Landona i znów ruszyli powoli. - Nie może go sprzedać - stwierdziła.

- Może będzie musiał - odparł łagodnym tonem, z którego jednak wynikało, że już wcześniej o tym myślał. - Katy i Dayne mają już swoje gniazdko, Brooke i Peter lubią swój dom, a Luke chce mieszkać bliżej Indianapolis. Reszta z nas po prostu nie może sobie na to pozwolić.

Ashley poczuła, że ogarnia ją kolejna fala smutku.

- U Luke'a nie jest najlepiej - oznajmiła.

- U niego i Reagan? - zdziwił się Landon.

Ashley zmarszczyła brwi. Zbliźali się do chłopców, słychać było piskliwy śmiech Devina. - Luke często lata do Nowego Jorku - powiedziała. - Reagan

mówi, że jest między nimi dużo napięcia, że kiedy on wraca do domu, zawsze jest podenerwowany.

Landon wyglądał tak, jakby zastanawiał się nad czymś, a po chwili zaczął mówić: - Chyba nie myślisz...

- Ze ma romans? - przerwała mu Ashley, kręcąc głową.

- Widział, jak to prawie zniszczyło życie Kari. Nie wierzę, że wdałby się w coś takiego. Bez względu na to, jak napięta jest sytuacja w domu.

Cole zauważył ich i jego twarz rozjaśniła się. - Devin już dobrze chodzi! - zawołał. Schylił się i powiedział w najbardziej zachęcający sposób, w jaki potrafił: - No idź, Dev. Pokaż mamie i tacie, jak szybko umiesz chodzić!

Devin zaśmiał się, a jego oczy aż pulsowały z radości. Spuścił głowę i zacisnął pięści. Potem ruszył po trawniku. Przeszedł dziesięć kroków szybkim tempem, potknął się i poleciał do przodu, upadając na trawę.

Niemniej jednak było to zwycięstwo. - Zrobiłeś to, stary! Brawo! - wołał Cole. Końcem buta delikatnie kopnął piłkę w stronę brata i dodał: - Nawet się nie obejrzysz, jak będziesz grał w piłkę.

- Piłka! - powtórzył Devin, podnosząc się z ziemi i znów upadając, tym razem na piłkę Cole'a.

Bawili się jeszcze przez chwilę, a potem włożyli Devina do spacerówki i ruszyli z powrotem do domu. Ashley udzielił się entuzjazm Cole'a, lecz nie mogła przestać myśleć o Luke'u. On też miał dwoje dzieci, podobnie jak Ashley i Landon. Teraz powinni wejść w taki etap życia, w którym oboje z Reagan cieszyliby się wychowywaniem dzieci i sobą nawzajem. Lecz rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Luke często wyjeżdżał służbowo, a kiedy wracał do domu, nie podejmował aktywnej roli ojca wobec Tommy'ego i Malin - przynajmniej tak widziała to Reagan.

Ashley wciąż wierzyła, że był to kolejny obszar, który może zostać przemieniony za sprawą życia Sarah. Wierzyła, że dzięki temu, iż każdy z nich widział, jak bezcenne i krótkie zarazem było życie Sarah, mogą zostać naprawione relacje małżeńskie jej brata i sióstr. Katy i Dayne z pewnością wydawali się umocnieni jako małżonkowie po narodzinach i śmierci Sarah. Lecz Luke zawsze był uparty. Zanim urodził się mały Tommy, Luke prawie całkowicie odciął się od Baxterów.

Ashley westchnęła, idąc obok Landona spokojnym krokiem po chodniku prowadzącym w stronę ich domu. Pomyślała, że musi zadzwonić do Luke'a i spytać, co u niego słychać. Jako dzieci byli z Lukiem najlepszymi przyjaciółmi. Lecz nawet teraz okazywał on Ashley większą serdeczność niż

pozostałym siostróm. Może gdyby otworzył się przed nią, jego relacja z Reagan uległaby poprawie.

- Myślę, tato, że ciemna garderoba mogłaby być dobrym środowiskiem dla larw komarów - przerwał milczenie Cole. - Nauczyciel powiedział nam, że ciemność jest dla nich dobra.

Ashley uśmiechnęła się, lecz wciąż jej myśli krążyły wokół brata. Czy możliwe było to, co zasugerował Landon, że Lukę miał jakiś romans? Na samą myśl o tym przeszły ją ciarki i postanowiła sobie, że jutro rano zatelefonuje do niego. A do tego czasu postara się pomóc bratu w jedyny sposób, jaki przychodził jej do głowy, a był to najlepszy sposób, jaki znała.

Pomodli się za niego.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Premiera była jedynym z najbardziej oczekiwanych wydarzeń w Hollywood tego roku. Katy nie musiała długo tu mieszkać, aby nie mieć co do tego wątpliwości.

Teraz, gdy niebawem ich limuzyna miała zatrzymać się przy czerwonym dywanie, uśmiechnęła się słabo do Dayne'a. - Jestem przerażona - wyznała.

- Nie przejmuj się - odparł. Wyglądał na spokojnego i pewnego siebie, lecz coś w jego oczach jakby temu przeczyło. On też odczuwał lęk. Chcieli wierzyć, że sprostają temu wyzwaniu, które rzuciły im media. Ale czy na pewno sobie poradzą? Czy z powodu ich wiary media nie będą jeszcze usilniej polować na wszelkie przejawy jakichkolwiek niespójności w ich relacji? Dayne siedział naprzeciwko Katy i w pewnej chwili wziął ją za rękę. - Po prostu bądź sobą - powiedział. - Zobaczą nas takimi, jakimi jesteśmy - uśmiechnął się, lecz wyszło mu to słabiej i z mniejszym przekonaniem, niż zamierzał. - Jesteśmy w sobie zakochani, a zdjęcia z dzisiejszej uroczystości tylko to pokażą.

Katy kiwnęła głową. Dayne miał rację. Każda kamera zostanie w nich wycelowana, a każdy dziennikarz będzie szukał choćby najmniejszego przejawu niezgodności między nimi. Ale przecież nic takiego nie istniało. Nie było żadnych niezgodności czy problemów, więc nic podobnego nie zobaczą.

- Wyglądasz pięknie - powiedział Dayne, oceniając ją wzrokiem. - Niewiele przypominasz tę dziewczynę z małego miasteczka stojącą na scenie podczas próby do przedstawienia „Charlie Brown”.

Chciał powiedzieć jej coś miłego, lecz te słowa jakoś ją zabolowały. Wydawało się, że od tamtego wieczoru, kiedy Dayne zjawił się w teatrze w Bloomington i zobaczył ją po raz pierwszy, dzieliło ich tysiące kilometrów i tak wiele lat. Katy odrzuciła od siebie tamto wspomnienie i uśmiechnęła się. - Dzięki, ty też - odparła cicho.

Dayne miał na sobie smoking, jego blond włosy były krótko obcięte w klasyczny sposób, a twarz opalona od siedzenia na tarasie za domem. Nikt dziś wieczorem nie będzie z przesadną uwagą przyglądał się temu, w co ubrany był Dayne, natomiast jej kreacja z całą pewnością zostanie poddana szczegółowej ocenie. Choć była to jej pierwsza premiera, Katy doskonale zdawała sobie sprawę, czego należało się spodziewać. Poza Katy, Dayne'em i łączącą ich relacją największe zainteresowanie podczas wieczoru z

pewnością wzbudzą suknie aktorek. Katy wystąpiła w filmie obok Dayne'a w głównej roli, więc oczekiwania wobec jej kreacji będą największe, a jej suknia zostanie najszerzej skomentowana spośród wszystkich innych.

Kilka dni wcześniej Katy wybrała się na zakupy w towarzystwie osoby wydelegowanej przez studio, cudem unikając spotkania z paparazzimi, i była zadowolona z efektów tego wyjścia. Dzięki temu miała teraz na sobie srebrną, sięgającą ziemi, satynową suknię z obcisłą górą, dość dużym dekoltem i sięgającymi przedramion rękawami. Podkreśliła lekko swe blond włosy i teraz ich gęste pukle spływały swobodnie na jej plecy i ramiona.

Limuzyna zatrzymała się i Katy wyjrzała przez przyciemnione okno. Odetchnęła głęboko, spojrzała na Dayne'a i powiedziała: - No dobrze, to zaczynamy.

- Wszystko będzie dobrze - pocieszył ją.

Kierowca limuzyny otworzył drzwi, Dayne wyskoczył pierwszy, pochylając się i pomagając wyjść Katy. Katy widziała wcześniej wystarczającą liczbę zdjęć, by wiedzieć, że dywan został rozłożony właśnie w tym celu, aby gwiazdy mogły po nim przejść, i że był naprawdę czerwony. Lecz mimo to obecna chwila wydawała się jej całkowicie surrealistyczna. Oślepiające błyski aparatów fotograficznych widziała po obu stronach odgradzonego dywanu, zanim jeszcze zdążyła wyjść z samochodu. Katy poczuła się tak, jakby zostali nagle natarczywie zaatakowani.

Lecz Dayne przygotował ją wcześniej do tej sytuacji i teraz oboje mogli stawić czoło temu, co działo się wokół nich. Katy uśmiechnęła się najładniej, jak potrafiła, i z wyjątkowo ciepłą i szczerą miną pomachała do tłumów zgromadzonych po obu stronach. Potem ruszyła po dywanie pełnym gracji krokiem, patrząc przez cały czas na Dayne'a z takim wyrazem twarzy, jakby oboje prowadzili ze sobą szczerą rozmowę. Trzymali się za ręce i robili takie wrażenie, jakby byli w sobie zbyt zakochani, aby dostrzec zamieszanie, jakie wywołali swoim przybyciem. Kilka razy odchyliła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. Od chwili, gdy opuścili limuzynę, aż do momentu, gdy znaleźli się w środku, byli blisko siebie, pokazując światu taki obraz, jaki wcześniej dokładnie omówili i przećwiczyli: są jednością i nic nie może wtargnąć pomiędzy nich.

Kiedy znaleźli się już w środku, Katy uświadomiła sobie, że prawie nie oddychała podczas całego przejścia po dywanie. Teraz musiała na chwilę się zatrzymać, aby złapać trochę powietrza. Dayne ostrzegał ją wcześniej, że choć wewnątrz nie będzie aż tylu fotografów i operatorów kamer, co na

zewnątrz, to i tak będą musieli uważać na nadmierną obecność mediów. Pojawią się wysłannicy większości najbardziej popularnych kolorowych magazynów, jak i poważnych codziennych gazet. I z pewnością olbrzymie, krzykliwe nagłówki na pierwszych stronach nie będą dotyczyły faktycznego stanu ich małżeństwa, ale pojawią się w nich najświeższe plotki korespondujące z wątpliwościami zasianymi w pierwszym odcinku programu „Na serio”.

Katy nachyliła się do ucha Dayne'a. - Jak mi poszło? - spytała.

- Idealnie - pochwalił ją, pocałował i patrzył na tyle długo w jej oczy, aby mogli tę pozę uchwycić fotografowie, którzy błyskawicznie zareagowali poruszeni ich zachowaniem.

- Powiedziałem ci, że wszystko będzie dobrze - dodał.

Katy poczuła, że po tej stronie czerwonego dywanu zaczyna się rozluźniać. Udało im się. W końcu nie musieli niczego udawać. Byli sobą i zachowywali się tak, jakby znajdowali się w Bloomington, stojąc na werandzie za swoim domem nad zalanym światłem księżyca jeziorem Monroe.

Dayne poprowadził ją do ustawionych obok siebie stołów zastawionych różnorodnymi potrawami, większości których Katy nie potrafiła rozpoznać. Na środku każdego stołu znajdowała się rzeźba przedstawiająca parę koni w galopie, symbolizująca fabułę filmu. Katy była przekonana, że na jej twarzy pojawiło się widoczne zadziwienie, lecz nie przejmowała się tym. Oprawa była rzeczywiście oszałamiająca.

Wciąż podziwiała jeszcze bogactwo dań, szeptem dzieląc się swoimi wrażeniami z Dayne'em, kiedy do budynku weszła Randi Wells. Gdy ktoś zamknął za nią drzwi, towarzyszące jej za zewnątrz pstrykanie i błyski aparatów fotograficznych i panujące wokół niej zamieszanie nagle jakby zamarły. Randi nie grała w filmie „Nigdy więcej” więc Katy nie spodziewała się jej zobaczyć dzisiaj wieczoru. Lecz obok niej szedł reżyser filmu, Stephen Pe-trel, niezwykle utalentowany człowiek, reżyserujący także kolejny film Katy, do którego zdjęcia zostaną nakręcone w Londynie. On i Randi byli przyjaciółmi i Stephen często powtarzał, że traktował Randi jak córkę. Lecz teraz, gdy Katy przyglądała się idącej w ich kierunku parze, zastanawiała się, czy nie łączyło Stephena z Rand i coś więcej niż tylko typowo ojcowska relacja.

Potem przypomniała sobie kolację, na którą została zaproszona przez reżysera podczas zdjęć do filmu „Nigdy więcej”. Opublikowane zdjęcia

Stephena całującego ją w usta na zakończenie wieczoru omal nie wbiły trwałego klina pomiędzy nią a Dayne'a, choć reżyser nie miał zamiaru wyrażać czegoś wyjątkowego poprzez ten gest. Było to typowe zachowanie ludzi w Hollywood - całowanie kogoś na powitanie albo pożegnanie.

- Ona wygląda olśniewająco - szepnęła Katy, nachylając się w stronę Dayne'a i odwracając plecami do Randi, aby nie było widać jej twarzy. - Chyba jest w najlepszej życiowej formie.

Dayne prawie nie spojrzał w kierunku Randi. - Prawdopodobnie chce zrobić wrażenie na tym drugoplanowym aktorze. Wszyscy mówią, że on wygląda jak następca Brada Pitta - odparł. Choć uśmiechał się przez cały czas, to w jego oczach odbiło się oburzenie. - To, jak podchodzi do swoich partnerów filmowych, jest wyjątkowo nieprofesjonalne - stwierdził, wziął ze stołu mały talerz i nałożył sobie widelczykiem jakiś owoc pokryty czekoladą. - Po tym wszystkim, co ona wyprawia poza ekranem, to będzie ostatni film, jaki z nią robię - dodał.

Katy poczuła, jakby promień słońca rozproszył ciemności utrzymujących się w jej sercu wątpliwości. Miała już powiedzieć, że może kolejny film Dayne'a nie będzie historią miłosną, gdy usłyszała obok siebie znajomy głos.

- Dayne! - zapiszczała Randi jak nastolatka po meczu koszykówki w pewien pamiętny piątkowy wieczór. Zanim zdążył odpowiedzieć, podeszła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. - Jeszcze tylko kilka tygodni! - zaśmiała się. - Nigdy jeszcze nie czekałam tak na żaden film.

Uwolnił się z jej uścisku i przyciągnął Katy bliżej siebie. - Właśnie mówiłem Katy... - zaczął.

- Wyglądasz niesamowicie, chodzący cud! Mówię poważnie, Dayne - zachwyciła się Randi, wciąż nie zauważając Katy. Niespodziewanie chwyciła w obie dłonie twarz Dayne'a i chciała go pocałować prosto w usta.

Dayne przekreślił głowę na tyle, że jej usta wylądowały na jego policzku.

Ani trochę niezrażona Randi pocałowała Dayne'a w drugi policzek i odsunęła się od niego. Dopiero wówczas zachowała się tak, jakby wreszcie dostrzegła jego żonę. Wydała z siebie stłumiony okrzyk zdumienia i symbolicznie uściśnęła Katy. - No niech się napatrzę na królową balu! - zawołała, mierząc Katy wzrokiem. - Cudowna suknia. Naprawdę cudowna.

Potem znów zwróciła swoją uwagę na Dayne'a i patrzyła mu w oczy kilka sekund dłużej, niż to było konieczne. W końcu w poufaly sposób puściła mu oko. - Nie mogę się doczekać tego Meksyku! - rzuciła, posłała całusa w kierunku Katy, odwróciła się z gracją i poszła w stronę reżysera.

Katy poczuła się tak, jakby rozjechał ją pociąg towarowy. Gdyby tak dobrze nie знаła Dayne'a, gdyby w ciągu ostatniego miesiąca nie doświadczyła takiej głębi jego miłości, chyba nie przetrwałaby tej premiery, przygnieciona wątpliwościami z powodu zbliżającego się pobytu Dayne'a w Meksyku. - Ona jest niewiarygodna - szepnęła tylko.

- Przepraszam - odparł Dayne sfrustrowanym tonem. Przycisnął ją mocniej do siebie i poprowadził dalej do kolejnego stołu z jedzeniem. - Muszę z nią porozmawiać - stwierdził. Operator kamery zbliżał się w ich stronę więc Dayne znów się zaczął uśmiechać, nachylił się i pocałował czule Katy. - Czasami wydaje mi się, że ona nie zdaje sobie sprawy z tego, jak wygląda - szepnął.

Katy też przypomniała sobie o uśmiechu. Wyprostowała się i zerknęła, jak Randi podchodzi do ludzi kłębiących się przy drzwiach teatru i zaczyna przymilać się do aktora, który grał w filmie kowboja uczącego Katy jeździć konno. Mężczyzna ten próbował romansować z tyloma kobietami na planie, że zaczęto z tego żartować. - Tu cię mam - powiedziała Katy, uśmiechając się przez cały czas. Kiwnęła głową w stronę Randi i dodała: - On bardziej do niej pasuje.

Dayne zerknął przez ramię, zaśmiał się nieznacznie i przytulił Katy do siebie zdecydowanym ruchem, tak jak należało. Operator kamery zdążył bowiem już podejść do nich na odległość kilku metrów. Dayne uśmiechnął się w jego stronę, a potem poprowadził Katy w głąb holu. - Kiedy wejdziemy na salę, będziemy wolni - stwierdził. - Dziś wieczorem kamery mają zakaz pojawienia się tam.

Minęło kolejne pół godziny uciążliwej pogawędki. Podszedł po nich Stephen Petrel i znów próbował pocałować Katy na powitanie. Tym razem, nauczona przez Dayne'a, w ostatniej chwili lekko przekreśliła głowę i jego usta dotknęły jej policzka.

Reżyser nie dał po sobie poznać, że coś niestosownego mogłoby się pojawić w jego zachowaniu, czego Katy chciała uniknąć. Poklepał Dayne'a po ramieniu. - Wy dwoje świetnie się trzymacie. To miasto potrzebuje znacznie więcej tego, co wy już znaleźliście - powiedział z poważną miną i kiwnął głową w stronę Katy. - Nie pozwólcie sobie tego odebrać - dodał z pasją w głosie.

Porozmawiali jeszcze kilka minut o filmie „Nigdy więcej” i harmonogramie Katy i Stephena w Londynie. - Nie musisz się o nią bać,

Dayne - stwierdził reżyser. - To dobra dziewczyna. Nie ma takiego faceta, który mógłby zawrócić jej w głowie. Nie patrz na to, co piszą tabloidy.

Podczas całej rozmowy Dayne stał tuż przy Katy, nie więcej niż kilka centymetrów od żony. Nieustannie przyciągał ją do siebie, aby przytulić albo pocałować. Katy szybko zrozumiała jego zachowanie. Przyciągał ją do siebie szczególnie blisko, gdy przechodził obok nich ktoś, kto mógłby z nimi zacząć rozmowę, co kamery potrafiłyby wykorzystać do zasiania wątpliwości, ukazując taką osobę w dwuznaczny sposób, sugerując jej zainteresowanie Katy albo Dayne'em.

To wszystko było bardzo wyczerpujące i kiedy drzwi teatru zostały otwarte, Katy poczuła się tak, jakby za swoją grę zasłużyła na Oscara. Wydało się jej to bardzo dziwne, ponieważ uśmiechania się do Dayne'a i dotykania go nigdy nie musiała udawać. Kochanie Dayne'a było dla niej tak naturalne, jak oddychanie. Siedziała już w zaciemnionej sali teatru, gdy uderzyła ją pewna myśl. Może małżeństwa gwiazd zaczynały się psuć właśnie w ten sposób. Na początku mogło być wspaniale, lecz z biegiem czasu wysiłek wkładany w udowadnianie światu tej wspaniałości powodował, że miłość stawała się grą.

Zamknęła oczy i przechyliła się w stronę Dayne'a. Nigdy, Panie- modliła się. Nigdy nie pozwól, aby to, co łączy mnie i Dayne'a, stało się czymś udawanym, czymś na niby, aby stało się jedynie grą.

Kiedy jeszcze jako samotna dziewczyna mieszkała w Bloomington i pracowała w teatrze albo przebywała w mieszkaniu nad garażem w domu Flaniganów, często prawie natychmiast słyszała odpowiedź Boga na modlitwę, która nagle rodziła się w jej sercu, na modlitwę taką jak ta.

Lecz dziś wieczorem, gdy skierowała swoje słowa do Pana, ogarnęło ją tylko jedno przeczucie. Było to jakby zaniepokojenie, pewna niecierpliwość. Poczula, jakby Bóg chciał powiedzieć jej i Dayne'owi, że mogą radzić sobie z zasadzkami Hollywood przez jakiś określony czas, ale nie przetrwają ze sobą razem, pozostając tu na zawsze.

A ich przyszłość zależeć będzie od tego, czy w porę zdążą opuścić to miejsce.

Randi Wells weszła do łazienki i odetchnęła. Tak długo obracała się w tym świecie, że zapomniała już, co to znaczyło być sobą. Jedno było pewne - dziś wieczorem oczy wszystkich skierowane były na nią i na Dayne'a. W dodatku grali razem w jego kolejnym filmie - historii miłosnej rozgrywającej się na odludnej meksykańskiej plaży. Chyba nic nie mogło być bardziej kuszącego.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Podskoczyła i zawołała: - Zajęte!

- Ach, przepraszam - powiedział jakiś kobiecy głos, a potem słychać było odgłos oddalających się korytarzem kroków.

Randi spojrzała na swoje odbicie w lustrze. Kolorowe magazyny licytowały się wzajemnie, rozpisując się o tym, jak wspaniale ostatnio wyglądała i jak bardzo żona Dayne'a powinna się obawiać wspólnego pobytu Randi i Dayne'a w Meksyku. Poprawiła włosy i uśmiechnęła się do siebie. Jeszcze trzy miesiące temu tabloidy krytykowały ją za pięciokilogramową nadwagę. Odwróciła się bokiem do lustra i podziwiała swoją figurę. Teraz naprawdę nie mają czego krytykować- pomyślała.

Chciała już wyjść z łazienki, gdy odezwał się w torebce jej telefon komórkowy. Zaklęła pod nosem, lecz kiedy spojrzała na wyświetlacz, irytacja natychmiast minęła.

Telefonowała jej matka.

Randi urodziła się i wychowała w Vancouver w Kanadzie. Tuż po skończeniu dwudziestu lat nakręciła swój pierwszy film, zmieniła nazwisko i szybko uzyskała obywatelstwo Stanów Zjednoczonych. Lecz jej rodzice pozostali w Vancouver i wciąż byli wierni tym wszystkim wartościom, które zawsze dla nich się liczyły - rodzinie, społeczności lokalnej i własnej wierze. Randi nie miała złudzeń co do rozczarowania, jakie matka przeżywała z jej powodu. Podczas tych rzadkich rozmów, jakie prowadziły ze sobą, stale przypominała jej, że decyzje wiązania się Randi z różnymi mężczyznami nie podobają się Bogu.

- Słyszałam o tobie. Prowadzisz niemoralne życie - powiedziała jej raz matka. - Przynosisz wstyd naszej rodzinie - oburzała się. Potem jednak westchnęła i dodała: - Modlimy się za ciebie, żebyś powróciła do zdrowych zmysłów.

Odkąd Randi nakręciła swój pierwszy film, jej rozmowy z matką przebiegały w mniej więcej podobny sposób i były przejawem warunkowej miłości, nierealistycznych oczekiwań i niepokoju przede wszystkim o to, jak sposób życia Randi może zaszkodzić jej matce; tak naprawdę nie słychać w nich było troski o to, czy może po prostu Randi potrzebowała pomocy. Jej matka z pewnością chciała dobrze, lecz Randi nigdy nie czuła jej bliskości.

Relacja z ojcem wyglądała zupełnie inaczej. Louie Geer był właścicielem biura podróży i często oprowadzał grupy turystów, opowiadając im o Vancouver i jego atrakcjach. Robił to z takim zaangażowaniem i poczuciem humoru, że często ludzie wracali do niego, prosząc o możliwość dłuższego

zwiedzania. Dobiegał już sześćdziesiątki, gdy niespodziewanie zmarł na raka, lecz zanim jeszcze zachorował, nie przejmował się zbytnio zapewnieniem sobie dostatniej emerytury. Połowę zarobionych pieniędzy przekazywał na cele dobroczynne i prowadził sposób życia zgodny z wyznawaną wiarą.

Na wspomnienie o ojcu Randi poczuła w oczach znajome ukłucia łez. Jeszcze kiedy była małą dziewczynką, jej ojciec uwielbiał oglądać amatorskie przedstawienia wystawiane na szkolnej scenie, w których brała udział Randi, albo jej popisy aktorskie w domu. - Pewnego dnia - powiedział jej - wystąpisz na scenie tak wielkiej, że wszyscy dowiedzą się, że jesteś gwiazdą!

Wierzył w nią, kiedy była młoda i naiwna, a kiedy odniosła ogromny, światowy sukces, nigdy jej nie krytykował. - Kochamy cię - mówił jej, kiedy rozmawiali ze sobą telefonicznie. - Pamiętaj, kochanie, że jestem tutaj, gdybyś czegoś potrzebowała - ofiarowywał swoją pomoc, nie narzucając się. A kiedy rozmowy ocierały się o wiarę, w której wyrastała, jedynie delikatnie jej przypominał: - Bóg ma dla ciebie plan, Randi. Pamiętaj o tym.

A gdy przychodziły chwile, że media były wobec niej szczególnie bezwzględne albo kiedy jej mąż opuścił ją i ich dwie małe córeczki, Randi musiała walczyć ze sobą, aby nie wrócić do domu i nie paść w ramiona ojca. Zwłaszcza że stawał się coraz bardziej chory. A teraz, gdy matka żyła samotnie, Randi czuła ciężar tego, że jej nie odwiedza - bez względu na napięcie, jakie utrzymywało się między nimi. Jej ojciec nie chciał, aby straciły ze sobą kontakt.

Kiedy rozmawiały ze sobą przed tygodniem, powiedziała do swojej matki: - Kiedy skończę zdjęcia w Meksyku, to przylecę cię odwiedzić.

- To byłoby miłe, kochanie - odparła matka tonem jak zwykle łączącym w sobie dezaprobatę i poczucie krzywdy.

Telefon zadzwieczał jeszcze raz i Randi skutecznie powstrzymała się przed odebraniem połączenia. Ojciec tak bardzo ją kochał, bez względu na to, co robiła i jak bardzo oddaliła się od wychowania otrzymanego w domu rodzinnym. Lecz matka z pewnością stłumiłaby ten entuzjazm, który odczuwała w sobie dzisiaj wieczoru. Czytała tabloidy i nieraz ostrzegała Randi, by trzymała się z daleka od Dayne'a Matthews'a. - On jest żonatym mężczyzną, Randi - powiedziała pod koniec ich ostatniej rozmowy telefonicznej. - Uszanuj to.

Jak mogła jej Randi wytłumaczyć, że w Hollywood nikt nie był tak naprawdę związany na całe życie z drugą osobą? Że związki małżeńskie w Hollywood nie przypominały tych z rzeczywistego świata.

Randi przełknęła ślinę, próbując poradzić sobie z uciskiem, jaki czuła w gardle, i z powrotem wsunęła telefon do torebki. Zapięła zatrzask i po raz ostatni spojrzała w lustro. Przepraszam, mammo... - pomyślała. - Zadzwoń do ciebie później, obiecuję. Te myśli uspokoiły ją, gdy starała się w nie uwierzyć. Teraz miała ważniejsze rzeczy na głowie niż podróż do Kanady.

Już zdecydowanie zbyt długo podziwiała Dayne'a z boku. Katy Hart była prostą dziewczyną z małego miasteczka. Nie pasowała do najprzystojniejszego mężczyzny Hollywood. Jeśli Dayne jeszcze tego nie zauważył, to wkrótce sam na to wpadnie. Katy była miłą dziewczyną, lecz Dayne popełnił błąd, żeniąc się z nią. Randi zawsze stanowiła dla niego odpowiednią partię, zawsze była dla niego bratnią duszą. Co z tego, że po wypadku Dayne'a prawie zaprzyjaźniła się z Katy? Prawda była taka, że to Randi powinna była pomagać mu podczas jego fizjoterapii. Znała przecież Dayne'a dłużej niż Katy, lepiej też rozumiała naciski środowiska, w jakim oboje od tak dawna się obracali. Katy pojawiła się nie wiadomo skąd i znalazła się w miejscu, do którego tak naprawdę nie pasowała.

Randi znów się uśmiechnęła. Pewnego dnia ona i Dayne będą razem - wiedziała to ponad wszelką wątpliwość. Na początku Katy będzie miała złamane serce, ale po jakimś czasie przeprowadzi się z powrotem do tego swojego małego miasteczka w Indianie i pogodzi się ze swoim życiem. Wyjdzie za jakiegoś zwykłego faceta, tak jak powinna była zrobić od razu, i może nawet będzie szczęśliwa.

To Randi nie potrafiła żyć bez Dayne'a.

I teraz miała te dziesięć tygodni na meksykańskiej plaży właśnie po to, aby spowodować, by Dayne zaczął myśleć podobnie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Reagan usłyszała przenikliwy krzyk swojego syna, kiedy odkładała śpiącą Malin do łóżeczka. Ten wrzask powiedział jej, że stało się coś poważnego. - Tommy?! - jej ostry krzyk obudził Malin, lecz mimo to Reagan zostawiła córeczkę i pobiegła korytarzem w stronę wrzeszczącego syna.

Znajdował się na samym końcu przedpokoju, gdzie zaczynała się balustrada prowadząca do krętej klatki schodowej. Problem od razu został zdiagnozowany. Klęczący Tommy trzymał rękami dwa drewniane szczeble, między którymi tkwiła jego głowa. - Pomóż mi, mamó! Nie mogę się wydostać! Pomóż mi! - wołał przeraźliwie, próbując się oswobodzić, lecz szczeble nie puszczały, mimo że uderzał o nie mocno głową. Znow zaczął krzyczeć, tym razem wyjątkowo rozpaczliwym głosem: - Pomóż mi!

Reagan upadła na podłogę i położyła rękę na plecach Tommy'ego w okolicy krzyża. - Kochanie, przestań krzyczeć. Nic ci nie będzie, tylko już bądź cicho - próbowała go uspokoić. Lecz kiedy mówiła te słowa, czuła, jak ogarnia ją coraz większa panika. Wsadziła ręce pomiędzy szczeble i próbowała ostrożnie poruszyć głową chłopca raz w jedną, raz w drugą stronę, jakby chciała rozdzielić dwa kawałki trójwymiarowych puzzli. Okazało się jednak, że głowa jej synka zaklinowała się pomiędzy drewnianymi słupkami i że chłopiec został uwięziony.

Tommy zaś wył coraz głośniej. Po chwili usłyszała płacz Malin dolatujący z drugiej strony korytarza. - Boże Drogi, co ja mam teraz zrobić? - jęczała rozpaczliwym głosem.

- Zadzwoń po pomoc na dziewięćset jedenaście! - wrzeszczał Tommy, a jego słowa zdawały się mieć sens. - Powiedz im, że jestem uwięziony! - wołał. Po raz kolejny zawył desperacko i odetchnął szybko trzy razy, łapiąc zachłannie powietrze. Krzyczał tak głośno, że zaczynał się już zapowietrzać. A z pokoju po drugiej stronie holu coraz głośniej dolatywał płacz Malin.

- Tommy, uspokój się! - krzyknęła Reagan, nie mogąc dłużej znieść tego wrzasku. Wstała i zrobiła kilka kroków w stronę sypialni jej i Luke'a. - Zadzwońię po pomoc, tylko nie panikuj! - dodała. Z sercem w gardle przebiegła przez hol i wpadła do swojego pokoju. Chwyła telefon znajdujący się na stole obok jej łóżka. Wystukała numer 911, zanim minęła drzwi pokoju w drodze powrotnej do Tommy'ego.

- Dziewięćset jedenaście - powiedziała telefonistka.

- Co się zdarzyło?

Reagan tak się trzęsła, że ledwie mogła się skupić. Tommy znów krzyknął przeraźliwie.

- Mój syn - zaczęła, przekrzykując wrzask Tommy'ego.

- Jego głowa utkwiała pomiędzy drążkami barierki, barierki przy schodach - dodała.

- Czy może oddychać? - spytała szybko kobieta podniesionym głosem.

Reagan miała ochotę krzyknąć na tę kobietę. Oczywiście, że oddychał. Przecież darł się. Czy nie było tego słychać? Lecz zamiast tego zakryła wolną ręką drugie ucho i zaczęła głośno tłumaczyć: - Tak, oddycha, ale zaklinował się, to znaczy zaklinowała się jego głowa.

- Dobrze, proszę pani. Już ktoś do was jedzie. Proszę podać adres i zostać w pobliżu telefonu na wypadek, gdybyśmy potrzebowali jeszcze skontaktować się z panią.

Reagan podziękowała telefonistce i odłożyła słuchawkę.

Pomyślała, że coś takiego musiało oczywiście wydarzyć się właśnie dzisiaj, kiedy Lukę był w podróży służbowej do Nowego Jorku. Gdy mieszkali jeszcze na Manhattanie, miała przynajmniej swoją matkę do pomocy przy dzieciach. Lecz tutaj, w Indianie, gdy Lukę gdzieś wyjeżdżał, mogła liczyć tylko na siebie. Mieszkali na tyle blisko Baxterów, że mogli się spotykać w weekendy, w święta czy na urodzinach, ale zbyt daleko w takich chwilach jak teraz, aby mogła zadzwonić po pomoc do Kari albo do Ashley.

- Mamo, pomódl się! - sapał Tommy, usiłując co kilka sekund bezskutecznie wyciągnąć głowę spod szczepki i tylko niepotrzebnie uderzając się o nie. Z sypialni po drugiej stronie holu dolatywał wrzask Malin zanoszącej się od płaczu.

- Kochanie, nie rób tak, bo coś ci się stanie! - powiedziała błagalnym tonem Reagan i znów upadła na kolana. Pogłaskała Tommy'ego po plecach i chwyciła ręką jego głowę, aby nie mógł nią uderzać o szczepki. - Musisz się uspokoić! - tłumaczyła. Dopiero teraz dotarły do niej słowa jej syna. Co on powiedział? No tak, oczywiście! Nachyliła się bliżej chłopca. Powinni się pomodlić. - Jezu - zaczęła - błagam Cię, żebyś był tutaj z nami, żeby Tommy poczuł Twoją obecność. Pomóż mu się uspokoić, bo pomoc już jest w drodze.

Prawie jak natychmiastowa odpowiedź przyszedł jej do głowy pewien pomysł. - Wiem! - zawołała. Zbliżyła twarz do twarzy chłopca, na ile się dało i powiedziała: - Udawaj, że jesteś małym dinozaurem.

Tommy zawył raz jeszcze, a potem spytał zasapanym głosem: - Po... po co?

- Bo... - Reagan próbowała skupić myśli - bo jesteś małym dinozaurem i wpadłeś w pułapkę. I... i poluje na ciebie tyranozaurus, i już jest blisko.

Płacz chłopca zamienił się w ciche pojękiwanie.

Pomóż mi, Boże... proszę - pomodliła się, a potem skoncentrowała się jeszcze bardziej i ciągnęła: -1 jeśli cię usłyszy, przybiegnie tutaj i złapie nas. Musisz przestać płakać. - Na koniec zniżyła głos i spytała szeptem: - Dobrze, Tommy?

- Ja... ja nie jestem żaden Tommy - wyszeptał w odpowiedzi chłopiec i spojrzał na nią lekko obruszony, tak jakby naprawdę go z kimś pomyliła. - Jestem mały Ben, bronto-zaur, nie widzisz?

- Och, przepraszam, no pewnie, że jesteś brontozaurem - odparła cicho i odwróciła się w stronę holu, skąd przez cały czas dolatywał przeraźliwy płacz Malin. - Wiesz co, Ben?

- Co? - sapnął cichutko Tommy. Podjął bez wahania zabawę i teraz wiedział, z jakiego powodu należy mówić szeptem.

- Mali jest trochę za głośno i tyranozaurus może ją usłyszeć - powiedziała i przełknęła ślinę. - Więc pójdę do niej cichutko i uspokoję ją, a wtedy wszyscy będziemy bezpieczni.

- Zaczekaj! - rzucił tym razem głośniejszym głosem, jakby znów zaczęła ogarniać go panika. - Jak uwalniają się małe dinozaury?

- Przychodzą im z pomocą specjalne dinozaury-ratownicy - odparła i wyjrzała przez okno, lecz nie było jeszcze widać ekipy ratunkowej. - I one są już w drodze, Tommy - dodała.

- Ben! - poprawił ją chłopiec.

- Ach tak, przepraszam. One są już w drodze, Ben. Chłopiec dotknął palcem do ust i szepnął: - Powiedz

Malin, żeby była cicho.

- Dobrze - podchwyciła Reagan. - Tylko pamiętaj, żebyś się nie rzucał - dodała, poderwała się i pobiegła do Malin. Gdy po chwili zobaczyła małą, jej córeczka miała twarz czerwoną jak burak, ciekący nos i opuchnięte od płaczu oczy. - Mamusia już tutaj jest, kochanie. Przepraszam - próbowała ją uspokoić Reagan. Podniosła Malin z łóżeczka i mocno przytuliła do siebie. - Wszystko jest już dobrze.

Lecz Malin nigdy nie uspokajała się szybko i kiedy rozległo się pukanie do drzwi, wciąż płakała w ramionach matki. Reagan zbiegła po schodach na dół

i otworzyła drzwi. Ekipa ratunkowa weszła do środka i Reagan wskazała mężczyznom miejsce na górze, gdzie na pierwszym piętrze między szczeblami barierki przy schodach utkwiała głowa Tommy'ego. - On nie może się wydostać - rzuciła.

- Jestem małym dinozaurem! - krzyknął z góry Tommy. - Uważajcie na tyranozaurusa!

Uwalnianie chłopca zajęło jedynie kilka minut. Przepiłowano ostrożnie jeden ze szczebli barierki i usunięto go z balustrady.

Przez cały ten czas Tommy zabawiał mężczyzn opowiadaniem o małym dinozaurze. - Jestem małym brontozaurem - tłumaczył. - Musimy być cicho, bo tyranozaurus jest blisko.

Po tych słowach jeden z mężczyzn spojrzał porozumiewawczo na Reagan i oboje uśmiechnęli się do siebie. Był dobrze zbudowany i wyglądał na młodszego od pozostałych członków ekipy; mógł mieć około dwudziestu pięciu lat. Reagan zauważyła, że nie nosił obrączki, lecz gdy po chwili dotarło do niej, iż zwróciła na to uwagę, zbesztła samą siebie za to zachowanie.

- Niezła wyobraźnia - pochwalił Tommy'ego młody mężczyzna, patrząc błyszczącymi oczyma na Reagan.

- Mam nadzieję, że pewnego dnia sam będę miał takiego syna.

Reagan przez cały czas trzymała Malin na biodrze. - Powodzenia - zażartowała, uśmiechnęła się ponownie i strzepnęła sobie grzywkę z czoła.

W tej samej chwili dwaj pozostali mężczyźni oswobodzili głowę Tommy'ego. - No dobrze, Ben - powiedział jeden z nich. - A teraz wstań powoli i ostrożnie.

Tommy zrobił, co mu kazano, a kiedy wyprostował się całkowicie, potarł rękami głowę po obu stronach i spojrzał na Reagan. - Przepraszam, mamie - powiedział. - Już więcej nie będę tego robił.

Reagan oparła się o ścianę wyczerpana. - Dlaczego to zrobiłeś? - spytała. Potem spojrzała jeszcze raz na młodego mężczyznę i wyjaśniła: - Mieszkamy tu od roku i nigdy jeszcze nie przydarzyło mu się coś podobnego.

- Byłem lwem! - zawołał Tommy w odpowiedzi, kucnął i wysunął przed siebie obie ręce, zginając palce, aby wyglądały jak groźne pazury. - Byłem w zoo i ktoś próbował mnie pogłaskać, więc skoczyłem, żeby go złapać.

Młody mężczyzna zagwizdał cicho z uznaniem.

- Tak - Reagan zaśmiała się nieznacznie. - Witajcie w moim świecie - żartowała.

Dwóch pozostałych członków ekipy ratunkowej podniosło drewniane kawałki, które pozostały ze szczebla z balustrady, i za pomocą długiego kawałka liny owijało najbliższe szczeble, przewijając linę między nimi w taki sposób, aby wypełnić nią w kilku miejscach szeroki odstęp, jaki powstał między sąsiadującymi ze sobą szczeblami. - Nie chcielibyśmy przyjeżdżać tu po raz drugi - powiedział żartobliwie jeden z nich.

Kiedy ci dwaj mężczyźni pracowali przy poręczy, trzeci z nich położył rękę na ramieniu Tommy'ego i zniżył się do poziomu chłopca. - Czy twoja głowa ma się dobrze? - spytał.

- Tak - odparł Tommy i znów pogładził się po potylicy. - Dinozaury czasami wpadają w pułapki - wyjaśnił. Potem spojrzął na młodego mężczyznę i powiedział ożywionym głosem: - Hej, chodź zobaczyć mój pokój! Tam jest milion, trylion dinozaurów! - Chwycił go za rękę i dokąś poprowadził.

Reagan poszła za nimi, w połowie holu stawiając Malin na podłodze, aby mogły iść ze sobą za rękę. Teraz jej córka zachowywała się spokojnie, zbyt pochłonięta zamieszaniem wokół brata, aby pamiętać o swoim płaczu sprzed zaledwie kilku minut.

Gdy weszli do pokoju Tommy'ego, chłopiec, wyrzucając z siebie potok słów, przez kilka minut oprowadzał nieznanego po swoich kątach i opowiadał o każdym dinozaurze tam zamieszkującym. Potem chwycił Malin za rękę i powiedział: - Chodź, Mali! Poszukamy twojej gry w małego dinozaura.

Dzieci pospiesznie ruszyły do drzwi. Malin podreptała niepewnym krokiem za bratem, najszybciej jak potrafiła, zostawiając mamę samą z młodym mężczyzną. Reagan poczuła się niezręcznie, lecz zanim zdążyła przemyśleć sytuację, w jakiej się znalazła, chłopak wyciągnął do niej rękę. - Jestem Erie - przedstawił się. - Od trzech lat pracuję w tym fachu i jeszcze nie spotkałem czegoś podobnego.

Reagan uściśnęła mu rękę i poczuła, że czerwienią się jej policzki. Puściła więc natychmiast jego dłoń i cofnęła się. Erie miał blond włosy i zielone oczy i wyglądał jak z kalendarza przedstawiającego mężczyzn w mundurach. Odsunęła od siebie tę myśl i spuściła wzrok na podłogę. - Jeśli Tommy dalej będzie się tak zachowywał, to pewnie znów się tu kiedyś spotkamy - żartowała i ponownie spojrzała w oczy przybyszowi.

I w tym momencie dostrzegła w nich wyraźny i nie pozostawiający żadnych wątpliwości przejaw zainteresowania. Każda kobieta potrafiłaby rozpoznać i zapamiętać takie spojrzenie, nawet po upływie wielu miesięcy. Kiedyś Lukę też patrzył na nią w ten sposób.

Erie spojrzał dyskretnie na rękę Reagan. - Ty i... twój mąż musicie się nieźle nabiegać za tym malcem - stwierdził, a jego spojrzenie powiedziało Reagan, że starał się zachowywać z wyczuciem.

Znów odpowiedziała niemal bez zastanowienia: - Mój mąż jest w delegacji, ale tak - uśmiechnęła się - Tommy z pewnością nie pozwala nam leniuchować.

- W takim razie - powiedział Erie, jeszcze raz uściskawszy jej dłoń, lecz patrząc w jej oczy jakby trochę za długo - może jeszcze kiedyś się zobaczymy.

Reagan poczuła, jak przyspiesza jej tętno, chyba nawet bardziej niż wówczas, gdy Tommy był uwięziony, tylko że teraz to ona znajdowała się w tarapatkach. - Może kiedyś - odparła.

Zanim zdążyła pomyśleć o tym, co ona właściwie odpowiedziała, Erie uśmiechnął się do niej. - Cieszę się, że mogliśmy pomóc - rzekł. Kiwnął do niej głową, odwrócił się i ruszył przez hol w stronę schodów.

Reagan poszła za nim i dopiero wówczas Tommy i Malin wybiegli z powrotem na hol. Tommy trzymał wysoko ponad głową grę Malin, a jego mała siostrzyczka dreptała za nim z wyciągniętymi do góry rączkami i piszczała na niego:

- Moja! Moja!

Strażacy spojrzeli na dzieci, a Erie zaśmiał się: - Nie będziemy wam przeszkadzać.

Reagan stanęła na drodze nadchodzącym w jej stronę dzieciom i zabrała grę z rąk Tommy'ego, lecz przez cały czas patrzyła na Erica. - Dzięki... naprawdę - powiedziała.

Mężczyźni wyszli i całe zajście było zakończone, tak jakby nic się nie wydarzyło - przynajmniej tak pomyślała sobie Reagan, próbując dojść do siebie. Oddała grę w rączki Malin i sprowadziła dzieci po schodach na dół. - Czas na film - obwieściła. Dzieci były zbyt pobudzone, aby od razu się uspokoić.

Lecz gdy po chwili włączyła im film z odtwarzacza DVD, usiadły przed telewizorem wpatrzone w ekran. Reagan wyszła do sąsiedniego pokoju i spojrzała przez okno. Wóz strażacki właśnie odjeżdżał. Erie siedział przy

oknie od jej strony i może to tylko była jej wyobraźnia, ale zdawało się jej, że zobaczyła, jak jeszcze raz odwrócił się i spojrzął na jej dom.

Powoli usiadła na sofie. Wciąż była lekko odwrócona w stronę okna, obserwując oddalający się samochód. Dopiero gdy wóz strażacki zniknął z zasięgu jej wzroku, chwyciła rękami obicie sofy, zaciskając pięści, i zamknęła oczy. Co ona właściwie robiła? Czyżby naprawdę flirtowała z przystojnym nieznajomym? Czy ona rzeczywiście robiła słodkie oczy do tego młodego mężczyzny, który przyjechał do jej domu, aby ratować jej syna? Przez wszystkie lata małżeństwa nawet w najtrudniejszych chwilach nie pozwoliła na to, aby jakiś obcy mężczyzna zawrócił jej w głowie; nigdy to się nie stało aż do tej chwili.

Puściła obicie sofy i położyła ręce na kolanach. Co się ze mną dzieje? - pomyślała i to pytanie napełniło jej duszę przerażeniem, ponieważ odpowiedź na nie była aż nadto oczywista. Ostatnio Lukę wyjeżdżał służbowo częściej niż kiedyś, czego w ogóle nie wzięli pod uwagę, przeprowadzając się do Indiany. Co prawda Lukę mógł prowadzić sprawy Dayne'a z biura w Indianapolis, lecz musiał spotykać się z kierownictwem w Nowym Jorku przynajmniej raz na miesiąc.

Ale to nie było wszystko. Praktycznie od chwili, kiedy się tutaj przeprowadzili, Lukę stawał się coraz bardziej odległy, coraz bardziej oddalał się od niej i dzieci. Oczywiście mieli też dobre chwile. Po tym, jak zmarła córeczka Ashley i Landon, Reagan poznała delikatniejszą stronę Luke'a - czułość, na którą wciąż czekała. Był też jakiś odmieniony, gdy kiedyś przez godzinę wspominali jego matkę albo kiedy rozmawiali o dziesięciu zasadach szczęśliwego małżeństwa, które zostawiła swoim dzieciom mama Luke'a.

Reagan splotła dłonie i spojrzała na podłogę. Nie mogła sobie przypomnieć, od jak dawna nie czytali już rad jego matki, lecz kiedy ostatnio wspomniała o nich, sugerując, że mogliby do nich wrócić, Lukę odrzucił ten pomysł. - Znam te sekrety - powiedział wówczas zmęczonym głosem, jakby sama próba przypomnienia sobie chwil radości, jakich razem doświadczyli, napawała go niechęcią. - Znać je, a żyć według nich to dwie różne sprawy - odpowiedziała mu wtedy Reagan.

Dziwne było to, że żadne z nich nie potrafiło nazwać tego, co czuli do siebie. Lukę wydawał się znudzony i jakby wcale nią niezainteresowany, a ona przez cały czas stawała się coraz bardziej samotna. Czowała się samotna i

choć wiedziała, że nie powinna tak myśleć, to dzisiejsze spotkanie z Erikiem zdawało się być najważniejszym wydarzeniem tego tygodnia.

Zwiesiła głowę i zasłoniła oczy. Przepraszam... - modliła się. Chcę coś takiego czuć tylko do Luke'a, Panie. Uchronń nas przed tym, do czego zmierza nasz związek... proszę.

Kiedy uświadomiła sobie, że w jej sercu pojawiły się niespodziewanie tak silne uczucia do obcego mężczyzny, przestraszyła się, zerwała się z sofy i pobiegła do najbliższego telefonu. Małżeństwo było czymś świętym i jak napisała matka Luke'a w swoim liście, wymagało pracy. Reagan wróciła na sofę, a jej palce niemal automatycznie wybrały odpowiedni numer. Nie miało znaczenia, czy Lukę ma teraz jakieś spotkanie zawodowe, czy je obiad.

Jak najszybciej musiała teraz porozmawiać ze swoim mężem, zanim wydarzy się coś złego.

Lukę przeszedł na drugą stronę ulicy na skrzyżowaniu Broadway i 47 Ulicy i szedł dalej w stronę 52 Ulicy do teatru August Wilson Theater. Tempo życia, którego doświadczał w tej chwili wokół siebie, było dla niego niezwykle emocjonujące i pociągające zarazem. Nawet nie przypuszczał, że aż tak bardzo mógł stęsknić się za Nowym Jorkiem.

- Daleko jeszcze? - spytała Sandy, młoda kobieta idąca obok Luke'a, uśmiechając się do niego.

- Już nie - odparł Luke i odwzajemnił jej uśmiech. - Poza tym spacer dobrze nam zrobi.

- Zaraz, zaraz - zaprotestował rozdrażnionym głosem idący po drugiej stronie Luke'a, dobiegający czterdziestki James van Kelp III, jeden z najlepszych adwokatów firmy. - Przecież ty to powtarzasz przez cały czas, Luke - powiedział, próbując dotrzymać kroku Luke'owi i Sandy. - Nie zależy mi na dobrej formie! Mówiłem, żebyśmy wzięli taksówkę.

- No przestań - Luke puścił do niego oko, a potem wymienił się spojrzeniami z Sandy. - Firma zachęca nas, abyśmy trochę poćwiczyli. Ostatnio dostałem kilka e-maili na ten temat.

- Dobra, dobra - nienaturalnie naburmuszył się James i potarł się po brwi. - Jeszcze pięć przecznic, tak?

Dziś wieczorem szli na przedstawienie „Chłopcy z Jersey” oparte na muzyce popularnego w latach sześćdziesiątych zespołu „Cztery Pory Roku”. Pomysł wybrania się na musical wyszedł od Jamesa, lecz tylko Luke i Sandy zdecydowali się mu towarzyszyć, kupując bilety w ostatniej chwili. A teraz

mieli bilety w trzecim rzędzie i jedynie dwadzieścia minut do rozpoczęcia przedstawienia.

Podczas szybkiego marszu Luke poczuł, jak kilka razy jego łokieć otarł się niechcący o rękę dziewczyny idącej obok niego. Pomyślał, że powinien się zaniepokoić przyjemnymi odczuciami, które wywołał w nim ten dotyk, lecz z drugiej strony nie robił przecież nic złego. Sandy była nową asystentką w ich biurze i podczas kilku ostatnich podróży służbowych Luke'a do Nowego Jorku oboje zdążyli się już ze sobą zaprzyjaźnić. Uważała, że Lukę wyglądał jak Dayne Matthews, a on z kolei dobrze się czuł w jej towarzystwie. Była to oczywiście nieszkodliwa relacja, na którą by sobie nie pozwolił, gdyby mieszkał na stałe w Nowym Jorku. Sandy nie była mężatką, ale wiedziała, że on miał żonę. Lukę uważał, że jeśli przebywali razem w grupie, jak choćby dzisiejszego wieczoru, nie było powodu do niepokoju.

- Czy któreś z was ma jakąś ulubioną piosenkę „Czterech Pór Roku”? - spytał James, któremu jak zwykle nie zamykały się usta.

Lukę uśmiechnął się do Sandy i odparł: - „Uwielbiały cię moje oczy”. Według mnie jest najlepsza.

- To dziwne - wtrąciła wesoło Sandy. - Moim zdaniem też.

- Nie znacie się! - zaprotestował James i machnął ręką na znak sprzeciwu.

- Bez wątpienia najlepsza jest „Sherry”. To jest ta o grudniu 1963 roku, kiedy...

James ciągle jeszcze mówił o piosence, gdy zadzwonił telefon Luke'a. Lukę wyciągnął aparat z kieszeni i zobaczył na wyświetlaczu, że telefonowała Reagan. Mógł ją zignorować, lecz z pewnością nie ułatwiłoby mu to potem wytłumaczenia, co robił dziś wieczorem. Podniósł telefon do ucha, przytrzymując go od tyłu palcem wskazującym, zwolnił krok i pozwolił innym się wyprzedzić. - Słucham? - odebrał połączenie.

Przez chwilę panowało milczenie, a potem usłyszał głos Reagan: - Lukę?

- Tak. Cześć, kochanie - odparł. Kilka metrów od niego jakiś taksówkarz nacisnął na klakson, a inny mu zawtórował. Lukę starał się osłaniać dłonią telefon. - Co słychać? - spytał.

- Nic dobrego - powiedziała ponownie jakimś niepewnym głosem. - Gdzie jesteś?

Nie miał niczego do ukrycia, nie robił przecież nic złego.

- Na Broadwayu. Idę z grupą znajomych z pracy na musical - wyjaśnił.

- Na musical? - zdziwiła się. Znów upłynęło kilka sekund, po których Reagan zaśmiała się całkowicie pozbawionym radości i jakby wymuszonym, sztucznym śmiechem.

- Idziesz na musical na Broadwayu?

- „Chłopcy z Jersey” ... pamiętasz? To ten musical o zespole „Cztery Pory Roku” - próbował mówić swobodnie. W tle usłyszał, jak Tommy krzyczał coś o jakiejś grze, a Malin przeraźliwie zapiszczała. - Co się dzieje? - spytał, starając się mówić łagodnym głosem.

Przez kilka sekund Lukę był pewien, że Reagan zamierzała go zrugać. Ona jednak zajęczała jakby resztką sił i powiedziała słabym głosem: - Nie bardzo... nie jestem w stanie zebrać myśli, odkąd wyszła od nas ekipa ratunkowa. Tommy wsadził głowę pomiędzy szczeble balustrady przy schodach i nie mógł jej wyciągnąć.

Lukę zwolnił krok i wolną ręką dotknął czoła. - Chyba sobie ze mnie żartujesz. Jak to się mogło stać? - rzucił bez zastanowienia i natychmiast pożałował swych słów, ponieważ uświadomił sobie, jak oskarżycielsko musiały zabrzmieć. - Miałem na myśli... - próbował się poprawić - to znaczy... nie chciałem powiedzieć, że to była twoja wina, ale... dlaczego on to zrobił?

- Myślał, że jest lwem - wyjaśniła Reagan tonem znacznie chłodniejszym niż jeszcze przed kilkoma sekundami.

- Nieważne, zadzwonię później. Idź i baw się dobrze na przedstawieniu.

Sandy odwróciła się w tej samej chwili, zbliżyła się do Luke'a i spytała: - Czy to ta przecznica, czy następna?

- Następna - szepnął i przycisnął palec do ust, dając w ten sposób do zrozumienia, że ma ważną rozmowę.

- Przepraszam - odparła bezgłośnie i znów dołączyła do Jamesa.

- Kto to był? - spytała Reagan zdezorientowana.

- Sandy, koleżanka z pracy. Idzie razem z nami - wyjaśnił pojednawczym głosem, starając się, aby jego słowa zabrzmiały jak najbardziej niewinnie. - James van Kelp wpadł na ten pomysł. Kilka osób kupiło bilety, a skoro nie wylatuję dzisiaj, to pomyślałem, że mogę się do nich przyłączyć.

- Wspaniale, Luke - Reagan podniosła głos, aby słyhać ją było pomimo krzyku Tommy'ego. - Muszę kończyć. Zadzwonię później.

Reagan odłożyła słuchawkę, zanim zdążył powiedzieć jej „do widzenia”, a pewne poczucie winy, które zrodziło się w nim podczas rozmowy z żoną, natychmiast zostało zastąpione przez gniew. Jakim prawem ona gniewała się

teraz na niego? Przecież wreszcie zaczął dobrze zarabiać. To tylko dzięki jego ciężkiej pracy ona mogła sobie pozwolić na siedzenie w domu i zajmowanie się dziećmi, i to w dodatku w jednym z najładniejszych domów w okolicy. To prawda, że od czasu do czasu musiał gdzieś służbowo wyjechać, ale czego ona właściwie oczekiwała? Czyżby tego, że powinien od razu po pracy wracać do swojego pokoju w hotelu?

Wyłączył telefon, wsunął go do kieszeni i przewrócił oczyma. Potem przyspieszył kroku i ponownie znalazł się pomiędzy Jamesem i Sandy.

- W domu wszystko w porządku? - spytała prostolinijnie koleżanka.

Choć w głosie Sandy nie słyhać było podtekstu, mimo to jej słowa zabolaly Luke'a. Zacisnął szczęki i patrzył prosto przed siebie. - Tak dobrze, jak to tylko możliwe - odparł sucho.

- Ale nie aż tak dobrze, żeby woleć to od zobaczenia na żywo musicalu na Broadwayu! - podchwycił James, klasnął kilka razy w dłonie, a potem zaczął śpiewać, najgłośniej jak potrafił: - Sherry, Sherry kochanie...

W każdym innym miejscu James napotkałby przynajmniej kilka pełnych dezaprobaty spojrzeń, ale nie w Nowym Jorku, a szczególnie nie na Broadwayu. Nikt spośród strumienia ludzi zmierzającego chodnikiem w przeciwną stronę nawet nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

James zaśmiał się. - Słyszycie to! - zawołał. - Powinienem być gwiazdą Broadwayu!

Musical był bardziej pikantny, niż Luke się tego spodziewał. Ludzie w jego wieku uważali zespół „Cztery Pory Roku” za grupę złożoną z grzecznych nastolatków, a ich niewinne utwory i sposób bycia na scenie za w pełni odpowiadające pokoleniu, które reprezentowali. A okazało się, że w przedstawieniu aż roilo się od ostrych słów i odniesień do swobody seksualnej i cudzołóstwa.

Utwór zatytułowany „Ach, co za noc” mówił o jednym przypadkowym kontakcie seksualnym, o którym członek zespołu nie chciał zapomnieć. Luke nie wiedział, czy to było spontaniczne zachowanie, czy też nie, ale pod koniec piosenki Sandy położyła łokieć na oparciu, dotykając jego łokcia. Choć po kilku sekundach odsunął swoją rękę, jeszcze przez dłuższy czas nie mógł skupić się na przedstawieniu.

Potem, gdy James i Sandy złapali taksówkę do śródmieścia, a Luke wrócił do hotelu, wciąż jeszcze rozmyślał o wieczorze spędzonym w towarzystwie swoich współpracowników. W przeszłości z pewnością żałowałyby wydanych pieniędzy na taki musical jak „Chłopcy z Jersey”. Niezwykle krytycznym

okiem spojrzalby na żonatego mężczyznę, który wybrał się na przedstawienie i siedział obok niezamężnej kobiety, nawet gdyby oboje znajdowali się w grupie. To pokazywało, jak bardzo zmieniło się jego myślenie.

I nie chodziło tu o to, na jak wiele sobie pozwalał. Po prostu można było zaobserwować, jak inną stał się osobą.

I kiedy wykonał telefon do recepcji z prośbą o obudzenie go o wczesnej porze i gdy kładł głowę na poduszce, nie odczuwał już żadnego poczucia winy, żalu lub choćby cienia niepokoju czy niezadowolenia. Oczywiście było to, że nie układało im się z Reagan najlepiej - dlatego tak dobrze bawił się dziś wieczorem. Lubił podróżować. Czas spędzony na wyjazdach pozwalał mu odpocząć od napięcia panującego w domu.

Przypomniawszy sobie o wcześniejszej rozmowie telefonicznej z Dayne'em i informacjach, które przekazał mu brat. Wynikało z nich, że za kilka tygodni harmonogram filmowy przewidywał dzień przestoju w zdjęciach z udziałem Dayne'a w Meksyku. Był to zbyt krótki czas, aby jego brat przyleciał do domu, więc należało go wykorzystać na załatwienie pewnych spraw formalnych związanych z inwestycjami Dayne'a. Menedżer Dayne'a spotykał się z nim w Meksyku i chciał, aby i Luke był tam obecny. A to oznaczało pobyt na plaży w Meksyku.

Luke nie mógł się już doczekać tego wylotu. Przynajmniej zawodowo wiodło mu się dobrze. Jedynie w życiu prywatnym wydawało się, że miał jakiś przedziwny talent do rozczarowywania ludzi. A może po prostu ci ludzie zbyt wiele od niego oczekiwali.

- Dlaczego nie możesz być taki jak twój ojciec? - zapytała go Reagan przed jego wylotem do Nowego Jorku. To pytanie go zdenerwowało i długo nie pozwalało mu zasnąć tamtej nocy. Czyli tego ona chce? - pomyślał. Aby był taki jak ojciec. Nikt nie był taki wspaniały jak wielki John Baxter, nawet sam Dayne Matthews nie potrafił mu dorównać. Dlatego ona nie mogła być szczęśliwa z Lukiem, takim jakim był, bez zasypywania go tysiącem oczekiwań nie do spełnienia.

On nigdy nie będzie taki jak jego ojciec. Już dawno porzucił taką możliwość. I nie tylko z powodu tego, co stało się pewnego chłodnego wrześniowego wieczoru, na dzień przed atakiem na World Trade Center, ale także ze względu na to, jak funkcjonował przez rok od tamtego wydarzenia. Będzie żył ze świadomością tej prawdy aż do dnia swojej śmierci.

Lukę westchnął. Tak czy owak będziemy musieli jakoś rozwiązać nasze małżeńskie problemy - pomyślał. Może przywiozę jej bukiet róż z kwiaciarni na lotnisku i jeszcze raz przypomnimy sobie o tym, że wychowywanie małych dzieci to szczególnie trudny czas dla każdego małżeństwa. Ten okres przecież w końcu minie, a potem znów odnajdziemy miłości radość, które gdzieś po drodze zostawiliśmy za sobą. A w międzyczasie nic się przecież nie stanie, jeśli pójdę na jakieś przedstawienie z przyjaciółmi, którzy dobrze się czują w moim towarzystwie.

Ziewnął i przekreślił się na bok. Przypomniała mu się Sandy, jej bez troski i niewymuszony sposób bycia i szczerzy uśmiech. Pomyślał jeszcze, że przyjemnie było spędzać czas w towarzystwie kogoś, kto nie żywił do niego urazy w taki sposób, jak robiła to Reagan.

Kiedy zasypiał, przyszło mu na myśl, że nie musiał przecież opowiadać Reagan o dzisiejszym wieczorze ani tym bardziej przeproszać za swoje zachowanie.

Bo niby dlaczego miałby to uczynić? Przecież nie zrobił nic złego.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nadszedł piątkowy wieczór, podczas którego miał być rozegrany trzeci mecz futbolu w tym sezonie, lecz dopiero pierwszy przez reprezentację szkoły Clear Creek High na własnym boisku. Podobnie jak większość jej znajomych, którzy także chodzili już do ostatniej klasy, Bailey Flanigan włożyła na ten wieczór biało-niebieskie rzeczy, aby dopingować swoją drużynę w ubraniu w szkolnych barwach. Choć mecz się jeszcze nie rozpoczął, na trybunach panowało już znaczne ożywienie, a w powietrzu czuć było ten specyficzny rodzaj podekscytowania przyprowadzający o zawroty głowy. Drużyna Clear Creek broniła bowiem mistrzostwa ligi, a dzisiejszy wieczór będzie z pewnością najtrudniejszym sprawdzianem w tym sezonie.

Na stadionie panowała typowa dla piątkowego meczu atmosfera - przez panujący wokół hałas i wpadający w ucho śpiew cheerleaderek przebijał się rytmicznie raz po raz charakterystyczny łomot talerzy orkiestry marszowej. Lecz pomimo udzielającego się wszystkim podekscytowania i świadomości, o jaką stawkę walczyła drużyna jej ojca, Bailey myślała tylko o jednym.

Cody Coleman powinien być tutaj z nimi.

Jeśli nie na boisku, jako jeden z najlepszych zawodników w historii szkoły, to przynajmniej powinien siedzieć na ławce obok niej i dopingować drużynę Clear Creek, a po skończonym meczu wrócić z nią do domu Flaniganów i obejrzeć późnym wieczorem jakiś film. Choć równie dobrze mógł stać wraz z jej ojcem na dole, tuż obok linii boiska, i robić wszystko, co w jego mocy, aby pomóc zawodnikom wygrać ten pojedynek.

Lecz z pewnością nie powinien spać w namiocie w Iraku, wyczerpany po kolejnym dniu pilnowania porządku na ulicach Bagdadu.

- Dobrze się czujesz? - spytał siedzący obok niej Connor, rozglądając się po trybunach za swoimi kolegami. Zawodnicy z jego nowej drużyny futbolu postanowili bowiem siedzieć razem na meczach rozgrywanych przez reprezentację szkoły. - Wyglądasz tak, jakbyś myślami była gdzie indziej.

- Bo jestem - odparła, próbując uśmiechnąć się na siłę.

- Tęsknię za Codym.

- Aha - Connor pokiwał powoli głową i spojrzał w stronę boiska.

Drużyna rozgrzewała się. Chłopcy uformowali trzy proste szeregi, pomiędzy którymi chodzili ich tata, Ryan Taylor i inni trenerzy, ubrani w dresy i czapeczki bejsbolowe, i wydawali zawodnikom ostatnie polecenia.

- Myślisz, że będziesz grał przez wszystkie cztery lata - spytała Bailey, próbując zmienić temat rozmowy.

Connor zmrużył oczy i przez chwilę milczał. Był przystojnym chłopakiem, miał po tacie ciemne włosy i szerokie ramiona, a po mamie niebieskie oczy. - Futbol jest fajny - powiedział w końcu, uśmiechając się do niej krzywo, ale jego oczy wciąż były zamyślane, może nawet bardziej niż poprzednio. - Ale to nie to samo, co Chrześcijański Teatr Młodzieżowy.

- Nie - przyznała Bailey, zerkając w stronę boiska. - Jutro mielibyśmy próbę, gdyby...

- Gdyby wszystko ułożyło się inaczej - dokończył za nią Connor.

- Tak - westchnęła i przypomniał się jej budynek teatru ogrodzony taśmą ostrzegawczą. W artykule opublikowanym w lokalnej gazecie napisano, że developer planował wyburzyć stary budynek. - Ciągłe nie mogę uwierzyć, że to wszystko mamy już za sobą - ciągnęła. - Przedstawienia i przesłuchania... próby, Katy... i nawet sam teatr - zaśmiała się smutno i jakby lekko ironicznie. - Czuję się tak, jakby to był jakiś zły sen.

- Tylko, że jak się budzimy, za każdym razem jest tak samo - podchwycił Connor, odetchnął głęboko i położył rękę na ramionach Bailey. - Może jak dorośniemy, powinniśmy go ponownie otworzyć.

- Może.

- Tylko... do tego czasu będzie już za późno, aby znów zwołać naszą grupę - zasmucił się Connor. - Kilku chłopaków rozmawiało w szatni o Leslie i Lisie, tych bliźniaczkach.

Bailey знаła ich historię. Te dziewczyny chodziły już do przedostatniej klasy i dopóki funkcjonował Chrześcijański Teatr Młodzieżowy, były bardzo mocno zaangażowane w jego prace. Lecz po rozwiązaniu teatru, nie mając co zrobić z wolnym czasem i nie potrafiąc się w nic konkretnego zaangażować, zmieniły się i zaczęły chodzić na różne prywatki. - Zaczęły bywać? - spytała Bailey i zrobiła skrzywioną minę, czekając na odpowiedź.

- Tak, prawie wszędzie. I oczywiście przymilają się do chłopaków - potwierdził Connor, zdjął rękę z jej ramion i znów rozejrzał się za kolegami. - W szatni wszyscy klną, nienawidzę tego - zmienił temat.

Bailey westchnęła. - Czy tata o tym wie? - spytała.

- Rozmawiałem z nim. Powiedział mi, że przeklinanie jest niedopuszczalne. Tata mówi, że to źle świadczy o prowadzących drużynę i że zamierza porozmawiać o tym z nowym trenerem.

- Hmm - mruknęła smutno Bailey i spojrzała na brata. - Nie jest to Chrześcijański Teatr Młodzieżowy.

- Nie - przyznał Connor. Potem wstał i wskazał na kilku chłopaków w rzędzie poniżej. - Tam są - powiedział i poklepał ją po plecach. - Do zobaczenia później - dodał.

- Do zobaczenia - odparła Bailey i kiedy jej brat odchodził, poczuła, jak ogarnia ją smutek. Chrześcijański Teatr Młodzieżowy związał ich ze sobą; dzięki niemu stali się najlepszymi przyjaciółmi. Dotychczas nie zauważyła tego tak wyraźnie, że oboje z Connorem nie spędzają ze sobą już tyle czasu, co poprzednio. Connor przebywał głównie w towarzystwie kolegów z drużyny, więc teraz już właściwie nie mieli wspólnej grupy znajomych. Kiedy każdego dnia wracał do domu z treningu, ona odrabiała lekcje w swoim pokoju.

W przeszłości, kiedy należeli do Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego, oboje spotykali się w jego albo w jej pokoju, słuchali utworów z przedstawienia, nad którym aktualnie pracowali, śmiali się z różnych zabawnych sytuacji, jakie wydarzyły się na ostatniej próbie, i zastanawiali się nad tym, czy zdążą przygotować spektakl do czasu premiery. Teraz te wszystkie czynności sprawiające im przecież tyle radości należały już do przeszłości. Wiedziała, że na zawsze pozostanie przyjaciółką Connora, lecz ze smutkiem uświadomiła sobie, iż nie będą już ze sobą tak zżyci jak wówczas, gdy niemal całe ich życie towarzyskie koncentrowało się na pracy nad przedstawieniem.

Ich bliska relacja była wyjątkowo dotkliwą stratą i nagle Bailey zatęskniła za Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym jak nigdy dotąd.

Dwie koleżanki podeszły do Bailey i zajęły miejsce, na którym wcześniej siedział Connor. Ich rozmowa była płytka i jakby sztuczna, pełna udawania. Mówiły o tym, kto chce się upić dziś wieczorem i które z koleżanek zamierzają poderwać chłopaków innych dziewczyn. Bailey siedziała obok nich, lecz prawie wcale się nie odzywała. Udawała, że była pochłonięta meczem, który ostatecznie wygrała drużyna Clear Creek.

Po meczu Connor pojechał na przyjęcie połączone z noclegiem zorganizowane przez jednego z kolegów z drużyny futbolu. Kiedy Bailey wróciła do domu, jej młodsi bracia z pasją oglądali film „Gwiezdne wojny”, a mama pracowała nad artykułem prasowym.

Gdy Bailey weszła, Jenny odsunęła do tyłu krzesło i przetarła oczy. - No i co? - uśmiechnęła się. - Wygraliśmy?

- No pewnie - odparła bez entuzjazmu w głosie i wsunęła dłonie do tylnych kieszeni dżinsów. - Możemy porozmawiać?

- Jasne - powiedziała Jenny, wstała i wsunęła krzesło. - Pisanie może poczekać.

- Dzięki - rzuciła Bailey i weszła do kuchni. - Zrobię kawy.

- Świetnie - ucieszyła się Jenny, a po chwili doleciały ją od strony sąsiedniego pokoju odgłosy strzelaniny. - Przyciszcie to trochę - rzuciła, zwracając się do chłopców.

- Tak, mam - zawołał Justin w imieniu „braci”, jak chłopcy lubili siebie nazywać. - Ale my nie chcemy słyszeć, jak rozmawiacie.

- Pójdziemy do jadalni - odparła zdecydowanym tonem ich matka i uśmiechnęła się. - Ale ścisze to - powtórzyła i zrobiła zabawną minę. - Mam wrażenie, jakby statek kosmiczny lądował na naszym dachu.

Wszyscy czterej chłopcy wybuchnęli śmiechem, a Justin wykonał polecenie matki.

Bailey i jej mama wzięły po kubku z kawą, poszły do jadalni i usiadły na krzesłach naprzeciwko siebie.

Jenny przechyliła lekko głowę i spojrzała na córkę pełnym współczucia wzrokiem. - Czy coś stało się podczas meczu? - spytała.

- Właściwie to nie - odparła Bailey, czując napływające do oczu łzy, lecz nawet nie wiedząc, dlaczego. - Tylko po prostu... wszystko jest jakoś tak inaczej - próbowała nazwać to, co czuła.

- Hmm - przytaknęła ze zrozumieniem jej mama i wypila łyk kawy. - Wydaje mi się, że wiem, o czym mówisz.

- Tak - Bailey odchyliła się do tyłu. - Chyba tęsknię za Codym. W ostatnim liście próbował to ukryć przede mną, ale wyczułam, że boi się tam być.

- Wszyscy się o niego boimy.

Bailey kiwnęła potakująco głową. Ucieszyła się, że mama nie zlekceważyła jej smutku. Choć wiara Bailey wcale nie słabła i choć codziennie nadal modliła się za Cody'ego, nie miała przecież gwarancji, że on bezpiecznie wróci do domu. W Iraku panowała wojna, więc niepokój o kogoś takiego jak Cody był czymś zrozumiałym. - I wydaje mi się, że jestem trochę zła na Katy - dodała.

- Dlaczego? - spytała jej mama lekko zdziwionym głosem. Bailey przyłożyła dłonie do stojącego przed nią kubka

z gorącą kawą. Jeszcze przed zakończeniem meczu ciepły dzień ustąpił miejsca zimniejszemu wieczorowi i Bailey wciąż odczuwała chłód w palcach po powrocie ze stadionu. Teraz spojrzała na matkę. - Nie musiała zgadzać się na kolejny film - powiedziała. - Mogła przecież zostać tutaj i znaleźć jakieś miejsce dla Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego. Gdyby tylko spróbowała o to się postarać, mogłoby się okazać, że aula Clear Creek jest odpowiednia dla teatru.

- Bethany chciała ją wynająć, ale po wizycie w administracji okazało się, że wszystko jest już zarezerwowane - oznajmiła jej mama pełnym współczucia głosem. - Chrześcijański Teatr Młodzieżowy jest twoim marzeniem, kochanie, a marzeniem Katy jest spróbować swoich sił w filmie.

- To nie jest tylko moje marzenie - zaprotestowała szybko Bailey. - To jest marzenie moje, Connora i przynajmniej stu naszych znajomych z teatru, którzy naprawdę potrzebują takiej chrześcijańskiej grupy.

- To prawda - potwierdziła mama, stawiając kubek na stole. - Ale czy to znaczy, że Katy nie mają prawa do swoich marzeń?

- Widziałas „Na serio” - rzuciła Bailey, gestykulując w powietrzu rękoma. - Katy wystawia na próbę swoje małżeństwo. Ryzykuje wszystko i zostawia nas. Po co? Żeby być sławną? - powiedziała głośno Bailey i nagle uświadomiła sobie, jakim tonem mówiła do matki. - Przepraszam, ale wcale mi się to nie podoba - dodała spokojniejszym głosem.

Przez chwilę siedziały w milczeniu, pociągając łyk za łykiem ze swoich kubków. Potem jej mama odetchnęła głęboko, głośno wypuszczając powietrze. - Czasami czuję coś podobnego - wyznała. - Ale wtedy modłę się za Katy i Dayne'a i mam takie przeczucie, takie silne przeczucie...

- Jakie przeczucie? - przerwała jej Bailey pytaniem.

- Że Bóg ciągle działa w życiu Katy - odparła, uśmiechając się ciepło. - I że historia Katy i Dayne'a jeszcze nie jest zakończona, że jeszcze coś zaskakującego wydarzy się w ich życiu.

Bailey opuściła ręce na kolana. - Tak, chyba nie myślałam o tym w ten sposób - przyznała.

- Rozumiem to - ciągnęła jej mama. - Ty i Connor tęsknicie za Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym - powiedziała, kładąc jedną rękę na stole. - Brakuje wam też tego, że nie możecie razem uczestniczyć w zajęciach teatru. Widziałam, jak to was zbliżyło do siebie.

- Właśnie - podchwyciła Bailey, biorąc mamę za rękę. - Tak jak powiedziałam, nic nie jest już takie samo.

Rozmawiały jeszcze przez kilka minut. Bailey opowiedziała mamie o rozmowie dziewczyn na trybunach, o planach niektórych jej koleżanek na dzisiejszą noc - picie alkoholu i innych, jeszcze gorszych sprawach. - Ale przynajmniej jedno jest pocieszające - kończyła Bailey, a jej oczy rozjaśniły się, kiedy to mówiła. - Drużyna futbolu nie pije już alkoholu. Tata naprawdę zmienił tych chłopaków.

- Ale nie udało mu się tego osiągnąć raz na zawsze. Co roku będzie musiał ponawiać taką akcję. Każda grupa chłopaków wymaga pracy - powiedziała Jenny, wstała i objęła Bailey jedną ręką. - Kocham cię, skarbie. Wiem, że choć może dziś tego nie widać, Bóg ma dla nas wszystkich Swój plan, nawet mimo tych wszystkich niepewności, których teraz doświadczamy.

Bailey oparła głowę na ramieniu matki. - Chciałabym tak myśleć - przyznała.

- On naprawdę ma dla nas plan, kochanie. Na tym zresztą polega życie, na przyjmowaniu tego, co Bóg dla nas przygotował - powiedziała i pocałowała Bailey w policzek. - Dla każdego z nas - dodała i kiwnęła głową w stronę pokoju telewizyjnego. - Idę trochę pooglądać „Gwiezdne wojny”. Ricky zajął mi miejsce obok siebie.

- Jasne - uśmiechnęła się Bailey i poszła z mamą do kuchni. - Dzięki za rozmowę.

- Zawsze - odpowiedziała uśmiechem Jenny i gdy dołączała do chłopców, spytała: - Mam nadzieję, że nie ominęło mnie najciekawsze?

Kiedy Bailey poszła do swojego pokoju, wciąż myślała o tym, co powiedziała jej mama - o przyjmowaniu tego, co Bóg przygotował dla każdego. Te słowa jakoś ją pocieszyły i pomyślała, że mogą stanowić dla niej oparcie w tym niepewnym czasie.

Lecz Bailey nosiła w sercu jeszcze inne zmartwienia, których dziś wieczorem nie wypowiedziała, a o których rozmowa musiała poczekać na inny dzień. Zastanawiała się bowiem nad tym, co ma zrobić po skończeniu szkoły średniej. Nie wiedziała jeszcze, czy powinna rozpocząć naukę na Uniwersytecie Indiany, czy też może wyjechać na studia do Nowego Jorku albo do Los Angeles, o czym czasami marzyli z Connorem. Za kilka miesięcy nadejdzie czas składania podań o przyjęcie na studia i Bailey wiele razy rozmawiała już o tym z rodzicami. Zawsze jednak dochodziła do tego samego wniosku, że decyzję podejmie później.

Ale teraz, kiedy zaczęła już naukę w ostatniej klasie, to „później” musiało niebawem nadejść.

Upadła na łóżko i sięgnęła po leżące pod nim pudełko z listami, które od chwili wyjazdu przysłał jej Cody. Jego słowa nigdy jeszcze nie były takie romantyczne. Nie składał obietnic i niczego się nie domagał. Lecz najwyraźniej zależało mu na niej. Widać to było w każdym z jego listów.

Na samym wierzchu leżał ostatni list od niego. Bailey wyciągnęła go z koperty. Cody opisywał w nim różne ćwiczenia, jakie musieli wykonywać, i cieszył się, że wreszcie skończyły się te trwające całymi dniami musztry.

Kilka dni temu przylecieliśmy do Bagdadu i od razu wszyscy zostaliśmy rozlokowani. W moim namiocie jest jeszcze dziewięciu innych chłopaków, a nasze łóżka stoją tuż obok siebie. Ale nie jest źle. Przynajmniej czujesz wokół siebie towarzystwo, kiedy nocami daje się we znaki samotność.

Bailey uśmiechnęła się na myśl o Codym w towarzystwie tylu innych mężczyzn. To musiało mu pewnie przypominać szatnię w Clear Creek - podobne zapachy, hałas i cichy śmiech. W namiocie pełnym młodych mężczyzn Bailey wyobraziła sobie to wszystko bardzo realistycznie. Jej wzrok padł na kolejne zdania znajdujące się na stronie.

Najgorsze jest to, że nie wiesz, co przyniesie jutro. To znaczy w domu też nikt tego nie wie. Ale tutaj śmierć jest jakby częścią życia. Boisz się, że każdy dzień może być twoim ostatnim. Choć z drugiej strony ta świadomość trzyma cię blisko Boga. Co do tego nie mam wątpliwości.

Poczuła lęk i serce zaczęło jej bić szybciej. Spojrzała na zdjęcie stojące na nocnym stoliku - to, na którym była z Codym, zrobione dzień przed jego wyjazdem. Trzymała je blisko, w widocznym miejscu, aby przypominało jej, że miała się za niego modlić. A może też po to, by przypominało jej o tym, jak cudownie się czuła w jego ramionach.

Boże, chroń go - modliła się. Tam daleko on potrzebuje Cię w każdej chwili.

Znów zaczęła czytać list.

Pewnie nie wrócę prędko, ale przygotuj dla mnie miejsce w domu. Nigdy nie wiadomo, a może wrócę wcześniej, niż myślę. Tak czy owak, módl się za mnie. Potrzebuję tego. A i jeszcze jedno... tęsknię za Tobą - to na wypadek, gdybym Ci o tym jeszcze nie napisał.

Czekam na Twój kolejny list.

Cody

Bailey zastanowiła się nad znaczeniem napisanych przez niego słów. Mógł wrócić wcześniej do domu, gdyby skończyła się wojna i gdyby prezydent wydał żołnierzom rozkaz powrotu do kraju. Pewnie o tym pisał - to miał na

myśli. Lecz kiedy jeszcze raz przeczytała jego słowa, poczuła w sobie coś dziwnego, coś prawie jak przecucie. Mógł także wrócić wcześniej do domu, gdyby został ranny albo gdyby...

Złożyła list i trzymała go dość długo. Cody'emu nic się nie stanie, ponieważ modliła się za niego i Bóg był przy nim. Nie wróci wcześniej do domu, jeśli nie wrócą do domu ci wszyscy, którzy są teraz wokół niego. Przez jakiś czas wstrzymywała oddech i teraz wypuściła powietrze, pochylając się ponad kolanami. A do tego czasu ona z pewnością podejmie decyzję w sprawie studiów, może nawet zdąży je już rozpocząć.

Cokolwiek się wydarzy, Cody pojawi się w domu we właściwym czasie - bezpiecznie powróci do Bloomington. Będzie pomagał jej ojcu prowadzić drużynę futbolu i zacznie studia na Uniwersytecie Indiany. Pewnego dnia naprawdę tak się stanie. Zsunęła się z materaca, włożyła z powrotem list do pudełka i odstawiła je na miejsce pod łóżko.

Poczuła się zmęczona. Przeszła przez swój pokój do przylegającej do niego łazienki i odkręciła kran z gorącą wodą. Przez chwilę przyglądała się swemu odbiciu w lustrze i zastanawiała nad tym, jak postrzegali ją ludzie. Czy była dla nich córką trenera Flanigana? Dziewczyną z teatru, która lubi śpiewać i tańczyć? A może chrześcijanką? Od ubiegłej wiosny nie była związana z żadnym chłopakiem, nie licząc Cody'ego. Ale on przecież tak naprawdę był jej przyjacielem, mimo że zanim wyjechał, zaczęli coś czuć do siebie.

Tim Reed dzwonił do niej poprzedniego wieczoru, kiedy kończyła w swoim pokoju pracę domową z matematyki. Choć był na pierwszym roku na Uniwersytecie Indiany i miał pełno zajęć, podobnie jak ona tęsknił za Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym. - Nie myślałem, że tak to będę przeżywał - wyznał jej. Jego głos miał w sobie taką głębię, jakiej nie słyszała u niego od dawna, chyba od czasu, kiedy regularnie przestali do siebie pisać SMS-y. - Powinienem prowadzić zajęcia zamiast Katy albo przynajmniej pomagać przy przygotowywaniu jesiennego przedstawienia. Zresztą, przecież wiesz, o czym mówię.

Rozmawiali o Katy i Daynie, o tym, jak trudno było im żyć, kiedy była na nich skupiona uwaga wszystkich, a także o swoich kolegach i koleżankach z Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego, którzy nie potrafili sobie poradzić bez wsparcia grupy złożonej z podobnie myślących rówieśników, jaką zgromadził teatr. Bliźniaczki nie były jedynymi osobami, które popadły w kłopoty. Ludzie mówili też o innych nastolatkach, którym udało się

wcześniej zagrać różne role w przedstawieniach Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego, a którzy zaczęli brać narkotyki i chodzić na różne imprezy.

- Spójrzmy prawdzie w oczy: potrzebujemy Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego - powiedziała w końcu Bailey, starając się wyprzeć smutek ze swojego głosu, nie chciała bowiem, aby każda jej rozmowa z Timem Reedem dotyczyła ich tęsknoty za Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym.

- Może powinienes poprowadzić go od nowa - dodała.

- Hmm... Pewnego dnia - zaśmiał się Tim, lecz słychać było nutkę zamyślenia w jego głosie, tak jakby ten pomysł naprawdę brał pod uwagę. Zanim się pożegnali, Tim zawiesił na chwilę głos, jakby nie wiedział, w jaki sposób wypowiedzieć kolejne słowa. - Tęsknię za tobą, Bailey - rzekł wreszcie. - Bardziej niż myślisz.

Jego wyznanie wzruszyło ją i zaskoczyło zarazem. Ostatnio słyszała, że Tim prowadził regularnie jakieś spotkania religijne w swoim kościele oddalonym o kilka kilometrów od świątyni, do której uczęszczała Bailey wraz z rodziną, i że spotykał się z jakąś dziewczyną, która grała na klawiszach na nabożeństwach w niedzielne przedpołudnia. Nie mówił nic o tej dziewczynie, a Bailey o nią nie zapytała. - Och... myślałam, że już prawie o mnie zapomniałeś - odparła po chwili namysłu.

- Nie mógłbym zapomnieć o kimś takim jak ty - powiedział radośnie. - Pamiętasz, jak nosiliśmy razem rajstopy w „Robin Hoodzie”? Któż przeżył coś podobnego?

Zakończył rozmowę, mówiąc, że powinni się zobaczyć, pójść razem na kolację albo do kina. Bailey zgodziła się z nim, lecz kiedy odłożyła słuchawkę, uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie umówili się konkretnie, nie wyznaczyli żadnej daty spotkania. Pomyślała, że właśnie taki zawsze był Tim Reed - tajemniczy i pozostawiający ją z pytaniem, czy może to on był tym chłopakiem, którego w Swych planach stawiał przed nią Bóg.

Lecz co właściwie myślał o niej Tim? Wyciągnęła myjkę z szuflady i zmoczyła ją gorącą wodą. Pomyślała, że gdyby się nią naprawdę interesował, to z pewnością wyznaczyłby jakiś konkretny dzień na spotkanie. Przecież to było takie proste. Przycisnęła do twarzy parującą myjkę i przytrzymała ją chwilę. Tim nie był tym chłopakiem, przynajmniej jeszcze nie teraz. Tata zawsze jej powtarzał, że nie będzie miała wątpliwości, kiedy pojawi się na horyzoncie ten właściwy ktoś, ponieważ to on sam rozpozna w niej tę dziewczynę jedną na milion, którą naprawdę była.

Potarła myjką po twarzy i wypłukała ją. Ona też czekała na takiego jednego na milion chłopaka. Wiedziała, że warto było na niego czekać, niezależnie od tego, kiedy się pojawi. A w międzyczasie bez Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego pewnie będzie się czuła bardzo samotna. Dziewczyny w szkole zachowywały się gorzej niż kiedykolwiek - obgadywały się wzajemnie, plotkowały, odbijały sobie chłopaków i chodziły na imprezy, nie mówiąc o tym Bailey. Ale nawet samotność była lepsza od tego wszystkiego.

Kiedy już umyła zęby i wyczyściła je dodatkowo nitką dentystyczną, wróciła do łóżka i wsunęła się pod kołdrę. Niedawno minęła północ, ale Bailey czuła się tak, jakby było już znacznie później. Przed zgaszeniem światła włączyła wieżę i ulubioną płytę - debiutancki album Mandisy. Słuchając zazwyczaj smutnych utworów piosenkarki, Bailey czuła, że jest bliżej Boga. Ściszyła trochę muzykę i wyłączyła światło.

Mama uczyła ją już dawno temu, że kiedy czuje się samotna, może zrobić coś, co spowoduje, że jej przyszła miłość nie będzie wydawała się tak odległa. Mogła modlić się za tego chłopaka, niezależnie od tego, kim był i gdzie mieszkał. - Bo wiesz, Bailey - tłumaczyła jej mama - on już przecież gdzieś jest, wzrasta i staje się młodym mężczyzną, aby być wystarczająco dojrzały w chwili, gdy wasz czas nadejdzie.

Ta myśl pomogła Bailey już tyle razy, że nie potrafiła tego zliczyć. Kiedy zamknęła oczy, poczuła, jak przypływ nadziei usuwa niepokój z jej duszy. Ty wiesz wszystko, Boże — zaczęła się modlić. Ty wiesz, czy pewnego dnia wyjdę za mąż; wiesz, kim jest ten chłopak i gdzie mieszka. Wiesz, co on teraz robi, i przysposobiasz go, aby był gotowy na swoją przyszłość... podobnie jak przygotowujesz mnie.

Usłyszała dolatującą z głębi domu muzykę końcową z „Gwiezdnych wojen”. Chłopcy skończyli oglądać film znacznie później niż zwykle.

Bailey przekręciła się na bok i podciągnęła kołdrę pod brodę. Kimkolwiek on jest i gdziekolwiek jest-modliła się dalej -proszę Cię, Panie, abyś się nim opiekował. Pomagaj mu stawać się Twoim człowiekiem, takim jakim chciałbyś, aby był, i ustrzeż go od wpływu świata. Dziękuję, Panie... Dziękuję Ci za to, że pozwalasz mi marzyć. W imię Jezusa, amen.

Wołanie rozległo się w chwili, kiedy oddział Cody'ego Colemana wyjeżdżał na patrol na ulice Bagdadu: Cody miał natychmiast zjawić się w dowództwie - kapitan chciał z nim rozmawiać.

- No nie łudź się, Coleman! - zawołał Josć, kompan z namiotu, przewracając oczyma i zabierając pospiesznie swój majdan. - Na pewno nie wyjeżdżasz z misji.

Cody zmarszczył brwi i spojrzał na zegarek - była siódma piętnaście. Niemal automatycznie w jego głowie nastąpił proces myślowy taki jak zawsze, gdy sprawdzał godzinę - w Bloomington było tuż po północy. Spojrzał bezradnie na kolegę i spytał: - Czy to moja wina, że jestem tam teraz potrzebny?

- Coleman! No ruszaj się! - zawołał dowódca plutonu Cody'ego stojący już na zewnątrz namiotu. - Kapitan chce cię widzieć u siebie! Teraz!

- No to gratulacje - powiedział rozbawiony Josć, wskazując na Cody'ego. - Czyścisz latryny w tym tygodniu. Jakoś sobie poradzisz - pocieszył go i zasalutował. - Chłopaki siedzą już w wozie. To na razie - dodał.

- Na razie - odparł Cody rozbawionym lekko głosem, rzucając się do wyjścia i następnie biegnąc około pięćdziesięciu metrów do namiotu dowództwa. Coś takiego zdarzyło się już w ubiegłym tygodniu. Jeden z chłopaków dostał rozkaz stawienia się przed porucznikiem i w konsekwencji nie pojechał na patrol do miasta.

Lecz teraz ta sytuacja wydawała się bardzo dziwna. Gdyby rozkaz stawienia się przed dowódcą przyszedł dziesięć sekund później, Cody byłby już w drodze do Bagdadu w towarzystwie kolegów z plutonu, żartujących, przechwalających się, zachowujących spokój na twarzach i próbujących za wszelką cenę ukryć śmiertelne przerożenie wypełniające im serca.

Oddychając ciężko po biegu, Cody zatrzymał się u wejścia do siedziby dowództwa, spojrzał na kapitana Raya Rogera i zasalutował. - Panie kapitanie, posłał pan po mnie - powiedział, stając na baczność.

- Spocznij - przywitał go kapitan. Był to młody, niespełna trzydziestoletni mężczyzna. Pochylił się do przodu i kiwnął głową w stronę stojącego naprzeciwko niego krzesła. - Siadaj - rozkazał. - W końcu udało ci się wczoraj dostać do tego budynku we wschodniej części miasta.

- Tak, proszę pana - odparł Cody, przetykając ślinę. Wciąż nie miał pojęcia, co złego zrobił. - Chyba wszedłem dalej niż inni żołnierze.

- Dlatego tutaj jesteś - powiedział dowódca. - Dziś rano dostaliśmy potwierdzenie, że w tym budynku faktycznie znajdują się terroryści. Powinniśmy dostać tę informację, zanim tam wszedłeś... - kapitan Rogers zacisnął usta. - Ale na szczęście nic ci się nie stało, a teraz chcemy, żebyś

nam wszystko opowiedział, Coleman. Chcemy znać każdy szczegół, który udało ci się zaobserwować.

Cody odetchnął. Słowa kapitana oznaczały, że nie był w tarapatkach. Dowództwo potrzebowało jedynie jego informacji, którymi Cody z radością podzielił się z przełożonymi. Zrobi wszystko, co w jego mocy, aby pomóc Stanom Zjednoczonym zlikwidować kryjówki terrorystów w mieście.

Po dwudziestu minutach Cody wciąż jeszcze rozmawiał z kapitanem, przypominając sobie wszelkie, nawet najdrobniejsze szczegóły, kiedy na biurku kapitana zadzwonił telefon.

- Tu Rogers, słucham?

Rozmowa telefoniczna, którą prowadził kapitan, pozwoliła Cody'emu jeszcze raz pomyśleć o budynku; o tym, co tam widział, a co mogłoby być przydatne w sytuacji, kiedy wiadomo już było, że znajdują się tam terroryści. Nagle zauważył, że kapitan jedną ręką zakrył sobie twarz i zajęczał.

- Jesteś pewien? To byli nasi chłopcy?

Cody poczuł na skroniach, jak przyspiesza mu puls. Czyżby coś stało się żołnierzom? Kapitan miał pod swoją komendą kilkuset ludzi, w towarzystwie których Cody jadał posiłki.

Kapitan Rogers wymamrotał pod nosem jeszcze kilka słów i odłożył słuchawkę. Opuścił rękę i Cody zobaczył, że twarz przełożonego pobladła. I choć jego oczy były suche, przebijał przez nie niewypowiedziany ból. - Ktoś musiał się za ciebie modlić, Coleman - powiedział wolno ledwie słyszalnym głosem, wyraźnie zszokowany. - Wszyscy zginęli.

Nagle Cody poczuł, że zaschło mu w ustach, pokręcił głową i z trudem wydobywając z siebie słowa, wymamrotał: - Panie kapitanie?

- Twoi koledzy... prawie dojechali do miasta - mówił kapitan, wstając i odwracając się tyłem do Cody'ego. - Wjechali na minę. Rozerwało samochód na kawałki - oznajmił krótko i odwrócił się w stronę Cody'ego, na jego twarzy malowało się przerażenie. - Wszyscy zginęli - powtórzył, odetchnął szybko przez nos i spojrział w sufit. - Przykro mi, Coleman. Wracaj do swojego namiotu i czekaj na rozkazy.

Cody nie był w stanie normalnie myśleć, a co dopiero chodzić. Czy to możliwe, że José i inni zginęli? Czy mogło ich tak po prostu rozerwać na kawałki? Mignęły mu przed oczyma ich twarze - twarze chłopaków, którzy jeszcze przed półgodziną tryskali życiem. Nie był w stanie znieść okrucieństwa tej przypadkowej śmierci.

Cody z trudem wyszedł z siedziby dowództwa i słaniając się, wrócił do namiotu. Zwalił się na swoje łóżko i schował głowę pod poduszkę. Gdyby nie rozkaz kapitana i nie rozmowa z przełożonym, byłby już martwy; byłby jeszcze jedną ofiarą, która straciła życie na ulicach Bagdadu. Miał skurcze w żołądku, poczuł także przerażenie, wściekłość i jakby niedowierzanie, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Przez cały czas chciało mu się płakać i w końcu teraz, gdy został sam w namiocie, mógł sobie na to pozwolić.

Gdzieś daleko za kilka godzin matki tych żołnierzy rozpoczną kolejny dzień, nie zdając sobie sprawy, że ich synowie nie żyją. Rodziny, narzeczone - wszystkie te relacje zostały zrujnowane w jednej chwili. Boże... jak to się mogło stać? - jęczał w duchu Cody. I dlaczego ja? Dlaczego ja przeżyłem?

Z początku nie słyszał żadnej odpowiedzi i nie czuł nic oprócz bezsensu tej straszliwej straty. Lecz potem, powoli, powróciły mu w pamięci słowa kapitana. To, co powiedział jego dowódca, musiało być prawdą, ponieważ w przeciwnym razie nie byłoby go tutaj. Istniało tylko jedno wyjaśnienie faktu, że przeżył dzisiejszy poranek.

Ktoś musiał się za niego modlić.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ashley z trudem zatrzymywała Cole'a przy stole podczas śniadania w ten sobotni poranek, a Landon nawet kilka razy śmiał się z entuzjazmu rozsadzającego ich syna.

- Dom na drzewie! Mamo! - wołał Cole, odkładając widelec i odsuwając talerz z jajecznicą. - Ty chyba nie rozumiesz. To jest coś tak niesamowitego - emocjonował się, gestykulując rękoma z przejęciem. Promienie słońca wpadały przez okna kuchenne i mocno oświetlały twarz Cole'a. - Ja i tata mamy już wszystko rozplanowane. Na górze będzie też kryjówka do przechowywania skarbów i innych rzeczy.

Ashley nie mogła już wytrzymać ze śmiechu, lecz zmarszczyła brwi i poleciła: - Jedz jajecznicę.

- Wiem... już jem - chłopiec przysunął sobie z powrotem talerz. Potem poirytowany popatrzył na Landona, pokręcił głową i stwierdził: - Ona tego nie rozumie.

Kiedy spojrzeli na plan treningów piłki nożnej i okazało się, że tego dnia nie było zajęć, Landon zaproponował, aby wykorzystać wolny czas na zbudowanie domku na drzewie. Przez ostatni tydzień Cole mówił tylko o tym.

- To nie jej wina - stwierdził Landon, zerkając na Ashley. - Większość dziewczyn nie przepada na domkami na drzewach.

- Ale ten będzie najlepszy ze wszystkich - upierał się Cole.

- Sok! - zawołał nagle Devin siedzący na wysokim krzeselku pomiędzy Ashley i Landonem. Podniósł w górę swój kubek-niekapek usmarowany jajecznicą i okruchami tostów. - Sok!

- Powiedz „proszę” - upomniała go Ashley, wzięła serwetkę ze środka stołu i zaczęła wycierać usta najmłodszemu synowi.

- Płosze - zajęczał malec i uśmiechnął się szeroko do mamy. Potem potrząsnął kubkiem i dodał: - Sok, płosze!

Zamyśliła się i zobaczyła obraz, na którym był namalowany Devin wyglądający tak jak w tej chwili, z jajecznicą znajdującą się w jego blond włosach i dodatkowo rozsmarowaną na czole i policzkach, z piżamą poplamioną masłem z tostów. Pewnego dnia Ashley chciała namalować go w sytuacji takiej jak ta. - Naprawdę będę musiała wrócić do sztalug - zaśmiała się.

- Widzisz obrazy, czy tak? - spytał Landon, spoglądając na nią czule.

- Wszędzie - potwierdziła.

- W takim razie zacznij malować - zachęcił żonę, sięgnął ręką ponad krzesłem Devina i pogładził ją palcami po twarzy. - I przypadkiem nie przestawaj widzieć obrazów w takich sytuacjach, jak ta. Uwielbiam to w tobie, Ash.

Jego komplement trafił wprost do jej serca, gdzie wciąż odczuwała ból po stracie Sarah. W nadchodzących tygodniach Bóg posłuży się jej talentem malarskim, aby pomóc jej przeżyć ten trudny czas po stracie córeczki; Ashley nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Lecz obecnie cierpienie było tak przygniatające, że nie miała pewności, czy pamiętała jeszcze, jak się maluje. Jednak fakt, iż zaczynała widzieć obrazy wśród codziennego życia, był dobrym znakiem.

- Wiecie, co najbardziej lubię w tych budowlanych hipermarketach Home Depot? - zawołał nagle Cole, siedząc już prawie na brzegu krzesła z szeroko otwartymi oczyma. Przeniósł wzrok z Ashley na Landona i nie czekając na odpowiedź, rzucił: - Te superdługie alejki i te rzeczy przyczepione do sufitu, i te wszystkie narzędzia, którymi tyle można zrobić, a do tego tam pachnie jak w miejscu dla facetów. - Podniósł widelec, aby podkreślić wagę swoich słów i dodał: - Prawda, tato?

Landon zaśmiał się. - Dokładnie - potwierdził i kiwnął głową w stronę talerza z niedokończoną przez Cole'a jajecznicą. - Pospiesz się, żebyśmy mogli umyć się i zabrać do pracy.

Cole spojrzał z wyższością na brata i powiedział: - Może chcesz zacząć od niego. On potrzebuje więcej czasu na mycie niż ja.

Ashley wytarła kubek Devina kolejną serwetką i napełniła go sokiem. - To będzie dla Devina pierwszy duży projekt budowlany - stwierdziła, nachyliła się i pocałowała malca w policzek. - Może mógłby coś robić młotkiem.

- Chyba nie - oznajmił poważnym głosem Cole. - Moglibyśmy pozwolić mu zdjąć kilka kawałków drewna z samochodu taty - powiedział i spojrzał na Landona, szukając aprobaty na jego twarzy. - Młotek jest dla niego zbyt niebezpieczny. Mógłby uderzyć się w głowę, prawda?

- No cóż... - zaczął Landon, a Ashley widziała, jak zмага się ze sobą, aby nie wybuchnąć śmiechem. Otarł usta i odczekał jeszcze chwilę, odzyskując panowanie nad sobą.

- Chyba musiałbym mu pomóc. Wtedy by się nie uderzył i może jednak mógłby wbić kilka gwoździ, oczywiście pod moim okiem.

- Hmm... - Cole skrzywił się i kilka razy stuknął palcami w blat stołu. - Wydaje mi się, że możemy spróbować - zgodził się, a potem nachylił się w stronę Landon'a i wyszeptał: - On ciągle jest strasznie mały.

Rozmowa trwała jeszcze jakiś czas, a kiedy skończyli jeść, Cole pobiegł do łazienki umyć zęby, a potem do swojego pokoju, aby przebrać się w ubranie robocze.

Landon zbliżył się do wysokiego krzeselka, na którym siedział Devin, lecz Ashley wstała i pokręciła głową. - Zajmę się nim. Idź się szykować - powiedziała, objęła męża za szyję i przyciągnęła blisko siebie, aby go pocałować.

- Cole nie może już dłużej wytrzymać - stwierdziła. Ich oczy spotkały się i ponownie zobaczyła w wyobraźni, jak maluje obraz przedstawiający tę scenę - typową codzienną sytuację ze swojego życia: gorące tosty, sok pomarańczowy, męża i ich dwóch synów; kolejny poranek niosący nadzieję i nowe życie. Uwielbiała tę swoją codzienność.

- Znów to robisz - zauważył Landon.

- Wiem - przyznała. Opuściła podbródek i uśmiechnęła się do niego zalotnie. - Może pójde dzisiaj do mojego taty i wyciągnę farby - powiedziała i znów go pocałowała. - Kiedy jestem z tobą, to mam ochotę zatrzymać każdą chwilę.

Objął ją w talii i przytrzymał rękę na jej krzyżu. Tym razem jego pocałunek trwał dłużej. - A ja kiedy jestem z tobą, to zapominam o Home Depot - zażartował.

Devin uderzył obiema rączkami w tackę przy swoim wysokim krzeselku.

- Dziecko patrzy - Ashley zaśmiała się do Landon'a.

- Idź się szykować.

Landon zajęczał łagodnie i jakby w trochę sztuczny sposób. - No dobrze... najpierw domek na drzewie - zgodził się. Cofnął się o krok, lecz wciąż nie odrywał od niej oczu.

- Ale potem zrobimy coś jeszcze - dodał.

Ashley spojrzała na niego porozumiewawczo. - Trzymam cię za słowo - zaśmiała się ponownie, odczepiła tackę od wysokiego krzeselka i wyjęła z niego pobrudzonego jedzeniem synka. - Teraz nie będę mogła się doczekać już dwóch rzeczy - zażartowała.

Landon nie zdążył jeszcze dojść do ich sypialni, gdy Ashley uświadomiła sobie coś, co napełniło jej serce nadzieją. Ruszyła z Devinem w kierunku zlewu, wzięła czystą gąbkę, zmoczyła ją i zaczęła go myć. Teraz, kiedy od

porodu upłynęło już sześć tygodni, lekarz powiedział jej, że niedługo znów będzie mogła zajść w ciążę. Pomyślała, że pewnie gdyby znów oczekiwała dziecka, to pustka w ich sercach w dużej mierze zostałaby wypełniona nową radością.

A teraz, podczas szczęśliwego, chaotycznego sobotniego poranka, oboje z Landonem śmiali się, flirtowali i czuli, że nie mogą się doczekać dzisiejszego wieczoru, kiedy chłopcy pójdą spać. Bo wówczas, gdy już zostaną sami, w zaciszu sypialni na nowo będą cieszyć się sobą, okazując sobie w ten sposób miłość, dzięki której potrafili przejść najtrudniejsze chwile życia.

To był kolejny znak, że Bóg ich prowadził.

Godzinę później, kiedy Landon i chłopcy byli już w sklepie z narzędziami, Ashley pojechała do domu Baxterów i znalazła ojca w kuchni, klęczącego na podłodze z głową pod zlewem. Gdy usłyszał, że ktoś wszedł, cofnął się i wyprostował. - Cześć, kochanie - przywitał się, a jego twarz rozjaśnił promienny uśmiech. - Tak myślałem, że to możesz być ty.

- Naprawdę? - zdziwiła się, kładąc torebkę na stole kuchennym. - A dlaczego?

- Dzisiaj przecież jest wielki dzień budowania domku na drzewie - zażartował i przetarł czoło wierzchem dłoni. - Wiedziałem, że będziesz szukała czegoś do roboty - uśmiechnął się, lecz w jego spojrzeniu widać było jakby cień smutku. - Wyciągnąłem sztalugę i rozstawiłem ją w twoim pokoju.

Ashley poczuła, jak topnieje jej serce. Podeszła do kredensu i wyciągnęła dwa ulubione kubki matki i stary chiński czajniczek do parzenia herbaty. - Ty i Landon... wy obaj znacie mnie lepiej niż ja sama - powiedziała.

- Już czas, Ashley. Jeszcze kiedy byłaś nastolatką, nic nie leczyło lepiej twojego złamanego serca niż właśnie malowanie.

- Hmm... To prawda - przyznała, napełniła czajniczek wodą i postawiła go na kuchence. - Co się stało ze zlewem?

- Syfon jest nieszczelny - wyjaśnił i znów nachylił się pod zlew. - Chyba muszę trochę mocniej docisnąć uszczelkę.

Do czasu, kiedy herbata się zaparzyła i Ashley napełniła nią dwa kubki, ojciec uporał się ze zlewem. Herbata pachniała cudownie. Miała domieszkę pomarańczy i jej delikatny, słodkawy zapach przypominał Ashley o jesieni, o Bożym Narodzeniu i grzaniu się przy kominku.

Ojciec wytarł podłogę papierowym ręcznikiem, umył ręce i usiadł obok niej przy stole w kuchni. - Dobrze, że mi się udało - ucieszył się i głośno odetchnął. - Landon poprosił mnie, żebym potem wpadł do was. Spytał, czy nie mógłbym im pomóc.

- Aha - przytaknęła Ashley, podeszła do lodówki i wyjęła z niej śmietankę. Wlała odrobinę do swojej herbaty i spojrzała badawczo na ojca. - Nie macie z Elaine swoich planów? - spytała.

- Nie, nie w tym tygodniu - oznajmił, objął kubek dłońmi i przez jakiś czas milczał.

Ashley patrzyła na niego przez cały czas. Coś musiało się zmienić i nie wiedziała, co. Dlaczego nie był umówiony z Elaine? Zniosła z powrotem śmietankę do lodówki i usiadła na swoim miejscu naprzeciwko niego.

- Twoja matka uwielbiała te stare kubki - uśmiechnął się i zamyślił. - Kupiła je na naszą rocznicę ślubu na kiermaszu na uniwersytecie, kiedy byłeś jeszcze w gimnazjum - wyjaśnił, podniósł na nią wzrok i znów się uśmiechnął.

- Nigdy nie wypła w nich ani odrobiny kawy - dodał.

Ashley zaczęła przyglądać się kubkowi, który ostrożnie obracała w dłoniach, oglądając go najpierw z jednej, a potem z drugiej strony. - Uwielbiała herbatę - przypomniała.

- To prawda - przyznał John, zamrugnął, a uśmiech zniknął z jego twarzy. - Każde z was zadzwoniło do mnie w ubiegłym miesiącu w dniu naszej rocznicy, wszyscy z wyjątkiem Luke'a.

- Luke... - Ashley wyciągnęła nogi, krzyżując je w kostkach. - Niepokoję się o niego - wyznała i spojrzała przez okno na stary dąb, którego liście tańczyły na wietrze. - Myślę, że ostatnio między nim a Reagan układa się gorzej, niż to widać na pierwszy rzut oka.

- Może być tak, jak mówisz - stwierdził jej ojciec przyciszonym głosem, odwracając wzrok. Po chwili zaśmiał się smutno i dodał: - Trzydzieści dziewięć lat. A wydaje mi się, jakbym się z nią ożenił może zaledwie tydzień temu.

Nie rozmawiali dłużej o Luke'u. Ashley spojrzała na twarz ojca. - Tak mi przykro... wszyscy za nią tak bardzo tęsknimy - powiedziała i napiła się herbaty. Coś dziwnego działo się z jej ojcem, było to coś więcej niż zwyczajna tęsknota. - A wracając do Elaine... nie spotykasz się z nią z powodu tego domku na drzewie?

Wyraz jego twarzy zmienił się. Ashleyomalże nie jęknęła, kiedy dostrzegła ogromny ból w oczach ojca. Nie wyglądał na tak cierpiącego chyba od chwili, kiedy umarła mama. - Nie mogę się z nią spotkać - stwierdził i oparł łokcie na stole w taki sposób, jakby zbierał siły. Widać było, że to, co zamierzał powiedzieć, wiele go kosztowało. - Zamierzałem się z nią ożenić - wyznał niespodziewanie. - Nawet mam pierścioneł na górze.

Ashley poczuła, jak jej serce załomotało mocno kilka razy. Starala się przyjąć tę wiadomość, nie reagując zbyt mocno. Informacja ta nie była przecież tak naprawdę zaskakująca. Od prawie roku rozmawiały o takiej możliwości z Kari, Brooke i Erin.

Ojciec zacisnął mocno wargi i pokręcił głową. - Nie mogłem tego zrobić - rzekł po chwili. Rozejrzał się po kuchni, spoglądając na obramowane zdjęcie jej matki stojące na blacie, na ogromną kuchenkę i na okno ponad zlewem.

W końcu jego wzrok spoczął na kubku, który trzymał w dłoniach. - Wciąż wszędzie ją widzę - powiedział bezradnie, wzruszając ramionami. - Nie mógłbym tu mieszkać z Elaine. To nie byłoby dobre także dla niej.

Ashley powstrzymała się od natychmiastowej odpowiedzi. Jeszcze rok temu byłaby uszczęśliwiona tym, co właśnie usłyszała od ojca. Była wówczas przekonana, że nikt nie mógłby zastąpić jej matki, więc jak w ogóle ojciec mógł pomyśleć o powtórnym małżeństwie? Lecz teraz coś sobie przypominała. Zobaczyła siebie i Landona w sali szpitalnej, tuż przed narodzinami Sarah. Elaine była jedyną osobą, która pomyślała o kupieniu wyprawki dla jej córeczki. To jasnorożowe ubranko zbudowało pomost pomiędzy Ashley i Elaine, ponieważ ten prezent był tym, co ofiarowałyby jej matka, gdyby żyła.

Od tamtej pory często myślała o zbliżającym się ślubie jej ojca i Elaine i pogodziła się z tym. I wciąż wewnętrznie zgadzała się na ten ślub. Z drugiej jednak strony podobnie jak jej ojciec zadawała sobie pewne pytania. Jak ojciec mógłby poprosić Elaine, aby zamieszkała z nim w domu Baxterów? W jaki sposób udałoby się znaleźć miejsce dla nowej miłości w tym domu pełnym wspomnień z ostatnich dziesięcioleci?

Ashley poczuła, jak skręca ją w żołądku. - No nie wiem, tato - odezwała się w końcu. - Wydaje mi się, że Elaine stała się dla ciebie bardzo ważną osobą.

- To prawda - przyznał. - Ale to wszystko nie jest takie proste.

Ashley wciąż nie wiedziała, co powiedzieć. - A co o tym wszystkim myśli Elaine? - spytała.

- Powiedziałem jej, że porozmawiamy później - odparł, spoglądając na zegar w drewnianej oprawie wiszący na ścianie. - Prawda jest taka, że mam sporo roboty. W stawie - wokół brzegów jest pełno wodorostów, muszę też posypać nawozem kwietniki.

- I jeszcze ten domek na drzewie - uśmiechnęła się Ashley.

- Oczywiście, domek na drzewie również - zaśmiał się i skrzyżował nogi na wysokości kostek. - Nie chciałbym, żeby mnie to ominęło. Cole powiedział mi, że ten domek potrzebuje też ręki dziadka.

- Jestem pewna, że potrzebuje - zażartowała Ashley, wzięła ostatni łyk herbaty i wciąż biła się z myślami. Chciała mieć więcej czasu, aby pomyśleć o ojcu i Elaine. To nie był odpowiedni moment, by mówić o tym, co uważała w tej chwili za właściwe. A może po prostu dobrze było myśleć, że wszystko pozostanie po staremu: ojciec będzie mieszkał w domu Baxterów, gdzie podczas wszystkich świąt, urodzin i innych spotkań rodzinnych będą im towarzyszyć wspomnienia o matce, a żadna nowa osoba tego nie zmieni.

Oboje z ojcem odsunęli się od stołu w tym samym momencie. - Jaka będzie moja decyzja dotycząca Elaine? - spytał na głos sam siebie, uśmiechając się, lecz wciąż widać było smutek w jego oczach. - Wydaje mi się, że w końcu wszyscy będą z niej zadowoleni - stwierdził tajemniczo.

Ashley wciąż jeszcze myślała o tym, co powiedział jej ojciec, kiedy szła po schodach na górę do swojego starego pokoju, tego z oknem wychodzącym na podwórze przed domem Baxterów. Pomyślała, że to był dobry dzień do malowania na zewnątrz, ale najpierw musiała zrobić szkic. Ustawiła swoje rzeczy, a potem wyjęła z teczki obrazek Cole'a, który przyniosła ze sobą.

Za każdym razem, kiedy patrzyła na ten obrazek, słyszała cichy, uspokajający głos Boga. Kiedy modliła się przed śmiercią Sarah, przeczytała w Biblii, że odnajdzie Boga w cichutkim szepcie. Potem, w dniu narodzin i śmierci Sarah, podszedł do niej Cole i coś wyszeptał. Powiedział jej wówczas, że Jezus ukazał mu pewien obraz.

Ashley uśmiechnęła się na wspomnienie tamtej rozmowy. Poczula teraz to samo, czego potem wielokrotnie doświadczała. Był to dowód na to, że jej syn widział najcenniejsze chwile życia w podobny sposób, co ona - sposób warty uwiecznienia i oprawienia w ramy.

Potem podał jej ten obrazek. Na górze napisał słowa: „Kocham Cię, Sarah. Powiedz Babci »cześć« ode mnie". Niżej narysował postać starszej kobiety, uśmiechającej się od ucha do ucha. W jej ramionach była malutka dziewczynka, bezpiecznie otulona biało-różowym kocykiem. Kiedy Ashley zapytała syna o obrazek, Cole wyjaśnił, że Bóg mu powiedział, iż Sarah będzie ze swoją babcią.

Ashley wiedziała, że najpierw musiała namalować właśnie ten obraz, kiedy wciąż nosiła w swym sercu tak żywe wspomnienie twarzyczki kochanej Sarah.

Przypięła obrazek Cole'a do stołu obok sztalugi. Boże, pomóż mi powołać do życia te obrazy, które noszę w sobie - pomodliła się. Zamknęła oczy, odchyliła głowę do tyłu i wciągnęła powoli powietrze. W oddali ktoś musiał palić liście. Czuć było nieznacznie swąd dymu mieszającego się ze znajomym zapachem jej farb. Otworzyła oczy i wyjrzała przez okno. Gdzieś daleko na niebie zebrały się chmury, nie przysłaniały jednak słońca i nie zagrażały wspólnemu budowlanemu przedsięwzięciu Landon'a i Cole'a.

Jeszcze raz popatrzyła na obrazek Cole'a, starając się, aby dziecięcy rysunek przybrał w jej wyobraźni realne kształty jej córeczki i matki. Podniosła dobrze zatemperowany ołówek i zaczęła szkicować. Najpierw narysowała twarz matki, jej ciemne włosy i szczupłe, proste ramiona. Potem pojawił się brzeg bujanego fotela.

Zajmowała się na razie szkicowaniem szczegółów najważniejszej części obrazu, a potem miało powstać otoczenie. Kiedy obraz zostanie skończony, znajdzie się tam bujany fotel matki. Pomyślała, że poza fotelem najlepiej będzie pasowało tu pole, ponieważ Ashley wyobrażała sobie niebo jako najpiękniejsze krajobrazy, jakie widziała na ziemi: pola porośnięte bujną zielenią i mnóstwo różnokolorowych kwiatów o żywych, jaskrawych barwach. Jeśli takie tło uda się namalować, będzie to najlepszy obraz, jaki Ashley kiedykolwiek wykonała. Fotel bujany będzie ustawiony pośród olśniewających petunii, maków i fiołków otaczających z każdej strony jej matkę i córeczkę. Spodobał jej się ten pomysł. Tam z pewnością powinno znaleźć się mnóstwo kwiatów, ponieważ w niebie... W niebie...

Stopniowo, jakby w zwolnionym tempie, opuściła rękę na kolana i spojrzała na płótno. Od śmierci jej matki upłynęły ponad trzy lata. Teraz ona żyła w niebie... nie tutaj.

Ashley wstała i podeszła do okna. Usiadła na brzegu parapetu i wyjrzała na zewnątrz. Jakiś dziwny obraz zaczął pojawiać się w jej wyobraźni.

Zobaczyła drogą Irvel spędzającą swe ostatnie lata w domu spokojnej starości Sunset Hills, przekonaną, że jej najdroższy Hank wcale nie zmarł przed ponad dziesięcioma laty, ale jedynie poszedł z synami na ryby.

Choć Alzheimer był straszną chorobą, w pewien sposób stanowił dla Irvel błogosławieństwo, pozwalając jej żyć w świecie, w którym była szczęśliwa - w przeszłości wśród wspomnień o ukochanym Hanku.

Ashley zamrugnęła i wyobrażenie zniknęło.

A co działo się z jej ojcem? Jego pamięć pracowała jakby bardziej intensywnie niż kiedyś, co oznaczało, że został obdarzony błogosławieństwem wciąż żywych wspomnień o jej matce, choć w przeciwieństwie do Irvel doskonale wiedział, że jego żona już nigdy nie wejdzie w progi tego domu, że już nigdy nie zobaczy jej na tym świecie. Przedkładając te wspomnienia nad życie, które dzisiaj ofiarowywał mu Bóg, oszukiwałby tylko samego siebie i Elaine, pozbawiając się być może jeszcze wielu chwil pełnych radości i śmiechu, podczas których oboje mogliby szczęśliwie żyć razem, ciesząc się teraźniejszością.

Bez względu na to, jakie zmiany spowodowałyby to w życiu ich wszystkich.

Wróciła do sztalugi, położyła ołówek na stole z farbami i zeszła po schodach na dół. Jeśli jej ojciec ożeni się z Elaine, ślub będzie zaprawiony kroplą goryczy. Obawiała się, że może nawet nie uda się jej powstrzymać łez. Lecz na pewno z serca uściśnie Elaine jako nowo poślubioną żonę ojca i teraz postanowiła się upewnić, czy ojciec usłyszał to w jej wypowiedzi, zanim postanowi zdusić w sobie wszystkie uczucia do tej kobiety.

Znalazła go na zewnątrz przy stawie, jak w swoich starych dżinsach, również dżinsowej koszuli, słomianym kapeluszu i roboczych rękawicach zdążył już oczyścić z wodorostów prawie połowę stawu wokół brzegu. Ashley zatrzymała się i przez chwilę patrzyła na niego. Czy w taki sposób miał przeżyć resztę swoich dni? Czy miał jedynie grzebać coś przy domu, wykonywać jakieś dziwne prace i czekać, kiedy go wreszcie zaproszą dzieci albo wnuki?

Ta myśl przeraziła Ashley. Jej ojciec był człowiekiem towarzyskim, pełnym wiary i pasji życia. Nagle, jak nigdy przedtem, stało się dla niej oczywiste, że powinien mieć możliwość przeżycia swoich dni u boku kobiety, która będzie dzieliła z nim jego zainteresowania i pasje. Poszła dalej w jego stronę, trzymając się cały czas ścieżki. Po ciąży jej kondycja nie wróciła jeszcze do normy i nie chciała skreślić sobie kostki.

Ojciec podniósł na nią wzrok i lekko przekrzywił głowę, osłaniając oczy od słońca. - Czy wszystko w porządku? - spytał lekko zaniepokojonym głosem.

- Nie do końca — odparła Ashley, opuszczając swobodnie ręce wzdłuż tułowia. - Czy możesz do mnie przyjść na chwilkę?

Ojciec odłożył łopate, otrzepał ręce i zdjął rękawice.

- Ale nie jesteś chora? - zawołał zaniepokojony.

- Nie, nic z tych rzeczy - odparła szybko, uśmiechając się do niego ciepło.

Wyraz jego twarzy złagodniał, a potem poszedł za nią do jadalni, gdzie na stole leżało rozłożonych sześć albumów, po jednym dla każdego z jego dorosłych dzieci.

- Ojej, niech tylko spojrzę - zawołała radośnie Ashley, ogarniając wzrokiem rozmiary przedsięwzięcia. - Ty naprawdę je dla nas przygotowujesz.

- Nie powinnaś się dziwić - zaśmiał się. - Przecież to ty pierwsza poprosiłaś mnie, aby się tym zajął.

Albumy zawierały mądrość całego życia ich matki; były to różne jej listy, również te napisane specjalnie do nich, zebrane w jednym miejscu. Kiedy ojciec utworzy z nich pełne zbiory, albumy z listami staną się najwspanialszymi prezentami, jakie mogliby otrzymać. Przez chwilę patrzyła na stosy kopiowanych listów, a potem - aby nie odchodzić od tematu - odwróciła się tyłem do albumów. Zebrała myśli i wzięła ojca za rękę. - Już nie mogę dłużej czekać, aby ci coś powiedzieć - zaczęła.

Ojciec uśmiechnął się do niej w taki sposób, który mówił jej, jak bardzo ją kochał. - To musi być coś ważnego - zauważył.

- Bo jest - potwierdziła i poczuła przyływ nostalgii na wspomnienie o matce. - No dobrze... a więc wracając do Elaine. Myślę, że robisz błąd, izolując się od niej w ten sposób.

Musiało upłynąć kilka sekund, zanim ojciec w pełni zrozumiał, co ona powiedziała. - Chodzi ci o to... uważasz, że wciąż powinienem się z nią widywać? - upewniał się, nie mogąc ukryć zaskoczenia.

- Chodzi mi o coś więcej - mówiła Ashley łagodnym, lecz zdecydowanym głosem. - Myślę, że powinieneś się z nią ożenić - stwierdziła i wzięła go za drugą rękę. - Mama odeszła - ciągnęła, a łzy napłynęły jej do oczu i ze wzruszenia poczuła uścisk w gardle. - Wszyscy bardzo to przeżywamy i żałujemy, że jej tu nie ma, ale taka jest prawda. Ona... ona nie chciałaby, abyś chodził wokół tego domu w taki sposób, jakby to było jakieś muzeum -

uśmiechnęła się, choć drżał jej podbródek. - Mama chciałaby, żebyś normalnie żył, nawet gdyby to miało oznaczać, że masz się znów ożenić.

John otworzył szeroko oczy z wrażenia, a jego zaskoczenie wyryło się w postaci zmarszczek na czole.

Ashley uświadomiła sobie, że się trzęsła, a jej kolana uderzały o siebie. Pomyślała, iż dokonała się w niej olbrzymia przemiana, skoro dała swoje błogosławieństwo czemuś, czego jeszcze nie tak dawno nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, a co dopiero to popierać. Zaciśnęła usta i wypuściła powietrze. - To chciałam powiedzieć - dodała. Potem, kiedy łzy wezbrane w jej oczach rozlały się na policzki, padła w ramiona ojca i uścisnęła go mocno. - Ja też za nią tęsknię - łkała. - I to tak bardzo. Wciąż nie mogę uwierzyć, że ona naprawdę od nas odeszła.

Stali w ten sposób dość długo, a Ashley czuła się tak jak kiedyś, gdy była jeszcze nastolatką i ojciec jako jedyny naprawdę ją rozumiał i jako jedyny potrafił przytulić ją w taki sposób, aby oddalić od niej konsternację i pomóc przetrwać zranienia. Przyłgnęła do niego jeszcze mocniej i wstrząsnął ją głęboki szloch. Tak bardzo pragnęłaby odwrócić się i zobaczyć mamę siedzącą po drugiej stronie stołu w jadalni, uśmiechającą się do niej i uspokajającą ją, że niepotrzebnie się martwiła, ponieważ ona wcale nigdzie nie odchodziła.

Ale ona jednak odeszła.

Ashley oparła głowę na ramieniu ojca. Kiedy umarła jej matka, ludzie pocieszali ją i mówili, że czas leczy rany. Wówczas Ashley trudno było w to uwierzyć, a teraz wiedziała, że w ich przypadku ta zasada nie obowiązywała. Do końca swoich dni będą żyć z poczuciem straty po śmierci Elizabeth Baxter, do którego musieli się przyzwyczaić. A kiedy pewnego dnia spotkają się wszyscy w niebie, ponownie doświadczą pełni, która możliwa jest jedynie w wieczności. A na razie... na razie musieli pogodzić się z życiem - szczególnie jej tata.

Pociągnęła nosem i cofnęła się. - Nie zostawaj przez nas pustelnikiem, dobrze, tato? - zażartowała Ashley.

Wątpliwości, niepewność i odrobina łez pojawiły się w jego oczach. Cofnął się o krok i znów wziął Ashley za rękę. - No nie wiem... - z trudem dobierał słowa - nie chcę jej zostawić.

Ashley oswobodziła jedną rękę. - Nie będziesz musiał. Elaine też ją kochała - stwierdziła. Ledwie mogła uwierzyć, że zachęcała ojca do związania się z Elaine w chwili, gdy on był gotów rozstać się ze swoją

przyjaciółką. Ale właśnie tak należało postąpić - Ashley była o tym głęboko przekonana. Stała na palcach i pocałowała ojca w policzek. - Żyj swoim życiem. Tego właśnie pragnęłaby mama. A teraz... - uśmiechnęła się do niego raz jeszcze i spojrzała w stronę schodów - muszę coś namalować.

Niecałą godzinę później, kiedy skończyła szkicować swój obraz, jej myśli powróciły do albumów, które przygotowywał dla nich ojciec. Oczywiście każdy z nich miał kilka tych samych listów, jak chociażby ten, w którym ich matka zostawiła im dziesięć zasad szczęśliwego małżeństwa. Lecz były też takie listy, które zostały zaadresowane tylko do dziewcząt albo do jednego czy jednej z nich. Na przykład w przeszłości, kiedy nie wiedzieli jeszcze o istnieniu Dayne'a, ich matka napisała przejmujący list do swojego ukochanego pierwszego dziecka.

Ashley głośno nabrała powietrza. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Ich matka napisała przecież wyjątkowy list do Dayne'a. Skoro on nie mógł być przez nią wychowywany, list stał się dla niej jedynym sposobem ofiarowania Dayne'owi jakby kawałka siebie. Ashley znalazła go w pudełku z listami w garderobie rodziców i pomyślała, że był zaadresowany do Brooke, ponieważ zgodnie z jej ówczesną wiedzą właśnie ona była pierworodnym dzieckiem jej rodziców. Ashley przeczytała list i zdała sobie sprawę, że był skierowany do syna - do brata, którego nigdy nie знаła. Ten list wszystko odmienił, lecz do tej pory nie pomyślała o tym, że te jakże drogie słowa jej matki wciąż tkwiły zamknięte w kopercie. Oddała bowiem ten list ojcu i widziała, jak odłożył go na najwyższą półkę w biurku, na którym stał jego komputer. Wiedziała, że pewnego dnia ojciec odda ten list jej bratu, lecz upłynęły miesiące, zanim udało się odnaleźć Dayne'a. Przez ten czas całkowicie zapomniała o liście. Ojciec też mógł o nim zapomnieć.

Kiedy z powrotem zaczęła wpatrywać się w powstający obraz, ucieszyła ją pewna myśl. Dayne powinien był dostać ten list przed wielu laty, lecz może Bóg wiedział lepiej. Może teraz nadszedł taki czas, że jej najstarszy brat bardziej niż kiedykolwiek przedtem potrzebował czegoś od ich matki. Ashley zamyśliła się nad tym. Może było to częścią cudu, o który modliła się, od kiedy Katy i Dayne zaczęli doświadczać tylu obaw. Może teraz znacznie bardziej niż w przeszłości płynący prosto z serca list ich matki, jej słowa pełne miłości, troski i wsparcia dla Dayne'a, okażą się dla niego naprawdę bezcenne.

W chwili, gdy niemal cały świat zdawał się być przeciwko niemu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pożegnanie Katy i Dayne'a spadło na nich nieuchronnie jak ostatnia scena filmu, której końca nigdy nie chcieliby oglądać. Katy była pod ogromnym wrażeniem sposobu, w jaki radził sobie Dayne z ogromną falą rozgłosu, która uderzyła w nich tuż po premierze. Film z ich udziałem „Nigdy więcej” okazał się sukcesem kasowym przynoszącym większe wpływy niż jakikolwiek inny film Dayne'a wcześniej nakręcony. Z tego powodu i dodatkowo jeszcze za sprawą cotygodniowych odcinków „Na serio” nie tylko Dayne, ale także Katy stała się powszechnie znaną osobą. Mieszkali zaś w takim miejscu, gdzie byli pod niemal ciągłą obserwacją.

Jakby tego było mało, Dayne musiał zgodzić się na wywiady, które ich agent uznał za obowiązkowe. Kilka z nich przeprowadzono na miejscu, lecz większość wymagała podróży do Nowego Jorku. Dayne zawsze upewniał się, że Katy znajdowała się u jego boku, aby mogli pokazywać światu, iż stanowili jedność, co było - jak oboje raz po raz z uporem twierdzili - prawdziwym obrazem ich miłości.

Żyli w ciągłym napięciu. Za sprawą prawie nieustannej obecności w mediach ich relacja stała się tak publiczna, że czas spędzany w ciszy we dwoje wydawał się im czymś prawie nienaturalnym. Czasami, gdy rozmawiali na werandzie za domem w Malibu, Katy przyłapywała się na tym, że mówiła w taki sposób, jakby była na planie, tak jakby potrafili już tylko wydobywać z siebie same frazesy i prowadzić tanie dialogi.

Dayne przypominał jej, że na czołowym miejscu na liście ich wrogów znajdował się najgroźniejszy przeciwnik ze wszystkich. Szatan z pewnością nie chciał, aby ich małżeństwo przetrwało, nie w sytuacji, gdy mówili otwarcie, że są chrześcijanami i że starają się żyć zgodnie z wolą Bożą. Kary była tego świadoma, lecz sama wiedza o tym nie pomagała jej zbyt wiele w codziennym zmaganiu się z pułapkami życia prowadzonego jakby na oczach całego świata.

I teraz nadszedł czas rozstania. Był drugi piątek października i już dawno minęła północ. Choć Katy miała rano samolot, nie planowała kłaść się spać. Będzie miała na to dużo czasu na pokładzie.

- Myślę, że to jasne - powiedział Dayne, wchodząc z zewnątrz z pograżonej w mroku werandy do kuchni. Światła wewnątrz też zostały wcześniej wygaszone. W ten sposób chcieli przekazać paparazzim prosty

komunikat: Katy i Dayne już położyli się spać, więc pakujcie się i jedźcie do domu.

Katy siedziała przy stole w kuchni i piła mrożoną herbatę. Wpatrując się w ciemność, przypominała sobie, czy włożyła do walizki wszystkie niezbędne rzeczy. Poczowała, że z tyłu podszedł do niej Dayne i położył jej rękę na ramieniu. W odpowiedzi położyła na niej swoją dłoń. - Nie mogę uwierzyć, że spotkamy się dopiero w święta - stwierdziła.

- Dziesięć tygodni - westchnął. - Czy jesteś gotowa?

- Pytasz, czy jestem już spakowana? Tak - odparła, wstała i odwróciła się twarzą do niego. Serce biło jej mocno i pomimo ciemności dostrzegła lęk w jego oczach.

- Miałem na myśli to, czy możemy już porozmawiać - powiedział i zerknął przez ramię. - Od godziny już nic tam się nie dzieje.

Skinęła głową i oparła ją na jego piersi. - Tak, możemy - odparła.

Umówili się na ten nocny spacer już przed kilkoma dniami. Plaża była tak zachęcająca, tak spokojna. To było smutne, że mieszkali prawie na samym piasku plaży i prawie nigdy nie mogli poczuć go pod stopami. Dayne wziął ją za rękę i cichutko sprowadził w dół po schodach znajdujących się z tyłu za domem, za drewnianą furtką. Późna godzina, dotyk jego dłoni i delikatny wiaterek na twarzy przypomniały jej o nocy, którą spędzali razem na jeziorze w Bloomington.

Lecz teraz nie był to romantyczny spacer przy świetle księżyca. Była to po prostu szansa przypomnienia sobie tego, co w ich wierze i w ich relacji było dobre, właściwe i naprawdę ważne, i zarazem była to szansa błagania Boga, aby po upływie kolejnych dziesięciu tygodni to wszystko takie dla nich pozostało. Nie towarzyszyło im w tej chwili poczucie przygody, nie doświadczali zachwyty ani nie mieli gęziej skórki na rękach. Czuli jedynie zmęczenie i pewność czekającego ich sztormu, a doskonale wiedzieli, że nie powrócą bezpiecznie do portu swoich ramion bez poszukiwania Boga i siebie nawzajem dzień po dniu, godzina po godzinie.

Tuż za furtką zatrzymali się i stali tak przez chwilę. Dayne wiedział, gdzie zwykle chowali się operatorzy kamer, przyjrzał się więc teraz dokładnie każdemu z tych miejsc i w końcu pokiwał głową. - Pojechali. Jesteśmy sami - oznajmił.

Rozejrzeli się i w zasięgu ich wzroku plaża była pusta, choć Katy wiedziała, że za łukiem linii brzegowej paliły się jak zwykle ogniska i biwakowali surfingowcy. Lecz oni nie stanowili powodu do niepokoju,

ponieważ przybyli tu w poszukiwaniu wysokich fal, a nie gwiazd Hollywood.

Dayne znów ruszył pierwszy, idąc szybko do chwili, aż poczuł pod stopami twardy, wilgotny piasek. - Na północ? - spytał.

- Tak, może być na północ - zgodziła się i zajęła miejsce obok niego. Oboje mieli na sobie krótkie spodenki i bluzy z długimi rękawami. Choć nocne powietrze było chłodne i wilgotne, dawało przyjemne wrażenie po pobycie w domu przez cały wieczór.

Ruszyli dalej i szli w milczeniu, a odgłos uderzających o brzeg fal stanowił jakby naturalne tło dla ich myśli. Idąc na północ, mijali inne ogromne domy i oddalali się od publicznej plaży. O tej godzinie nikt nie był w stanie odróżnić ich od jakiegokolwiek zwyczajnej pary.

Przeszli już dość duży odcinek, zanim Katy uświadomiła sobie, jak cudownie było czuć dłoń Dayne'a w swojej dłoni i mieć palce splecione z jego palcami. - Kocham cię - szepnęła.

- Ja też cię kocham - uśmiechnął się do niej. W słabym świetle odbijającym się od wody zarys jego szczęki wyglądał na bardzo surowy i męski. Nawet tutaj dostrzegało się, jak bardzo był przystojny.

Katy znów zaczęła patrzeć na piaszczysty odcinek plaży rozciągający się przed nimi. Rozumiała, dlaczego fani chcieli znać każdy jego ruch, lecz zastanawiała się, jak to się może skończyć. Odetchnęła głęboko, czując, jak ciężkie, słonawe powietrze wypełnia jej płuca. - Pewnego dnia, prawda? - spytała tajemniczo.

- Hmm? - zamruczał. Odeszli już daleko od ich domu, więc Dayne zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. Potem wziął ją za rękę i spojrzał jej w oczy. - Co pewnego dnia?

- Wtedy skończy się cały ten obłęd, prawda? - odparła i poczuła łzy w oczach. - Znikniemy z centrum uwagi i na dobre wrócimy do Bloomington.

Uczucie żalu odbiło się na jego twarzy, objął ją w talii i przyciągnął do siebie. - Myślałem o tym już chyba z tysiąc razy. Zrobiliśmy przecież takie postanowienie - wyszeptał te słowa, delikatnie muskając policzkiem jej twarz. - I za wszelką cenę musimy go dotrzymać.

- Wiem - przyznała i dotknęła go nosem w szyję. - Właśnie przed chwilą modliłam się, aby tak się stało - powiedziała, uniosła podbródek i napotkała jego spojrzenie. - Żeby nie było tak jak teraz, żebyśmy rok za rokiem nie gonili tylko swoich marzeń, przez cały czas robiąc filmy. I zawsze tylko czekali, kiedy wreszcie pewnego dnia...

Dayne wyglądał tak, jakby te słowa dotknęły go do żywego. - Katy... - jęknął i położył ręce na jej ramionach - tak nie pozostanie na zawsze, to życie filmowe, które teraz mamy... ono się skończy. Obiecuję ci.

- Może - próbowała się uśmiechnąć, lecz ciężar, jaki czuła na sercu, nie pozwolił jej na to. - Ty masz jeszcze zrobić dwa filmy i będzie tak jak teraz: wywiady, paparazzi, pokaz przed-premierowy i ludzie szarpiący cię ze wszystkich stron - wzruszyła ramionami. - Po co mam siedzieć w domu i czekać, aż wrócisz do Indiany? Ja też mogę robić filmy - ciągnęła, stojąc tyłem do oceanu i czując na gołych stopach delikatny dotyk mgiełki dolatującej od spienionych fal uderzających o brzeg.

Dayne zrobił zbolalą minę i powoli pokręcił głową.

- Nie myśl o tym w ten sposób - zaprotestował. - Wymyślimy coś, aby się z tego wyrwać. Nikt przecież nie pozostaje w nagłówkach gazet na zawsze.

- Nikt z wyjątkiem ciebie - odparła i nakryła jego dłonie swoimi. - Dayne'a Matthews'a, obiektu kobiecych westchnień - dodała.

Dayne miał taki wyraz twarzy, jakby chciał odpowiedzieć, lecz zamiast tego zdjął ręce z jej ramion i podszedł kilka kroków w stronę wody. - To zabrzmiało jak wyrok śmierci - stwierdził smutno.

- Nie - zaprotestowała. Podeszła do niego od tyłu i wzięła go pod rękę, tak że oboje stali twarzami do oceanu.

- Wiedziałam, w co się pakuję, kiedy wychodziłam za ciebie. Tylko chyba nie zdawałam sobie sprawy, że to będzie interesowało aż tylu ludzi. Ostatni odcinek „Na serio”...

- przerwała, skrzywiła się i zagwizdała cichutko. - Przecież to była otwarta, bezpardonowa walka między nami.

Dayne nic nie odpowiedział, lecz Katy poczuła, jak całe jego ciało napięło się i natychmiast pożałowała swoich słów. Z tygodnia na tydzień poszczególne odcinki programu stawały się coraz gorsze, dając widzom do zrozumienia, że Katy i Dayne nieustannie spierają się ze sobą, i sugerując, iż jedną z przyczyn trudności występujących między nimi była ich wspólna gra. - To właśnie jest Hollywood - powiedział w ubiegłym tygodniu spiker. - Para aktorów ma dowieść na ekranie, że się naprawdę kocha, a szczególnie dotyczy to takiej pary jak ta, ciągle przeżywającej trudności również poza planem filmowym.

Tabloidy nie zamierzały być gorsze. Nagłówki wprost krzyczały o nadchodzącym spotkaniu Randi Wells i Dayne'a na plaży w Meksyku. Katy napatrzyła się na taką liczbę nagłówków typu „Kłopoty w raju”, że przestała

już niemal całkowicie zwracać na nie uwagę. Pomyślała, że może to było dla niej najlepsze rozwiązanie. Powiedziała sobie, że kolorowe pisma przestaną mieć na nich jakikolwiek wpływ, jeśli tylko nie będą ich czytać.

Dayne zrobił kolejny krok w stronę oceanu i skrzyżował ręce na piersi.

Katy nie chciała go urazić. Wsunęła się pod jego lewe ramię, a potem objęła go rękami w pasie i splotła palce tuż ponad jego biodrem. - Przepraszam - szepnęła i pocałowała go w policzek. - To nie jest twoja wina.

- Nie - rzekł, oparł się lekko o nią, lecz cały czas patrzył się w stronę wody. - A więc o to chodzi, tak? - spytał po chwili i podbródkiem dotknął delikatnie czubka jej głowy. - Ty będziesz robiła filmy... i ja też. A dzień, na który tak czekamy, nigdy nie nadejdzie.

- Wydaje się on bardzo odległy - stwierdziła i przesunęła się wokół niego, stając z nim twarzą w twarz. - Hej... spójrz na mnie - poprosiła.

Rozczarowanie odbijające się na jego twarzy pogłębiło niewielkie bruzdy zmarszczek przy narożnikach jego oczu.

- Myślę o Ashley i Landonie - mówił - o tym, jak trwali blisko siebie tamtego dnia w szpitalu. Mieli za co wściekać się na Boga i na całą tę sytuację, a także na rodzinę, która w pewien sposób obawiała się, jak sobie poradzą...

Katy przysunęła się do niego jeszcze bliżej i poczuła, jak jego klatka piersiowa wznosi się i opada przy oddechu.

- Ale nie czuli wściekłości - zauważyła.

- Dziś wieczorem coś mi się przypomniało - powiedział, znów spojrzawszy w stronę wody i zacytował: - „Za pełną radość poczytujcie to sobie, bracia moi...”

- „... ilekroć spadają na was różne doświadczenia” - podchwyciła Katy, zamykając oczy.

- „Wiedźcie, że to, co wystawia waszą wiarę na próbę, rodzi wytrwałość” - głos Dayne'a był cichy i pełen emocji.

- „Wytrwałość zaś winna być dziełem doskonałym, abyście byli doskonali, nienaganni, w niczym nie wykazując braków” - dokończyła Katy.

- Właśnie - rzekł Dayne i zaczerpnął powietrza. - Tacy byli Ashley i Landon tamtego dnia, byli obrazem niezłomnej wiary rozumiejącej czas próby. Z każdym kolejnym uderzeniem serca ich mała córka oddalała się od nich, umierała, a oni uśmiechali się - wspominał, mrużąc oczy, wyraźnie wstrząśnięty tym obrazem z niedalekiej przeszłości. - Oni potrafili kochać małą Sarah pełni radości pomimo tej tragicznej sytuacji.

Poczucie winy zaczęło wstrząsać duszą Katy. Cofnęła się, opuściła ręce i powiedziała: - Myślisz, że skoro oni potrafili przetrzymać takie cierpienie...

- ...to my powinniśmy poradzić sobie z tym, co przed nami? - dokończył za nią, objął ją ramionami i przycisnął do siebie. - Tak, właśnie o tym myślałem.

Potem dość długo stali w milczeniu.

Minęły minuty, zanim kolejna myśl rozświetliła ciemności duszy uzalającej się nad sobą Katy. Dlaczego była taka krótkowzroczna, tak bardzo owładnięta lękiem o swoją przyszłość? Dlaczego sądziła, że znajdowała się aż w tak trudnym położeniu? W porównaniu z tym, przez co musiała przejść Ashley, jej problemy wydawały się tak niewielkie, że kiedy zdała sobie z tego sprawę, zrobiło jej się niedobrze i jednocześnie ogarnęła ją złość na samą siebie.

Dayne miał rację i teraz Katy dziwiła się, że nie dostrzegała tego wcześniej. Cokolwiek ich czekało, było to nieporównywalne z cierpieniem związanym z utratą dziecka. To prawda, że wiele dni mieli spędzić bez siebie, lecz oboje z Dayne'em będą przecież zarabiać miliony dolarów podczas pracy nad swoimi filmami, a w tym czasie specjalne ekipy będą dbały o ich wygodę. I pomimo napastliwych nagłówków w kolorowych magazynach będą uwielbiani przez tysiące fanów.

Katy zalała fala wstydu i nagle poczuła, że musi uwolnić się z objęć Dayne'a i samotnie stanąć przed Bogiem z tym nowym zrozumieniem, które zrodziło się w jej sercu.

Odwróciła się i ruszyła powoli w stronę oceanu, aż poczuła na stopach dotyk spienionej wody. Potem, splótszy przed sobą ręce, spojrzała w dal na ledwie widoczny szary horyzont. Boże - modliła się - byłam taka udręczona... Zachowywałam się tak, jakbym była jedyną osobą na świecie, która ma jakieś problemy. Jak mogłam tak myśleć? Wyobraziła sobie Ashley i Landona trzymających w ramionach umierającą córeczkę i uśmiechających się. Zwiesiła głowę. Przepraszam, Panie. Przebacz mi - dodała.

Nie słyszała, jak z tyłu podszedł do niej Dayne, ale wiedziała, że się do niej zbliżył. Zanim zdążył ją dotknąć, poczuła na swojej szyi jego ciepły oddech.

Jego ręce objęły ją w talii, a ciepło jego szerokich ramion osłoniło ją od chłodnego powietrza dolatującego znad oceanu. - Jeśli oni mogli przejść przez tamto, to my możemy przejść przez to - powiedział.

- Wiem - odparła. Obróciła się w jego ramionach i nagle zapragnęła go pocałować i wtulić się w niego. Przysunęła się bliżej męża, podniosła usta do jego ust i po chwili zostali owładnięci zapierającą im dech w piersiach namiętnością. - Przepraszam - wyszeptała, spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich zrozumienie, jakiego tak gorąco pragnęła. - Byłam taką pesymistką, Dayne.

Lekki uśmiech, który początkowo delikatnie uniósł kąciki jego ust, niebawem rozjaśnił mu całą twarz. - O to się właśnie modliłem - wyznał. - A teraz stoimy oboje na plaży i zamiast kłócić się ze sobą, świętujemy ostatnią wspólną noc przed rozstaniem - odchylił lekko głowę do tyłu i starając się, aby szum fal nie zagłuszył jego słów, głośno powiedział: - Boże, dziękuję Ci!

Przez chwilę śmiali się razem, czego ostatnio nie robili zbyt często, a potem ruszyli spacerowym krokiem w stronę domu, trzymając się za ręce, uwolnieni od ciężaru lęku, który oboje czuli na swoich barkach, odkąd opuścili Bloomington. Po drodze zatrzymywali się co kilkanaście metrów i całowali się, obiecując sobie, że będą do siebie telefonować i pamiętać o radości, o której mówiła Biblia. Dojście do domu zajęło im pół godziny, a kiedy się tam już znaleźli, Katy poczuła, jakby otrzymali drugą szansę, dzięki której znacznie łatwiej przetrwają nadchodzące miesiące.

U stóp schodów prowadzących z plaży do ich domu Dayne znów przyciągnął ją blisko do siebie. - Będę za tobą tęsknił przy każdym oddechu - szepnął.

- Kiedy zamkniesz oczy - odparła, dotykając ustami jego ust - będę tam, zawsze.

Potem wspięli się po schodach na górę, weszli do ciemnego domu i udali się prosto do sypialni z tarasem wychodzącym na ocean. Długo modlili się na głos, prosząc Boga aby ich chronił, prowadził i przyspieszył ten dzień, kiedy znów będą razem. Potem padli sobie w ramiona, kontynuując to, co przerwali na plaży. Słyszając delikatny odgłos fal uderzających o brzeg i mając świadomość, że za kilka godzin Katy wsiądzie na pokład samolotu, spędzili razem taką noc, jaką można opisać tylko w jeden sposób.

Jako pełną, pochodzącą od Boga radość.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kolacje z udziałem Kari, Ashley, Brooke i ich rodzin zdarzały się ostatnio coraz częściej, a ich powodem wcale nie były zaproszenia do domu Baxterów kierowane do nich przez ojca. Mimo takiej liczby małych dzieci i mimo zmian zachodzących w życiu ich taty Brooke cieszyła się, że znajdowali czas, aby się spotykać.

Kiedy się zjeżdżali, tak jak dzisiejszego październikowego sobotniego wieczoru w domu Kari i Ryana, wszystkim udzielała się ta niesamowita atmosfera, pełna miłości i radości z przebywania razem. I właśnie z tej wypełnionej miłością, niecodziennej atmosfery znana była zawsze rodzina Baxterów. Tę miłość - także podczas dzisiejszego spotkania - przekazywano dalej kolejnemu pokoleniu.

Było już po kolacji i trzy małżeństwa siedziały w salonie, popijając kawę. Kari trzymała na rękach śpiącą malutką Annie, a miejsce obok niej zajmował Ryan.

- Ona jest córeczką tatusia - powiedział Ryan i dotknął drobnego podbródka dziewczynki. - Ale boję się, że ona rośnie za szybko.

Brooke rzuciła w stronę Ashley dyskretne spojrzenie, lecz jej siostra zareagowała jedynie śmiechem na ten komentarz. Nie było widać, aby towarzystwo malutkiej Anne Elizabeth sprawiało Ashley choćby najmniejszą przykrość, choć było czymś oczywistym, że obecność dziewczynki musiała nieustannie przypominać jej o ogromnym cierpieniu, jakim była strata Sarah.

- Ona jest naprawdę urocza - stwierdziła Ashley, trzymając rękę na kolanie męża, po czym wstała i przeszła przez pokój. Przez kilka sekund przyglądała się śpiącej dziewczynce, a potem uśmiechnęła się do Kari i powiedziała: - Ona jest podobna do mamy.

- Ale to tylko do czasu, kiedy zacznie wyglądać tak jak ja - Ryan uśmiechnął się do Ashley, a potem do reszty zebranych. - Żartowałem. Przecież chyba nie chcemy, żeby taka mała dziewczynka była zbudowana jak zawodnik futbolu.

- Chociaż... - wtrącił Peter, unosząc w górę palec - ostatnio gdzieś czytałem, że coraz więcej dziewczyn dostaje pełnopłatne stypendium za osiągnięcia w grze w piłkę nożną.

- Jakoś... - zaczął ponownie Ryan, pochylając się nad córeczką i patrząc na nią wyraźnie rozbawiony - nie mogę sobie jej wyobrazić na bramce.

- Byłbyś zaskoczony - Kari puściła oko do męża. - Piękne dziewczyny też grają w piłkę nożną.

- Tak! - zawołała Maddie, wbiegając do salonu. Położyła ręce na biodrach, wysunęła do przodu podbródek i powiedziała: - Ja jestem piękna i gram w piłkę nożną.

- No i mamy przykład - podchwycił Peter, usadawiając się wygodnie na sofie.

- Czy wszystko w porządku, kochanie? - spytała Brooke, przesuwając się na brzeg kanapy, opierając na kolanie filiżankę z kawą i spoglądając na najstarszą córkę.

- Tak naprawdę to nie - odparła dziewczynka, patrząc z oburzeniem w oczach w stronę Ashley. - Cole zabrał kredki i nie chce się nimi z nikim podzielić, chociaż mówiłam mu, że grzeczni chłopcy powinni się dzielić.

Ashley odwróciła się od małej Annie i zrobiła zmartwioną minę. - No to mamy problem - oznajmiła.

- To samo mu powiedziałam - odparła triumfalnie Maddie i potrząsnęła z wyższością głową. - Powiedziałam mu, że będzie miał wielki, ale to wielki problem, kiedy naskarże na niego.

- A ona jest skarżypytą! - z sąsiedniego pokoju doleciał ich głos Cole'a.

Brooke powstrzymała się od śmiechu i podobnie zrobili Ryan, Kari i Peter.

Ashley wymieniła spojrzenia z Landonem i nie mówiąc słowa, kiwnęła głową i wstała. - Synu, przyjdź tutaj, proszę! - nakazała.

Czas spędzany razem zwykle był zakłócany sprzeczkami wśród dzieci. Dzisiaj, gdy maluchy zgromadziły się przy kilku stołach, aby narysować obrazki przedstawiające jesień do udekorowania domu dziadka Baxtera, od początku było prawie pewne, że coś się wydarzy. Mimo to Brooke uwielbiała tę tradycję. Od paru lat wnuki zbierały się w jednym z domów i rysowały dynie, zbiór kukurydzy, drzewa pełne czerwonych i pomarańczowych liści i pieczonego indyka przygotowywanego na Święto Dziękczynienia. Zgodnie z tradycją obrazki miały zostać powieszony w jadalni w domu Baxterów, aby udekorować to miejsce na Święto Dziękczynienia.

Maddie zacisnęła usta i czekała, aż jej kuzyn wejdzie do pokoju.

Kiedy Cole wszedł do salonu, miał ściągnięte brwi i uniesione ręce, jakby nie mógł być już bardziej skonsternowany. - Maluję kukurydzę - oznajmił. - Muszę mieć dużo kolorów, co w tym dziwnego?

- To w tym dziwnego - odparła Maddie - że ja próbuję pomalować moją dynię, ale...

- Szesz... - przerwała Brooke, przykładając palec do ust, spoglądając na Maddie i kręcąc głową. - Pozwól się tym zająć wujkowi Landonowi.

Maddie wyglądała tak, jakby chciała się dalej sprzeczać, lecz po chwili kiwnęła głową, robiąc grzeczną minę; nie miało się wątpliwości, kto był ofiarą. - Tak, mam - dodała.

- Ile jest tam dzieci? - spytał Landon, kładąc rękę na ramieniu Cole'a.

Cole myślał przez chwilę, a potem zaczął liczyć na palcach. - Ja i Devin, Hayley i Maddie - wypowiedział to ostatnie imię głośniej i rzucił kuzynce szybkie spojrzenie.

- Także Jessie i RJ. Ale Devin jest w kojcu, więc się nie liczy. W takim razie maluje nas tam pięcioro.

- Skoro więc masz wszystkie kredki na swoim krześle, to czy zachowujesz się w porządku wobec twoich kuzynów? - spytał retorycznie Landon.

Cole uśmiechnął się szyderczo do Maddie. - Ona nie potrzebuje tych wszystkich kolorów - rzucił. - Ona potrzebuje tylko pomarańczowego. Dynie są pomarańczowe.

- Ale na niebie na moim obrazku jest akurat zachód słońca! - zawołała Maddie, robiąc parę kroków w stronę Cole'a. - Dlatego potrzebuję wszystkich. Zachody słońca mają miliony kolorów.

Dorośli zebrani w salonie pokiwali głowami, nie mogąc nie zgodzić się z logiką wypowiedzi.

Landon zniżył się, aby jego głowa znajdowała się bliżej twarzy Cole'a. - Rozmawialiśmy o tym wcześniej, synu - przypomniał. - Ludzie w tym pokoju są twoimi najlepszymi przyjaciółmi. Najlepszymi przyjaciółmi, jakich kiedykolwiek będziesz miał.

Cole wyglądał tak, jakby nie był o tym do końca przekonany. - Lepszymi niż Avery ze szkoły? - upewnił się.

- Tak - odparł Landon, wyprostował się i spojrzał na Ashley. - Nawet lepszymi niż Avery - dodał.

Brooke odwróciła się w stronę Petera. To, co mówiły dzieci...

Lecz Landon jeszcze nie skończył. - Nawet kiedy będziesz miał osiemdziesiąt lat, rodzeństwo i kuzyni wciąż będą twoimi najlepszymi przyjaciółmi - powiedział. To, co nastąpiło później, zostało uzgodnione przez dorosłych już dawno. - A teraz - ciągnął - idźcie z Maddie sami do

kuchni i nie wychodźcie stamtąd, dopóki nie zaczniecie się zachowywać jak najlepsi przyjaciele.

Mina Cole'a zrzędała, lecz przecież wiedział, że nie należało się sprzeczać. Kiwnął głową na Maddie i powiedział:

- No chodź. Musimy jakoś się dogadać.

Maddie spojrzała bezradnie na Brooke i poszła za Cole'em. Gdy wyszli z salonu i powoli przemierzali hol w stronę kuchni, ich głosy stawały się coraz bardziej odległe.

- Dobra robota - stwierdziła Brooke, uśmiechając się do Landona. - To niesamowite, jak ten chłopak cię słucha.

- To dobre dziecko - zaśmiał się Peter. - Tylko Maddie ma jakiś sposób na to, jak obudzić w nim najgorsze cechy.

- Na razie - wtrąciła Ashley, znów zajmując miejsce obok Landona. - Pewnego dnia oni naprawdę będą najlepszymi przyjaciółmi. Wszyscy koledzy Cole'a będą myśleć, że Maddie jest najfajniejszą dziewczyną w szkole.

- To takie niesamowite - zauważyła Kari, mówiąc ciszej od innych z powodu śpiącej na jej rękach Annie - patrzeć, jak wzrastają, a potem idą razem do szkoły.

Brooke znów z lekką obawą sprawdziła minę Ashley, lecz jej siostra nie przestawała się uśmiechać.

- Żałuję tylko, że Erin, Sam i ich dziewczynki nie mogą tutaj mieszkać - stwierdziła Brooke. - Tata byłby przeszczęśliwy, gdybyśmy wszyscy mieszkali w jednym miejscu.

- A skoro już mówimy o tacie... - podchwyciła Kari, przenosząc wzrok z Ashley na Brooke. - Czy rozmawiał już z wami... o Elaine?

- Dzwonił do mnie wczoraj - wyznała Brooke, biorąc Petera za rękę i spoglądając na niego porozumiewawczo.

- Nie byliśmy wcale zaskoczeni tym, co miał nam do powiedzenia.

- My też się tego spodziewaliśmy - potwierdził Ryan, objął Kari ramieniem i uśmiechnął się smutno do pozostałych. - Cieszę się, że na to się zdecydował.

Jedynie Ashley wyglądała na zdezorientowaną. Spojrzała na Landona i spytała: - Czy on dzwonił do nas?

- A nie mówiłem ci? Przepraszam, Ash... myślałem, że ci powiedziałem - odparł Landon i odchrząknął. - Zadzwoił, żeby powiedzieć, że znów

spotkał się z Elaine i jeśli nie mamy nic przeciwko temu... myśli o tym, żeby poprosić ją o rękę.

Ashley zrobiła skonsternowaną minę. Podniosła ręce do góry i zawołała: - Wspaniale! I ja dowiaduję się o tym ostatnia.

- Oczywiście, zwykle wiedziałaś pierwsza - uśmiechnęła się do niej Kari. - Pamiętasz, na ile wcześniej przed nami dowiedziałaś się o Daynie.

- To prawda - zachichotała Ashley. - Poza tym, o tym też już wiedziałam - dodała, a wyraz jej twarzy zmienił się.

- Kilka tygodni temu odbyłam z nim poważną rozmowę - wyjaśniła.

- Tylko nie mów mi, że go do tego namawiałaś! - zawołała Kari w równym stopniu radosnym, co i zaskoczonym głosem.

- Miałam wrażenie, że od rocznicy ślubu jego i mamy jakby snuł się z kąta w kąt z nieszczęśliwą miną. Zastanawiałam się nawet, dlaczego tak się ostatnio odmienił.

Ashley zrobiła zatroskaną minę. - Nie mogłam pogodzić się z myślą, że pozostanie samotny przez następne dwadzieścia lat - wyznała. - To przecież nie wróciłoby nam mamy.

- A przecież ona nie chciałaby tego dla niego - wtrąciła Brooke pełnym współczucia tonem. Jeszcze przed rokiem taka rozmowa przebiegałaby wśród gwałtownych emocji czy wręcz po prostu byłaby nie do pomyślenia. Lecz teraz widocznie upłynęła już wystarczająca ilość czasu. Każdy z nich zdążył w pełni zaakceptować relację ich ojca i Elaine.

- Czyżby zamierzał zrobić to w weekend? - spytała Ashley, krzyżując przed sobą ręce. - Bo skoro wszyscy już o tym wiecie...

- Nie - zaśmiał się Ryan, a obok niego w ramionach Kari poruszyła się Annie. - Nie sądzę, że będzie działał tak szybko. Powiedział nam, że wciąż ma wiele spraw do przemyślenia.

- Wydaje mi się, że zależało mu na tym, abyśmy wiedzieli, iż znów spotyka się z Elaine - rzekł Peter i kiwnął głową.

- Powiedzieliśmy mu, że wszyscy cieszymy się z tego.

Nagle z sąsiedniego pokoju doleciał śmiech Maddie.

- Przestań, Coley - wołała. Po chwili oboje pojawili się w drzwiach do salonu, trzymając się za ręce. - Widzisz, mamusiu - powiedziała Maddie, uśmiechając się słodko. - Ja i Cole znów jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Tylko że on ciągle mnie łaskocze.

Cole uśmiechnął się do Landona. - Bo rozśmieszanie dziewczyn to najlepszy sposób, aby się z nimi pogodzić! - zawołał, a mężczyźni obecni w salonie od razu przyznali mu rację.

Brooke wskazała na sąsiedni pokój. - To co, może dołączycie do pozostałych? - zaproponowała.

- I tym razem może mieć każdy kolor słońca, jaki zechce - powiedział Cole, przecierając czoło wierzchem dłoni. - Przy tych dziewczynach to trzeba się narobić - dodał.

- I tu masz rację - rzucił szybko Peter, a potem spojrzał na Brooke, udając przerażenie.

Wszyscy w salonie, włącznie z Brooke, wybuchnęli śmiechem. Nie mogła gniewać się na niego. Spojrzała tylko na męża i zdumiała się, jak bardzo poprawiła się ich relacja od czasu, kiedy Hayley omal nie utonąła. Wówczas, w tamtych latach, była prawie pewna, że już nigdy nie będą spędzać ze sobą takich wieczorów jak ten, pełnych miłości i śmiechu. Przemiana, jaka dokonana się w ich małżeństwie, była dla niej dowodem na to, że Bóg nie tylko w cudowny sposób uratował życie ich córce.

On uratował całą ich rodzinę.

Śmiali się jeszcze, gdy zadzwonił telefon. Kari siedziała przy ostatnim stole, więc oddała Annie Ryanowi i sięgnęła po słuchawkę. Zakrywając dłonią jedno ucho, przycisnęła telefon do drugiego. - Słucham? - odebrała.

Po drugiej stronie linii zapanowała cisza. - Wygląda na to, że świetnie się beze mnie bawicie - powiedziała po chwili Erin, a w jej głosie słychać było ogromną radość, więc Kari też się zaśmiała. - Czy jesteście tam wszyscy w komplecie?

- Tak jest! - zawołała Kari i machnęła do pozostałych.

- To Erin!

Wszyscy w salonie zaczęli się przekrzykiwać w pozdrowieniach.

- Jedliśmy razem kolację - poinformowała Kari. - A teraz pilnujemy dzieci.

- A... to przecież moja pełnoetatowa praca! - zażartowała Erin.

- Właśnie - Kari zaśmiała się ponownie. Było tak głośno, że Annie znów się przekręciła, lecz tym razem w dodatku otworzyła oczy. - Och, obudziłam dziecko. Będę miała zajęcie.

- Dobrze wiedzieć, że nie jest to tylko moje zmartwienie - Erin przez cały czas mówiła w taki sposób, jakby przepełniała ją radość. - Słuchaj... mam do was jedno pytanie.

- Dobrze - odparła Kari, a pozostali trochę się uciszyli.
- Chcesz, żebym przełączyła telefon na głośne mówienie?
- Jasne - po głosie słychać było, że Erin nie może spokojnie usiedzieć.

Kari nacisnęła odpowiedni przycisk w bazie telefonu i odłożyła słuchawkę. - Już cię wszyscy słyszą - poinformowała Kari.

- Dobrze, a oto moje pytanie - Erin zawahała się na chwilę. - Jeśli w przyszłym roku dalej będziecie organizować takie kolacje, czy możecie dostawić jeszcze jeden stolik dla dzieci?

Kari spojrzała na Ashley, a potem na Brooke. - Chcesz powiedzieć, że może zabraknąć nam miejsca przy stole? - spytała Kari.

- Chcę powiedzieć... - zapiszczała Erin - że Sam zostanie przeniesiony do biura w Indianapolis, i to od 1 czerwca przyszłego roku!

Ledwie Erin dokończyła zdanie, salon wypełnił się okrzykami radości, wiwatami i oklaskami. Ashley i Brooke zerwały się ze swoich miejsc i przebiegły przez pokój do telefonu.

- Mówisz poważnie? - dopytywała Ashley, zaczesując sobie włosy za ucho i nachylając się ponad stołem. - Na pewno nie żartujesz?

- Oczywiście, że mówię poważnie! - zawołała w odpowiedzi Erin. - Modliłam się o to od dnia wyjazdu!

Ashley wydała z siebie okrzyk radości, a potem uścisnęła kolejno Brooke i Kari. Przez całe to zamieszanie i panujący w salonie hałas Annie zaczęła płakać, a potem jej płacz przeszedł w przenikliwe zawodzenie.

- Może lepiej idź do niej, porozmawiamy później - śmiała się głośno Erin. - Nie mogła trochę poczekać? - zażartowała.

Pomimo głośnego płaczu Annie w salonie słychać było kolejne gratulacje.

Kari znów wzięła Annie na ręce. - Jest głodna. Za chwilę wracam - powiedziała, przytuliła córeczkę do siebie i odeszła pospiesznym krokiem do sypialni. Karmienie dzieci sprawiało jej wielką radość, a Annie jadła wyjątkowo dobrze. Usiadła w bujanym fotelu przy oknie i ułożyła wygodnie małą.

Kari dotknęła córeczkę w policzek. - Bóg zajął się wszystkim, kochanie. Nawet tym, co wydawało się niemożliwe - szepnęła.

Pomyślała o Ashley. Jej siostra radziła sobie ze stratą Sarah lepiej, niż mogli przypuszczać. Uwielbiała Annie i naprawdę cieszyła się szczęściem Kari i Ryana. Pewnego dnia, jeśli Bóg pozwoli, Ashley znów urodzi córeczkę. Kari cały czas się o to modliła. Modliła się też za swoich braci, z których każdy, choć w inny sposób, zmagał się z trudnościami w swoim

małżeństwie. Lecz jedna z modlitw została już wysłuchana. W następne lato Erin i Sam wrócą w ich strony!

Kari była tak szczęśliwa, że musiała zamrugać, aby powstrzymać łzy. Miała tylko nadzieję, że gdzieś w niebie jej mama mogła dzielić z nimi tę radość. Wciąż były pewne sprawy, które wymagały uporządkowania, z pewnością jeszcze kolejne dzieci przyjdą na świat w ich rodzinach, niektóre sprawy w ich małżeństwach wymagały przemiany. Może nawet czekał ich w najbliższej przyszłości jeden ślub. Lecz dzisiaj Kari mogła się tylko cieszyć. Ponieważ choć nie spełniło się jeszcze wszystko, o co się modliła, jedno było pewne.

Dzięki radosnej nowinie, którą przekazała im Erin, zyskała jakby nową nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży.

RS

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Landon, grał w karty z trzema innymi strażakami w jednostce straży pożarnej w Bloomington i jednocześnie próbował zakończyć rozmowę telefoniczną.

- No przestań, Blake! - zawołał Seth, kolega siedzący naprzeciwko niego, unosząc w górę rękę i opuszczając ją na stół, poirytowany. - Rozmawiasz już chyba dłużej niż jakiś małolat.

Landon zakrył mikrofon telefonu. - Zaczekaj chwilę - szepnął i spojrzał na dwóch pozostałych. - Już prawie skończyłem.

- Jasne, jasne - strażak siedzący po jego prawej stronie odłożył karty, wstał i przeciągnął się. - Muszę napić się kawy - oznajmił. - O piątej zawsze robię się śpiący.

Landon rozmawiał ze swoimi szwagrami: Ryanem i Peterem. Próbowali we trzech umówić się na ryby. John też miał się z nimi wybrać i choć zgłosił swój udział jako ostatni, nie utrudniał im zadania, ponieważ od najbliższego weekendu przez cały następny miesiąc pasowała mu każda sobota.

- Mówię wam, że powinniśmy pojechać w tym tygodniu - zaśmiał się Peter. - Inaczej okaże się, że dla Ryana będzie za zimno.

- Chyba sobie żartujesz? - zaprotestował szybko Ryan.

- Połowę życia spędziłem na boisku. Nie wiesz, co to zimno, dopóki nie wyłożysz się na zmrożonym boisku.

- No dobrze, ale chyba nie chcemy wędkować na lodzie - zażartował Peter, a w tle słychać było odgłos przewracanych kartek kalendarza. - Nie umawiamy się dopiero na listopad.

Landon miał powiedzieć, że zgadzał się z Peterem. Nadchodzący weekend pasowałby mu najlepiej i jeśli pojechaliby trochę później, Cole mógłby wybrać się z nimi. Mecz piłki nożnej z udziałem jego syna miał rozpocząć się o dziesiątej, co oznaczało, że już koło południa mogliby pojechać nad jezioro Monroe i zostać tam aż do wieczoru.

Lecz zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, rozległ się alarm przeciwpożarowy. Wycie syreny natychmiast poinformowało ich, co mieli przed sobą.

- Pożar budynku, panowie! - zawołał jeden z mężczyzn, rzucając karty i wyciągając z kieszeni krótkofalówkę. Po chwili usłyszał adres od dyspozytora.

- Muszę lecieć - rzucił Landon, wyłączył telefon i pobiegł z kolegami do garażu, gdzie na hakach obok wozów strażackich wisiał ekwipunek. Dzwonek wzywał oba zespoły, więc w tym samym czasie z drugiej strony wpadło do garażu czterech innych strażaków.

Landon miał dzisiaj w razie potrzeby udzielać pierwszej pomocy, i choć dotychczas wezwanie nie mówiło nic na ten temat, musiał jako pierwszy zjawić się na miejscu pożaru. Jego palce poruszały się zręcznie przy zapinaniu kombinezonu i zaciskaniu paska pod brodą. Wspiął się do wozu od strony kierowcy w chwili, gdy podniosły się masywne drzwi garażu. - Gdzie jedziemy? - spytał.

Seth zajął miejsce obok niego. Pełnił obowiązki pomocnika odpowiedzialnego za kontakt z dyspozytorem i ustaleniem miejsca pożaru. - Na południe w stronę autostrady - rzucił w odpowiedzi. Choć byli wyposażeni w system nawigacji GPS, to strażacy w jednostce w Bloomington, pracując w niej od lat, najczęściej rozpoznawali miejsce pożaru, zanim wprowadzili adres do systemu nawigacyjnego.

Syrena została już włączona i teraz Landon jechał wozem strażackim na południe w stronę 4 Ulicy. Skręcił w lewo w kierunku uniwersytetu, a Seth zadał kilka kolejnych pytań dyspozytorowi. Po chwili zwrócił się do Landona: - To jeden ze starych domów na ulicy Dillman. Skręć w lewo tuż przed autostradą.

Ulica Dillman? - Landon zadrżał, a serce od razu mu przyspieszyło. Na ulicy Dillman znajdował się dom Baxterów. Ale przecież to nie mógł być ten budynek. Na tej starej ulicy znajdowało się wiele domów. Nie było powodu, aby myśleć, że wezwanie dotyczyło właśnie...

Seth zapisał numer ulicy, wypowiadając go głośno, i zawołał: - Blake, to chodzi o dom Baxterów! Jestem pewien.

Adres wciąż jeszcze dźwięczał w głowie Landona.

- Tak, to on - potwierdził krótko. Palił się dom Baxterów, ten sam, w którym wychowała się Ashley i jej rodzeństwo.

O tej porze John Baxter mógł przebywać w domu. W środku mogła nawet być Ashley pracująca nad jakimś obrazem. A jeśli ona tam była, to były tam też dzieci. Bez wątplenia siedziały na dole przed telewizorem. Boże Drogi, pomóż nam - przemknęło mu przez myśl. Ścisnął mocniej kierownicę i zaczął robić to, co jedynie mógł zrobić przed dotarciem na miejsce pożaru.

Zaczął się modlić.

Ten dzień spędzony w pracy w szpitalu był dla Johna lżejszy niż zazwyczaj. W poniedziałki miał zawsze obchód w szpitalu i zwykle przyjmował też paru pacjentów w swoim gabinecie. Ostatnio krążyła grypa, więc dodatkowo kilkoro noworodków należało poddać badaniom kontrolnym. Podczas pobytu w szpitalu wstąpił też zobaczyć, jak się miewa pacjent Brooke, Ethan Teeple. Chłopiec był w bardzo poważnym stanie, lecz jego uśmiech zawsze powodował, że John odczuwał ciepło na sercu. Jeśli ktoś miał pokonać białaczkę, to tą osobą z pewnością był Ethan. John często modlił się za chłopca.

Wyjechał z parkingu przyszpitalnego i skręcił na wschód w 2 Ulicę. Dojeżdżał już do uniwersytetu, gdy dwa wozy strażackie na sygnale przemknęły przez skrzyżowanie i jechały dalej na południe w jego stronę. Zjechał więc na bok i zatrzymał się, czekając, aż oba pojazdy miną go. Bądź z nimi, Boże - pomodlił się w duchu. Proszę, bądź z nimi.

Zawsze modlił się za strażaków w mieście, ponieważ oni naprawdę tego potrzebowali. Lecz teraz, kiedy w jednostce w Bloomington pracował jego zięć, modlił się za nich z wyjątkową determinacją. Próbował sobie przypomnieć, czy Landon miał dzisiaj służbę.

Gdy ruch uliczny został wznowiony, John zajął odpowiedni pas jedni i skręcił w prawo w stronę uniwersytetu. Nacisnął przełącznik stałej prędkości i wyciągnął do przodu prawą nogę. Weekend był naprawdę miły - bardziej udany niż wcześniej mógł mieć nadzieję. Zarówno w piątek, jak i w sobotę pojechali z Elaine na kolację. Na wspomnienie o tym uśmiechnął się. Przebaczyła mu i może właśnie to było najdziwniejsze ze wszystkiego.

Po rozmowie z Ashley zatelefonował do Elaine i wyjaśnił jej, że czuje się winny wobec niej. - Mam mętlik w głowie, tyle wiem - powiedział jej.

Trzymał kierownicę jedną ręką i jechał z podobną prędkością co inne samochody poruszające się w tę samą stronę. Wozy strażackie odjechały już zbyt daleko, aby je mógł zobaczyć. Znów uśmiechnął się do siebie. Ciągłe nie mógł uwierzyć w reakcję Elaine na jego przeprosiny tamtego wieczoru. Po raz kolejny próbował wycofać się z ich przyjaźni, a ona zareagowała w ten sam sposób co zawsze.

Poprzednim razem to także Ashley wpadła na pomysł, aby mogli spotkać się z Elaine, i stało się to podczas ostatniego etapu remontowania domu Katy i Dayne'a.

Od tamtej pory wszystko układało się bardzo dobrze aż do rocznicy ślubu jego i Elizabeth. - Wydaje mi się, że zacząłem siebie rozumieć - powiedział Elaine.

Nie była na niego zła, a w jej głosie usłyszał jedynie współczucie. - Rozumiem - powiedziała. - Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek nastąpi taka chwila. Ty już przecież przeżyłeś niezwykłą miłość w swoim życiu. Może raz wystarczy - jej empatia tak go wzruszyła, że jeszcze wzmogła to, co do niej czuł.

John patrzył przed siebie na drogę, radując oczy znajomym widokiem. Nie było jeszcze ciemno i mógł zachwycać się jaskrawo pomarańczowymi i czerwonymi liśćmi na drzewach. Na tle błękitnego nieba wyglądały olśniewająco pięknie. Dopiero wówczas dostrzegł w oddali smugę czarnego dymu.

Jechał dalej, mijając ulicę Winslow, i kiedy dojeżdżał do ulicy Rhorer, zaczął widzieć dym wyraźniej, pomyślał też, że znajduje się mniej więcej w tej części miasta, w której sam mieszkał. Wtedy poczuł pierwsze oznaki niepokoju. Czyżby to było u kogoś z jego sąsiadów? Czarna smuga była wystarczająco duża, aby wskazywać na pożar domu. John widział w swoim życiu kilka pożarów, widział je wystarczającą liczbę razy, aby po wysokości słupa dymu rozpoznać wagę pożaru.

Minął Chuch Lane i kiedy droga, którą jechał, zaczęła skręcać w prawo, przez cały czas zerkał w bok na kłębiący się dym. Boże Drogi - znów zaczął się modlić - uratuj tych ludzi, którzy są w środku. Proszę...

Tym razem nie usłyszał żadnej odpowiedzi, poczuł jedynie nagłą potrzebę, aby jechać szybciej, aby dotrzeć do domu i przekonać się, jak blisko od jego posesji wybuchł pożar. Pojechał skrót ulicą Empire i skręcił w lewo w Dillman. To, co potem ujrzał, zaparło mu dech w piersiach. Choć wozy strażackie stały ledwie widzialne na końcu ulicy, nie miał wątpliwości, czyj dom się palił. To palił się jego dom.

Nacisnął mocniej nogą pedał gazu i kiedy dojechał do swojego podjazdu, zobaczył, jak czerwone płomienie ogarnęły część dachu znajdującą się z tyłu domu. Dwa wozy strażackie stały na końcu podjazdu i gdy John podjechał do nich i zaparkował obok, ujrzał strażaków próbujących walczyć z żywiołem, lejących na ogień strumienie wody.

Serce waliło mu jak młot i z trudem panował nad ogarniającym go przerażeniem. W swojej lekarskiej karierze tyle razy stykał się z wypadkami, że trudno byłoby je zliczyć. Lecz teraz, kiedy na jego oczach palił się jego

własny dom i to wszystko, co miał w nim cennego, ledwie mógł łapać oddech.

Ruszył już w stronę domu, gdy podbiegł do niego Landon. Wprawnym ruchem zdjął hełm i spojrzał na niego zboląłym wzrokiem. - Nie mogę zlokalizować Ashley - rzucił prędko. - Przebiegłem już po domu, ale nie mogę jej znaleźć.

- Nie ma jej tutaj - odparł John pewnym siebie głosem. Rozmawiał z nią jakieś pół godziny wcześniej. - Poszła kupić ubranka dla Devina.

Ciało Landona rozluźniło się i lekko obwisło z widoczną ulgą, lecz minę miał ciągle ponurą. - Chciałbym, żebyś został tu przy swoim samochodzie, dobrze? - poprosił Landon, podniósł hełm i cofnął się o kilka kroków. - Robimy, co tylko się da. Wygląda na to, że pożar ograniczył się do strychu - wyjaśnił i popędził do pozostałych strażaków.

Proszę, Boże - modlitwa Johna przypominała raczej rozpacz. Pomóż im uratować dom. Spojrzał na budynek, na gęsty, ciemny dym dobywający się z przeciwległej części dachu. Było to miejsce nad garażem, więc może... może sam dom uda się uratować.

Choć nie odrywał oczu od pożaru, zamiast budynku ogarniętego płomieniami w pogodne, jesienne popołudnie zobaczył swój dom takim, jakim zawsze był - pełen życia i rodzinnego ciepła, wśród śmiechu i niekończących się rozmów. Widział siebie i Elizabeth spacerujących z tyłu nad strumyczkiem i Cole'a nachylającego się nad stawem i łapiącego kijanki. Widział w oknie ubraną choinkę i słyszał śpiewane w salonie kolędy.

John stracił rachubę czasu, lecz z każdą minutą płomienie słabły, aż w końcu znikły całkowicie. Wciąż jednak strażacy polewali wodą dach, dwóch z nich stało wysoko na drabinach wysuniętych z wozów strażackich.

Od samego początku, kiedy kupili z Elizabeth ten dom, czuli się bezpieczniej, mając blisko hydrant przeciwpożarowy. Wzdłuż ulicy Dillman wcale nie było wiele takich urządzeń, a to podłączenie, z którego korzystali teraz strażacy, znajdowało się na końcu jego podjazdu. Bez tego strażacy musieliby podpinać węże do hydrantu oddalonego o trzy domy dalej, a wówczas mogłoby już być za późno na uratowanie domu Baxterów.

Jedno po drugim zaczęły zjeżdżać się jego dzieci. Poinformowana przez Landona Ashley musiała widocznie zatelefonować do Kari i Brooke i po krótkim czasie o pożarze wiedziała już cała rodzina - tak jak zawsze dowiadywali się o wszystkim, co przytrafiało się jednemu z jej członków. Gdy zobaczył ich twarze, poczuł, jak kraje mu się serce. Skupili się w małej

grupie - Ashley i chłopcy, Kari, Ryan i ich dzieci, i Brooke. Peter został w domu z dziewczynkami, a Luke znów wyjechał służbowo. Reagan telefonowała i John obiecał, że da jej znać, jak wszystko się skończy, kiedy pożar zostanie już ugaszony. Ashley zajęła się poinformowaniem o pożarze Dayne'a i Katy oraz Erin i Sama.

- Czy ktoś był już w środku? - spytała Ashley ze łzami na policzkach. - Powiedz mi, że udało się go uratować.

W powietrze wciąż wzbijał się gęsty dym, lecz zanim John zdążył jej odpowiedzieć, podszedł do nich zmęczony Landon. Na obu policzkach miał rozmazaną sadzę, a jego oczy były przekrwione. - Bóg był z nami. Czułem Go dzisiaj - wyznał.

John bał się pytać, więc Brooke wysunęła się z grupy, spojrzała na twarz Landona i spytała: - Czy coś udało się uratować?

- Tak, tatusiu! - zawołał Cole, obejmując ręką Ashley w talii i wtulając się w mamę. Jego oczy były szeroko otwarte z przerażenia i podziwu dla ojca. - Uratowaliście go, prawda?

Pomimo zmęczonej miny twarz Landona rozjaśnił promienny uśmiech. - Jasne, że tak, stary - odparł. Potem zwrócił się do Johna. - Ugasiliśmy go - potwierdził. - Kiedy budowano dom, ktoś na szczęście odgrodził strych od garażu ognioodpornym materiałem - wyjaśnił. Otarł ręką brew i zakasłał. - Na strychu było morze ognia, a garaż jest zalany, lecz pozostała część domu praktycznie nie ucierpiała. Jest tam tylko lekkie zadymienie.

Słowa „lekkie zadymienie” zadźwięczały w uszach Johna jak błogosławieństwo. Cały budynek wyglądał w jego oczach jak morze ognia, kiedy wjechał na podjazd. John miał ochotę rzucić się na zięcia i uściskać go mocno, lecz przy Landonie stali już Cole, Ashley i Devin, opasując go szczelnym pierścieniem, a poza tym i tak musiał jak najszybciej wracać do pozostałych strażaków. John wsunął więc ręce do kieszeni i uśmiechnął się szeroko do Landona. - Wiesz, co to oznacza? - spytał radosnym głosem.

- Tak... w sobotę zarzucam jako pierwszy.

- Właśnie - zaśmiał się John.

Gdy odjechały wozy strażackie i kiedy pozostali członkowie rodziny rozjechali się do swoich domów, John i Landon weszli do środka i przechodzili z jednego pokoju do drugiego, otwierając okna. Na szczęście ocena Landona okazała się prawdziwa. W domu zebrało się sporo dymu, lecz nic nie było nadpalone, nie było żadnych trwałych zniszczeń.

- Powinieneś zamówić tutaj ekipę sprzątającą i dom będzie jak nowy.

- I muszę tylko naprawić strych i dach - dodał John, kręcąc z niedowierzaniem głową, zdumiony tym wszystkim, co udało się strażakom uratować. - Kto was powiadomił?

- Ta sąsiadka mieszkająca po prawo, pani McCarry. Robiła przetwory z jagód, gdy wyjrzała przez okno i zobaczyła dym.

John postanowił, że odwiedzi Ednę McCarry i jej podziękuje.

A tymczasem Landon mówił dalej: - Gdyby zadzwoniła kilka minut później, spaliłby się cały budynek. Tak niewiele brakowało.

- Ale jak do tego doszło? - dziwił się John, nie potrafiąc zrozumieć, w jaki sposób zapalił się strych. Nie był tam przecież od wielu lat.

- Wygląda na to, że dom zapalił się od instalacji elektrycznej. Prawdopodobnie jakieś wiewiórki buszowały na strychu i ją uszkodziły. Kiedy zaczynają obgryzać izolację przewodów, bardzo szybko sytuacja staje się niebezpieczna - wyjaśnił Landon i wyprowadził Johna znów na zewnątrz. Okrążyli budynek i zatrzymali się w miejscu, skąd widać było największe zniszczenia. - Dym i woda zrobiły swoje. W niektórych miejscach będziesz musiał wymienić listwy na ścianach. I oczywiście trzeba będzie odnowić wnętrze garażu.

- Na szczęście budynek był ubezpieczony.

- Wiesz, co... zabierz swoje rzeczy i przenocuj dziś u nas - zaproponował Landon. - Pewnie potrwa to kilka dni, zanim dom na dobre zostanie wywietrzony.

John poczuł narastające wzruszenie i przez chwilę przyglądał się Landonowi. Potem uściśnął go mocno w taki sposób, jaki mężczyźni padają sobie w objęcia po wygranej bitwie. John opiekował się ciężko rannym Landonem na długo przed tym, zanim w końcu Ashley przestała bronić się przed uczuciem do młodego strażaka i pozwoliła samej sobie na miłość do niego. Nagle, gdy tak stał blisko Landona, znów zobaczył tego młodego mężczyznę w taki sposób, jak przed laty wyglądał w szpitalnej sali, w dniu, w którym wszedł do płonącego domu i uratował życie małemu chłopcu. Landon już prawie umierał, lecz Bóg miał wobec niego inne plany - plany, aby Landon był ojcem dla Cole'a, aby ożenił się z Ashley i razem z nią wychowywał ich dzieci.

A teraz okazało się, że częścią tych planów było także uratowanie domu Baxterów.

John cofnął się i znów zaczął mówić: - Wracaj do domu, do rodziny. Zjawię się u was pół godziny po tobie.

Kiedy Landon odjechał, John stał na zewnątrz i przyglądał się tej części dachu, która została zniszczona przez płomienie. Za miesiąc, po wymianie uszkodzonej części dachu i niektórych listew na zewnętrznych ścianach, pomalowaniu pewnych miejsc i remoncie garażu, nikt nie zauważy najmniejszych śladów po pożarze. Po raz pierwszy tego wieczoru poczuł ukłucia łez w oczach i zakrył rękami twarz. Dziękuję, Boże - modlił się w duchu. Uratowałeś mój dom, moje wspomnienia.

A potem gdzieś głęboko w swym sercu usłyszał wyraźny głos: Mój drogi synu, wszystkie dobre rzeczy pochodzą od Boga... Twoje wspomnienia nie są uwięzione w budynku. One są darem, który nosisz w sobie.

Te słowa coraz mocniej rozbrzmiewały w duszy Johna, stał więc bez ruchu z zakrytą rękami twarzą, nasycając się nimi. Przecież bał się dalej posunąć w relacji z Elaine również dlatego, że miałyby to oznaczać konieczność opuszczenia tego domu.

Lecz podczas tego wieczoru, kiedy ten budynek omal nie spłonął, Bóg obdarzył go zrozumieniem tego, czym tak naprawdę były te ściany, sufity i podłogi. Opuścił ręce wzdłuż tułowia i zbliżył się do ściany budynku. Potem dotknął palcami listwy i pogładził kciukiem po chropowatej powierzchni pokrytej starą farbą. Zrozumiał, że ten dom to tylko drzewo, cement, szkło i dachówki. Tylko tyle wart był ten stary budynek.

Zacisnął palce na listwie i zamknął oczy. Bóg chciał, aby coś dzisiaj zrozumiał. Jego wspomnienia wcale nie potrzebowały tego domu, aby pozostały żywe, ale będą przechowywane w jego sercu, dopóki nie wyda ostatniego tchnienia. Gdyby dom Baxterów spalił się do fundamentów, jego wspomnienia nie uleciałyby z dymem. Mogli stracić fotografie, lecz zdjęcia, które nauczyła go robić Elizabeth - zdjęcia, które przechowywał w pamięci - będą żyć w nim tak długo, jak długo będzie potrafił je sobie przypomnieć.

Żaden stół kuchenny nie był potrzebny do tego, aby zobaczyć twarz Elizabeth, która właśnie wróciła do domu, zaprowadziwszy po raz pierwszy któreś z dzieci do przedszkola. Podobnie jak nie potrzebował drzwi wejściowych, aby zobaczyć ją, jak wchodzi do domu z rękami pełnymi zakupów i patrzy na niego radosnymi oczyma. Dom był ciepły i uroczy, i cieszył się nim tak, jak można się cieszyć najlepszym przyjacielem. Lecz nagle w pełni zrozumiał, że nie potrzebował tego drewna, tych belek, aby być szczęśliwym.

Potrzebował dzieci i wnuków. I potrzebował tej kobiety, która stała się dla niego najlepszym towarzyszem. Pogładził listwę i odsunął się od ściany

kilka kroków. Wiedział już, że umówi się z Elaine na spotkanie, na którym poprosi ją o rękę. A potem, jeśli ona zgodzi się zostać jego żoną, zrobi to, czego lękał się od miesięcy.

Wystawi dom Baxterow na sprzedaż.

RS

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Dayne przebywał w Meksyku już od prawie dwóch tygodni, kiedy nastąpiła jednodniowa przerwa w zdjęciach. Wynajętym chevroletem suburbanem wracał właśnie z lotniska, wioząc obok siebie rozglądającego się wokół Luke'a. Jego brat był w doskonałym nastroju, a Dayne też od dawna nie mógł się doczekać ich spotkania.

- To dopiero jest życie - stwierdził Luke, patrząc ponad opuszczoną szybą i oddychając głęboko. - Czuć nawet powietrze znad oceanu.

- Tutaj jest dużo cieplej niż w Los Angeles - powiedział Dayne, lekko się uśmiechając. - Zastanawiam się, czy nie przywieźć tu Katy, kiedy skończy pracę nad swoim filmem.

Lukę odchylił się do tyłu w fotelu pasażera. - Właśnie - podchwycił. - A jak wam się układa z Katy? Chodzi mi o to, jak jest naprawdę.

- Na pewno nie tak źle, jak piszą tabloidy - zażartował Dayne, a śmiech nagle zniknął z jego głosu. Za każdym razem, kiedy rozmawiał z kimś bliskim, a zwłaszcza z rodziną, było podobnie. Każdy chciał wiedzieć, czy nagłówki w kolorowych czasopismach zawierały choć odrobinę prawdy. Ciągłe prostowanie tych różnych insynuacji i opowiadanie, jak naprawdę wyglądało jego życie, stawało się dla niego coraz bardziej uciążliwe, podobnie jak wszystko, co wiązało się z byciem znaną osobą.

- Podziwiam cię - uśmiechnął się Luke nerwowo. - Nie jest łatwo oprzeć się urokowi Randi Wells.

Dayne zmarszczył brwi. Uwaga Luke'a wydała mu się dziwnie nie na miejscu. Przecież był Baxterem. Został wychowany do tego, aby być Bożym człowiekiem i wiernym mężem.

- To jest proste, jeśli wiesz, o co ci w życiu chodzi - odparł Dayne, zerkając na brata. - Postaw się na moim miejscu.

Lukę pokręcił głową i głośno zasapał. - O tym właśnie mówię - stwierdził. - Nie chciałbym być na twoim miejscu. To byłaby dla mnie zbyt duża pokusa.

Dayne patrzył przed siebie na drogę i miał jakieś złe przeczucie, że Lukę i Reagan przeżywali większe kłopoty, niż pierwotnie sądził. Zanim jednak zdążył poruszyć tę sprawę, Lukę zadał mu kolejne pytanie, wpatrując się w niego: - Jak często rozmawiacie ze sobą, ty i Katy?

- Staramy się dzwonić do siebie kilka razy w tygodniu - odparł Dayne, lekko rozbity postawą Luke'a. - Nie jest to wcale łatwe, bo między Cabo a

Londynem jest siedem godzin różnicy. Kiedy po całym dniu kończę zdjęcia, u Katy jest już bardzo wczesnie rano, a zanim ona wstanie, ja zwykle jestem w łóżku.

- I nie przejmujesz się tym, no wiesz, tym, co ludzie z ekipy filmowej mówią o tobie i Randi?

Dayne zaczynał odczuwać irytację. - Powiedzmy sobie otwarcie jedną rzecz - zaczął, spoglądając przez okno na błękitne niebo, białe kłębiaste chmury, na kołyszące się palmy i przestwór oceanu. - To wszystko może i wygląda jak raj na ziemi, ale dla mnie jest to tylko plan filmowy, a poza nim między mną a Randi nic się nie dzieje - wyznał i zaśmiał się sarkastycznie. - Reżyser martwi się nawet, że na planie jest między nami za mało chemii.

- Ale... ty i Randi... kiedyś byliście ze sobą, prawda?

- To było całe wieki temu - odparł Dayne, łapiąc oddech i wypuszczając szybko powietrze. - Tabloidy piszą, że zdjęcia do tego filmu pogrzebią moje małżeństwo. Ale wcale tak nie będzie. Katy i ja... nasza miłość jest mocniejsza niż kiedykolwiek.

- Kolorowe magazyny co tydzień publikują zdjęcia, na których jesteście razem z Randi.

- Oczywiście - zaśmiał się Dayne, żeby nie krzyknąć na Luke'a, zanim tak naprawdę zdążyło się rozpocząć ich spotkanie. - Gramy razem w filmie. Za każdym razem, kiedy stajemy obok siebie, ktoś robi nam zdjęcia - powiedział, ściągając brwi. - To przecież nie znaczy, że mamy do siebie słabość.

Kiedy w końcu Luke przerwał tę swoją serię pytań, ich oczom w pełni ukazał się ocean, poczuli też wyraźnie ciepłe i wilgotne powietrze znad zatoki. - Chętnie posiedziałbym tu z dziesięć tygodni - wyznał.

Dayne ponownie spojrział na niego zdziwiony i rzekł:

- Gdybym zamknął oczy, chyba bym nie uwierzył, że to ty siedzisz obok mnie.

- Lepiej nie zamykaj oczu - rzucił Luke, wskazując kiwnięciem głowy na drogę przed nimi; była jednopasmowa i do tego żwirowa. - To nie skończyłoby się dobrze dla żadnego z nas.

- Mówię poważnie - nuta gniewu zabrzmiała w głosie Dayne'a. - Może powinienem raczej zapytać, co u ciebie i Reagan?

Przez następną minutę słyszeli tylko chrzęst żwiru pod oponami chevroleta. W końcu Luke odetchnął jak ktoś całkowicie pokonany i spojrział na Dayne'a. - Nie jest najlepiej - stwierdził krótko.

- Tak czułem - rzucił Dayne i poklepał brata po kolanie. Jego gniew jakby się rozplynął. Skoro między Luke'em i Reagan nie układało się najlepiej, nic dziwnego, że jego brat zachowywał się tak niezrozumiale. - Opowiesz mi o tym? - poprosił Dayne.

Żwirowa droga prowadziła do parkingu z podobną nawierzchnią. Dayne wjechał na jedno z pierwszych miejsc i wyłączył silnik. Odwrócił się, aby mógł lepiej zobaczyć Luke'a.

- No nie wiem - zaczął Luke, a okulary przeciwsłoneczne, które miał na twarzy, skutecznie uniemożliwiały czytanie w jego oczach, choć ton jego głosu brzmiał bardziej serdecznie niż podczas całej dotychczasowej jazdy z lotniska, skąd odebrał go Dayne. - Chciałbym, żeby było tak jak dawniej, ale... przy dzieciach i naszym szalonym tempie życia trudno mieć nadzieję, aby cokolwiek się zmieniło.

- Mówiłeś, że ostatnio dużo podróżowałeś, czy tak? - przypomniał sobie Dayne, choć wydawało mu się to dziwne, skoro Luke pracował wyłącznie dla niego, a to nie powinno wymagać wielu wyjazdów, chyba że Dayne prosił go o takie spotkanie jak obecnie, co zresztą zdarzało się niezwykle rzadko.

- To przez szefostwo w Nowym Jorku. Odkąd jesteś moim klientem, traktuję mnie lepiej. Jestem zapraszany na seminaria i ważne spotkania, tego typu sprawy.

Dayne oparł łokieć na kierownicy. - Takie spotkania nie są obowiązkowe. Powinieneś o tym wiedzieć - powiedział.

- Nie do końca, nie jeśli... - głos Luke'a urwał się. Zdjął okulary przeciwsłoneczne i spojrzał na Dayne'a pozbawionym życia wzrokiem. Jeśli oczy były oknami duszy - a Dayne tak właśnie uważał - to okna duszy Luke'a zostały szczelnie zamknięte. Spojrzał przez przednią szybę i powiedział: - Masz rację. Nie muszę na nich bywać.

- Czy mówisz to Reagan? - spytał Dayne, czując, w jakim kierunku to wszystko zmierza. - Bo to nie jest w porządku, kolego. Pewnie ona ma mi za złe, że nie daję ci więcej luzu.

Luke nic nie odpowiedział, co oznaczało, że Dayne niestety miał rację.

- Posłuchaj, naprawdę jest mi przykro, że wam się nie układa - powiedział Dayne, kładąc rękę na ramieniu Luke'a. - Możemy o tym porozmawiać dziś wieczorem, okay?

Zbliżał się czas kolacji, a Dayne musiał jeszcze spotkać się na chwilę z reżyserem. Skończył już zdjęcia na dzisiaj, a jutro miał wolne, lecz po

każdym dniu pracy musiał obejrzeć wybrane przez reżysera ujęcia, które zawsze razem krótko omawiali. Po południu reżyser pracował z Randi, która z kolei poprosiła, czy mogłaby jeszcze dziś poznać Luke'a. Po rozwodzie jej mąż został dalej klientem ich adwokata, więc ona musiała sobie znaleźć nowego prawnika.

Dayne planował przedstawić ich sobie podczas kolacji. Dziś wieczorem firma cateringowa przygotowywała na plaży kurczaka z grilla. Lecz kiedy weszli na teren ośrodka, Randi, która rozmawiała jeszcze z reżyserem, odwróciła się i spostrzegła ich. Miała na sobie górę od bikini koloru brzoskwiowego i niezapiętą, narzuconą luźno na stanik białą, przewiewną koszulę. Jej czarne spodenki były obcisłe i na tyle krótkie, że można je było uznać za część kostiumu kąpielowego.

Kiedy szli w stronę centralnej części ośrodka, Dayne zerknął na Luke'a, który patrzył na Randi w taki sposób, w jaki nie powinien patrzeć nawet nieżonaty mężczyzna. - Trzymaj oczy na wodzy - powiedział szybko Dayne. - Przedstawię cię, a potem pokażę ci twój pokój.

- To brzmi nieźle - rzekł w odpowiedzi Luke, zarzucił torbę podróżną na ramię i szedł obok Dayne'a w stronę Randi i reżysera.

- Dayne! Nie było cię tak długo! Mam do ciebie chyba ze sto pytań! - zawołała Randi, podbiegła do niego, uścisnęła go i pocałowała w policzek. Potem spojrzała przez ramię na reżysera i dodała: - Ty też masz pytania, tak?

Młody mężczyzna pochodził z Hiszpanii i miał wyjątkowy talent do robienia niezapomnianych filmów. Spojrzał na swoją podkładkę do pisania i przerzucił kilka kartek.

- Właściwie to już nie - odparł, puszczając do niej oko. - Ty odpowiedziałas mi na wszystkie - dodał i ruszył w stronę grupy pomocników.

Dayne wiedział, że Randi zauważyła Luke'a w momencie, gdy wychodzili z samochodu. Lecz przez cały czas udawała, że go nie dostrzega. Teraz spojrzała w końcu na niego i na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. - Dayne - zawołała - nie mówiłeś mi, że masz brata bliźniaka! Przedstaw mi go wreszcie!

- Właśnie - Dayne udał lekkie zakłopotanie. - Randi, to jest mój brat, Luke Baxter.

- Mój, mój - uśmiechnęła się skromnie i subtelnie, lecz jej zainteresowanie Lukiem było zauważalne. - Zdumiewa mnie to niewiarygodne podobieństwo

Dayne patrzył na swojego brata, obawiając się jego niestosownego zachowania. Na szczęście Luke nie zareagował otwarcie na jej flirt, lecz skłonił grzecznie głowę i odparł:

- A ty jesteś Randi Wells? - Potem patrzył jej w oczy może jakby odrobinę zbyt długo, uśmiechnął się i dodał: - Miło cię poznać.

- Tak - podchwyciła Randi, uściśnęła dłoń Luke'a i przytrzymała ją chwilę. - Tylko nie mów mi, że nie zagrasz z nami w tym filmie - zażartowała. Potem zmarszczyła brwi i zawołała: - Zaczekaj! Ty jesteś tym prawnikiem, o którym opowiadał mi Dayne!

Luke uśmiechnął się w taki sposób, jakby dla niego było czymś normalnym, że gwiazdy Hollywood zabiegają o kontakt z nim. - Tak, to ja - potwierdził. W jego zachowaniu nie było egzaltacji ani podziwu, którymi emanował wcześniej w samochodzie. Teraz był spokojny i opanowany. - Zajmuję się sprawami Dayne'a.

- Szczęściarz z ciebie - rzuciła i posłała w stronę Dayne'a jakby lekko zaczepne spojrzenie. - Ja próbowałam zajmować się jego sprawami mnóstwo razy - zażartowała. - Ale mi nie pozwolił - dodała z udawanym zawodem w głosie.

Było aż nazbyt oczywiste, że Randi nie mówiła o sprawach prawnych. Była zbyt inteligentna, aby zrobić tę dwuznaczną uwagę nieumyślnie. Odwrócił wzrok i spojrzał na brata. - Luke jest dobrym prawnikiem i świetnie radzi sobie ze wszystkim - powiedział.

Randi przeniosła spojrzenie z Luke'a na Dayne'a i z powrotem. - Wy dwaj poważnie moglibyście być bliźniakami - stwierdziła i dotknęła Luke'a w rękę. - Pokręć się tu tylko trochę, a zrobią z ciebie dublera dla Dayne'a - zażartowała, przechyliła lekko głowę i wpatrywała się w twarz Luke'a. - A nawet byłbyś tym bardziej przystojnym bratem, Luke'u Baxterze.

Zapadła niezręczna cisza. Dayne dostrzegł niepokojący błysk w oczach brata, choć Luke nic nie odpowiedział na uwagę Randi.

- Wiesz, co... - znów zaczęła mówić aktorka, ciągle patrząc Luke'owi w oczy - usiądźmy razem przy kolacji. Poznajmy się lepiej. Może mógłbyś zająć się też moimi sprawami - znów dotknęła ręki Luke'a i spojrzała na niego dwuznacznie. Potem zrobiła parę kroków i pomachała do Luke'a. - Do zobaczenia za godzinę... na plaży, okay?

Luke wzruszył ramionami, niepewny, lecz jego twarz rozjaśnił uśmiech. - Jasne, do zobaczenia - rzucił.

Kiedy odeszła na tyle daleko, że nie było jej już słychać, Luke położył na ziemi swoją torbę i opuścił lekko do przodu ramiona. Wypuścił głośno powietrze, tak jakby przez cały czas wstrzymywał oddech.

Dayne ruszył dalej ścieżką. Miał ochotę krzyknąć na Luke'a, powiedzieć mu, że zachowywał się zbyt zachęcająco wobec Randi, lecz udało mu się opanować frustrację. - No chodź - powiedział tylko. - Zaprowadzę cię do pokoju.

Luke nie posunął się przecież za daleko. Poza tym nie będzie spuszczał go z oczu, więc nie istniało żadne realne zagrożenie, że coś między Lukiem a Randi może się wydarzyć. Mimo to pojawił się kolejny niepotrzebny problem, jeszcze jedno zmartwienie. Nie miał wątpliwości, że przed pójściem do łóżka musiał zrobić coś, czego nie robił od tygodnia.

Musiał po raz kolejny przeczytać wersety Biblii o radości.

Gdyby Luke miał być szczery z samym sobą, musiałby przyznać, że odkąd przyleciał do Meksyku, nie myślał wiele o Reagan i o dzieciach. Był przejęty spotkaniem z Randi Wells - piękną i znaną aktorką - a teraz on, Luke Baxter, miał dostęp do tego tak przecież niedostępnego dla zwykłych śmiertelników świata gwiazd. Nawet w najśmielszych marzeniach nie liczył na to, że Randi się nim zainteresuje.

Minęła już dziewiąta i było już dawno po zmroku, a Luke siedział pomiędzy Randi i Dayne'em przy ognisku na plaży. Miał gołe stopy i był ubrany w spodenki w kolorze khaki, biały podkoszulek i czapkę bejsbolową Dayne'a, tę, którą wcześniej od niego pożyczył, kiedy zaczęło zachodzić słońce. Dayne powiedział mu, żeby ją sobie zatrzymał. Wszyscy członkowie obsady i ekipy filmowej otrzymali takie czapki jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć, znajdując je po wejściu do swoich pokoi.

Luke zakopał palce u nóg w piasku. Nie mógł uwierzyć, że to naprawdę było jego życie, że jako prawnik pracował na planie filmowym na plaży w Meksyku. Z daleka od domu wszystko wyglądało znacznie lepiej, niż mógł przypuszczać. Przebiegł wzrokiem po małych grupach dwu-, trzyosobowych, zebranych wokół ogniska. Kilku aktorów piekło nad ogniem kiełbaski i rozmawiało ze sobą cicho. Dayne mówił właśnie o programie telewizyjnym „Na serio”, podkreślając, że powinno być zabronione robienie czegoś tak mijającego się z faktami i nazywanie programu w taki sposób, kiedy podszedł do nich reżyser filmu w towarzystwie jednego z producentów; Luke poznał tych ludzi już wcześniej.

- Matthews, przejrzelismy jeszcze raz niektóre sceny z tego tygodnia. Świetna robota, stary - rzucił reżyser i położył rękę na ramieniu Dayne'a.

- Masz minutę, co? - spytał producent, wskazując głową na jeden z budynków parterowych położonych przy plaży, służący za miejsce do montażu. Lukę dowiedział się o tym, kiedy przed kolacją Dayne oprowadzał go po planie. Producent spojrzał na Dayne'a ożywionym wzrokiem. - Chcemy, żebyś coś zobaczył - rzekł. - Chodzi o oświetlenie niektórych ujęć. Może będziemy musieli zrobić kilka dubli.

- A może ci się to spodoba - wtrącił reżyser. - Chodź, rzucisz okiem. To zajmie tylko chwilę - dodał, ruszając przez plażę.

- No i masz - rzucił Dayne, zerkając na Lukę'a. Nachylił się bliżej niego, aby go nikt nie słyszał. - Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił.

Lukę zaśmiał się, starając się, aby to zabrzmiało swobodnie. Chwycił obiema rękami za oparcie rozkładanego plażowego fotela, na którym leżał rozciągnięty. - Przestań, nie żartuj - powiedział cicho, upewniając się, że po jego drugiej stronie Randi była zajęta rozmową z kimś innym.

Dayne wstał i rzucił Luke'owi nieufne spojrzenie. - Nie żartuję - powiedział niemal bezgłośnie. Potem wskazał kciukiem w stronę Randi i szepnął: - Możesz mieć przez nią problemy.

Kolejny raz Lukę zaśmiał się w niewymuszony sposób. - Idź i zrób, co masz zrobić - rzucił.

Mężczyźni oddalili się już kilkanaście metrów, idąc w stronę budynku. Dayne popatrzył jeszcze przez chwilę w oczy Luke'a i dodał: — Zaraz będę z powrotem.

- Okay - odparł krótko Lukę i odwrócił się w stronę ogniska, próbując uwierzyć, że to wszystko działo się naprawdę, że on tu rzeczywiście był, obcując z największymi filmowymi gwiazdami. Nie przebywał tu bowiem jako gość czy też fan zaproszony na plan filmowy. Jako prawnik Dayne'a Matthews stanowił część ekipy.

To było niezwykle, ale nie tak uderzające do głowy, jak to, co zdarzyło się podczas kolacji. Dayne rozmawiał z kimś z ekipy, a Lukę czekał w kolejce po kawałek kurczaka, gdy podeszła do niego Randi. Zatrzymała się tuż przy nim i nachyliła się do jego ucha. - Usiądź obok mnie przy ognisku, okay? - zaproponowała i spojrzała na niego wymownie. - Intrygujesz mnie, Luke'u Baxterze. Chciałabym cię lepiej poznać.

Na tym się skończyło. Potem ktoś rozpałił ognisko, a kilku mężczyzn ustawiło wokół niego rozkładane płócienne fotele plażowe. Lukę siedł obok

Dayne'a w stronę plaży, kiedy znów podeszła do niego Randi i wzięła go pod rękę. - Nie zapomnij, Luke - szepnęła. - Mam siedzieć obok ciebie.

Lecz kiedy usiedli wokół ogniska, Randi wydawała się zajęta rozmową z kimś innym. Oddalający się od nich Dayne nie zdążył jeszcze dotrzeć do budynku, gdy Randi odwróciła się do Luke'a. Odchyliła do tyłu głowę i przez chwilę uśmiechała się do niego, a jej twarz oświetlał blask płomieni. Sączyła chyba już trzeci kieliszek wina i wyglądała na trochę bardziej niż odprężoną. - Powinniśmy spotkać się już dawno temu - rzuciła na tyle cicho, że tylko on mógł to usłyszeć.

- Powinniśmy - przytaknął. Nie wiedział, co powiedzieć ani jak wobec niej postępować. Czy ona zalecała się do niego, czy też tylko tak udawała, traktując w ten sposób wszystkich mężczyzn na planie? A może poprzez okazywanie mu zainteresowania chciała spowodować, aby czuł się dobrze wśród nich? Skupił się na powodach, dla których tu przybył. - Dobry prawnik potrafi zadbać o czyjeś interesy - powiedział i czekał na jej reakcję. - Dayne mówi, że szukasz nowego adwokata.

- To prawda - potwierdziła. Przestała zachowywać się jak gwiazda i bardziej przypominała teraz małą, zagubioną dziewczynkę niż sławną aktorkę. Skrzyżowała ręce przed sobą i spojrzała na ognisko. - Ale nie to miałam na myśli.

Luke poczuł dziwny skurcz w żołądku. Błyskawicznie wzrósł w nim niepokój, poprawił się na swoim miejscu, jakby nie mógł już dłużej wysiedzieć.

Po chwili Randi znów zwróciła się do niego. - Przejdź się ze mną - zaproponowała. Wyciągnęła do niego rękę i zrobiła całkowicie niewinną minę. - Mam na myśli to, co wcześniej powiedziałam. Chciałabym cię lepiej poznać - uspokoiła go. Po tych słowach wstała i pociągnęła go delikatnie. Kiedy już stał, spojrzał przez ramię w stronę pawilonu, do którego wszedł Dayne, aby przez chwilę popracować. - Nie przejmuj się tym, co powiedział twój brat - uspokajała go, uśmiechając się do niego słodko i może nawet trochę nieśmiało. - Nie będziesz miał przeze mnie żadnych problemów. Chcę tylko coś więcej o tobie usłyszeć.

Od tego wszystkiego Luke'owi kręciło się w głowie, lecz nie mógł przecież się z nią sprzeczać. W końcu nie robiła żadnych ukrytych ani tym bardziej jawnych sugestii. Poprosiła jedynie, aby poszedł z nią na spacer. Od trzymania ją za rękę przechodziły go dreszcze po całym ciele i pomyślał też o Reagan. Puścił więc palce Randi i mimowolnie otarł dłonie o spodenki.

Mogli pójść razem na spacer, ale nie powinien trzymać jej za rękę. W każdej chwili mógł wrócić Dayne. Gdyby zobaczył, jak Lukę trzyma Randi za rękę, zwróciłby im uwagę i zaciągnąłby go z powrotem na miejsce.

Ruszyli w stronę wody, po kilku krokach skręcając w prawo i spacerując dalej plażą, gdzie po chwili, bez poświaty ogniska, zrobiło się niemal całkowicie ciemno.

Kiedy na dobre zniknęli z zasięgu wzroku ludzi siedzących wokół ogniska, Randi objęła się rękoma i zwolniła kroku. - Moglibyśmy tak iść wiele kilometrów i nie natknęlibyśmy się na nikogo - stwierdziła. Zwróciła twarz do góry w stronę nieba i podziwiała tysiące gwiazd widocznych teraz, gdy oddalili się od poświaty ogniska. - Chłopcy odpowiedzialni za plener wykonali dobrą robotę, znajdując to miejsce. Naprawdę odnosi się wrażenie, że jesteśmy nie wiadomo gdzie - uśmiechnęła się do niego i ponownie wyglądała na onieśmioną.

Lukę przełknął ślinę. - Faktycznie można się tu tak czuć - przyznał. Słyszał w sobie jakiś głos wołający, że powinien natychmiast zawrócić i zaprowadzić ją z powrotem, gdzie byłiby bliżej ludzi siedzących przy ognisku, lecz silniejsze okazało się pragnienie, aby to wszystko mogło się rozegrać, aby mógł się przekonać, o czym Randi chciała z nim rozmawiać i dlatego odczuwała potrzebę pójścia z nim w bardziej odległe miejsce na plaży.

Przeszli kolejnych kilkadziesiąt metrów i Randi właśnie opowiadała, jak uwielbia Meksyk i serdeczność mieszkających tu ludzi, gdy w kieszeni jej dżinsowych spodenek zadzwonił telefon. Zatrzymała się, a na jej twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia. - Moja mama próbuje się do mnie dodzwonić. Lepiej będzie, jak odbiorę - powiedziała, wyciągnęła telefon, otworzyła jego klapkę i odwróciła się w stronę wody. - Słucham?

Przez kilka sekund stała nieruchomo i słuchała. Potem podniosła palce do ust i kilka razy szybko pokręciła głową.

- Nie, mam, to niemożliwe - głos jakby uwiązł jej w gardle. - Nie... - krzyknęła cicho - nie mogę stąd wyjechać w tym tygodniu. Wiesz o tym... - powiedziała jeszcze kilka krótkich zdań, a potem rozłączyła się i schowała telefon z powrotem do kieszeni.

Lukę skrzyżował ręce przed sobą, nie wiedząc, co powiedzieć. - Chcesz zostać sama? - spytał nieśmiało.

- Nie - odparła i zwiesiła głowę, stojąc przez cały czas odwrócona w stronę wody. - Moja mama... ona ma raka. Ponad rok temu straciłyśmy mojego tatę,

który zmarł właśnie na raka, a teraz... nie mogę w to uwierzyć - powiedziała i uniosła jedno ramię. W jej głosie słyhać było rozpacz, gdy ciągnęła dalej: - Mama mówi, że choroba postępuje bardzo szybko. Pozostało jej jedynie kilka tygodni. Muszę polecieć do domu najszybciej, jak to możliwe.

Luke'owi stanął przed oczyma obraz matki leżącej w łóżku przez te ostatnie kilka dni przed śmiercią. - Moja mama zmarła na raka - wyznał. Cały czas trzymał się od niej w tej samej odległości, lecz chciał ją jakoś pocieszyć. - To było straszne. Nie miała jeszcze sześćdziesięciu lat. Mogła jeszcze długo żyć.

- Z moim tatą było podobnie. Miał dopiero pięćdziesiąt siedem lat.

Lukę jęknął. - Tak mi przykro - rzekł. - Nie jest łatwo poradzić sobie z czymś takim.

- Ale ty też przez coś takiego przeszedłeś - Randi zwróciła się do niego, obserwując jego twarz w taki sposób, jakby mogła znaleźć na niej jakieś wytłumaczenie cierpienia, które wypełniało jej serce. - Wiesz, jak to jest.

- Wiem - nie mógł się powstrzymać, aby nie przybliżyć się do niej. Ona cierpiała dotknięta takim rodzajem bólu, jaki Lukę zbyt dobrze znał. Kciukiem odgarnął kosmyk blond włosów z jej twarzy. - Ty i twoja mama jesteście ze sobą blisko?

- Raczej nie - odparła. - Bliższą relację miałam z tatą. Był najwspanialszym mężczyzną na świecie - uśmiechnęła się do niego, lecz w jej oczach błyszczały łzy. - Był bardzo wierzącym człowiekiem i kochał rodzinę - powiedziała i prawie niezauważalnie przysunęła się do niego. - Zanim zachorował, zawsze potrafił mnie rozśmieszyć. Nawet wtedy, gdy rozpadało się moje małżeństwo - zamrugła i kilka łez stoczyło się po jej policzkach. - Zawsze myślałam, że później, kiedy obie będziemy starsze, jakoś uda nam się zbliżyć z mamą. A teraz...

Nie starając się nadać swemu zachowaniu jakiegokolwiek znaczenia, nie zamierzając nic więcej, jak tylko podtrzymać ją na duchu i pocieszyć, Lukę przyciągnął ją do siebie i objął. - Tak mi przykro, Randi - szepnął. Tulił ją tak dalej, a ona zaczęła płakać. Wypite wino musiało jej ułatwić uzewnętrznienie emocji, lecz nie była pijana, a w jej zachowaniu nie było żadnego podtekstu ani odrobiny flirtu. Nic z tych rzeczy. Lukę znalazł się jedynie w odpowiednim czasie i we właściwym miejscu, aby ukoić ból, który wezbrał w jej sercu, to wszystko. Chciał tylko ofiarować Randi to, czego sam tak bardzo potrzebował, kiedy umierała jego matka.

Chciał, aby miała obok siebie kogoś, kto ją rozumiał.

Dayne'a nie było najwyżej przez dziesięć minut, lecz kiedy wrócił na swoje miejsce przy ognisku, poczuł, jakby serce podskoczyło mu do gardła. Nie było tu ani Luke'a, ani Randi. Nie chciał, aby ktoś z zebranych zauważył ich nieobecność; wiedział, że gdyby usłyszano jego zaniepokojony głos, mogliby się o wszystkim dowiedzieć paparazzi. Ludzie pracujący na planie nie mieli oporów przed donoszeniem o takich sprawach fotografom i kamerzystom. Tabloidy płaciły bowiem nieźle pieniądze za tego typu informacje, a przedstawiciele największych mediów zainteresowanych takimi nowinkami stacjonowali w hotelu oddalonym zaledwie o kilka kilometrów od planu zdjęciowego.

Nie chcąc zwrócić uwagi innych na zniknięcie Randi i Luke'a, Dayne oddalił się powoli w stronę wody. Co dzieje się z moim bratem? - zastanawiał się. Przecież właśnie za to podziwiał Baxterow, że byli takimi ludźmi, jakich Hollywood nie znało ani nie rozumiało. Kochali Boga i swoje rodziny, i niezależnie od kosztów, jakie trzeba było ponieść, potrafili codzienne, zdawałoby się zwyczajne, życie uczynić wartościowym, ważnym i godnym naśladowania.

A tu nagle Luke Baxter znika gdzieś w towarzystwie Randi Wells, podczas gdy jego żona i dzieci nie mogą się doczekać jego powrotu do domu. Dayne szedł powoli jak gdyby nigdy nic, aż znalazł się poza zasięgiem poświaty ogniska. Potem zatrzymał się i zaczął się nerwowo rozglądać po plaży we wszystkie strony. Lecz nawet gdy po jakimś czasie jego oczy przywykły do ciemności, niczego nie widział, nie było po nich ani śladu.

Boże, powstrzymaj go przed zrobieniem czegoś, czego potem musiałby żałować - pomodlił się, lecz kiedy szedł z powrotem do ogniska, czuł się bardziej przygnębiony niż w jakiegokolwiek innej chwili w ciągu minionego tygodnia. Nagle zaczął bardzo tęsknić za Katy. Postanowił, że dzisiejszego wieczoru nie położy się spać, zanim nie zamieni z nią przynajmniej kilku zdań. Zastanawiał się, co dalej powinien robić, i uświadomił sobie, że jeszcze długo nie będzie mógł pójść do łóżka nie tylko dlatego, aby porozmawiać z Katy, lecz również żeby zająć się swoim bratem.

Lecz gdy ponownie siadał na swym plażowym leżaku, zmarszczył brwi, ponieważ dotarło do niego, że będzie mógł zaopiekować się bratem pod warunkiem, iż Luke i Randi w ogóle wrócą jeszcze tego wieczoru na ognisko.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dayne przebywał chyba tylko kilka razy w swoim życiu. Jechali z Elaine do restauracji „Czerwony homar” - i choć nie był to jakiś ekskluzywny lokal, John zarezerwował ich ulubiony stolik, ten znajdujący się w kącie sali, dzięki czemu będą mieli więcej prywatności. Lecz nie zamierzał zadawać Elaine tego zasadniczego pytania właśnie w tym miejscu. Po kolacji planował zabrać ją na spacer na teren kampusu Uniwersytetu Indiany i modlił się, aby w którymś momencie Bóg obdarzył go odwagą do wykonania tego najważniejszego gestu.

Prowadził samochód i przypominał sobie, w jak radykalnie innych okolicznościach dziesiątki lat temu prosił Elizabeth, aby została jego żoną. Do tego czasu zdążyli bowiem razem tyle przejść, że czuli się tak, jakby byli po ślubie przynajmniej pięć lat. Wcześniej, gdy okazało się, że Elizabeth jest w ciąży, została wywieziona przez swoich rodziców w nieznane miejsce, gdzie urodziła dziecko, a potem zmuszono ją do oddania go do adopcji i żadne z nich nie miało w tamtej sytuacji nic do powiedzenia.

Kiedy wróciła do domu i pozwolono im być razem, akt ślubu stanowił dla nich jedynie czystą formalność. Nic nie mogło ich bardziej zbliżyć do siebie niż konsekwencje działań, które mieli za sobą.

Dziś wieczorem było całkowicie inaczej.

John był już po sześćdziesiątce i jakiś cichutki głos w jego wnętrzu szeptał mu, że pomysł powtórnego ożenku w jego wieku był czymś po prostu śmiesznym. Lecz za każdym razem, gdy jego myśli zaczynały iść tym torem, przypominał sobie to, co powiedziała mu Ashley: „Mama chciałaby, abyś żył...”. A potem jego umysł powracał do jednego z listów, które napisała do niego Elizabeth.

Czytał go tyle razy, że znał na pamięć najważniejsze fragmenty tego tekstu i teraz, gdy patrzył przed siebie na drogę, ponownie usłyszał je w swoim sercu. „Nie jesteśmy już tak młodzi, jak kiedyś - pisała - i chcę, żebyś wiedział, że cokolwiek wydarzy się w nadchodzących latach, musisz wybierać życie. Oboje musimy je wybierać. Każdego dnia budzimy się, otrzymując w darze kolejne dwadzieścia cztery godziny”.

- Wiele myśli? - Elaine przerwała ciszę, złożwszy równo ręce na torebce leżącej na jej kolanach. Miała na sobie ciemne spodnie i piękny wełniany sweter w kolorach jesieni. Jej włosy, jak zwykle, wyglądały ładnie, lecz wydawało mu się, że zrobiła z nimi dzisiaj coś wyjątkowego.

- Tak, wiele - przyznał John łagodnym głosem i wziął ją za rękę, z drżącym sercem powracając myślą do swoich zamiarów na dzisiejszy wieczór. - Ślicznie wyglądasz. Wydaje mi się, że jeszcze ci tego nie powiedziałem.

Uśmiechnęła się i miało się wrażenie, że dotyk jego ręki jakby ją trochę uspokoił. - Byłam dziś u fryzjera - oznajmiła.

- Tak myślałem - pospiesznie zmierzył ją wzrokiem. - Wyglądasz na góra trzydzieści pięć lat.

- To chyba dzięki temu, że jest już ciemno - zaśmiała się i wyjrzała przez okno. Kiedy skończyła się śmiać, znów odwróciła się do niego. - Jak przebiega remont? - spytała.

- Minęło już jedenaście dni od pożaru - odparł John, ciesząc się, że ich rozmowa przestała niepokojąco krążyć blisko aksamitnego pudełeczka, które miał w kieszeni. Skupił myśli, aby móc precyzyjnie odpowiedzieć. - Firma budowlana zabrała się już za garaż. Zerwali nawet tynki. Kilka dni później był u mnie elektryk. Położył nowe przewody na strychu i w garażu, rzecz jasna demontując wcześniej stare, lecz przy okazji sprawdził cały dom.

- To były wiewiórki, prawda?

- Tak. W tylnej ścianie domu znaleźli otwór, kilkanaście metrów od jednego ze starych klonów. Widocznie w tym drzewie zamieszkała jakaś rodzina wiewiórek i prawdopodobnie przez ten otwór zwierzęta dostały się zimą na strych.

John wytłumaczył, jak elektryk zabrał go na strych i pokazał mu odchody zwierząt i kawałki futra, a w ich pobliżu obgryzione przewody. - To mogło się przytrafić każdemu - ciągnął. - Elektryk powiedział, że ludzie, którzy mają strychy, powinni sprawdzać je ze względu na zwierzęta kilka razy w roku.

- To ja też muszę swój sprawdzić.

- Tak czy owak... - dojeżdżali już prawie do restauracji, więc John zmienił pas ruchu - powiedzieli, że powinni skończyć do połowy listopada.

- Naprawdę? - spytała zdziwionym głosem Elaine. - To całkiem szybko.

- Szef firmy budowlanej jest moim przyjacielem. Leczyłem jego córkę, kiedy kilka lat temu miała zapalenie płuc - wytłumaczył i skręcił w lewo na parking przy restauracji.

- Mówi, że teraz ma szansę mi się odwdzięczyć.

- W ten sposób będziesz mógł spędzić z rodziną Święto Dziękczynienia; wszyscy znów zbiorą się w domu Baxterów.

- Tak - potwierdził i znów popadł w zadumę. Wypowiadając tę uwagę o świętowaniu w rodzinnym gronie, Elaine nie miała nic szczególnego na myśli, ale jej słowa przypomniały mu, że będzie to ostatni raz, kiedy podczas Święta Dziękczynienia wszyscy zbiorą się w domu Baxterów. Odrzucił od siebie te myśli, lecz zdążyły one pozostawić w jego wnętrzu jakiś smutek, którego doświadczał do chwili, gdy w końcu zajęli z Elaine w restauracji swoje miejsca. Potem, jak to robił ostatnio tak wiele razy, przypomniał sobie naukę, którą w dniu pożaru otrzymał od Boga. Wspomnienia nie potrzebowały domu do tego, aby pozostawały żywe w jego umyśle. Równie dobrze będą mogli obchodzić Święto Dziękczynienia w nowym domu; tym, który John zamierzał kupić dla siebie i Elaine. Pod warunkiem, że dziś wieczorem zdobędzie się na odwagę wyciągnięcia z kieszeni pudełeczka z pierścieniem.

- Czuj się zaproszona, no wiesz, na Święto Dziękczynienia.

Elaine uśmiechnęła się nieśmiało, a w jej spojrzeniu jakby błysnął ledwie widoczny cień przeczucia, jak gdyby domyślała się tego, co miało nastąpić po kolacji.

John nie był w stanie poświęcić więcej uwagi temu, co ona naprawdę myślała. Wszystko, co mógł zrobić, to skupić się na menu i zamawianiu kolacji.

Kiedy skończyli jeść i gdy ponownie znaleźli się w samochodzie, John odetchnął szybko i potarł o siebie dłonie. - Jest zimno - rzucił.

- Zimniej niż było, ale nie ma co narzekać.

John uświadomił sobie, że mówił jak zdenerwowany nastolatek, lecz nie był w stanie tego opanować. Trząsł się bardziej z powodu zdenerwowania niż z zimna. - Pamiętasz tę ścieżkę przez kampus, o której ci opowiadałem? - spytał nagle.

- Tę, która częściowo pozostaje oświetlona przez całą noc? - upewniła się.

- Właśnie. Teraz zapewne rosną przy niej drzewa wystrojone żółtymi i czerwonymi liśćmi - powiedział, chuchając na swoje dłonie. - Jeśli nie jest za zimno, może przeszli-byśmy się tamtędy - zaproponował.

Elaine uśmiechnęła się do niego. - Dobrze - zgodziła się. - Wzięłam kurtkę.

- Ja też. I mam jeszcze z tyłu dwa szaliki. To na wypadek, gdyby zaczęło wiać, kiedy dojedziemy do kampusu.

Elaine zaśmiały się oczy. - Jesteś najbardziej troskliwym mężczyzną, jakiego znam, Johnie Baxterze - powiedziała wesoło.

Dojechali do kampusu i zatrzymali się na parkingu od południowej strony, blisko głównego wejścia przy 3 Ulicy. John wyszedł z samochodu i obszedł go, aby otworzyć drzwi Elaine. - Proszę - pomógł jej wysiąść. Potem otworzył tylne drzwi, sięgnął do środka i wyciągnął jej długą kurtkę. - Załóż ją - poprosił.

- Przynajmniej nie wieje.

- Nie, ale i tak możemy założyć szaliki - powiedział, myśląc o tym, aby jakoś pozbyć się dreszczy, które cały czas odczuwał. Chwycił dwa czerwone szaliki leżące na tylnym siedzeniu i podał jej jeden z nich. - Kupiłem je w śródmieściu kilka lat temu - oznajmił.

- Mmm, jakie miękkie.

Kiedy poprawiał jej kołnierz przy kurtce, ich ręce dotknęły się i John zauważył, że miał spocone dłonie. Boże, czy mógłbyś mi teraz pomóc... proszę - pomodlił się. Czuje się jak chłopak na pierwszej randce.

Mój synu... jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamyślam co do was...

Ten werset zabrzmiał cichutko w jego sercu i pozwolił mu odetchnąć. Jak dobry był Bóg, odpowiadając na jego nerwową modlitwę w takiej chwili jak ta. Ten fragment Pisma Świętego wielokrotnie powtarzali dzieciom z Elizabeth. Bóg miał dla nich plany, dobre plany.

Teraz Bóg przypominał mu, że te słowa nie odnoszą się jedynie do jego dzieci, ale także do niego. One odnoszą się do jego nowego życia z Elaine u boku, dla którego ten dzisiejszy wieczór miał zasadnicze znaczenie.

Ta świadomość złagodziła napięcie, jakie odczuwał w swym wnętrzu, i kiedy ruszyli ścieżką, zaoferował Elaine swoje ramię, a ona chwyciła je obiema rękami. Wspięli się na małe wzniesienie, a potem zeszli w dół, spacerując w stronę jednej z peryferyjnych części kampusu. - Widzisz. .. czy nie jest tu miło? - spytał.

- Oj, jest - Elaine wyprostowała się i odetchnęła głęboko. - Kocham jesień, rześkie powietrze, kolory, to wszystko - uśmiechnęła się. - Rozmawiałam kiedyś z dziećmi o tym, która pora roku jest najpiękniejsza w Bloomington. Zastanawialiśmy się nad tym, czy większą radość sprawiały nam ciepłe lata z odgłosami żab i świerszczy i siedzeniem do późna nad jeziorem... czy też przepiękny, świeży śnieg zimą?

- Myślę, że dla mnie jest to coś niepowtarzalnego, przynajmniej podczas Bożego Narodzenia - czuł, jak zabłyśły mu oczy. - Styczeń i luty są trochę za długie.

- Tak - zaśmiała się i to nadało tej chwili pewien osobisty charakter.

- Ashley kocha wiosnę, kiedy pojawiają się kwiaty i gdziekolwiek spojrzę, widzi arcydzieło, które wystarczy tylko namalować.

- Wiosna jest piękna - przyznała Elaine, spoglądając na drzewa rosnące wzdłuż ścieżki. - Ale ja nie mam wątpliwości. Nic nie może się równać z jesienią w Bloomington.

- Zgadzam się. Dla mnie jest to chyba związane z zimą - pomyślał o lecie i o wiośnie i zaśmiał się cicho. - A może po prostu uwielbiam tu mieszkać o każdej porze roku.

Szli ścieżką już dość długo i nagle John przypomniał so-t bie, dlaczego tutaj był, dlaczego chciał wybrać się na ten spacer dzisiejszego wieczoru. Przełknął ślinę i otworzył usta, lecz nie wiedział, jak zacząć.

- Może ci tego jeszcze nie powiedziałam - Elaine zwolniła kroku i pomimo głębokiego cienia na ścieżce dostrzegł szczerą w jej spojrzeniu. - Cieszę się, że znów zacząłeś się ze mną widywać, ale też jestem ci wdzięczna za to, że byłeś szczerzy wobec mnie, jeśli chodzi o twoje uczucia.

- Dotyczące spotkania się z tobą? - jego słowa zabrzmiały jakoś ciężko, jakby z trudem przeszły mu przez gardło.

- Dotyczące nas - zatrzymała się i spojrzała na niego.

- Nigdy nie chciałabym, abyś czuł się niezręcznie - stwierdziła, nie okazując niepokoju, który znów zaczął zakradać się do jego serca. - Jeśli kiedyś postanowisz już nigdy, do końca życia, do mnie nie zadzwonić, zrozumieć to. Chcę, żebyś o tym pamiętał. Mnie przecież też to spotkało, tylko że ja po prostu dłużej żyję samotnie, to wszystko - dodała, patrząc mu głęboko w oczy.

Przez chwilę John milczał. Mąż Elaine zmarł przed dziesięcioma laty, lecz to nie oznaczało, że obce jej były wątpliwości i cierpienia, przez które on sam przechodził.

- Czasami wydaje mi się, że to właśnie przyciągnęło mnie do ciebie na samym początku - powiedział, opuścił ręce i okrył dłońmi jej dłonie. - Tobie udało się przez to przejść. Bycie blisko ciebie dodawało mi wiary, że to w ogóle możliwe. Skoro ty cało przez to przeszłaś na drugą stronę i wciąż byłaś w stanie budzić się rano, to może i ja mógłbym.

Elaine przez chwilę nic nie mówiła. - Twoje dzieci mają się lepiej - zmieniła temat. - Zauważyłam, że ostatnio patrzyły na nas jakby w inny sposób, zwłaszcza Ashley.

- Tamtego dnia w szpitalu zawładnęłaś jej sercem - stwierdził John. Wiedział, że zawsze będzie wdzięczny za ten prosty przejaw dobroci, jakim była decyzja Elaine, aby zatrzymać się przy sklepie i kupić wyprawkę dla małej Sarah. - Ashley powtarzała mi wiele razy, że było to coś takiego, co mogłaby zrobić jedynie matka.

- Elizabeth i ja byliśmy bliskimi przyjaciółkami, oczywiście różniłyśmy się, ale myślałyśmy o życiu podobnie w oczach Elaine odbił się ten znajomy ból, który do końca nigdy z nich nie zniknął. - Nie wiem, czy ten prezent był czymś takim, o czym pomyślałaby każda matka, lecz z pewnością było to coś, co zrobiłaby Elizabeth.

John poczuł, jak jego serce przepelnia radość. Kobieta, która stała przed nim, była tą osobą, z którą chciał przeżyć ostatnią część podróży przez życie. Ona znajdowała się w centrum tych dobrych planów, które Bóg wciąż miał dla niego. Nawet teraz, kiedy przekroczył już sześćdziesiątkę. Puścił jej rękę i odchrząknął. Jeśli teraz nie zrealizuje swego zamiaru, chyba zemdleje od lęku, który w nim wezbrał.

Elaine przyglądała mu się przez cały czas i teraz przejaw lekkiego zdziwienia i jednocześnie troski zabarwił jej uśmiech. - Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się.

- Dobrze - zaśmiał się nerwowo. - Wspaniale, naprawdę - dodał, sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej aksamitne pudełeczko. Kiedy Elaine je zobaczyła, domyśliła się, do czego zmierzał.

Ze wzrokiem utkwionym w małe pudełeczko gwałtownie nabrała powietrza. - John... co ty... co ty właściwie...? - próbowała coś powiedzieć.

Z każdą sekundą coraz większa pewność siebie wypierała z jego serca ustępujące w szybkim tempie przerażenie, które zresztą ogarniało go w ciągu ostatnich miesięcy za każdym razem na myśl o tej chwili. Elaine była jego przyjaciółką i towarzyszką; kobietą, z którą chciał spędzić swoje życie. Otworzył wieczko i ich oczom ukazał się prosty, lecz śliczny złoty pierścionek z diamentami. Na samym jego środku znajdował się kwadratowy kamień, a po obu stronach towarzyszyły mu rzędy małych diamentów.

Przeniósł spojrzenie z pierścionka na jej twarz. Gdyby byli młodszy, zakręciłoby się jej w głowie ze szczęścia, a może by nawet podskoczyła z radości. Lecz tutaj, stając na ścieżce na terenie Uniwersytetu Indiany, Elaine jedynie spojrzała w jego oczy, docierając w najgłębsze miejsca jego serca, które należały już do kogoś innego. Łzy błysnęły w jej oczach i z wyraźnym trudem starała się coś powiedzieć. - Ja nigdy... nigdy jej nie zastąpię -

jęknęła, spojrzała na pierścionek, a potem na Johna. - Nie odważyłabym się nawet spróbować.

- Wiem - szepnął, wyjął pierścionek z pudełka i wsunął go na palec Elaine. - To najbardziej mi się u ciebie podoba. Pozwolisz mi zachować Elizabeth - wolną dłoń położył sobie na sercu. - Pozwolisz mi zachować ją tutaj i wiesz zarazem, że jest tam miejsce również dla ciebie.

Elaine wydała z siebie dźwięk bardziej przypominający płacz niż śmiech. - Przykro mi - jęknęła. Objęła go jedną ręką za szyję i przycisnęła czoło do jego piersi. - Przykro mi, ale każdy z nas musiał przejść drogę, która doprowadziła do tej chwili - odsunęła się i uśmiechnęła do niego przez łzy.

- Ale jesteśmy tu.

- Tak - wziął ją za rękę, pocierając raz po raz kciukiem o nowy pierścionek na jej palcu. - Chcę przeżyć z tobą resztę moich dni - mówił, czując łzy na swoich policzkach.

- Wyjdź za mnie. Stwórz ze mną nowy dom. Proszę cię o to, Elaine.

Otarła policzki, a w jej uśmiechu zajaśniało teraz światło nadziei. - Tak, John... wyjdę za ciebie - wyszeptała.

- Oboje wiemy, jak trudno jest nam żyć samotnie, więc jedyne, co nam pozostało, to starać się jak najpełniej przeżyć te chwile, które są jeszcze przed nami - otarła kolejną łzę.

- Ale będziemy to robić razem, będziemy sobie pomagać.

- Będziemy - przytaknął i pocałował ją. Był to gorący pocałunek pełen nadziei i zarazem nowej miłości, ale jednocześnie pełen wdzięczności, której nie potrafił zachować tylko dla siebie. Po śmierci Elizabeth to właśnie Elaine rozumiała go jak nikt inny. Rozumiała go, a teraz będzie przy nim przez resztę jego dni. Ich miłość nie zastąpi tego, czego zaznali we wcześniejszych latach, ale raczej jeszcze bardziej to wszystko utwierdzi.

I w ten sposób John zacznie na nowo cieszyć się życiem, o co prosiła go Elizabeth.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Od samego rana padało. Ashley zamierzała przesiedzieć cały dzień w domu, bawiąc się samochodami z Devinem w pokoju gościnnym, lecz podczas śniadania zauważyła, że prawie skończyło się im mleko.

- Wygląda na to, że wybierzemy się na szybką wycieczkę do sklepu - powiedziała Ashley. Usiadła przy stole w kuchni obok wysokiego krzeselka Devina i połaskotała synka w podbródek.

Malec zachichotał i klapnął rączką w talerz pełen płatków zbożowych, rozsypując je na podstawce. Miał kręcone włosy, prawie tak jasne jak Cole'a, które rano sterczały mu na wszystkie strony. Devin włożył do buzi dwa kawałki płatków zbożowych, a kiedy mu się to udało, uśmiechnął się i zawołał: - Duża ciezalówka!

- Tak, duże ciężarówki. Pobawimy się nimi, kiedy wrócimy do domu - oznajmiła Ashley, wstała i opłukała swoją miseczkę. - Ale najpierw czeka nas wyprawa do sklepu! I to w dodatku pojedziemy w deszczu! - zaśmiała się cichutko do samej siebie. Mama uczyła ją, że można się śmiać w deszczowe poniedziałki. - Życie zawsze może być radosne, jeśli potrafisz je takim uczynić - zwykła mawiać. Ashley chciała tej prawdy nauczyć także swoje dzieci.

Po śniadaniu Ashley ubrała Devina w najcieplejszą bluzę sportową, jaką miał, i dzinsy. Wyciągnęła z szafy swoją ulubioną kurtkę i pojechali do sklepu.

Kiedy szli w kierunku pól z mlekiem znajdujących się w głębi, dwukrotnie natknęli się na ludzi, których znała. Były to mama chłopca, z którym Cole chodził do klasy, i recepcjonistka z salonu fryzjerskiego, gdzie bywała Ashley. Obie kobiety wydawały się być podenerwowane, kiedy ich zobaczyły, najwyraźniej unikały kontaktu wzrokowego i prawie natychmiast pospieszyły dalej robić zakupy.

Pierwsza z nich rzuciła w przelocie tylko jedno zdanie: - Musi być teraz trudno waszej rodzinie, kiedy Dayne Matthews znów jest w centrum uwagi.

Ashley uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. - Tak to już jest w tej branży - stwierdziła i powróciła myślą do tego czasu, kiedy ona i jej rodzeństwo zostali opisani w tabloidach po tym, jak paparazzi dowiedzieli się, że Dayne powrócił na łono rodziny, której wcześniej nie znał. - Myślę, że zdążyliśmy się już do tego przyzwyczaić.

Ashley załadowała do swojego wózka pięć kartonów mleka, kilka bochenków swojego ulubionego pszennego chleba, opakowanie z kawałkiem pokrojonego indyka i kiść bananów - ulubiony przysmak Cole'a. Potem ruszyła w stronę wyjścia ze sklepu.

Jeszcze nie zdążyła dojść do kas, gdy dostrzegła jeden z kolorowych magazynów. Na pierwszej stronie pisma, jakby na oczach całego świata, znajdowało się całostronicowe zdjęcie kobiety, którą bez wątpienia była Randi Wells, całującej się namiennie z mężczyzną o profilu Dayne'a Matthews'a. Nagłówek głosił: „Dayne Matthews przyłapany na gorącym uczynku!”.

Ashley zakręciło się w głowie, poczuła przyływ adrenaliny, a jej serce gwałtownie przyspieszyło. Chwyła się mocniej rączki wózka, aby nie osunąć się na kolana. Co ten Dayne wyprawiał? Drżącą ręką sięgnęła po pismo.

Wtedy zobaczyła, że nie był to jedyny magazyn ze zdjęciem Dayne'a na pierwszej stronie. Każdy z pięciu tabloidów publikował bowiem na pierwszej stronie jego fotografię wraz z sensacyjnie brzmiącymi nagłówkami w podobnym tonie: „Dayne Matthews posuwa się naprzód!”, „Randi Wells dopięła swego!” czy „Nie mów Randi »nie!«”. Ashley chwyciła po jednym egzemplarzu każdego z pism i położyła je na przenośniku taśmowym obok produktów spożywczych.

Przy kasie siedział starszy już pan, którego Ashley wielokrotnie widywała, gdy kupowała coś w tym sklepie. Teraz mężczyzna zaczął robić do Devina różne zabawne miny. - To chyba najśliczniejszy chłopczyk ze wszystkich naszych klientów - zagadnął kasjer, włożył magazyny do plastikowej torebki, którą następnie umieścił w koszu wózka. Zachowywał się tak, jakby nie wiedział, że artykuły z pierwszych stron tabloidów dotyczyły jej brata.

Ashley była mu za to wdzięczna, ponieważ nie czuła się teraz na siłach, aby rozmawiać o tych zdjęciach. Z trudem łapała oddech, jej serce waliło jak młot i przez całą drogę powrotną do domu starała się przezwyciężyć panikę. Wprowadziła Devina do domu i umieściła go w kojcu. Zakupy zaniosiła do kuchni, a potem wzięła kolorowe pisma i usiadła na najbliższej sofie. Otworzyła magazyn z największym kolorowym zdjęciem na pierwszej stronie.

- Dayne... co ty najlepszego zrobiłeś? - wyszeptała do samej siebie. Nie odczuwała smutku - była zbyt zszokowana. Nie mogła uwierzyć w to, co pokazywało zdjęcie.

Wpatrywała się w profil brata i czapkę bejsbolową nisko opuszczoną na jego czoło. Zdjęcie zostało zrobione nocą, więc można było odnieść wrażenie, jakby za pomocą tej czapki Dayne chciał ukryć swoją tożsamość. Ten fakt oraz słabe oświetlenie, przy jakim wykonano zdjęcie, mówiły jednoznacznie, że nie zostało ono zrobione podczas pracy na planie filmowym. Ashley zaczęła bardziej dokładnie przypatrywać się fotografii brata. Twarz Dayne'a nie była widoczna w całości. Gdyby postać Randi nie była tak wyraźna, można by mieć wątpliwości, czy mężczyzna na zdjęciu to na pewno Dayne. Lecz każdy, kto śledził plotki krążące wokół gwiazd Hollywood, wiedział, że Dayne i Randi przebywali od kilku tygodni na planie zdjęciowym na odległej meksykańskiej plaży. Wystarczył więc w zupełności ukazany fragment męskiej twarzy obok dobrze widocznej podobizny Randi, aby nie mieć wątpliwości, kogo przedstawiała fotografia. Istniało zatem tylko jedno wytłumaczenie tej sytuacji.

Dayne musiał mieć romans ze swoją filmową partnerką.

Szok ustępował, a jego miejsce zaczął powoli zajmować gniew. Gdyby nie było przy niej Devina, Ashley rzuciłaby tym pismem o ścianę. Jak Dayne mógł zrobić coś takiego? Dlaczego przez te wszystkie lata zabiegał o względy Katy, skoro nie skończył ze swoją przeszłością playboya?

Na myśl o Katy poczuła, jak krwawi jej serce, bo choć jej szwagierka przebywała na planie w Londynie, z pewnością dowie się o tych zdjęciach. Ktoś na pewno jej powie albo zobaczy je w Internecie i cały jej świat się zawali. A do tego wszystkiego nawet nie będzie mogła rozpaczać w samotności.

Ashley zazgrzytała zębami i przerzuciła kilka kartek, aż doszła do miejsca, gdzie znajdował się dwustronicowy artykuł ilustrowany zdjęciami przedstawiającymi Dayne'a i Randi. Autor nagłówka bezczelnie kpił sobie z małżeństwa jej brata. „Już nie ma problemu z brakiem chemii pomiędzy Dayne'em i Randi” - podawały wytłuszczone litery umieszczone nad tekstem i widocznymi tu kilkoma zdjęciami. Fotografie ukazywały Dayne'a śmiejącego się w towarzystwie Randi, siedzącego obok niej przy piknikowym stole i jedzącego coś wyglądającego na kurczaka z grilla, albo stojącego na tyle blisko niej, że stykały się im ramiona, podczas gdy oboje najwyraźniej słuchali mężczyzny, którego podpis pod obrazkiem identyfikował jako reżysera filmu.

Na każdym ze zdjęć Dayne i jego filmowa partnerka wydawali się wręcz przesadnie rozluźnieni i w wyraźnie bliskich stosunkach. Pamiętając o

fotografii zamieszczonej na pierwszej stronie okładki, można było odnieść wrażenie, że byli w sobie zakochani.

Ashley zauważyła coś jeszcze. Obraz na pierwszej stronie ukazywał Dayne'a w czapeczce bejsbolowej i białym podkoszulku, tym samym, w który był ubrany na zdjęciach opublikowanych w środku pisma, gdzie jego twarz można było łatwo rozpoznać.

Ashley zaczęła intensywnie myśleć. Powinna skontaktować się z Katy i poinformować ją o wszystkim, zanim jej szwagierka zobaczy te straszne zdjęcia. Ashley nie zamierzała zwlekać. Położyła gazetę obok plastikowej torby, pobiegła do stołu w jadalni i wyciągnęła z torebki telefon komórkowy. Potem wybrała numer telefonu Katy i czekała. Przypomniała się jej ich ostatnia rozmowa.

- Mój partner filmowy nie jest żonaty - powiedziała jej wówczas Katy. - Czasami wydaje mi się, że mógłby próbować mnie podrywać, lecz wie, że nie jestem tym zainteresowana. Teraz mówi na mnie „siostrzyczko”, co jest dużo lepsze - tłumaczyła, a jej głos stawał się jakby coraz bardziej zamyślony. - W Londynie moje małżeństwo nie budzi aż takiego zainteresowania. Ludzie tutaj ciągle jeszcze żyją tragiczną śmiercią księżnej Diany. Nie czujemy aż takiej presji otoczenia jak podczas zdjęć w Ameryce i tempo pracy też nie jest tak intensywne - stwierdziła i zamilkła na chwilę. - Czegoś się też nauczyłam - ciągnęła dalej. - Kręcenie filmów to po prostu praca, więc chcę ją wykonać najlepiej, jak potrafię. Ale już liczę dni, Ash. Nie mogę się doczekać, kiedy znowu będę z Dayne'em w domu.

Ashley wzdrygnęła się na wspomnienie tamtej rozmowy. Jak mogłeś, Dayne? Dlaczego?- nie mogła zrozumieć. Usłyszała w telefonie trzeci sygnał, potem czwarty i piąty, po czym włączyła się poczta głosowa Katy. Kiedy urwał się dźwięk, po którym należało zostawić wiadomość, Ashley otworzyła usta, aby wyrazić swoją wściekłość na Dayne'a i ból, aby powiedzieć Katy o swoim gniewie. Lecz jedynie rzuciła krótko: - Cześć, Katy... tu Ashley. Zadzwoń do mnie.

Zamknęła klapkę telefonu i stała przez chwilę nieruchomo, nie wiedząc, co powinna zrobić. Co jeszcze powiedziała Katy ostatnim razem, kiedy rozmawiały ze sobą? Czy był jakiś znak, jakieś ostrzeżenie, że jej małżeństwo znajdowało się na krawędzi całkowitego rozpadu? Ashley starała się teraz przypomnieć sobie każdy szczegół. Pytała o Dayne'a, o to, co u niego słychać i jak często rozmawiali ze sobą.

Katy powiedziała, że plener Dayne'a okazał się bardziej położony na uboczu niż wcześniej sądzili, więc trudno było się do niego dodzwonić. - Nie rozmawiamy ze sobą tak często, jak byśmy chcieli, a Dayne obawia się sytuacji, w której się znalazł... no wiesz, chodzi o robienie filmu z Randi Wells - mówiła Katy zmęczonym głosem. - Bardzo uważa na to, co mówi, jak blisko niej staje i czy jego język ciała nie jest dla niej mylący. Lecz mimo to i tak się boi, żeby jego zachowanie nie zostało opacznie zrozumiane.

Nie, Katy nie dostrzegła jakiegoś sygnału ostrzegawczego. Ashley wróciła na sofę i jeszcze raz wzięła to pismo do ręki, ponownie spojrzała na to, w jaki sposób Dayne trzymał Randi, jak przylegali do siebie podczas pocałunku. Gniew Ashley przemienił się w ogarniający ją smutek, ponieważ szybko do niej dotarło, że przecież Dayne był jej bratem. Naprawdę uwierzyła w to, że go znała i że rozumiała serce bijące w jego piersi. Pojedyncza łza skapnęła na zdjęcie, w miejsce tuż poniżej łokcia Dayne'a. Jakie to smutne, że ta fotografia na pierwszej stronie tabloidu ukazywała prawdę. Dayne okazał się podobny do tak wielu swoich kolegów z Hollywood - chwiejących się pod naporem pierwszej poważniejszej pokusy. To była druzgocąca wiadomość. Dayne Matthews nie był tym mężczyzną, za którego go uważała.

Nie był on nikim więcej niż skupionym na sobie, egocentrycznym gwiazdorem filmowym.

Dayne zbiegł po skąpanym w słońcu piasku i zaczął przedzierać się w głąb oceanu przez spienioną powierzchnię fal. Dwukrotnie spojrzał przez ramię do tyłu na Randi i zaśmiał się. - Widzisz? - krzyknął rozradowany, z trudem łapiąc oddech po wyczerpującym biegu. - Nie złapiesz mnie! Mówiłem ci!

- Nie doceniasz mnie! - zawołała Randi. Miała na sobie górę od bikini i prześwitującą, obcisłą w talii spódniczkę, która niedokładnie przykrywała dolną część jej kostiumu kąpielowego. - Złapię cię, nawet gdybym musiała gonić za tobą przez resztę życia!

Fale z łoskotem uderzały o brzeg, a Dayne pokonywał kolejne metry. Był ubrany w krótkie spodenki i biały podkoszulek, a kiedy zmoczyła go woda, materiał przywarł mu do klatki piersiowej. Znów się obrócił i spojrzał na nią. - Jesteś szalona, wiesz o tym?! - wołał.

- Ponieważ cię kocham! - Randi biegła za nim, rozpryskując wodę i śmiejąc się. Kiedy znalazła się kilka metrów od niego, zatrzymała się.

Nagle scena zmieniła się. Najpierw ucichł jego śmiech, a potem przygasły uśmiechy ich obojga, a ręce opadły im wzdłuż ciał. Spojrzeli sobie w oczy, a ich klatki piersiowe falowały po męczącym biegu.

- Ja naprawdę cię kocham - powtórzyła. Wiatr rozwiął jej włosy na boki i do tyłu, odgarniając je z twarzy, a do jej oczu napłynęły łzy. - Zawsze cię kochałam - zrobiła krok w jego stronę. - Więc dlaczego nie chcesz mi pozwolić?

- Dlaczego? - Dayne popatrzył na spienioną powierzchnię wody i powoli pokręcił głową. - Wiesz, dlaczego - kiedy ponownie podniósł na nią wzrok, z jego oczu biły wściekłość i rozczarowanie. Zaciśnął pięści, wznosił twarz ku niebu i po chwili znów na nią spojrzał. Tuż za nim kolejna fala z łoskotem rozbiła się o powierzchnię oceanu, otulając ich białą pianą. - Czy zawsze musi być tak ciężko?

- Nie! - krzyknęła przejmująco, jakby uwalniając nagromadzone przez lata uczucia i pragnienia. Niczym magnes przyciągany do metalu zaczęła powoli poruszać się w jego stronę, niemal jak w transie. - Nie musi być tak ciężko - powiedziała już znacznie łagodniejszym głosem. Łzy popłynęły jej po policzkach, lecz nie zwróciła na nie uwagi. - Nie opuszczaj mnie... proszę...

Zrobił w jej stronę kilka kroków, wyraźnie walcząc z samym sobą, lecz jego pragnienie bycia blisko niej okazało się silniejsze. Powoli zbliżali się do siebie, aż w końcu padli sobie w ramiona. Trząśł się cały, kiedy obejmował dłońmi jej twarz i zagłębiał palce w jej wilgotnych włosach. Nie mogąc dłużej nad sobą zapanować, przywarł ustami do jej ust, odczuwając jednocześnie namiętność i gniew, smutek i euforię.

Pocałunek trwał jakieś piętnaście sekund, gdy od strony plaży padła komenda: - Cięcie! - Reżyser wyrzucił w górę pięści i zawołał: - Idealnie! Idealne światło, idealne tło, idealne uczucie!

- Idealny pocałunek - zaśmiała się Randi. - Tak jak powiedziałam, zawsze mam z tobą ten sam problem - szepnęła do Dayne'a. - Tak dobrze nam to wychodzi, że nie trzeba robić dubli. A szkoda...

Dayne delikatnie położył ręce na jej ramionach i uwolnił się z jej objęć. Uśmiechnął się, lecz ten prosty gest kosztował go nie mniej wysiłku niż poprzednia scena. - Wystarczy na dzisiaj - stwierdził.

Drugi reżyser wywołał jego nazwisko i Dayne ucieszył się, że miał powód, aby odejść. W ostatniej chwili powstrzymał się też przed wytarciem ust po pocałunku Randi. - Idę! - krzyknął w odpowiedzi. Odwrócił się i pobiegł po piasku w górę plaży. W filmie zaplanowano tylko dwie sceny z pocałunkiem

i ta była pierwszą z nich. Dayne początkowo nie zgadzał się na nie, lecz był to wynik kompromisu wobec tego, co pierwotnie przewidywał scenariusz, kiedy zaproponowano mu tę rolę. Choć i tak musiał stoczyć niełatwą bitwę, aby w filmie nie było scen łóżkowych ani bardziej rozbieranych od tej, którą właśnie nakręcili.

Lecz mimo to czuł się teraz tani, brudny i winny. I chyba nigdy bardziej nie żałował, że został aktorem, jak właśnie w tej chwili. Wyobraził sobie swoją żonę oddaloną o tyle tysięcy kilometrów i zatęsknił za nią tak mocno, że z trudem łapał oddech. Boże, jak ja za nią tęsknie, jak bardzo pragnę z nią porozmawiać- westchnął.

Kiedy skończył się modlić, reżyser ogłosił półgodzinną przerwę na obiad i poinformował, jaka będzie kolejna scena i gdzie odtwórcy głównych ról mają się pojawić później. Dayne policzył, że w Londynie jest wieczór i poczuł ogarniający go dreszcz emocji. Wciąż nie było za późno, aby zadzwonić do Katy. Porozmawiał z drugim reżyserem o zmianach kostiumowych do następnej sceny. Randi była zajęta pogawędką po drugiej stronie planu, chociaż zauważył, że kilka razy zerknęła w jego stronę. Jej niesłabnące próby oczarowania go złościły go coraz bardziej. Nie ustawała w nich jednak pomimo tego, iż robił, co w jego mocy, aby dać jej do zrozumienia, że nie był nią zainteresowany.

Po prostu kochał swoją żonę i kropka.

Kiedy skończył rozmowę z drugim reżyserem, podszedł do torby ze swoimi rzeczami, zmienił podkoszulek na suchy, a potem pobiegł przez plażę do punktu gastronomicznego. Jeszcze nie zdążył się ustawić w kolejce po jedzenie, gdy ze środka jego torby doleciała go stłumiona melodia z filmu „Robin Hood: Książę złodziei”. Był to ten sam utwór, który zaśpiewał dla Katy podczas ich ślubu - „Wszystko, co robię, robię dla Ciebie”. Dayne ustawił tę melodię jako sygnał dźwiękowy w swoim telefonie jeszcze przed wylotem z Los Angeles kilka tygodni wcześniej.

Kiedy odsuwał torbę i sięgał po telefon, czuł, jak serce zaczyna mu mocniej bić. W pośpiechu przystawił aparat do ucha, słysząc już niemal głos Katy. - Słucham? - odebrał.

- Cześć, przyjacielu... tu Bob.

Dayne poczuł mimowolnie, jak fala rozczarowania zalewa mu serce. Muszę porozmawiać z Katy... zwłaszcza teraz, po takiej scenie jak ta - przebiegło mu przez myśl. - Chwileczkę - rzucił. Wyciągnął z torby czapkę bejsbolową, naciągnął ją nisko na czoło i chwycił najbliższe

krzesło. Kiedy oddalił się kilkanaście metrów od punktu gastronomicznego, postawił krzesło, usiadł na nim i odetchnął głęboko. - Cześć, Bob. Złapałeś mnie w dobrym momencie. Właśnie mamy przerwę.

Przez kilka sekund Bob milczał, aż Dayne pomyślał nawet, że urwało się połączenie. - Bob... jesteś tam? - upewnił się.

- Tak, chciałem do ciebie zadzwonić najszybciej, jak mogłem.

Dayne zauważył dopiero teraz, że głos Boba był jakby poważniejszy niż zwykle; w taki sposób jego przyjaciel z dzieciństwa prawie nigdy nie mówił. Nagle Dayne coś sobie przypomniał. W ubiegłym tygodniu miał zatelefonować do Boba i całkowicie o tym zapomniał. Bob i jego żona byli misjonarzami w mieście Meksyk i zaprosili Dayne'a do siebie na obiad. Lecz jak dotychczas nawał pracy przy filmie nie pozwolił mu na odwiedziny przyjaciół. Musiało więc pewnie o to chodzić - pomyślał. - Hej - próbował ratować sytuację Dayne - a co z moją wizytą... może będę miał wolny dzień w przyszłym tygodniu, wtorek albo środę...

- Ale ja nie dlatego do ciebie dzwonię - przerwał Bob spiętym, prawie opryskliwym tonem.

Czując, jak gorący piasek parzył go w stopy, spojrzał na ocean. - Okay - Dayne naciągnął czapeczkę jeszcze mocniej na czoło i zmrużył oczy pod słońce. Czuł na twarzy delikatny podmuch ciepłego wiatru. - To o co chodzi? - spytał.

- Musiałeś już je widzieć, prawda? - odparł tajemniczo Bob.

Lekki niepokój przeszył mu serce. - Widzieć co? - zdziwił się Dayne.

- Pierwsze strony tabloidów - jęknął cicho Bob. - Tych, które ukazały się dziś rano. Widziałem je w Internecie - rzekł. Zapanowała nieprzyjemna cisza. - Co ty wyrabiasz?! - Bob podniósł głos. - Jak mogłeś pozwolić, żeby ona...?

- Bob! - przerwał mu Dayne, czując się tak, jakby kawałek plaży pod jego stopami zamienił się w ruchome piaski, wciągające go w jakieś miejsce, z którego nie będzie mógł się wydostać. Wolną ręką zakrył drugie ucho. - Nie mam pojęcia, o czym ty mówisz.

- Paparazzi chodzą za tobą na zdjęciach. Musisz o tym wiedzieć.

- Oczywiście, że wiem. Przychodzą, pstrykają sobie, potem odchodzą; to wszystko. Nie dostają nic specjalnego, naprawdę.

- Dayne... cokolwiek dzieje się pomiędzy tobą i Randi, możesz powiedzieć mi prawdę. Musisz o tym pogadać

- Bob zrobił pauzę. - Zanim stracisz wszystko - jego ton sugerował, że może naprawdę Dayne stracił już wszystko.

Dayne pomasaował sobie skronie kciukiem i palcem wskazującym. - Stary, możesz mi nie wierzyć, ale mówię poważnie - rzucił i choć nie miał ochoty pytać, musiał to wiedzieć. - To powiedz mi wreszcie, co widziałeś.

Bob nabrał powietrza i odparł: - Ciebie i Randi obejmujących się i całujących jak kochankowie. Dzwoniłem do przyjaciela i prosiłem go, żeby to sprawdził. To zdjęcie jest na pierwszej stronie prawie każdego tabloidu.

Dayne musiał wstać, aby móc dalej oddychać. Zdjął czapkę bejsbolową i z trudem opanował krzyk. - To niemożliwe - zaprotestował. - Właśnie dopiero przed chwilą skończyliśmy nagrywać pierwszą scenę z pocałunkiem

- obejrzał się i zobaczył, że osoby kręcące się przy stole z jedzeniem wyglądały tak, jakby starały się go usłyszeć. Założył z powrotem czapkę na głowę i ruszył w głąb plaży, aby znaleźć się jak najdalej od ludzi.

- Sytuacja jest aż nazbyt oczywista - głos Boba stał się prawie oskarżycielski. - Nikogo wokół, dość ciemno. Z pewnością nie była to scena filmowa.

- To nie byłem ja! - Dayne zazgrzytał zębami i zacisnął pięść. - Wierzysz mi? Mówię ci prawdę - nie mógł zebrać myśli i czuł ucisk w żołądku. Jak to się mogło stać? Przecież robił, co w jego mocy, aby trzymać się z daleka od Randi. Zakrył twarz wolną dłonią. - Nie mogę w to uwierzyć.

Bob milczał, wyraźnie oczekując jakichś wyjaśnień.

- Właśnie teraz patrzę na to zdjęcie - powiedział. - Autor nagłówka twierdzi, że zostałeś złapany na gorącym uczynku.

- Nie... nic takiego nie miało miejsca - odparł szybko. Miał ochotę krzyknąć albo pobić osobę odpowiedzialną za to nieporozumienie. Nie mógł się skupić i tak kręciło mu się w głowie, że ledwie stał. - Ale powiedz mi... skąd wiesz, że to ja? - to była jedyna rzecz, która przyszła Dayne'owi na myśl. Niezależnie od tego, na jakie zdjęcie patrzył Bob, nie mogło ono przedstawiać jego i Randi. To było przecież niemożliwe.

Bob zawahał się. - Widać kawałek twojej twarzy, masz biały podkoszulek i niebieską czapkę bejsbolową - poinformował Bob.

Dayne ponownie zerwał czapkę z głowy i spojrzał na nią. Taką samą czapkę nosił nawet teraz. Cisnął nią w stronę wody i zaczął oddalać się szybkim krokiem od planu filmowego. Zaciskał ze złości zęby, przez co z trudem wypowiadał kolejne słowa: - Cała obsada i ekipa dostały takie czapeczki.

- Zdjęcie na pierwszej stronie nie jest jedynym. Są jeszcze inne. Ty i Randi stoicie razem, śmiejecie się, siedzicie obok siebie - Bob miał zdezorientowany głos, lecz przynajmniej nie słysząc w nim było powątpiewania.

- Tak - zaśmiał się Dayne, lecz w jego śmiechu nie było nic zabawnego. - I pewnie na jednym z nich gramy na frisbee?

- No... - Bob zrobił pauzę. - A tak, gracie. Faktycznie.

- Oczywiście, że gramy - Dayne zawrócił w stronę punktu gastronomicznego. - To są zdjęcia z planu. Sceny z filmu.

- Zaczekaj, wydaje mi się... tak, tu pod zdjęciami jest napisane drobnym drukiem: „Dayne i Randi przenieśli płomień miłości z filmu do prawdziwego życia”. Tak tu napisali, przyjacielu. Problem w tym, że na każdym zdjęciu masz na sobie ten sam podkoszulek i czapkę bejsbolową.

- To muszą być sceny nakręcone na plaży jednego popołudnia. To oczywiste, że jestem ubrany w ten sam podkoszulek i czapkę bejsbolową - Dayne starał się mówić opanowanym głosem. Były to przerażające informacje, najgorsze jakie słyszał, odkąd zaczął spotykać się z Katy, ale przecież Bob nic tu nie zawinił.

- Nie, Dayne, na zdjęciach z planu filmowego jesteś ubrany inaczej. Te same rzeczy masz na sobie tylko tutaj i tam na pierwszej stronie, na tym zdjęciu, gdzie całujesz...

- To nie byłem ja! - Dayne krzyknął tym razem. - Przepraszam, ale proszę cię, musisz mi uwierzyć. Nie całowałem jej, nie całowałem aż do dzisiaj - zaklinał się. Miał ochotę pobiec w stronę wody, wskoczyć do oceanu i płynąć tak długo, aż dotrze do jakiegoś normalnego miejsca, gdzie mówiło się prawdę i gdzie nie istniały tabloidy. Zatrzymał się i odwrócił w stronę wody. - Przysięgam, że mówię prawdę.

Bob zawahał się. - Nic z tego nie rozumiem... ale wierzę ci - wydał z siebie jakiś cichy dźwięk, jakby wypuszczał powietrze przez zaciśnięte zęby. - Człowieku, musisz porozmawiać z Katy - dodał.

Dayne wyobraził sobie swoją żonę gdzieś na planie filmowym w Londynie, jak dowiaduje się tych rzeczy. A może jeszcze gorzej, jak osobiście patrzy na te tabloidy. Podeszedł kilka metrów do palmy i oparł się o chropowaty pień. Skoro tak trudno było przekonać Boba, w takim razie w jaki sposób przyjmie te wiadomości Katy? - Nienawidzę tego - rzucił.

Przez chwilę jego przyjaciel milczał. Kolejny raz Dayne pomyślał, że urwało się połączenie. Lecz po upływie kilku sekund Bob mówił dalej: - No

pomyśl, stary. Kto inny mógłby to być? Może ktoś na planie, ktoś, kto jest podobny do ciebie? Może twój dubler?

Tak, mogło tak być. Dayne poczuł iskierkę nadziei.

- No tak... właśnie. Jak powiedziałem, wszyscy dostaliśmy te czapeczki - podchwycił. Wstał i znów poszedł w stronę wody. - I wszyscy noszą podkoszulki. W końcu jesteśmy na plaży.

- To daje do myślenia - zgodził się Bob, a w tle słychać było przewracanie kartek gazety. - Rzeczywiście, na tym zdjęciu na pierwszej stronie tak naprawdę nie widać całej twojej twarzy. Profil wygląda, jakby był twój, twoja budowa i kolor włosów.

- Ale to musi być ktoś inny - upierał się Dayne, wycieńczony i przybity. Wciąż miał przed sobą pół dnia zdjęć, lecz czuł się tak, jakby musiał powiedzieć reżyserowi, że dziś nie będzie w stanie już więcej pracować. Najchętniej zapomniałby o filmie i tym wszystkim, co wiązało się z Hollywood. Pragnął jedynie znaleźć się na pokładzie najbliższego samolotu odlatującego do Anglii. Sytuacja, w jakiej się znalazł, wydawała mu się niemożliwa do zrozumienia, a tym bardziej do wytłumaczenia. - Bob, muszę iść. Dzięki za telefon - rzucił.

- Cieszę się, że to nie byłeś ty. Naprawdę myślałem...

- No nie - przerwał mu Dayne, a w jego głosie słychać było gorycz, lecz nie potrafił poradzić sobie z ogromnym bólem, który ciążył mu na sercu. - Naprawdę myślałeś, że przyjechałem tu po to, aby mieć romans z Randi Wells?

- Jesteś człowiekiem, Dayne - powiedział bardziej serdecznym tonem Bob i jakby z większym zrozumieniem. - Każdy z nas mógł upaść. Dlatego właśnie potrzebujemy Zbawiciela. Ja tylko... chciałem, żebyś wiedział, że jestem z tobą... no gdybyś to ty był na tym zdjęciu.

Świadomość głębi przyjaźni Boba złagodziła jego cierpienie. Jak wielkim przyjacielem okazał się Bob Asher. Nie zadzwonił po to, aby potępić go czy poniżyć, ale aby stanąć obok, gdyby naprawdę znajdował się w trakcie największego upadku w swoim życiu. I Bob miał rację. Ludzie upadali. - Tym razem wciąż jeszcze stoję, ale dzięki za to, że jesteś obok - powiedział Dayne.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, Dayne trzymał się z daleka od pozostałych osób, a serce przez cały czas waliło mu w piersi jak młot. Zastanawiał się, czy powinien jak najszybciej zadzwonić do Katy i

spróbować powiedzieć jej o wszystkim, zanim sama zobaczy te zdjęcia. A może już je widziała?

Miał już wybierać jej numer, gdy usłyszał głos reżysera: -Wszyscy na miejsca... koniec przerwy!

Dayne przełknął ślinę i starał się targające nim emocje zamknąć w swoim wnętrzu. Jego gniew, cierpienie, frustracja i wściekłość, to wszystko musiało poczekać, aż tego dnia skończy się praca na planie. Musieli trzymać się harmonogramu zdjęciowego i reżyser nie pozwoliłby na zmarnowanie nawet kilku godzin.

Dayne znów podszedł do swojej torby z rzeczami i schował w niej telefon. Kiedy kroczył po piachu, aby zagrać kolejną scenę - kłótnię pomiędzy nim a aktorką grającą matkę Randi - przyglądał się bacznie obsadzie i ekipie filmowej. Kto mu to zrobił? Kto wymknął się z Randi na potajemne spotkanie, aby się z nią obściskować, doprowadzając do jego rzekomego upadku, co błyskawicznie wykorzystają media? Przez całe popołudnie zastanawiał się nad tym pomiędzy poszczególnymi ujęciami. Siedział samotnie na piasku, kiedy nagle uświadomił sobie, że to nie ten mężczyzna - kimkolwiek by był - odpowiadał za całe to nieporozumienie. Przecież to Randi wyciągnęła tego faceta, który był sobowtórem...

Dayne złapał oddech. Nerwowo przeczesał sobie włosy, starając się powoli wypuścić powietrze. Przez całe popołudnie przeglądał w swojej pamięci listę mężczyzn pracujących na planie, lecz żaden z nich nie miał jego wyglądu ani takiej jak on budowy ciała.

Żaden z nich z wyjątkiem jednej osoby, której do tej pory nie brał wcale pod uwagę. Był to mężczyzna wyglądający prawie tak jak on. Dayne miał wcześniej nadzieję, że kiedy dojdzie do tego, kto naprawdę znajdował się na zdjęciu, to jego serce powróci do normalnego rytmu, a ból, jaki odczuwał w swoim wnętrzu, ustąpi. Lecz teraz, kiedy wszystko zaczęło do siebie pasować i zrozumiał, jaka była prawda, jego ból wcale nie ustępował.

Przeciwnie, jego ból stał się znacznie bardziej dotkliwy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Następnego dnia wypadało Halloween i Kary nie mogła przestać myśleć o tym, że w Bloomington - gdyby wciąż istniał Chrześcijański Teatr Młodzieżowy - dziś wieczorem zostałaby zorganizowana coroczna jesienna zabawa. Młodzi ludzie zbierali się zawsze 30 października i bawili się razem na deskach teatru. Członkowie Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego włożyliby kostiumy z poprzedniego przedstawienia i przygotowali różne konkursy z nagrodami w postaci słodyczy.

Organizacja takiego wieczoru nie przynosiła nigdy jakichś istotnych wpływów gotówki do kasy teatru, ale pozwalała ludziom związanym z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym spotkać się ze sobą i umacniać wzajemne więzi. Katy sprawdziła godzinę - za piętnaście minut miały się rozpocząć popołudniowe zdjęcia. W Bloomington była dopiero siódma, lecz Jenny Flanigan nie powinna już spać. Wyciągnęła telefon komórkowy, odnalazła numer przyjaciółki, wybrała go i czekała.

Jenny odebrała po trzecim sygnale. - Katy, nie mogę uwierzyć, że to ty! - powitała ją radosnym głosem.

- Cześć - odparła Katy, a w kącikach oczu delikatnie zaszczypały ją łzy. Czowała się tak, jakby przylatując do Londynu, wkroczyła w inny świat, a życie w domu pozostało daleko z tyłu. - Musiałam zadzwonić - stwierdziła. - Dziś mamy trzydziestego.

- Wiem - przyznała smutnym głosem Jenny. - Bailey i Connor rozmawiali o tym wczoraj wieczorem. To będzie pierwszy rok bez jesiennego zabawy organizowanej przez Chrześcijański Teatr Młodzieżowy.

Katy poczuła ucisk w gardle. - A jak się oni mają... Bailey i Connor? - spytała.

- Tęsknię za nim; nie będę cię oszukiwać - wyznała Jenny pełnym współczucia głosem. - Ale rozumiem twój wybór. I nie miałoby teatru, nawet gdybyś tutaj była - westchnęła. - To jest po prostu jeden z tych trudnych okresów, jakie spotykają nas w życiu. Wciąż jednak proszą Boga o cud.

Te słowa zasmuciły Katy jeszcze bardziej. Dwoje jej ulubionych nastolatków błagało Boga o cud, który nigdy nie będzie się mógł wydarzyć. - A co u innych: Shafferów, Picków, Larsonów?... Czy ludzie mówią o Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym? - dopytywała.

- Jasne, że mówią - odparła Jenny. - Kilka osób spotkało się u nas parę dni temu, ponieważ zaprosili ich Bailey i Connor. Mieli ten sam cel, co zawsze:

wymyślić coś, aby powstrzymać developera przed zburzeniem budynku teatru - ton Jenny nie był zbyt optymistyczny. - Na koniec śpiewali religijne piosenki i modlili się, prosząc Boga, aby przywrócił im Chrześcijański Teatr Młodzieżowy, ponieważ wierzą, że On może to sprawić.

Katy czuła, jak ogarnia ją coraz większy smutek. - Tak za nim tęsknię - wyznała. - Gdybym mogła wrócić teraz do domu, stanęłabym przed kulą do wyburzania i błagała developerów o zmianę planów.

- Ziemia w śródmieściu jest droga - stwierdziła Jenny najwyraźniej przygnębiona. - Stary teatr jest przynajmniej dwukrotnie więcej wart, niż za niego zapłacili.

Łza skapnęła na dżinsy Katy, więc wierzchem dłoni przetarła oczy. - Co jeszcze słyhać? - dopytywała. - Co piszą w tabloidach?

- Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem - stwierdziła zaskoczona Jenny - że naprawdę udaje ci się trzymać od nich z daleka. Ale dobrze ci to zrobi.

- Rozumiem, że ty też ich nie czytasz?

- Faktycznie nie czytam ich. Jeśli będę chciała znać prawdę, to zadzwonię do ciebie. Poza tym to nie jest dobre dla dzieci, jeśli śledzą, co dzieje się w tym zwariowanym świecie gwiazd, o którym piszą tabloidy.

- Masz rację, nie jest to dla nich dobre - zgodziła się Katy, spoglądając przez ulicę w stronę miejsca, w którym Stephen Petrel zaczął dawać aktorom wskazówki, przygotowując ich do kolejnej sceny. - Posłuchaj, nie mogę już dłużej rozmawiać. Chciałam cię tylko usłyszeć. Rok temu... - urwała, ponieważ wezbrał w niej żal i nie mogła dokończyć zdania.

-Wiem... nie sądziłaś, że wszystko tak się potoczy

- Jenny zawsze wiedziała, co powiedzieć. Katy tęskniła za Bloomington także ze względu na przyjaźń z nią.

Przez chwilę walczyła z zalewem emocji. - Tak mnie to męczy, że dzieciaki straciły Chrześcijański Teatr Młodzieżowy - wyznała w końcu.

- Módl się za nie - Jenny próbowała się uśmiechnąć.

- One zresztą prosiły mnie, żebym cię o to poprosiła. Bailey uważa, że jeśli wszyscy będziemy się modlić, to może uda się znaleźć jakieś rozwiązanie, jakiś sposób, aby utrzymać grupę razem.

- Będę się modliła - Katy zagryzła wargę, aby powstrzymać się od płaczu. - Powiedz im, że ich kocham.

Kiedy skończyły rozmawiać, Katy zobaczyła, że jej partner filmowy, Ian Walters, idzie w jej stronę. Schowała telefon do torebki i wyprostowała się. -

Cześć - uśmiechnęła się do niego życzliwie. Nie miała w zwyczaju opowiadać Ianowi o swoich osobistych sprawach i teraz nie zamierzała tego zmieniać.

Utrzymywanie powierzchownych znajomości z innymi mężczyznami było radą Jenny. - Chroń swoje serce - powiedziała jej kiedyś przyjaciółka. Przy wszystkich niebezpieczeństwach, jakie zagrażały jej małżeństwu, chętnie przyjęła to zalecenie.

Ian usiadł naprzeciwko niej. Trzymał w ręku papierowy talerzyk z kanapką i trzema kruchymi ciastkami. Podał jej jedno z nich i spytał: - Głodna?

- Nie - znów uśmiechnęła się do niego. Z tęsknoty za teatrem młodzieżowym usychało jej serce. Prawie wcale nie odczuwała głodu. - W każdym razie dzięki - dodała łagodnie.

- Wyglądasz na zamyśloną - zauważył Ian, przysuwając bliżej swoje krzesło; ich stopy niemal się dotykały.

Przez kilka sekund Katy poczuła się nieswojo, zanim przypomniała sobie, że dzisiaj na planie nie było paparazzich. Choć jej partner filmowy trzymał stopy blisko jej stóp, chyba nikt nie pomyśli, że miała z nim romans. Uczucia trzymała przecież przez cały czas na wodzy, broniąc dostępu do swojego serca. - Po prostu tęsknię za domem - odparła.

- Mmm - zamruczał, posyłając jej dwuznaczne spojrzenie. - Ja nie. Stanowczo wolę siedzieć tu nad stawem z dziewczyną, którą kocha cała Ameryka.

- No tak... - Katy uśmiechnęła się do niego, wsuwając stopy pod krzesło. - Mój mąż jest ci bardzo wdzięczny za twoją braterską życzliwość wobec mnie.

Z udawanym rozczarowaniem Ian przewrócił oczyma.

- Tak, tak... powiedz mu, że cała przyjemność po mojej stronie.

- Siostrzyczko.

- Jasne, siostrzyczko - westchnął przesadnie Ian.

To była relacja, jaką nawiązali na planie Katy i Ian. Kiedy stawali przed kamerą i wymagał tego scenariusz, natychmiast, jak na zawołanie, pojawiała się chemia między nimi. Lecz film, w którym razem grali, nie był typową historią miłosną. Była to opowieść o kobiecie walczącej z depresją i staraniach jej męża, aby jej pomóc. Zatem braterska życzliwość cechowała ich relację zarówno na planie, jak i w życiu.

Zacząli rozmawiać o scenach, które musiały zostać jeszcze dzisiaj nakręcone, gdy Katy dostrzegła Stephena Petrela rozmawiającego żywo z drugim reżyserem. Kilka razy Stephen spojrzął przez ramię w ich stronę.

- I znów gdzieś myślami odpłynęłaś - żartował z niej Ian. - Chyba nie jesteś tu na tyle obecna, aby normalnie ze mną porozmawiać.

Katy pokręciła głową. - Przepraszam - odparła. - To tylko... Stephen. Wygląda na zdenerwowanego.

- Stephen zawsze jest zdenerwowany - zaśmiał się Ian. - Ten facet jest niezdrowym perfekcjonistą. Dziwię się, że w ogóle udaje mu się kończyć filmy.

Stephen wziął dużą szarą kopertę od drugiego reżysera, potem odwrócił się i ruszył w ich stronę. Gdy podszedł do nich, Katy nie musiała pytać, czy coś się stało. Odpowiedź miał wypisaną w oczach. Stephen położył rękę na ramieniu Iana i rzekł: - Walters, muszę przez chwilę porozmawiać z Katy.

Serce Katy zareagowało żywo. Co mogło się stać? Sceny, które ostatnio kręcili, przebiegły przecież dobrze, tylko kilka z nich musieli powtórzyć i to głównie ze względu na oświetlenie. Przez chwilę zastanawiała się, czy przypadkiem ktoś nie posądził ją o romans z Ianem. Było to coś, o czym rozmawiała wcześniej z reżyserem, ponieważ liczyła na jego pomoc. - Nie chcę, żeby dziennikarze myśleli, że mam romans z Ianem - powiedziała mu wtedy. - Pomóż mi w tym, dobrze?

Stephen wyglądał na lekko rozbawionego jej niepokojem. W końcu przecież tylko kilku fotografów ze Stanów

Zjednoczonych kręciło się przy zdjęciach. - Nie masz się czego obawiać - odparł. - Jeśli sami nie dacie ku temu powodu, nikt się wami nie zainteresuje.

Oczywiście miał rację. Wszyscy interesowali się przede wszystkim Dayne'em i Randi, i jak dotychczas Dayne ciężko pracował nad tym, aby relacje pomiędzy nim a jego filmową partnerką układały się jak najbardziej platonicznie. Może więc chodziło o reality show? Program „Na serio” uderzał w nich cały czas, pokazując światu, jak słabo układało się jej z Dayne'em i jak niepewne było ich małżeństwo. Jeśli fotografom udało się przyłapać Katy sam na sam z Ianem w jakiejś nawet nieznacznie dwuznacznej sytuacji, z całą pewnością te zdjęcia zostałyby opublikowane.

Ian zabrał swój talerzyk, puścił oko do Katy i oddalił się niespiesznie w stronę punktu gastronomicznego. Kilka osób z obsady zebrało się przy stoliku z kawą, a wśród nich była też młoda obiecująca aktorka, która

debiutowała w tym filmie, który właśnie robili. Katy przypuszczała, że Ian interesował się również tą dziewczyną.

- Stephen? - powiedziała Katy, całą uwagę przenosząc na reżysera.

Był on jednym z najbardziej sympatycznych i ciepłych mężczyzn, jakich знаła, lecz teraz jego twarz była tak poważna, że wyglądała niemal surowo. - Przejdźmy się, dobrze? - zaproponował.

Katy wstała i poszła za nim, zatrzymując się po chwili za jedną z przyczep kempingowych. Było to miejsce, w którym pozostawali poza zasięgiem wzroku osób zaangażowanych w prace nad filmem. - Co się stało? - spytała Katy, czując, jak jej twarz staje się gorąca, a ręce zaczynają się trząść. Skoro Stephen tak wyglądał, musiało wydarzyć się coś strasznego.

- Jeszcze nie widziałas wczorajszych tabloidów, prawda?

Serce podeszło Katy do gardła. - Tylko nie mów mi... - zaczęła, zaciskając pięści i spuszczać wzrok na ziemię.

- Robiłam, co mogłam, żeby trzymać się od niego z daleka. Sam pomysł, że mogłabym robić z Ianem coś więcej, niż tylko razem pracować...

- Nie chodzi o ciebie i o Iana - przerwał jej Stephen, marszcząc brwi i kładąc rękę na jej ramieniu. - Nie mogę uwierzyć, że nikt ci wcześniej niczego nie powiedział. Pewnie dlatego, że byliśmy tak zajęci zdjęciami.

Katy poczuła, jakby ziemia rozstępowała się jej pod stopami. Przygotowując się na najgorsze, oparła się o przyczepę i czekała.

Stephen sięgnął do koperty i wyciągnął z niej trzy kolorowe zdjęcia. Podał jej pierwsze z nich i powiedział: - Przykro mi, że musisz na to patrzeć.

Katy spojrzała na zdjęcie, przygotowując się na najgorsze. Upłynęło kilka sekund, zanim zrozumiała, na co patrzy. A potem musiała upłynąć jeszcze kolejna chwila, by czarna fala rozpacz zaczęła zalewać jej duszę. Zdjęcie przedstawiało Dayne'a i Randi, tulących się do siebie i całujących się w taki sposób, jakby... jakby byli w sobie do szaleństwa zakochani.

- Nie...! - krzyknęła Katy, osuwając się na kolana, lecz Stephen złapał ją w ostatniej chwili.

Włożył rękę pod jej ramiona i podtrzymał ją, aby nie upadła. - Nie możesz się załamać. W tej branży widziałem już tego zbyt wiele - mówił do niej ojcowskim tonem. - Ty i Dayne musicie ze sobą porozmawiać. Przejdziecie przez to.

Mieliby przez to przejść? Katy ponownie spojrzała na zdjęcie. Słowa napisane u góry wręcz krzyczały: „Dayne Matthews złapany na gorącym uczynku!”. Kręciło się jej w głowie i poczuła mdłości. Przed oczami zaczęły

jej wirować jakieś czarne plamy i niemal przestała słyszeć głos Stephena mówiącego coś o powszechności romansów; pokusach, którym nie można się oprzeć; o tym, że zawsze coś takiego mogło się wydarzyć i że ona nie może uzależniać wszystkiego od romansu na planie, ponieważ takie rzeczy się zdarzają.

Katy zamknęła oczy i próbowała uchronić się przed utratą przytomności. Nie - miała ochotę krzyknąć do niego. Coś takiego nie może mi się przydarzyć. Ona nie była taka. Była osobą wierzącą w Boga i przekonaną, że ludzie nie muszą żyć w kłamstwie; wierzyła w siłę prawdy, w lojalność i wierność, w to, że nikt nie poślubia drugiej osoby, nie mając przynajmniej intencji kierowania się tymi wartościami. W to wszystko wierzył także Dayne. A przynajmniej tak...

Poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. - Stephen... pomóż mi - szepnęła. Działo się z nią coś dziwnego i nie rozumiała, co to było. Spadała gdzieś, kręciła się w koło, ktoś ją łapał, nieprzyjemny głośny łoskot rozbrzmiewał jej w uszach, a jakiś piekący ból przeszył jej serce. Dayne... ty nie... przecież ty nie mógłbyś... Jej myśli kłębiły się, po czym zaczęły się jakby rozpląwać.

Potem ogarnęła ją już tylko jakaś zimna, wilgotna ciemność. Wpadając w tę czarną otchłań, wciąż zadawała sobie to jedno najważniejsze pytanie: Jak to się mogło stać?... Jak to się mogło...

Później nie była w stanie dalej pytać o cokolwiek, nie potrafiła przypomnieć sobie żadnych słów. Zawroty głowy ustąpiły, pozostawiając po sobie ból i poczucie straszliwej pustki, które było gorsze niż cokolwiek, czego dotychczas doświadczyła Katy w swoim życiu, tak jakby cały jej świat zakończył się w tym jednym, niszczącym wszystko momencie.

Kiedy Katy ocknęła się, stał nad nią Stephen; tyle rozumiała. Ale gdzie ona się znajdowała? I dlaczego była tutaj z reżyserem, kiedy...?

Nagle wszystko powróciło: Stephen idący w jej stronę, niepokój na jego twarzy i to zdjęcie, które mówiło samo za siebie...

- Straciłaś przytomność - oznajmił Stephen. Potem zaniósł wilgotną ściereczkę do zlewu, wypłukał ją, wytrzymał przez chwilę i wrócił do niej. Następnie delikatnie przyłożył wilgotną tkaninę do jej czoła.

- ak... jak długo byłam nieprzytomna? - spytała Katy, próbując usiąść, lecz poczuła nagły przypływ mdłości.

- Niedługo. Najwyżej kilka minut.

Katy rozejrzała się wkoło i zaczęła rozumieć. Stephen pomógł jej wejść do przyczepy kempingowej, przy której wcześniej razem stali. A teraz on i drugi reżyser czuwali przy niej, wyraźnie zaniepokojeni.

- Powoli przestajesz być tak blada - powiedział Stephen, stojąc obok niej. - Jak się czujesz?

Spojrzała głęboko w oczy starszego mężczyzny, a potem zgięła rękę i położyła ją sobie na twarzy. A jak mogła się czuć? Jej mąż miał romans z Randi Wells. Była więc jednocześnie zszokowana, przerażona, upokorzona i wściekła. Lecz z każdą mijającą minutą zaczynała coraz lepiej rozumieć sytuację, w jakiej się znalazła.

Położyła z powrotem rękę wzdłuż tułowia i odetchnęła głęboko. Skoro Dayne ją porzucił, będzie musiała jakoś sobie z tym poradzić. I poradzi sobie nie dlatego, że romanse były powszechne, jak sugerował Stephen, albo że tego typu sytuacje zdarzały się w tej branży, ale dlatego, że miała swoją wiarę, a z Chrystusem mogła zrobić wszystko.

Nawet przetrwać to, co się zdarzyło.

Katy podparła się na łokciu. Boże, bądź ze mną - modliła się. - Nie potrafię zrobić tego sama.

Moja córko, jestem z tobą... aż do skończenia świata.

W odpowiedzi poczuła jedynie, jakby coś umocniło ją od środka. Serce wciąż mocno waliło jej w piersi, lecz teraz mogła już prawie normalnie oddychać. Usiadła na brzegu łóżka i spojrzała na reżysera. - Pokaż mi jeszcze raz tę kopertę - poprosiła słabym głosem, który tym razem okazał się zadziwiająco opanowany. - Proszę cię, Stephen.

Reżyser wymienił spojrzenia ze swoim zastępcą. - No nie wiem... - odparł. - Myślę, że może potrzebujesz czasu, żeby...

- Miałaś rację w tym, co powiedziałaś wcześniej - przerwała mu, czując teraz pewny grunt pod stopami. - Muszę przez to przejść. Dlatego proszę... pozwól mi zobaczyć te zdjęcia.

Z miną mówiącą, że nie był przekonany, czy to dobry pomysł, podał jej kopertę. Katy wyjęła z niej trzy fotografie i położyła je sobie na kolanach. Słabe oświetlenie i nie najlepsza jakość pierwszego zdjęcia wskazywały, że nie zostało ono zrobione na planie filmowym. Wstrzymała oddech i przekładała kolejno zdjęcia pod spód, aż uważnie przyjrzała się każdemu z nich.

Ta sama koszulka, ta sama czapeczka... nie można było mieć żadnych wątpliwości. Wyraz beztroski uchwycony na zdjęciu zdawał się mówić, że

przepełnione szczęściem chwile, które Dayne i Randi przeżywali przed kamerą, zostały przeniesione poza plan, co zaowocowało ich romanssem.

Do czasu, gdy ponownie spojrzała na pierwsze zdjęcie, jej szok niemal całkowicie ustąpił. Patrzyła na to zdjęcie, aż w końcu łzy napływające do oczu rozmazały jej obraz. Dayne... jak mogłeś? Bez względu na to, co zrobiła Randi, aby złapać go w pułapkę, ostateczna decyzja należała przecież do niego. Musiał pozwolić jej na to, aby go sobą oczarowała. On i Katy byli małżeństwem od niespełna roku i jak dotąd ich wspólne życie wielokrotnie zostało naznaczone plotkami i pogłoskami o niewierności, a teraz...

Nagle zrozumiała, czym naprawdę było ich małżeństwo - wynikiem spontanicznego odruchu, od samego początku skazanym na niepowodzenie.

Wierzchem dłoni otarła oczy i pociągnęła nosem. Pomyślała, że dokończy prace nad filmem, wróci do Bloomington i znajdzie sposób, aby jakoś żyć dalej. I znajdzie oparcie w Bogu, ponieważ tylko On jeden mógł pomóc jej przetrwać cierpienie przeszywające jej duszę. Znow może zacznie uczyć, ponieważ ten świat sławnych osób i niedotrzymywanych zobowiązań nigdy nie był tak naprawdę jej światem.

Teraz to wszystko stało się dla niej jasne i zrozumiałe. Podniosła wzrok na Stephena i powiedziała: - Chciałabym być sama przez resztę dnia.

- Jasne - zgodził się reżyser, dotykając ją w ramię. - Zajmiemy się innymi scenami. Pozostali nie wiedzą, co się stało. Myślą, że po prostu źle się poczułaś.

Kiwnęła głową. To nie było kłamstwo. Faktycznie źle się czuła w tej chwili, a w dodatku nie była pewna, czy jeszcze kiedyś poczuje się lepiej.

Kiedy obaj reżyserzy sobie poszli, Katy sięgnęła po telefon. Muszę do niego zadzwonić - pomyślała. On musi wiedzieć, że widziałam te zdjęcia. Kiedy wybierała numer Dayne'a, trzęsły się jej ręce. Po czterech sygnałach włączyła się jego poczta głosowa, prosząc ją o pozostawienie wiadomości.

Otworzyła usta i próbowała coś powiedzieć, lecz w końcu rozłączyła się, gdy poczuła, jak zaczyna nią wstrząsać szloch. Nie miała nic do powiedzenia. Zdjęcie na pierwszej stronie tabloidu powiedziało już wszystko. Zaczęła płakać, czując, jak całe jej ciało skręca się ze smutku. Zacisnęła mocno powieki i błagała Boga o zrozumienie. Jak to się mogło stać, Boże? Wierzyłam mu! Zaczęła coraz wyraźniej zdawać sobie sprawę ze wszystkiego, co dotyczyło jej małżeństwa: plotek i pogłosek o niewierności, problemów, które podnosiły kolejne odcinki reality show... A może one

wszystkie były prawdziwe? Skoro Dayne był w stanie zrobić coś takiego, jak mogła uwierzyć we wszystko, co jej wcześniej mówił?

Tym razem nie usłyszała żadnej odpowiedzi i powoli, jak osychały jej łzy, Katy zaczynała rozumieć. Zaczynała widzieć wszystko jasno i wyraźnie. Ta budząca się w niej świadomość zwielokrotniła jej cierpienie. Czuła się tak, jakby tonęła w oceanie bez nadziei na ratunek, bez widoku suchego lądu na horyzoncie. Ponieważ dotarło do niej, że zdjęcie ukazujące Dayne'a i Randi nie oznaczało jedynie, iż jej małżeństwo rozpadało się.

To zdjęcie oznaczało jego koniec.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Lukę zobaczył wóz strażacki, jak tylko skręcił w ulicę, przy której mieszkali. Mając świeżo w pamięci to, co stało się z domem ojca, poczuł przypływ paniki i nacisnął mocniej pedał gazu. Nie widać było dymu; Reagan zresztą nie zadzwoniła do niego, więc nie mogło stać się nic poważnego... jeśli w ogóle coś się wydarzyło. Nagle ucieszył się z tego, że wyszedł dziś z pracy kilka godzin wcześniej niż zwykle. Zatrzymał samochód z piskiem opon i wyłączył właśnie silnik, gdy Reagan i jakiś strażak o blond włosach wyszli razem przed dom.

Jego radość była krótkotrwała. - Co to ma niby znaczyć? - wymamrotał pod nosem, usiadł nisko w fotelu kierowcy i zaczął obserwować żonę.

Reagan rozmawiała ze strażakiem i tak pochłonęła ją ta konwersacja, że nie zauważyła nawet, iż po drugiej stronie ulicy zaparkowany był samochód Luke'a. Uśmiechała się i wskazywała w stronę dachu ich domu, a potem na drzwi wejściowe. Najwyraźniej coś mówiła, a oboje śmiali się z tego; po jakimś czasie spowaźniali. Strażak kiwnął głową, nieprzerwanie skupiony na tym, co mówiła Reagan. Następnie z gracją i jakby zalotnie wzruszyła ramionami. Przynajmniej tak wydawało się Luke'owi.

Ze złości krew napłynęła mu do twarzy. Co tu się działo? Chwycił wewnętrzną klamkę od drzwi z zamiarem wyskoczenia z samochodu i zażądania wyjaśnień, gdy nagle strażak podszedł bliżej do Reagan i przytulił ją.

Ten gest nie trwał długo i nie było w nim jakiegś poufałości, nie nastąpił też po nim pocałunek. Niemniej jednak Lukę otworzył usta, kompletnie zaskoczony. Czyżby Reagan miała romans? Bo jak inaczej mógł rozumieć to, co przed chwilą zobaczył? Młody mężczyzna pomachał tymczasem do Reagan i pobiegł do wozu strażackiego. Wspiął się do kabiny i prawie natychmiast odjechał, a przez cały czas Reagan nawet nie spojrzała w stronę Luke'a.

Lukę otworzył drzwi samochodu, nim Reagan zdążyła z powrotem wejść do domu. Na dźwięk zatraskiwanych drzwi odwróciła się w jego stronę. Zaskoczenie i poczucie winy widoczne na jej twarzy nie budziły żadnych wątpliwości. Lukę był pewien, że to właśnie wyrażała mina jego żony. Ruszył szybko przez ulicę, nie spuszczać wzroku z Reagan, a rytm wybijany przez jego kroki był jedynie odrobinę szybszy od szaleńczego

tempa, w jakim pracowało teraz jego serce. Gdy przeszedł na drugą stronę ulicy, zatrzymał się w pewnej odległości od niej.

- Co to było?! - spytał z wyrzutem, wskazując ręką na wóz strażacki, ledwie widoczny na końcu ich ulicy.

- Nie krzycz - odparła Reagan, zamykając drzwi wejściowe i robiąc kilka kroków w jego stronę. - Obudzisz Malin.

- Może nie obchodzi mnie teraz to, czy obudzę Malin - rzucił z obrazą w głosie, nie mogąc uwierzyć w to, co się wydarzyło. - Przyjeżdżam do domu wcześniej niż zwykle i widzę, że przytula cię jakiś strażak, a ty mówisz, żebym nie krzyczał?! - mówił tak wściekły, że miał ochotę uderzyć w coś pięścią, lecz siłą woli zmusił się do panowania nad sobą. - Zechcesz mi wreszcie powiedzieć, co tu się dzieje? Co ma znaczyć ten strażak wpadający do ciebie na południowe przytulanki?

Reagan skrzyżowała przed sobą ręce i spojrzała w dół na jakieś miejsce obok swoich stóp. Kiedy podniosła wzrok, z jej oczu bił taki chłód, który wcześniej widział w nich tylko raz w życiu - 11 września 2001 roku, w dniu, w którym w walących się wieżach World Trade Center zginął jej ojciec. - To przyjaciel - powiedziała i zamrugnęła, lecz chłód nadal pozostał w jej spojrzeniu. - Słucha tego, co mówię, to wszystko - dodała.

Przez chwilę wstrząsał Lukiem dreszcz niepokoju, lecz gniew okazał się silniejszy. - Zaprzyjaźniłaś się ze strażakiem, który cię słucha? - rzucił drwiąco, nie mogąc pozbierać myśli. Jak do tego doszło i od jak dawna są przyjaciółmi? - pomyślał natychmiast.

- On był jednym z tych mężczyzn, którzy przyjechali do nas z pomocą, gdy Tommy wsadził głowę między szczeble balustrady - westchnęła, długo i powoli wypuszczając powietrze, jakby nie miała siły, aby z nim walczyć.

- Przyjeżdżał potem jeszcze kilka razy, żeby sprawdzić stan przewodów na strychu i jeszcze jakieś zabezpieczenia przeciwpożarowe domu.

- Tak - Lukę wydał z siebie jakby przesadny śmiech.

- Jakoś nie wydaje mi się, żeby przewody w naszym domu mogły stanowić zagrożenie - stwierdził, przeszedł obok niej, wszedł do domu i mijając salon, gdzie na podłodze na kocu spała Malin, udał się do ich sypialni. Dopiero tam odłożył aktówkę, rozluźnił krawat i podszedł do okna, które wychodziło na ich rozległe podwórko.

Reagan poszła za nim, nie spiesząc się. Usłyszał, jak weszła do sypialni i cicho zamknęła za nią drzwi. Odwrócił się do niej w chwili, gdy siadała na brzegu łóżka. Trzymała w rękach jakąś gazetę.

- Dlaczego on cię przytulił? - spytał Lukę po chwili milczenia, uświadamiając sobie, że w większym stopniu doświadczał gniewu niż poczucia krzywdy. Bez względu na to, jak bardzo pochłaniała go praca, i mimo tych wszystkich sytuacji, w które się wplątał, nigdy nie przyszło mu do głowy, że jego żona mogła mieć romans.

Chłód bijący z jej oczu jakby trochę osłabł. - Powiedziałam mu, że dzisiaj jest rocznica - wyznała.

Lukę zmarszczył brwi, zastanawiając się, o czym ona mówiła. - Rocznicą? - spytał w końcu, nie mogąc niczego skojarzyć.

- Rocznicą dnia, w którym znaleźli szczątki mojego taty. To było dokładnie sześć lat temu - przypomniała mu.

Nawet pomimo gniewu i zaszokowania, którymi był owładnięty, jej słowa uderzyły go, a jego pamięć natychmiast wyszukała pewien obraz. Zobaczył Reagan i siebie na osiemdziesiątym dziewiątym piętrze północnej wieży World Trade Center, siedzących w gabinecie jej ojca, gawędzących z nim wesoło i planujących wieczorne wyjście do teatru. Reagan była oczkiem w głowie ojca, traktował ją jak księżniczkę. Było oczywiste, że bardzo go jej brakowało i że jego śmierć wciąż wywoływała w niej ogromny ból.

Przez chwilę Lukę poczuł się nieswojo. Co powinien teraz zrobić? Powiedzieć jej... to przytulenie przez strażaka wydawało się dobrą okazją. Było mu przykro z jej powodu, lecz nic nie mogło zmienić tego, co się stało. Miał już zapytać, ile dokładnie razy odwiedzał ją ten strażak do tej pory, gdy niespodziewanie krzyk Tommy'ego przeszył ciszę. Lukę jęknął, wyrażając w ten sposób swe poirytowanie, a potem dodał: - Czy to dziecko nie może przeżyć ani jednego dnia bez krzyku?

- On prawdopodobnie mnie szuka - odparła Reagan i wstała, a w tej samej chwili do sypialni wbiegł Tommy. Malec chwycił ją za nogi. - Malin śpi na moim kocu! - zawołał Tommy już nie tak głośno jak wcześniej, lecz jego jęczący głos był nie do wytrzymania. - Mówiłem jej, żeby go nie brała, a ona go wzięła, mamó! A on jest mój!

- Posłuchaj - rzucił Lukę, chwytając synka za ramię.

- Marsz do swojego pokoju! - wskazał ręką na korytarz.

- Jesteś zbyt duży, żeby tak krzyczeć o byle koc!

Tommy popatrzył na nich w taki sposób, jakby nie mógł uwierzyć, że Lukę mówił poważnie. Potem jego mina stała się straszliwie smutna, odwrócił się i wybiegł z płaczem z sypialni, głośno wołając: - Nikt mnie nie kocha! Nikt...

- No nie - Lukę spojrział na Reagan, lecz ona odwróciła od niego wzrok. - To jest nie do przyjęcia, żeby on zachowywał się wobec nas w taki sposób.

- Może gdybyś więcej bywał w domu, to znalazłbyś jakiś sposób, aby pomóc mi go nauczyć, jak powinien się zachowywać - odpowiedziała ostro. Na chwilę gniew błysnął jej w oczach. - Zresztą nieważne - rzekła. Potem podniosła lekko w górę gazetę i dodała: - Wygląda na to, że nie tylko my mamy problemy.

Lukę spojrział na pierwszą stronę magazynu, na zdjęcie i nagłówek. Musiało upłynąć kilka sekund, zanim dotarła do niego ta informacja, a realizm zdjęcia uderzył go niczym pędząca lokomotywa. Rozchylił wargi, lecz nie wydobył się pomiędzy nich żaden dźwięk. Zrobiło mu się sucho w ustach, lecz zanim zdążył spojrzeć na żonę, zanim odważył się pomyśleć o najgorszym, Reagan rzuciła w niego gazetą i wyszła.

Zanim opuściła sypialnię, odwróciła się i syknęła: - Widzę, że słabość do dziewczyn jest przypadłością rodzinną. - Popatrzyła na niego chłodno jeszcze przez chwilę, odwróciła się i poszła korytarzem do pokoju Tommy'ego.

Lukę zastygł w bezruchu, stojąc w miejscu jak zamrożony. Puls mu znacznie przyspieszył, a czoło pokryło się warstewką potu. Reagan wiedziała. Dlatego pokazała mu tę gazetę. Wiedziała i teraz uznała, że może robić to, na co ma ochotę.

Spojrział na zdjęcie i na nagłówek ponad nim. Powoli pewna myśl zaczęła kiełkować w jego umyśle. A może jednak nie wiedziała. Może miała na myśli dokładnie to, co powiedziała, że słabość do dziewczyn jest przypadłością rodzinną. Innymi słowy, tak jak każda osoba, która spojrziała na fotografię opublikowaną na pierwszej stronie tabloidu, Reagan mogła naprawdę uważać, że Dayne miał romans z Randi Wells.

Nagle przypomniał sobie o SMS-ach. Wyciągnął z kieszeni telefon, otworzył klapkę i opróżnił skrzynkę odbiorczą i nadawczą. Wreszcie. To powinno wystarczyć. Oblizął dolną wargę i znów spojrział na pierwszą stronę tabloidu. Jeśli Reagan wierzyła w to, w co wierzył cały świat, był bezpieczny. .. przynajmniej na razie.

Nagle w jego kieszeni zadzwonił telefon, a na ten dźwięk Lukę aż podskoczył. Wyciągnął ponownie aparat i spojrział na jego wyświetlacz, a serce zaczęło mu bić jeszcze szybciej. To dzwonił Dayne. Przełknął ślinę i odebrał połączenie. - Cześć - starał się mówić smutno, ponieważ Dayne z pewnością sądził, że do tego czasu Lukę widział już zdjęcie.

- Posłuchaj, nie mam za dużo czasu - Dayne zaczął najwyraźniej wściekłym głosem, a jego słowa padały jak seria pocisków z karabinu maszynowego. - Powiedz mi, co się wydarzyło tamtego wieczoru na plaży pomiędzy tobą a Randi.

- Pomiędzy mną a Randi? - Luke udawał zdziwionego, szukając słów, aby przekonać Dayne'a, że nie miał romansu z Randi. W końcu zaśmiał się cicho i powiedział: - Tylko nie mów mi, że myślisz, że to ja jestem na tym zdjęciu?

- No dobrze, na pewno nie jestem to ja. Tyle wiem - w głosie Dayne'a wciąż pobrzmiwał gniew, lecz było oczywiste, że starał się nad sobą panować. - Moje życie rozpada się przez to zdjęcie. Powiedz mi prawdę.

Głębokie przeświadczenie zastąpiło śmiech w głosie Luke'a, po czym przekonująco zapewnił: - Przymierzam ci, że to nie ja jestem na tym zdjęciu. Pytasz niewłaściwą osobę.

Nastąpiła chwila przerwy. - No dobrze - Dayne'owi jakby zabrakło słów. - Dzięki, ale musiałem zapytać.

Kiedy skończyli rozmawiać, Luke spojrzał na rękę. Trząśnięcie było mocne, a serce waliło mu w piersi jak młot. Schował telefon do kieszeni i wyjrzał przez okno. Dayne jakoś poradzi sobie z tym całym bałaganem, zawsze mu się to udawało, ale co będzie potem. Może ktoś odkryje prawdę.

Luke zaczął patrzeć na zdjęcie, na zaabsorbowaną minę Randi, całkowicie pochłoniętą tamtym wydarzeniem. A tego mężczyzny... tego mężczyzny nawet on teraz jakby nie rozpoznawał.

Boże Drogi. ..co ja zrobiłem? Kim ja jestem? - modlił się.

Nie padała żadna odpowiedź, żadne pocieszenie. Zaczęło ogarniać go poczucie winy niczym pręty celi więziennej; poczucie winy, jakiego Luke nigdy wcześniej nie doświadczył - nawet wówczas, gdy opuścił dom i zerwał relacje z rodziną. Było to poczucie winy na tyle silne, aby go zniszczyć. Luke odczuwał je tak, jakby jakaś trucizna wsączała się do jego krwi. Ponieważ bez względu na to, co można było pomyśleć, patrząc na to zdjęcie, i bez względu na to, jakie kłamstwa mógł wymyślić Luke... i nawet gdyby cały świat wierzył inaczej, pewne było jedno.

To nie Dayne wplątał się w romans z Randi Wells. Romans z Randi miał Luke Baxter.

John spojrzał na gazety rozłożone na jego biurku. Poprzedniego dnia zatelefonowała do niego Ashley i powiedziała mu o tabloidach tuż po tym, jak sama się o tym dowiedziała. Teraz drzwi do jego gabinetu były

zamknięte na klucz, a John wciąż miał jeszcze pół godziny do następnej wizyty.

Rozmyślał nad tym, jak mylne bywają czasami wyobrażenia na temat posiadania rodziny i bycia ojcem. Rodzą się dzieci, a rodzice myślą sobie, że po upływie jakichś dwudziestu lat ich dom ponownie opustoszeje i zapanuje w nim cisza i spokój, kiedy dzieci usamodzielniają się i zaczną własne życie. John nachylił się bliżej w stronę gazet i patrzył na zdjęcie, na którym widział Dayne'a i Randi, i jakiś głęboki smutek przeszył mu duszę. Prawda była bowiem taka, że rodzicem jest się do końca życia. Teraz zaś John musiał zmierzyć się z problemem polegającym na tym, że jego najstarszy syn - młody mężczyzna, którego jeszcze kilka lat temu wcale nie znał - popełnił najgorszy błąd swojego życia i w dodatku wszyscy się o tym dowiedzieli.

Lecz John mógł sobie myśleć tylko jedno: Przecież to jest mój syn! Poleciałby do Meksyku nawet jeszcze tego popołudnia, gdyby sądził, że Dayne go tam potrzebował. Oczywiście zatelefonował do niego, ale ich rozmowa nie trwała długo. Dayne zaprzeczył temu, że całował się z Randi, i utrzymywał, iż na zdjęciu musiał być ktoś inny.

- A co na to Randi? Co ona mówi? - spytał wówczas John.

- Nie chce mówić - poinformował Dayne. - Powiedziałem jej, że przecież nie ja jestem na tym zdjęciu, a ona na to, że mogłem być i tyle - relacjonował Dayne wyraźnie zmęczony. - Rozmawiałem z Katy, lecz tylko przez kilka minut. Musiała gdzieś biec - chyba chodziło o jej film. Ale słyszałem w jej głosie, że mi nie wierzy.

John zmarszczył brwi. Pomyślał, że gdyby miał być szczery z samym sobą, musiałby przyznać, że wyparcie się przez Dayne'a całej tej sytuacji było nieprzekonujące. Ale przecież Dayne wciąż pozostawał jego synem, jego pierworodnym dzieckiem. I bez względu na wielkość tarapatów, w jakie popadł, jego miejsce jako ojca było przy nim. Nawet jeśli w końcu Dayne przyzna się do wszystkiego. Teraz jednak nie należało go opuszczać i pozostawiać samego.

John odchrząknął. - Przykro mi, synu - powiedział podczas tamtej rozmowy. - To jest naprawdę straszne - próbował wymyślić coś, czym mógłby go pocieszyć, lecz nie przychodziły mu do głowy żadne słowa. Dayne żył w innym świecie i John niewiele wiedział o tym, jak się w nim poruszać. W końcu zaoferował jedyny rodzaj pomocy, jaki wydał mu się możliwy. - Daj mi znać, jeśli jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić.

- Oczywiście, że mógłbyś - odparł szybko Dayne smutnym głosem. - Módl się, dobrze? Po prostu módl się za nas.

A teraz w ciszy gabinetu John cieszył się, że jednak istniał bardzo konkretny sposób, w jaki mógł pomóc; sposób, dzięki któremu wciąż mógł być ojcem dla swojego w pełni dorosłego syna - nawet w takiej chwili jak obecna.

Potem John zaczął myśleć o Luke'u i jego serce ogarnęła taka boleść, jakiej nie zaznał od lat. W ciągu ostatnich tygodni Ashley rozmawiała telefonicznie kilka razy z Reagan i w końcu opowiedziała mu o tych rozmowach.

- Reagan sądzi, że Lukę ma romans - mówiła załamana Ashley. - Lata do Nowego Jorku znacznie częściej niż kiedyś i kilka razy był w teatrze z jakąś kobietą z biura - w jej głosie słychać było płacz. - Musimy coś zrobić, tato - zakończyła.

John siedział nieruchomo, a cierpienie związane ze złymi wyborami, jakich dokonali jego synowie, wstrząsało jego wnętrzem. Ich małżeństwa były poważnie zagrożone wskutek tego, że obaj nawiązali zbyt daleko posunięte relacje z innymi kobietami, łamiąc w ten sposób zobowiązania i przysięgi, które wcześniej złożyli. Wezbrał w nim gniew wobec wroga ich dusz. Lecz mimo wszystko Dayne i Lukę byli Baxterami, a Baxterowie nie lekceważyli małżeństwa, nie traktowali tak niefrasobliwie więzi pomiędzy mężem i żoną.

John wiedział już, że powinien zrobić to, co robił w przeszłości już tak wiele razy - upaść na kolana i błagać Boga o pomoc, błagać o to, aby zainterweniował Jego Duch i aby obaj jego synowie zaczęli na nowo w pełni żyć Jego życiem. Wstał zatem, wsunął krzesło i zniżył się do przykrytego dywanem miejsca pomiędzy biurkiem i stojącą przy ścianie sofą. Kiedy jego kolana dotknęły podłogi, przypomniał sobie te najważniejsze momenty w życiu, kiedy zachowywał się podobnie, kiedy klękał w swoim gabinecie.

Przypomniał sobie, jak przed dziesięcioma laty Ashley, jako młoda kobieta poszukująca jakichś emocjonujących przeżyć, których nie potrafiła doświadczyć w Bloomington, poleciała do Paryża i jak potem wróciła, samotna i w ciąży, tak poniżona i przepelniona wstydem, że John i Elizabeth niepokoiли się, czy jeszcze kiedykolwiek zaczną normalnie funkcjonować w rodzinie.

Upadł na kolana również wtedy, gdy pierwszy mąż Kari związał się z jedną ze swoich studentek, a potem gdy pewien młody człowiek poczuł się

porzucony przez ową studentkę i w przypiływie gniewu zastrzelił męża Kari. Kari miała wówczas za kilka tygodni urodzić Jessie i bez zwrócenia się po pomoc do Boga, bez modlitwy o siłę, John był pewien, że żadne z nich nie przeszłoby przez to tragiczne wydarzenie bez szwanku dla ich wiary.

Modlił się w ten sposób po tragedii 11 września, a także później, gdy stało się pewne, że Reagan straciła ojca w ataku na World Trade Center; modlił się wówczas, gdy Lukę postanowił opuścić dom i zamieszkać z dziewczyną, która kwestionowała wszystko, co wcześniej liczyło się dla jego syna.

John zawsze przychodził ze swoim bólem i ze swoimi lękami w to miejsce, do swojego gabinetu. Tutaj, na kolanach, czuł obecność Ducha Bożego i wiedział, że Pan odpowiada na jego modlitwy. W ten czy inny sposób, ale odpowiada.

John wziął głęboki wdech. Znów tutaj jestem, tutaj na kolanach, pełen pokory przed Tobą - modlił się. Moi synowie mają problemy, Ojczy. Zamknął oczy i przypomniał sobie zdjęcie opublikowane na pierwszej stronie tabloidu. Dayne mógł zaprzeczać temu, co działo się pomiędzy nim i jego partnerką filmową, lecz zdjęcie mówiło samo za siebie. John westchnął. Myślę, że Dayne wszystko wypiera, Panie - modlił się dalej. On jest tak daleko od rodziny, tak daleko od wszelkiego wsparcia, które umocniłoby go w wierze. Otwórz jego oczy i pozwól mu zobaczyć, że to, co robi, jest złe i że przez zaprzeczanie prawdzie tylko pogarsza całą sytuację. I jeszcze Lukę, Panie... ukaż mu jego działania w całej prawdzie i spraw, aby znów zaczął właściwie postępować. Pomóż mu poprawić jego relacje z Reagan. Proszę, Ojczy, usłysz dzisiaj mój płacz.

Zrobił przerwę, ponieważ poprzez te wszystkie lata nauczył się jednej, bardzo ważnej rzeczy, kiedy żarliwie i z pasją poszukiwał Boga. Potrzebował czegoś więcej, niż tylko prosić; musiał słuchać. Klęczał pochylony, czekał i słuchał.

Po chwili w ciszy gabinetu powróciły do niego słowa Pisma, napęlniając jego umysł prawdą i pokojem. Był to werset z Listu św. Pawła do Kolosan, który John czytał przed kilkoma dniami: „W Nim wszystkie skarby mądrości i wiedzy są ukryte...”.

Mój synu... rozważ Moje słowa. Ja wiem wszystko... ukażę ci te rzeczy w odpowiednim czasie.

Święta obecność wypełniła gabinet, John poczuł ją, klęcząc. Co mogły oznaczać te słowa Pisma w czasie, kiedy John tak martwił się o swoich synów? Zaczął powtarzać sobie w myśli te słowa raz za razem i powoli

zaczynał rozumieć, co Bóg poprzez nie mówił do niego. Dzisiaj sytuacja jego synów i ich żon wydawała się beznadziejna i nie do naprawy. Lecz jedynie Bóg wiedział wszystko. Jego mądrość i wiedza naprawdę były ogromnymi skarbami.

John nie miał pojęcia, w jaki sposób mądrość i wiedza mogą objawić się w incydencie związanym z Dayne'em i Randi albo w podejrzeniach Reagan, lecz nagle przestał wątpić. W tym wszystkim miała zajaśnieć prawda, a kiedy to się stanie, zacznie się uzdrowienie. To było to, co Bóg chciał mu powiedzieć, i uświadomienie sobie tego zalało duszę Johna nieopisaną radością.

Bez względu na to, jak wielka była jego miłość do synów, Bóg kochał ich bardziej. A Bóg wiedział wszystko, co mogło jedynie oznaczać, że John powinien oprzeć się na Panu i być spokojnym, ponieważ Dayne i Luke byli kształtowani i formowani przez samego Boga - mimo tragizmu sytuacji, w jakiej się znajdowali.

Przez kolejne dwadzieścia minut klęczał na podłodze, modląc się za swoje córki i ich rodziny, prosząc Boga, aby chronił ich małżeństwa i umacniał ich wiarę. Gdy zbliżał się do końca modlitwy, Bóg obdarzył go pewną mądrością, sprawiając, że jedna sprawa stała się dla niego oczywista: musiał wysłać swoim dzieciom albumy, jak tylko skończy pracę nad nimi, aby przesłanie miłości ich matki, jej słowa na temat małżeństwa, zaangażowania się w nie i w rodzinę dotarły do nich tak szybko, jak to tylko możliwe.

Zanim będzie na to za późno.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Pogrzeb matki dobiegł końca i Randi zbierała siły, aby wyjść z kościoła. Po chwili ruszyła środkowym przejściem między ławkami, podpierając się o co drugą z nich, mając obok siebie córki i zmierzając w stronę światła wpadającego z zewnątrz przez główne drzwi. Pozostała sama, bez żadnego z rodziców.

Znajdowała się w rodzinnych stronach, w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie nie miał znaczenia fakt, że była sławną amerykańską gwiazdą filmową. Za dwa dni znów powróci na plan, gdzie była hołubiona i traktowana jak ikona sławy i sukcesu. Lecz tutaj ludzie byli znacznie bardziej przywiązani do rodziców i dziedzictwa wiary niż w świecie, w którym obecnie funkcjonowała, znacznie bardziej oddani społeczności, wśród której żyli. Tego ranka kościół był pełen ludzi. Stało się tak zapewne za sprawą wielu przyjaźni, które nawiązała w swym życiu jej matka, ale pewnie także z powodu hojności, uśmiechu i pomocnej dłoni, z których znany był jej ojciec. Jeśli ktoś znajdował się w potrzebie, zawsze mógł zwrócić się po pomoc do Louie Geera i wiedział, że nie zostanie odesłany z kwitkiem.

- Postaw Boga i rodzinę na pierwszym miejscu, córeczko, a wszystko inne będzie na właściwym miejscu - zwykł mawiać jej ojciec.

Młodsza córka Randi pociągnęła ją teraz za rękaw. - Mamo... - zaczęła mała.

- Tak?

Przekrzywiła główkę do góry i zmarszczyła brwi. - Czy babcia będzie teraz leżała w tej pięknej skrzyni?

Randi wzięła ją za rękę, potem odwróciła się w bok i sięgnęła po dłoń starszej córki. Przypomniała jej się prawda, którą poznała w swoim dzieciństwie. Uśmiechnęła się smutno do młodszego dziecka i wyjaśniła: - Babci nie ma w tej skrzyni, czyli w trumnie, kochanie. Ona jest w niebie, z dziadkiem.

Gdy wyszły na zewnątrz z kościoła, zalało je jasne światło przedpołudnia, więc Randi włożyła okulary przeciwsłoneczne. Po drugiej stronie ulicy znajdował się stary park z zagajnikiem drzew iglastych i wieloma przepięknymi osikami. Był ostatni dzień listopada i liście dawno już opadły, lecz to nie miało znaczenia. Wystarczyło jedno spojrzenie na park, aby Randi przypomniała sobie, jak wyglądało to miejsce podczas każdej z pór roku; miejsce, które tak dobrze pamiętała i za którym tak tęskniła.

- Chodźmy do parku - powiedziała Randi i poczekała, aż przejadą samochody, po czym przeprowadziła dzieci na drugą stronę ulicy.

Dziewczynki zachowywały się znacznie spokojniej niż zwykle, lecz kiedy zobaczyły huśtawki, natychmiast pobiegły do nich i zaczęły się bawić.

Randi usiadła na najbliższej ławce i ożyły w niej tysiące wspomnień. Tutaj po wyjściu z kościoła siadała ze swoim tatą, gdy jako mała dziewczynka była już zbyt zmęczona, aby się huśtać, a kiedy jej siostry, Jamie i Kelly, zajęte były zabawą na zjeżdżalniach; zresztą potrzebowała takiego czasu, który mogła spędzić tylko z ojcem. Była przecież nazywana córeczką tatusia, dlatego teraz tak bardzo go jej brakowało. Z drugiej strony nie miała więcej niż może jedynie kilka dobrych wspomnień związanych z matką, a teraz nawet ona odeszła.

Randi odchyliła się do tyłu i oparła o ławkę. Wspomnienia uleciały gdzieś, a ona spojrzała w górę na niebo poprzez огоłocone z liści gałęzie. Jak mogliście oboje z tatą odejść? - żaliła się w duchu. Płakała ostatnio tak dużo, że wydawało jej się, iż chyba zabrakło jej łez. Lecz teraz, kiedy pozostała sama na sam ze swoimi wspomnieniami, jej oczy znów stały się wilgotne. Jak ja mam bez was żyć?- jęczała przybita w swoim wnętrzu.

Odpowiedź pojawiała się powoli i towarzyszyło jej poczucie wstydu, które Randi skutecznie wypierała przez cały czas, odkąd wyjechała z domu do Hollywood. Rodzice uczyli ją, że najpierw ma kochać Boga, bez względu na okoliczności. Teraz miała wrażenie, jakby poczucie winy wielkości ogromnej góry spadło na jej barki. Choć nie wzięła sobie do serca żadnej z rad rodziców i nie stosowała się do nich w swoim życiu, oni nadal ją kochali. Do samego końca, podczas ich ostatniej rozmowy, jej matka podkreślała jedną tylko obawę, którą nosiła w swym sercu. - Nie wiem, jaka naprawdę jesteś, kochanie, ale proszę cię, wróć do Jezusa -mówiła mama, a jej skóra była blada i pokryta potem, gdyż dzieliło ją od śmierci jedynie parę godzin. - Kocham cię, Randi... nie chcę żyć bez ciebie - dodała.

Teraz tamte słowa raz po raz przychodziły jej na myśl.

Świadomość, że przez wszystkie te lata nie rozumiała matki i odrzucała jej miłość, wstrząsnęła nią. Chciała nabrać powietrza, lecz nie mogła zrobić pełnego wdechu. Dotarło do niej, że podobnie jak ojciec, którego miłości ona i jej siostry zawsze były pewne, i czuły się jak jego księżniczki, matka też je kochała. Zrozumiała również, że jeśli nie odnajdzie powrotnej drogi do Pana, starci szansę na niebo. Przecież o tym mówiła Ewangelia - jeszcze tyle Randi udało się zapamiętać.

Przeszedł ją dreszcz po całym ciele, aż zadzwoniła zębami. Miała romans z żonatym mężczyzną. Ona i Luke Baxter spędzili ze sobą na plaży tamtą noc, jakby byli sami na świecie, i przez pięć tygodni od tamtej chwili wysyłali do siebie SMS-y i rozmawiali ze sobą wiele razy. Planowali też, że po jej powrocie do Los Angeles będą spotykać się raz na miesiąc, jeśli to tylko okaże się możliwe.

Luke nie był w jej życiu pierwszym odstępstwem od ścieżki, którą podążali jej rodzice. Nie potrafiłaby chyba zliczyć liczby mężczyzn, z którymi spała, a każdy z nich w ten czy inny sposób związany był z branżą filmową. Niektórzy z nich byli żonaci. Podczas jej krótkiego małżeństwa dochowywała wierności, dopóki nie dowiedziała się o związkach męża z innymi kobietami. Potem już każde z nich za nic miało wierność małżeńską.

Randi zbierało się na szloch, coś okropnie ścisnęło ją w gardle; poczuła, jak ogarnia ją jakiś straszny lęk. Uświadomiła sobie, że gdyby dzisiaj umarła, Pan nie rozpoznałby jej. Nie mógłby powitać jej w niebie, a właśnie tam trafili na wieczność jej rodzice.

Randi spojrzała na ławkę i pociągnęła rękami po gładkich drewnianych listwach. Po raz pierwszy od jakichś dziesięciu lat zobaczyła siebie taką, jaką naprawdę była - brudną, żalostną i pozbawioną nadziei. Staczała się po ścieżce zagłady i jeśli teraz nie pozwoli na to, aby przemieniła ją śmierć matki, to już chyba nic jej nie zdoła przemienić. Mocno ścisnęła oparcie ławki i zamknęła oczy.

Przepraszam, Boże - zaczęła się modlić. Zawiodłam Cię na wszystkie możliwe sposoby. Czuję się brudna i zmęczona i bardzo chcę się zmienić. Chcę się zmienić jak najszybciej, już teraz, Panie. Przebacz mi i oczyść mnie w Twoich oczach.

Nie wiedziała, czy ma oczekiwać jakiejś odpowiedzi, lecz nie słyszała w sobie żadnego głosu. Kiedy skończyła się modlić, przypomniała sobie coś, co powiedział kiedyś jej ojciec: „Kiedy tylko będziesz chciała się zmienić, kiedy przestaniesz żyć po swojemu i uchwycisz się Boga, On powita cię z otwartymi ramionami”.

Poczuła się tak, jakby ktoś podniósł z jej ramion tę ogromną górę, a z kolejnym oddechem ogarnął ją przynoszący ulgę pokój. Nie mogła już dłużej czekać, zanim wykona kolejne posunięcie. Wybrała Luke'a, ponieważ wyglądał i zachowywał się podobnie jak Dayne. Lecz teraz zrozumiała, jak wielki błąd popełniła. Nie mogła przecież mieć ani Dayne'a, ani Luke'a i może Bóg chciał, aby żyła samotnie, bez żadnego mężczyzny u boku. Może

Pan chciał być Kimś jedynym w jej życiu przez jakiś czas. Przygotowała się w myśli do wykonania następnego, koniecznego kroku i wyjęła z torebki telefon.

Wszyscy widzieli zdjęcie, na którym była z Lukiem, lecz skutki ich nieostrożności spadły na barki Dayne'a. Natychmiast po tym, jak opublikowano fotografię, Dayne zapytał ją o to zdjęcie. - Wiesz, że to nie byłem ja! - powiedział jej pełen gniewu i lęku, jakich nigdy wcześniej u niego nie widziała. - Tylko ty możesz to wyjaśnić, Randi - nalegał, a jego oczy były zrozpaczone. - Zadzwoń do tabloidów i powiedz im prawdę - błagał, wyrzucając ręce w powietrze. - Jak mogłoby cię to nie obchodzić, skoro od tego zależy moje małżeństwo?

Randi jedynie wymamrotała coś pod nosem, że tym mężczyzną na zdjęciu mógłby być Dayne i potem odeszła. Po tamtym zdarzeniu Dayne cały czas był doskonałym aktorem, profesjonalnym we wszystkich ujęciach, które kręcili na planie. Reżyser nawet ani razu nie zapytał, czy wszystko między nimi układa się dobrze, nigdy nawet nie wspomniał, że coś stało się z chemią pomiędzy nimi. Lecz oczywiście nie było już tak jak dawniej.

Randi sądziła, że Dayne poradzi sobie z tą sytuacją; był przyzwyczajony do podobnych rzeczy. Lukę zaś nie został przygotowany do zmierzenia się z czymś takim. A teraz, skoro doszło do romansu między nimi, ważniejsze było, żeby jego tożsamość została utrzymana w tajemnicy.

Wiatr poruszył gałęziami drzew. Czy Lukę naprawdę musiał zachować prywatność? Czy jedynie to się liczyło? Czy taka była jej motywacja? Randi poczuła odrazę do samej siebie. Nie mogła już dalej kłamać - ani wobec siebie, ani wobec świata. Prawda była taka, że miała nadzieję, iż to zdjęcie zniszczy małżeństwo Dayne'a, a potem... w końcu... będzie mogła go pozyskać, tak jak zawsze pragnęła go posiadać.

Znów poczuła się brudna, lecz przypomniała sobie swoją modlitwę i pewność, że Bóg jej przebaczył. Mając to w świadomości, nie mogła tracić czasu. Wybrała odpowiedni numer w swoim telefonie komórkowym i czekała, oddychając szybko i płytko z niecierpliwości. To była pierwsza z kilku rozmów telefonicznych, które musiała natychmiast przeprowadzić, ale ta była zdecydowanie najważniejsza.

Była to rozmowa, którą powinna była przeprowadzić przed pięcioma tygodniami.

Prawie przez cały czas Katy czuła się zmęczona i nawet dwukrotnie rozmawiała o tym ze Stephenem. Poza brakiem energii, apatią i walką, aby

każdego ranka podnieść się z łóżka, nie miała żadnych innych symptomów. Reżyser zdiagnozował jej problem natychmiast, bo co innego mogłoby jej dolegać?

Miała depresję i gdyby nie praca nad filmem, mogłaby wpaść w tak poważny stan, że musiałaby skorzystać z profesjonalnej pomocy. To najprawdopodobniej miała jeszcze przed sobą. Na razie jednak pozostało jej jeszcze kilka tygodni pracy na planie filmowym, kilka tygodni zanim wróci do Bloomington.

Katy przebywała w swojej przyczepie kempingowej, starając się przynajmniej trochę dojść do siebie i zebrać niezbędne siły, aby móc ponownie pojawić się na planie. Przerwa miała skończyć się za pięć minut, a do lunchu nie będzie już następnej okazji, aby odpocząć. Pracowali od szóstej rano, ponieważ musieli nakręcić ujęcia o wschodzie słońca. Teraz była ósma i Katy z chęcią położyłaby się na kolejne dziesięć godzin.

Dayne telefonował do niej co kilka dni, lecz ich rozmowy zawsze były krótkie. Już na samym początku powiedział jej, że miał podejrzenie, kim naprawdę mógł być mężczyzna ze zdjęcia.

- No przestań, Dayne - powiedziała niezbyt głośno, było już bowiem bardzo późno. - Któż inny mógłby to być?

Powiedział jej, że miał jakiś pomysł, ale potem to jego podejrzenie okazało się chybione. - Może więc był to jakiś kaskader, który pomagał przy scenach walki albo ktoś od oświetlenia - mówił zrozpaczonym głosem. - To nie byłem ja; tyle wiem.

Od tamtej pory tabloidy nie przestawały o tym pisać. Pojawiały się artykuły o zabawach na planie, o piwie lejącym się strumieniami i niezaprzeczalnym romansie pomiędzy Dayne'em i Randi. Jeden z czołowych tabloidów nawet sparodiował punkt widzenia, jaki prezentował Dayne. W nagłówku napisanym wielkimi, pogrubionymi literami pojawiły się słowa: „Dayne nie pamięta romansu!”. Katy przeczytała ten artykuł późno w nocy w swoim hotelowym pokoju.

„Na planie obecnego filmu Dayne'a tyle jest zabawy i alkoholu - pisano w tabloidzie - że Dayne nie pamięta burzliwego romansu ze swoją partnerką Randi Wells!”.

Dayne zaprzeczał również temu. Utrzymywał, że na planie nie pił w ogóle alkoholu i że oczywiście nigdy nie stanąłby przed kamerą, nie znając swojej roli. - Musimy porozmawiać, Katy - upierał się. - Pozwól mi do ciebie przyjechać, żebyśmy mogli spędzić razem dzień, proszę.

- Nie - odparła stanowczo Katy. Nie chciała rozmawiać o romansie tutaj, w Londynie. Tabloidy by oszalały, gdyby się dowiedziały o konfrontacji na planie filmu Katy. - To może poczekać. Nie musimy podejmować jeszcze żadnych decyzji.

W ten sposób udało jej się powstrzymać go przed przylotem do Londynu i zobaczeniem się z nią. Oboje byli zresztą bardzo zajęci, całkowicie pochłonięci tym, co działo się wokół nich. Najlepszym rozwiązaniem było przeczekanie najbliższych tygodni, dokończenie pracy nad filmami i powrót do Bloomington. A tam, na werandzie ich domu nad jeziorem, mogli zacząć rozmawiać o swojej wspólnej przyszłości.

Jeśli w ogóle mieli jeszcze przed sobą wspólną przyszłość.

Usłyszała grupę ludzi przechodzącą obok jej przyczepy kempingowej, ich głośną rozmowę i radosny śmiech. Podeszła do małego lusterka wiszącego na ścianie przy drzwiach. Ile czasu upłynęło od chwili, kiedy śmiała się po raz ostatni? Pomyślała, jaki to był dzień, i bez problemu skojarzyła odpowiedź.

Stephen rozmawiał z nią kilka razy o tym, żeby zrobiła sobie przerwę, zostawiła ich na kilka dni i porozumiała się z Dayne'em, lecz zareagowała odmową na jego propozycję. - Co to zmieni? - spytała krótko.

- Nie wiem - Stephen wydawał się zaniepokojony zmianami, które zaszły w jego czołowej aktorce. - On mówi ci, że tego nie zrobił. Może więc powinnaś porozmawiać z nim w cztery oczy?

Nawet Ian Waters zachęcał ją, żeby wybrała się do Dayne'a. Lecz Katy uważała, że nie mogła teraz opuścić planu, kiedy grała w niemal każdej scenie. Poza tym była zdania, że jej życie osobiste nie mogło odbijać się negatywnie na filmie, że z powodu swoich problemów nie mogła zaniedbywać obowiązków, których się podjęła.

Po tym jak zobaczyła zdjęcie Dayne'a i Randi, początkowo miała trudności z ponownym wejściem w rolę. Stephen odciągnął ją na bok i próbował wytłumaczyć jej pewne sprawy: - Albo zrobisz sobie przerwę i dostaniesz jakąś pomoc, albo zbierzesz siły i będzie to najlepsza rola w twoim życiu.

Była to bowiem historia kobiety zmagającej się z depresją, która była tak silna, że ledwie udało się ją przejść. Stephen miał rację. Jeśli Katy uda się przenieść to, co czuła do Dayne'a, na postać, którą grała, to choć zyska na tym jej gra aktorska, to z pewnością zostanie przesunięta w czasie chwila, kiedy upora się ze swoim prawdziwym życiem, gdy ponownie będą mogli z Dayne'em być razem. Albo kiedy przyjrzą się dokładnie swojemu

zniszczonemu małżeństwu i znajdą sposób na to, jak dalej żyć w pojedynkę... każde z nich swoim własnym życiem.

Katy dotknęła ciemnych miejsc pod swoimi oczami. Bez względu na to, jaka czekała ją przyszłość, cierpienie, które wypełniało jej serce, robiło dokładnie to, czego spodziewał się po nim Stephen - pracowało na korzyść filmu. Nie tylko bowiem grała tę rolę, ale nią żyła, oddychała nią. Przy niewystarczającej ilości snu i ciężkich chwilach, które spędzała obecnie w samotności hotelowego pokoju, nieustannie wyglądała jak postać, którą grała.

W końcu Stephen przestał zachęcać ją, aby zrobiła sobie przerwę. Skoro Katy chciała pracować, przenosząc swój ból i depresję na plan filmowy, nieraz spędzając tam czternaście godzin dziennie, niech tak będzie - zgodził się. Powiedział też, że gdyby czegoś potrzebowała, zawsze będzie do jej dyspozycji. Lecz nie mogła znaleźć u niego siły potrzebnej do przeżycia każdego kolejnego dnia ciężkiej pracy. Znajdowała bowiem tę siłę w rozmowach telefonicznych z Jenny i swoją szwagierką Ashley. Ale przede wszystkim czerpała siłę z ukochanej, wysłużonej Biblii.

Okazało się, że kilka osób z obsady filmu zainteresowało się Pismem Świętym i tym, co Słowo Boże mówiło o życiu i śmierci. Katy nie mogła w to uwierzyć, że trzy razy w tygodniu, jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć danego dnia, grupa zainteresowanych osób spotykała się w jej przyczepie kempingowej, aby razem czytać Słowo Boże. Ponieważ niektórzy z nich nigdy wcześniej nie zetknęli się z Pismem Świętym, Katy zaczęła studium od fragmentu, od którego sama zaczynała za każdym razem, kiedy chciała odnowić swoją więź z Bogiem - od pierwszego rozdziału Ewangelii według św. Jana. Zatem w tym samym czasie, kiedy czuła się tak, jakby jej serce zostało rozerwane na dziesiątki niepasujących do siebie kawałków, jej dusza radowała się zmianami zachodzącymi w ludziach wokół niej.

- Jest coś takiego w tobie, czego wcześniej u nikogo nie spotkałam - powiedziała jej jedna z aktorek po zakończeniu pierwszego studium biblijnego. - Cokolwiek to jest, też chciałabym to mieć. Jest to coś, dzięki czemu bije od ciebie jakieś wyjątkowe piękno, a czego nie można kupić za żadne pieniądze ani zdobyć tak jak Oscara.

Ten komplement wzruszył Katy i wyznaczył jej pewien cel. Wiedziała, że Bóg prowadził ją poprzez ból i zamęt związany z sytuacją, w jakiej się znalazła, trzymając ją w Swoich ramionach, aby mogła w końcu osobiście porozmawiać z Dayne'em o ich nieudanym małżeństwie. Ale to nie

wszystko. Podtrzymując ją i czuwając nad nią, Pan niejako przy okazji posłużył się nią, aby przyprowadzić innych do Siebie. W tej sytuacji Katy nie mogła prosić o więcej.

Miała już wyjść ze swojej przyczepy kempingowej, kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy. Choć w Meksyku było już dobrze po północy, miała przeczucie, że to telefonował Dayne. Gdy sięgnęła po aparat, w okienku wyświetlacza zobaczyła jego imię. Przeważnie starała się obierać jego telefony. Częściowo dlatego, że chciała utrzymywać stały kontakt między nimi, aby do ponownego spotkania w Bloomington nie stali się dla siebie całkowicie obcy.

A częściowo ponieważ tęskniła za nim niemal przy każdym oddechu.

Teraz zaś, choć sprawdziła na wyświetlaczu, że to on telefonował, i choć wciąż słyhać było sygnał dzwonka, wyszła z przyczepy kempingowej i wróciła na plan. Wciąż kochała Dayne'a. Mimo tego wszystkiego, co ją spotkało, kochała go. Jednak on wciąż okłamywał samego siebie i okłamywał także ją, a skoro tak miało wyglądać małżeństwo z Dayne'em Matthewsem, Katy nie mogła się na to zgodzić.

Nie mogła przeżyć całego swojego życia w taki sposób.

Nie, nie zgadzała się na takie traktowanie. Owszem, będzie co jakiś czas odbierała jego telefony i wreszcie - pod koniec grudnia - skończą prace nad filmami i wrócą do domu. Katy będzie miała trochę czasu dla samej siebie, ponieważ kiedy Dayne skończy zdjęcia w Cabo, obsada i ekipa jego filmu musiała jeszcze jakiś czas spędzić w Los Angeles, aby ostatecznie zakończyć wszystkie sprawy dotyczące tej produkcji. Katy nawet cieszyła się z tego. Będzie dalej czytała Biblię, szukając w niej mądrości, nadziei i celu, aby iść naprzód. Będzie błagać Boga o łaskę przebaczenia Dayne'owi i o mądrość, jak żyć dalej.

Lecz jednej sprawy była całkowicie pewna. To był jej ostatni film. Kiedy skończą się prace na planie, powróci do domu w Bloomington, gdzie spędzi resztę swoich dni.

Gdzie żyć będzie z Dayne'em albo bez niego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Dayne zamknął klapkę swojego telefonu komórkowego i wsunął go z powrotem do kieszeni spodni.

- Bez odpowiedzi - rzucił krótko, opierając łokcie na małym drewnianym stole kuchennym i spoglądając na swojego przyjaciela Boba. W związku ze śmiercią matki Randi aktorzy i ekipa filmowa dostali kilka dni wolnego. Dayne prosił Katy, czy mogłyby polecieć do Londynu i spędzić przerwę w zdjęciach razem z nią.

Lecz ona mu odmówiła. - Jestem strasznie zajęta, Dayne - powiedziała. - Kręcimy od wczesnego rana do późnego wieczoru. Rozmowa musi poczekać, aż spotkamy się w Bloomington.

Dayne zrobił zatem jedyną rzecz, jaka przychodziła mu do głowy. Przybył tutaj, do domu Boba Ashera w mieście Meksyk, gdzie przed kilkoma laty oddał swoje serce i duszę Bogu.

- Jakie miała nastawienie do ciebie, kiedy ostatnio rozmawialiście ze sobą? - spytał Bob, siedząc naprzeciwko Dayne'a z wyraźnie zaniepokojoną miną.

- Takie samo jak przez cały czas, odkąd ukazało się to zdjęcie - odrzekł Dayne, zaciskając pięść i opierając na niej czoło. - Nie mówi tego otwarcie i nie nazywa mnie kłamcą, ale jest jakaś inna - położył rękę na stole i znów spojrzął na Boba. - Zachowuje się tak, jakby pogodziła się ze wszystkim, jakby już zdecydowała, że koniec z nami.

Bob poprawił się na krześle i wyglądał tak, jakby się koncentrował, jakby chciał poruszyć coś drażliwego. - Opowiedz mi jeszcze raz o tym zdjęciu - poprosił.

Nie wspominali o tabloidach ani razu, odkąd pojawił się w domu Boba. Dayne nie cierpiał przypominania sobie o zdjęciu z pierwszej strony, a co dopiero rozmawiania o nim. Miał świadomość, jak źle wyglądała cała ta sprawa i jak bardzo podobny był do tego mężczyzny na zdjęciu. Mówienie o tym jedynie podkreślało fakt, że nawet najbliżsi mu ludzie - jego żona, ojciec i przyjaciel - nie wierzyli mu.

Dayne westchnął jakby trochę drżącym głosem. - Zostało zrobione w nocy, więc najpierw próbowałem się domyślić, kto wychodził z Randi po zmroku - zaczął, wyciągając przed siebie ręce wnętrzem dłoni do góry. Dotychczas nie powiedział nikomu o swoich pierwotnych podejrzaniach, lecz może przyszedł na to czas. - Jedyłą osobą, która przychodziła mi na myśl, był mój brat, Luke.

- Luke był w Cabo? - zdziwił się Bob.

- Tak - zaśmiał się smutno Dayne. - Prawie nikt o tym nie wie, tylko ludzie na planie. I problem w tym, że Luke i Randi wybrali się sami na spacer po plaży tamtej nocy, kiedy przyleciał.

- W takim razie... - w oczach Boba jakby błysnęła nowa myśl. - Może to jest odpowiedź.

- Też tak pomyślałem - przyznał Dayne, przypominając sobie, jak wyglądała Randi, kiedy zasugerował to delikatnie kilka dni po ukazaniu się zdjęcia. - Rozmawiałem z nią o tym i była wyraźnie zgorzona. „Absolutnie nie” - odparła mi wówczas. Powiedziała też, że nie była Lukiem zainteresowana - wyjaśnił, a w jego głosie zabrzmiało poczucie winy. Sądził bowiem, że w taki czy inny sposób musiał być winien temu, iż podobał się Randi i że ciągnęło ją do niego. - Zależało jej na mnie, to właśnie powiedziała. Ten facet to nie jest Luke.

- Więc uwierzyłeś jej? Czy tak? - Bob ponownie okazał zdziwienie.

- Nie, tylko zadzwoniłem do brata - wyjaśnił. - Zapytałem go wprost, czy do czegoś doszło między nimi tamtej nocy - ciągnął Dayne, wciąż słysząc szczerą głosu brata. - Przyrzekł mi, że to nie był on.

- Hmm - Bob przez kilka sekund wpatrywał się w stół, jakby próbował rozgryźć tę zagadkę. - I brałeś pod uwagę resztę aktorów i ekipę?

- Na planie pracuje prawie stu ludzi - wyjaśnił Dayne, odchylając się do tyłu na krześle. - Ci od cateringu, ochrona, operatorzy kamer. Błagałem Boga o odpowiedź i rozmawiałem z niektórymi facetami, którzy wydawali mi się bardziej zaprzyjaźnieni z Randi - oznajmił. Potem zacisnął szczęki i rzucił przez zęby: - Problem w tym, że ona zna prawdę i nie chce o tym rozmawiać.

Bob pokręcił głową. - Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ty możesz z nią codziennie pracować po tym, co się stało.

- Tak - przyznał Dayne, wstał i podszedł do okna małego domu Asherów. Na ruchliwej ulicy wciąż było pełno świateł. Życie w Meksyku toczyło się swoim rytmem, a gwiazdy ekranu nie robiły na mieszkańcach takiego wrażenia jak w Stanach. Dayne przeczesał palcami włosy, stojąc tyłem do Boba. - Tuż przed tą przerwą odciągnęła mnie na bok. Powiedziała, że jest jej przykro, że była pijana i że naprawdę niczego nie pamięta - smutny śmiech Dayne'a przeszył ciszę w pokoju. - Miała nawet tupet zapytać mnie: „Dayne, jesteś pewien, że to nie byłeś ty?”.

- A ty... ty nie piłeś, prawda? - spytał niepewnie Bob, jakby nie chciał posądzić Dayne'a o coś złego, choć alkohol mógłby być wytłumaczeniem tego, co się stało.

- Nie - zaprzeczył Dayne, odwracając się i ponownie patrząc na przyjaciela. - Na planie z Randi Wells nie odważyłbym się wziąć nawet piwa do ręki. Ktoś przecież mógłby zrobić zdjęcie i miałoby dowód - wyjaśnił. Potem, udając, że maluje przed sobą tytuł sensacyjnego artykułu, rzucił:

- „Dayne Matthews i popijawa na plaży!” - Powoli odwrócił się do stołu i chwycił oparcie swojego krzesła. - Rzecz w tym, że ktoś się z nią całował. Ktoś stał na tej plaży i obściskował się z Randi Wells - stwierdził mocno poirytowanym głosem i wydać było, jak targa nim wściekłość. - Ktokolwiek to jest, pozwolił na to, aby na mnie spadły tego konsekwencje - rzucił i usiadł pokonany. - Na mnie i na Katy - dodał.

Bob miał już coś powiedzieć, gdy zadzwonił telefon Dayne'a leżący wciąż na stole kuchennym. Tak jak zawsze słychać było utwór z „Robin Hooda” boleśnie przypominający o tym wszystkim, co Dayne mógł stracić. Może telefonowała Katy. Może przemyślała sobie to wszystko i doszła do słusznego wniosku, że nie mógł mieć romansu z Randi Wells; był przecież zbyt zakochany w Katy, żeby zrobić coś takiego.

Sięgnął po telefon, spojrzął na okienko wyświetlacza, a potem błyskawicznie nacisnął włącznik wyciszający aparat i rzucił go z powrotem na stół.

- Kto to? - spytał Bob, siedząc ze skrzyżowanymi na piersi rękami i zamyśloną miną. Obiecał Dayne'owi pomoc w wyjaśnieniu całej tej sytuacji, jeśli to tylko będzie możliwe, lecz jak dotychczas do niczego nie doszli w swoich ustaleniach.

- Naturalnie Randi, to normalne, że dzwoni o tej porze

- Dayne skrzywił się, wymawiając jej imię.

Bob zrobił zniesmaczoną minę. - Przecież poleciała do domu na pogrzeb matki, prawda? - upewnił się.

- Dlatego dostaliśmy wolne.

- I ona dzwoni do ciebie? - zdziwił się Bob, marszcząc brwi. - Oj, nie jest dobrze, stary. Ta kobieta uwzięła się na ciebie.

- Wiem. Żebym tylko skończył ten film i wrócił do domu. Może jak Katy mnie zobaczy, to zrozumie, że mówię prawdę - powiedział, oparł przedramiona na stole i pochylił się do przodu, zbyt przygnębiony, by ciągnąć tę rozmowę. Dlaczego Randi dzwoniła do niego? Czy nie

wystarczało jej to, że mieli ze sobą niemal ciągły kontakt na planie? Dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie jest nią zainteresowany, a teraz... teraz co sobie pomyśli Bob?

Katy nie oskarżyła go o kłamstwo, lecz nie chciała z nim rozmawiać o tej sprawie. Jej głos, jakby bez życia, i krótkie zdania wyrażały to, czego nie mówiły słowa. Ostatnim razem, kiedy rozmawiali ze sobą, wspomniała coś o tym, że jej uczucia do niego uległy zmianie.

- Oczywiście, że coś się zmieniło - powiedziała mu. Cały czas mówiła zmęczonym głosem, tak jakby nie miała już siły, aby zmierzyć się z tym wszystkim, co ich otaczało.

- Wydaje mi się, że przemyślałam już to, czy chcę takiego życia, kiedy każde, nawet najmniejsze potknięcie od razu zostaje opisane w tabloidach.

- Ale to nie fair - zaprotestował. - Wiedziałaś, w co się pakujesz - Dayne starał się opanować rozpacz, która ostatnio zaczynała go ogarniać pod koniec każdej ich rozmowy.

- A co z naszym spacerem na plaży tamtej nocy? Mieliśmy sobie wierzyć, pamiętasz?

- Sytuacja zmieniła się. Co innego mogłabym ci odpowiedzieć?

Katy nie mówiła tego, nie oskarżała go o kłamstwo. Nie musiała. Jej postawa i odpowiedzi powiedziały mu wszystko, co chciał wiedzieć. Kiedy przyciskał ją i pytał wprost o to, czy wierzyła mu, czy nie, zawsze odpowiadała to samo: „Porozmawiamy o tym, jak się spotkamy. Najpierw musimy skończyć zdjęcia”.

Na samą myśl o tym, co planowała Katy i jak bardzo zmienił się jej stosunek do niego i ich małżeństwa, Dayne'em targał paniczny lęk. Wstał od stołu i nalał sobie szklanekę wody, a drugą przygotował dla Boba.

Kiedy wrócił do stołu, spojrzął w oczy przyjaciela i zobaczył w nich coś znajomego; coś takiego, co dodało mu otuchy, tak jakby Bob przygotował jakąś strategię działania, która mogłaby odmienić tę tragiczną sytuację.

- Twoje małżeństwo rozpada się, Dayne. Rozumiesz to, prawda?

To pytanie nie wymagało odpowiedzi. Dayne spojrzął jedynie na swoje zaciśnięte pięści oparte na blacie stołu. W chwilach takich jak ta zastanawiał się, czy przypadkiem nie śni mu się jakiś upiorny koszmar, po którym nagle się obudzi i stwierdzi, że on i Katy szczęśliwie się kochali, i choć pracowali osobno, każde z nich już odliczało dni do chwili, kiedy znowu będą razem. - Tak... moje małżeństwo rozpada się - przyznał, czując ból swoich słów przy każdej wypowiedzianej sylabie. - Co do tego nie ma wątpliwości.

- W takim razie najwyższy czas - stwierdził tajemniczo Bob z jakąś nową energią w głosie. - Musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy, aby uratować związek z Katy.

- Potrzebuję cudu.

- Dobrze! - rzekł Bob, sięgając przez stół i kładąc dłoń na dłoni Dayne'a. - Przecież służymy Bogu, który potrafi czynić cuda. Twoja sytuacja wygląda tak tragicznie, że prawie zapomniałem o wszechmocy Boga.

Dayne nie był pewien, czy powinien się ucieszyć słowami przyjaciela, czy poczuć się jeszcze bardziej przybity, skoro nawet Bob Asher - człowiek niezłomnej wiary - uważał, że jego sytuacja była tragiczna. Podniósł wzrok i zobaczył determinację na twarzy Boba. Prawie natychmiast Dayne poczuł, że także w nim wzrasta nadzieja i nowa siła. - Z Bogiem wszystko jest możliwe. Czyż nie tego mnie uczyłeś? - spytał.

- Właśnie, ale to nie pochodzi ode mnie - Bob naprawdę się śmiał. - To pochodzi z Biblii, co oznacza, że jest to obietnica.

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, a potem Bob zaczął się modlić. Prosił Boga, aby poruszył niebo i ziemię w sprawie małżeństwa Dayne'a, i błagał, aby prawda w cudowny sposób wyszła na jaw, a kłamstwa straciły swą moc i płatanina oszustw została zniszczona.

Poczuł, że wypełnia ich jakaś moc i pokój i jeszcze pewność, że Bóg ich wspiera i że modlitwy, które przed chwilą zostały wypowiedziane, nie pozostaną bez odpowiedzi. Wiedzieli już, że nawet teraz, w sytuacji pozornie bez wyjścia, Bóg miał dobry plan dla Dayne'a i Katy.

Następnie Dayne, z trudem wypowiadając słowa, modlił się: - Proszę, daj mi znak, Panie. Ukaż mi prawdę i spraw, aby poznali ją ci wszyscy, którzy powinni ją znać. - Czuł, że wzbiera w nim szloch, lecz udało mu się go opanować. - Nie mogę stracić Katy - ciągnął. - Ona jest... ona jest dla mnie wszystkim. W imię Jezusa, amen.

Kiedy wypowiedział te ostateczne słowa, jego telefon komórkowy znów się odezwał. Gdy spojrzął na wyświetlacz, ponownie poczuł niepokój. Po przeczytaniu imienia, jakie ukazało się w okienku, Dayne zawahał się. Sięgając po aparat, spojrzął na Boba, i zanim jeszcze odebrał połączenie, mignęło mu w głowie dziwne przecucie. Może ten telefon przyniesie odpowiedź, której poszukiwał. Tym razem nie telefonowała do niego Randi i nie była to także Katy.

Dzwonił do niego jego brat, Luke.

Luke chodził z jednego końca placu Times Square na drugi, przemierzając się bez celu wzdłuż ulicy Broadway, na przemian - raz na północ, raz na południe. Czuł się okropnie z powodu tego, co zrobił, a teraz usłyszał od Randi jeszcze coś takiego. Chciała natychmiast wszystko przerwać.

- Moi rodzice pragnęli dla mnie czegoś - powiedziała mu - i muszę spróbować to odnaleźć. To oznacza, że słyszysz mnie teraz po raz ostatni.

Zatem Randi odnalazła siłę, aby iść dalej, lecz ani ona, ani Luke wciąż nie powiedzieli Dayne'owi prawdy. Luke nawet nie próbował. Teraz włożył ręce do kieszeni z powodu doskwierającego już mrozu. Przed tygodniem spadł w mieście pierwszy w tym roku śnieg i teraz nieprzyjemny, zimny wiatr owiewał stojące w śródmieściu wieżowce.

Dziś wieczorem zobaczył kolejne przedstawienie - „Mary Poppins” - na które dostał z biura bezpłatny bilet. Lecz rym razem nie zabrał ze sobą Sandy ani nikogo innego. Jeśli chcieli pójść do teatru, mogli to zrobić także bez niego. Chciał być sam, musiał przemyśleć swoje życie i swoją przyszłość, nie będąc w zasięgu pokus, którymi zwykle się otaczał.

Przedstawienie okazało się niewiarygodne i zrobiło na nim większe wrażenie niż wszystko inne, co do tej pory widział na Broadwayu, włącznie z samym „Królem Lwem”. A w dodatku fabuła wstrząsnęła nim i chwyciła go za serce w dziwny i nieoczekiwany sposób. Była to historia ukazująca George'a Banksa, który tak był pochłonięty pracą i samym sobą, że przeżył wiele lat, w ogóle nie dostrzegając największych skarbów swojego życia - swojej żony i dzieci. Oczywiście mieszkał razem z nimi, lecz nie okazywał swojej rodzinie większego zainteresowania niż zupełnie obcym i przypadkowym osobom, które codziennie przychodziły do jego banku.

W końcu, dzięki interwencji Mary Poppins, George zobaczył swoją rodzinę i swoje życie w nowy sposób - na szczęście na ratunek nie było jeszcze za późno.

Luke minął 43 Ulicę i szedł dalej na północ. A co z nim? On i Reagan ledwie odzywali się do siebie. Miał podejrzenie, że łączyło ją z tym strażakiem coś więcej niż tylko przyjaźń i oczywiście ona podejrzewała go, że miał jakąś dziewczynę tutaj, w Nowym Jorku. Każdemu z nich prawda wydawała się mglista i nieuchwytna i jak dotychczas oboje unikali poważnych rozmów na temat swojego małżeństwa.

Wyjątkowo uciążliwy okazywał się każdy powrót po pracy do domu i zajmowanie się opanowaniem Tommy'ego i Malin, aby mieli jeszcze

rozmawiać o uzdrowieniu małżeństwa. Choć tak naprawdę głównym powodem, dla którego nie decydował się na poważną rozmowę z Reagan, było ogromne i paraliżujące go poczucie winy.

Prosił Boga o pomoc, mówiąc Mu, że żałuje tego, co zrobił i że już nawet przestał siebie poznawać. Był pewien, iż jego matka byłaby załamana, gdyby wiedziała, jakim stał się człowiekiem. Ale aby naprawić relacje z Reagan, musiałby jej powiedzieć o romansie z Randi, a był przekonany, że poinformowanie jej o tym, tylko pogorszyłoby sytuację. Mogli dalej żyć tak jak do tej pory, nie wyjaśniając sobie tego, o co się wzajemnie podejrzewali, ani nie przyznając się do swoich działań niszczących ich małżeństwo. Sądził, że w ten sposób uda im się zachować pozory wierności i wzajemnego oddania.

Samochód policyjny pędził głośno ulicą, a za nim jechały dwa inne, i choć policjanci gnali na sygnale, ostrzegając przechodniów, aby usuwali się z drogi, nikt nie zatrzymywał się i nie zwracał uwagi na wozy policyjne. Na nikim nie robiło to żadnego wrażenia. Był to typowy wieczór w Nowym Jorku.

Lukę okręcił sobie szyję szalikiem i szedł dalej, czując na twarzy pociągnięcia lodowatego wiatru. Podobnie jest ze mną- pomyślał. Jego życie znajdowało się w stanie kryzysu, o czym informowały go syreny wyjące w jego sercu i duszy, lecz nikt tego nie dostrzegał, nikogo nie obchodził ból, który niósł w sobie, nikt nie przejmował się nim bardziej niż jakimkolwiek innym przechodniem przemierzającym Times Square.

Był to jego ból i sam ponosił winę za swe czyny.

Lecz jeśli nie poradzi sobie z tym wszystkim, skończy dokładnie tak samo jak George Banks, całkowicie pochłonięty swoją pracą i niewiele interesujący się tym, co działo się poza nią. Mogło tak się stać, chyba że Reagan opuści go pierwsza. To nie było życie, jakiego pragnęli dla niego rodzice. Jego działania były całkowicie sprzeczne z tym, do czego został wychowany, wzrastając w rodzinie Baxterów.

Doszedł do 48 Ulicy i do hotelu, w którym się zatrzymał. Kiedy wszedł do środka i zmierzał w stronę windy, portier uśmiechnął się grzecznie do niego. Jego pokój znajdował się na dwudziestym ósmym piętrze i gdy jadąc windą, mijał kolejne kondygnacje, miał coraz większą pewność, co zrobi po wejściu do siebie. Niezależnie od tego, co stanie się potem, czy Reagan będzie potrafiła go zrozumieć i przebaczyć mu, czy też zdecyduje się go opuścić,

miał tylko jeden wybór, jeśli chciał wszystko zmienić. Musiał powiedzieć prawdę.

Od razu po wejściu do pokoju opadł na brzeg łóżka i wybrał numer Dayne'a. No dobrze, Boże... po tym nie będzie już odwrotu - pomodlił się. Przewyciężył lęk i zerknął na swoje odbicie w lustrze wiszącym nad komodą. Nie był już tym człowiekiem, co kiedyś, pewnym siebie dwudziesto-jednolatkiem, przekonany co do tego, że będzie taki jak John Baxter albo że osiągnie w życiu jeszcze więcej. Jego spojrzenie było puste i zaleknione, lecz miał cichą nadzieję, iż po dzisiejszym dniu będzie można dostrzec w nim coś, czego potrzebował bardziej niż kolejnego oddechu.

Ze będzie można w nim dostrzec przebaczenie.

Po drugim sygnale odezwał się Dayne. - Słucham? - odebrał połączenie.

Lukę zamknął oczy. - Cześć, Dayne... to ja, Luke - zaczął niepewnie.

- Wiem - Dayne robił wrażenie lekko zniecierpliwionego, ale nie zagniewanego. Słysząc było, że nie miał pojęcia, w jakiej sprawie telefonował Luke. - Co tam słyszać?

Serce Luke'a biło tak głośno, że miał wrażenie, iż Dayne też je słyszał. - Jestem ci winien przeprosiny - powiedział Luke po chwili.

Na kilka sekund w powietrzu zawisła niezręczna cisza. Potem słysząc było, jak Dayne odetchnął głęboko. - No dobrze... mów dalej - starał się zachęcić Luke'a.

- Okłamałem cię - wyznał Luke, otwierając oczy i masując sobie brew. Miał ochotę stać się kimś innym albo przenieść się na inną planetę, gdzie nie liczyłaby się prawda, lecz oczywiście nie było takiego miejsca. Wciągnął powietrze i wstrzymał oddech. - To byłem ja na tym zdjęciu. Randi obiecała mi, że niczego nie powie, a ja... ja nie chciałem, żeby dowiedziała się Reagan - wyjaśnił. Potem odetchnął i przez zaciśnięte zęby rzucił: - Przepraszam.

Znów nastąpiła cisza, a potem dało się słyszeć coś jakby stłumiony krzyk: - Mówisz poważnie? To ty byłeś tym facetem?

- Ja. Randi trochę wcześniej wypijała, ale nie byliśmy pijani. Nie chciała, żeby ludzie się dowiedzieli. Ja też tego nie chciałem, zresztą z czysto egoistycznych powodów - dodał. Czuł się podle. Nie miałby do Dayne'a pretensji, gdyby to był ostatni raz, kiedy ze sobą rozmawiali. I uświadomił sobie coś jeszcze, o czym wcześniej w ogóle nie pomyślał - Dayne prawdopodobnie go zwolni. Jak mógłby ufać Luke'owi w sprawach

prawnych, skoro jego brat okazał się kłamcą zdolnym do zniszczenia Dayne'owi życia za sprawą tego zdjęcia opublikowanego przez tabloidy?

- Ty i Randi... czy ciągle jeszcze coś jest między wami?

- Nie, to już skończone. Chcę znów być uczciwy wobec Reagan - wyznał Luke, wstał i podszedł do okna. Pękała mu głowa i pragnął tylko, aby ta rozmowa zakończyła się jak najszybciej. - Między nami jest bardzo źle, a ona nawet nie wie o Randi - powiedział, opierając się o ramę okienną.

- Oczywiście powiem jej o tym, ale... chciałem najpierw zadzwonić do ciebie.

Dayne musiał usłyszeć ból i rozpacz w głosie Luke'a, ponieważ tym razem nie wahał się ani chwili. - Nie wiem, co powiedzieć - zaczął bez cienia złości w głosie, jakiej spodziewał się Luke. - Prosiłem Boga, aby ukazał mi prawdę i ty zadzwoniłeś w prawie tej samej minucie.

- Tak... chciałem ci jeszcze powiedzieć, że nie będę miał do ciebie żalu, jeśli ze mną skończysz i nie będziesz chciał mnie więcej znać. Ja sam chciałbym skończyć ze sobą. Mama nie poznałaby człowieka, jakim się stałem.

- Mam nadzieję, że porozmawiamy jeszcze później

- w głosie Dayne'a słyhać było radość - ale chcę ci powiedzieć... że wcale nie zamierzam z tobą kończyć - do szczęścia, jakie pobrzmiwało w jego głosie, wbrew wszelkiej logice dołączyła miłość. - Nie po to tyle przeszedłem, aby odnaleźć rodzinę, żeby teraz spisać cię na straty. Przebaczam ci... to chciałem powiedzieć.

Luke oparł się mocniej o okno i próbował złapać oddech. Czy jego brat naprawdę wypowiedział te słowa? Czy on mu przebaczył? Luke zawiódł zaufanie Dayne'a w tak okropny sposób, a w zamian otrzymał coś, co zresztą ofiarowano mu już kiedyś. Było to wówczas, gdy rodzice powitali go z otwartymi ramionami, kiedy powrócił do nich po swoim buncie rozpoczętym pamiętnego 11 września.

Spłynął na niego pokój, pokój i poczucie, że chyba nie będzie potrafił przyjąć tego przebaczenia. Lecz potem zaczęło do niego docierać, że przebaczenie, które ofiarowywał mu Dayne, miało charakter nadprzyrodzony, było przebaczeniem, które mogło płynąć jedynie z wiary w Chrystusa. Luke chciał powiedzieć bratu, że nie może przyjąć jego przebaczenia, ponieważ nie zasługuje na nie, lecz nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

- Wiem, jak się czujesz - powiedział Dayne pełnym współczucia głosem. - Dokonałem w swoim życiu wielu złych wyborów. Jediną rzeczą, którą warto zrobić, to, o ile jest to możliwe, postarać się rozwiązać to, co poplątaliśmy, i iść dalej - mówił tak, jakby chciał skończyć już rozmowę. - Czy Randi wie, że powiedziałaś mi o tym?

- Nie, ale w niej też zachodzą jakieś zmiany - powiedział Luke i zauważył, że miał łzy na policzkach. Otarł je i odchrząknął. - Nie wiem, co się dzieje, ale z pewnością dzieje się to wszystko za sprawą Boga.

- Tak - znów w głosie Dayne'a słychać było, że się uśmiechał. - Jest dokładnie tak, jak mówisz - przyznał i obiecał Luke'owi, że wkrótce do niego zadzwoni, i skończyli rozmowę.

Gdy Luke rzucił telefon na łóżko, wyobraził sobie Reagan, znów zobaczył ją, jak wyglądała tamtego nieszczęsnego 10 września, kiedy wpadł do jej pokoju w akademiku Uniwersytetu Indiany, tuż przed jej meczem. Tamtego dnia miał pójść z nią na trening, lecz zamiast tego...

Zamiast tego zostali sami w pokoju i oglądali poniedziałkowy wieczorny mecz futbolu. Reagan usnęła na kanapie obok niego. To, co wydarzyło się potem, zmieniło całkowicie bieg ich życia.

Luke odwrócił się plecami do okna i podszedł do łóżka. W pewien sposób konsekwencje tego, co stało się tamtego dnia, wciąż dotykały ich po sześciu latach. Oboje z Reagan postąpili niezgodnie z Bożym planem i przez kolejny rok od tamtego wydarzenia żyli jak obcy sobie ludzie. Teraz było podobnie.

Luke wyciągnął się na łóżku i zamknął oczy. Nie był zmęczony i czuł, że musi coś postanowić. Nagłe zrozumiał oczywistą prawdę - przecież mógł postanowić tylko jedno. A dzięki temu, co zamierzał zrobić, po dzisiejszym wieczorze będzie mógł wyruszyć dalej, przyznawszy się do kłamstwa zatruwającego mu życie nie tylko wobec jednej osoby, ale wobec dwóch osób. Nie wahał się dłużej. Podniósł telefon komórkowy i wybrał numer osoby, którą najbardziej skrzywdził swymi złymi wyborami.

Zadzwoił do swojej najdroższej żony, do Reagan.

Właśnie takiej informacji Dayne potrzebował dla Katy. Bob domyślał się już, że stało się coś istotnego, i kiedy Dayne rozłączył się, przekazał przyjacielowi szczegóły rozmowy z bratem.

- Tak bardzo chciałem ci wierzyć! - zawołał Bob i uściskał go, kiedy dowiedział się o wszystkim. - Po tym, jak wytłumaczyłeś się za pierwszym razem, gdy rozmawialiśmy ze sobą, nie myślałem, że kłamałeś.

- Wiem, już wszystko dobrze - uspokoił go Dayne. Nie był zły ani na Boba, ani na nikogo, kto mógłby mu nie wierzyć, niezależnie od tego, czy trwało to krótko, czy wątpliwości utrzymywały się aż do tej pory. Był przecież gwiazdorem filmowym, co oznaczało, że w naturalny sposób stawał się kandydatem do tego, aby mieć romans ze swoją partnerką z planu. Lecz teraz prawda wyszła na jaw i Dayne nie mógł się doczekać, kiedy dowie się o niej cały świat. Czuł się tak, jak niesłusznie skazany więzień, który w końcu został całkowicie oczyszczony z zarzutów.

- Zwróć uwagę na czas - śmiał się Bob. - Czy nie mam racji, że Bóg jest wielki?

Dayne uśmiechnął się i całą głębią swej duszy poczuł to, o czym mówił jego przyjaciel. Zrobił to, czego uczył go Bob - oparł się na Bożych obietnicach i powierzył tę bolesną sytuację Panu. Wskutek tego Bóg odpowiedział natychmiast, jeszcze tego samego wieczoru.

Zanim upłynie kolejna minuta, chciał zatelefonować do Katy, lecz w Londynie nie było jeszcze nawet czwartej rano. Zatem przez najbliższe dwie godziny obaj z Bobem rozmawiali o Luke'u i jego życiu, a potem o marzeniach Dayne'a związanych z tą odległą chwilą, gdy pewnego dnia przestanie grać w filmach i na stałe zamieszka w Bloomington nad jeziorem Monroe, otoczony swoją rodziną.

W końcu, gdy nie było zbyt wcześnie dla Katy, Dayne przeprosił Boba, wstał i oparł się o futrynę. Pomyślał, że reputacja Luke'a i jego małżeństwo były poważnie zagrożone, więc będzie musiał rozważyć, komu należało powiedzieć prawdę. Przecież ludzie byli przyzwyczajeni do widywania jego nazwiska w nagłówkach gazet. A nazwisko Luke'a? Gdyby ludzie dowiedzieli się prawdy, romans z Randi ciągnąłby się za Lukiem do końca życia. W przypadku Dayne'a tabloidy zawsze strzelały na chybił trafił, nie przejmując się zbyt mocno prawdą, a szukając jedynie jakiegoś smrodku. To, co tabloidy pisały o nim, nie miało już większego znaczenia. Nie, Dayne nie ujawni tej informacji, ale musiała o niej wiedzieć Katy.

Wybrał jej numer, lecz po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa. Dayne zawahał się, ale postanowił nie zostawiać żadnej wiadomości. To była taka informacja, którą chciał przekazać osobiście. Rozłączył się i spojrzał na godzinę wyświetloną w jego telefonie. Pomyślał, że pewnie Katy właśnie bierze prysznic, co oznaczało, iż przez dłuższy czas może nie zauważyć nieodebranego połączenia.

Zostało jej mniej niż trzy tygodnie pracy na planie, więc było ważne, aby porozmawiał z nią, zanim wróci do domu. W przeciwnym razie dotarłaby do Bloomington, nie znając prawdy. A wówczas utrwałaby w sobie negatywne uczucia do Dayne'a, być może planując nawet powrót do dawnego życia, w którym nie byłoby dla niego miejsca.

Zacisnął usta i zamknął klapkę telefonu. Jakoś powie to Katy, nawet gdyby musiał zmienić swój harmonogram filmowy, aby się do niej dodzwonić. A na razie mógł jedynie modlić się o jeszcze jeden cud.

Aby mimo wszystko do tego czasu Katy mu uwierzyła.

RS

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Ashley jechała przez Bloomington oszołomiona, starając się skupić na drodze, którą wcześniej sprawdziła na mapie, a nie na strasznych wiadomościach usłyszanych przed chwilą podczas rozmowy z Reagan. Za chwilę miała się spotkać z Brooke i Kari przed budynkiem, w którym kiedyś mieściła się poradnia dla kobiet w niechcianej ciąży. Ashley bardzo podobała się nazwa, jaką wymyśliła Brooke dla placówki i wszyscy byli w tym zgodni. Nazywając poradnię imieniem „Sarah”, upamiętni krótkie życie malutkiej córeczki Ashley i Landon.

Od samego początku Ashley, Brooke, Kari, ich rodziny i przyjaciele, którzy przystąpili do tego przedsięwzięcia, zawsze modlili się o to samo. Modlili się o to, aby te osoby, które przyjdą do poradni, znalazły tam miłość i wybierały życie, zarówno w chwili kryzysu, jak i zawsze.

Teraz zaś okazało się, że Ashley powinna modlić się w podobny sposób za Luke'a i Reagan. Oczywiście wiedziała już wcześniej, że przeżywali pewne problemy. Wszyscy z rodziny znali ich trudności. Reagan wspominała już o nich wcześniej. Lecz dopiero kilka minut temu Ashley zrozumiała, w jak bardzo trudnej sytuacji znajdowało się małżeństwo młodszego brata.

- Mama! - zawołał Devin siedzący w swoim foteliku umocowanym na tylnym siedzeniu. Uchwycił jej spojrzenie we wstecznym lusterku i uśmiechnął się, wskazując na okno i na ciężarówkę z naczepą jadącą sąsiednim pasem. - Duża cieźarówka!

Ashley poczuła, jak topnieje jej serce. Jego radość była tak całkowita i niewinna. - Tak, kolego, duża, bardzo duża ciężarówka - przyznała. Z każdym upływającym tygodniem Devin stawał się coraz bardziej podobny do swojego starszego brata. Był może trochę śmielszy od Cole'a, lecz miał takie samo czułe serce, w czym przejawiali z kolei podobieństwo do ich taty i niebieskiego Ojca.

Devin wydał z siebie stłumiony okrzyk radości, cały czas patrząc szeroko otwartymi oczyma na ciężarówkę.

Gdy zatrzymali się na światłach, Ashley znów sprawdziła drogę na mapie. Kiedy zmieniło się światło, przejechała jeszcze pół kilometra i skręciła po raz ostatni. Prowadziła w skupieniu, aż w końcu zatrzymała się przed budynkiem, w którym kiedyś znajdowała się poradnia dla kobiet w niechcianej ciąży. Brooke podpisała już nową umowę wynajmu tego obiektu. Wyznaczyli sobie kilka dni na sprzątnięcie i malowanie wnętrza, a potem,

kiedy zostaną sprowadzone meble i dodatkowe wyposażenie, będą mogli wznowić działalność placówki.

Ashley wyłączyła silnik i usiadła wygodnie w fotelu kierowcy. Brooke i Kari jeszcze nie przyjechały, więc mogła pozwolić sobie na to, aby jeszcze raz powrócić myślami do ostatniej rozmowy z Reagan, którą odbyły ze sobą podczas jazdy w to miejsce.

- Nie jest dobrze - powiedziała jej szwagierka. - Luke wyprowadził się w miniony weekend. Wynajął mieszkanie kilka kilometrów od nas.

Ashley musiała opanować szok, żeby nie spowodować wypadku. - Co? Jak to się stało? - zawołała. Pomyślała przez chwilę, żeby natychmiast zawrócić i pojechać do domu brata.

- Powiedział mi prawdę o zdjęciu w tabloidzie - wyznała Reagan i zawahała się. - Tym facetem na fotografii nie był Dayne. To był Luke.

Po usłyszeniu tych słów Ashley zakreśliło się w głowie i natychmiast zjechała na parking przy jakimś sklepie.

- Mówisz poważnie? - rzuciła, zdruzgotana tą wiadomością. Nawet przez chwilę nie wpadła na taką możliwość, przez ułamek sekundy nie miała nawet cienia takiego skojarzenia. Przez cały ten czas... przez cały czas zamartwiała się z powodu Katy i Dayne'a, głęboko rozczarowana starszym bratem i jego nieumiejętnością dochowania niewierności żonie. A teraz okazuje się, że to był problem Luke'a.

Reagan wyjaśniła, że Luke poleciał do Cabo na parę dni, aby omówić z Dayne'em pewne umowy. Luke i Randi poszli na spacer po plaży tamtego wieczoru, od razu po przylocie Luke'a na miejsce. Reszty można było się domyślić po zobaczeniu zdjęcia na pierwszej stronie tabloidu.

Ashley poczuła się przygnębiona tymi wszystkimi informacjami i przez chwilę trzymała głowę opartą na kierownicy. - Nie mogę w to uwierzyć - wyszeptała. Chciała cieszyć się z powodu Dayne'a i Katy, lecz smutek z powodu błędu popełnionego przez Luke'a okazał się zbyt wielki.

Reagan powiedziała jeszcze, że Luke podczas wyjazdów służbowych zaczął pić i że związał się z pewną kobietą z kancelarii prawnej. - A zatem nie chodzi tylko o Randi - sarkazm zabarwił ton głosu Reagan. - Luke robi skoki w bok wszędzie, gdzie zaprowadzi go praca.

- Czy Dayne wie o tym? - spytała Ashley.

- Tak - westchnęła Reagan, lecz w jej głosie pozostała gorycz. - Gdy w końcu Luke chciał oczyścić się z tego wszystkiego, najpierw zadzwonił do

Dayne'a. Ale o ile mi wiadomo, Dayne'owi nie udało się jeszcze dodzwonić do Katy.

Pomimo złych wiadomości serce Ashley zalała nadzieja. Skoro Dayne wiedział, to w końcu dowie się i Katy. Wówczas będzie musiała uznać, że zaszło straszne nieporozumienie. I pewnego dnia, niezbyt odległego w czasie, relacja pomiędzy Dayne'em i Katy zostanie odbudowana i stanie się taka jak kiedyś.

Lecz Luke i Reagan...

Jej szwagierka wytłumaczyła, że po tym, jak Luke opowiedział jej o wszystkim, oboje uświadomili sobie smutną prawdę. Praktycznie nic nie zostało z ich małżeństwa. - To nie jest najgorsze rozwiązanie, że Luke wynajął sobie mieszkanie - ciągnęła. - Mamy teraz do siebie wiele pretensji i jesteście wściekli na siebie. - Potem łagodniejszym już głosem dodała: - Może pewnego dnia będziemy gotowi do tego, aby zgłosić się do kogoś po pomoc, może do psychologa, ale do tego czasu dzieci zasługują na coś więcej niż tylko uczestniczenie w naszych kłótniach.

Ashley odezwała się grzecznie, ale stanowczo: - To nie jest lepsze rozwiązanie dla żadnego z was. Zgłoszcie się jak najszybciej po pomoc, zanim oboje zaczniecie brnąć dalej.

Lecz wydawało się, że Reagan ma wyrobione na ten temat zdanie. - Czasami życie nie daje ci miłego zakończenia, Ashley - rzuciła.

Rozmowa skończyła się i Ashley ponownie włączyła się do ruchu.

Teraz zaś wciąż nie mogła uwierzyć w te informacje i w to, w jak trudnej sytuacji znalazł się jej brat i jego rodzina. Spojrzała na Devina. Zasnął, a jego główka pokryta kręconymi blond włosami opierała się o bok fotelika. Sięgnęła do tyłu i pogładziła jego pulchną rękę. Nikt nie musiał jej mówić o tym, że nie zawsze wszystko miło się kończyło. Gdyby to od niej zależało, obok Devina siedziałyby teraz Sarah, zdrowa i pełna życia. Lecz utrata córeczki przekonała ją o prawdziwości Bożej obietnicy - cud życia Sarah powodował przemiany wokół nich, a szczególnie w rodzinie Baxterów. Ten wers Pisma, który był dla niej ogromnym pocieszeniem po powrocie do domu ze szpitala z pustymi ramionami, wciąż wyraźnie pobrzmiwał w jej pamięci. Wynikało z niego, że Ashley nie tylko powinna być spokojna i pewna tego, iż Bóg panuje nad wszystkim, lecz powinna wysławiać Pana!

Łzy napełniły jej oczy. Jak w takiej sytuacji można było wysławiać Boga?

Spojrzała ponownie na ulicę, rozglądając się za swoimi siostrami. Przyjechała przecież tylko kilka minut wcześniej.

Tak, życie Sarah i jej śmierć na pewno nie pozostaną bezowocne. Ashley przypomniała sobie ten smutny i zarazem pełen radości dzień w szpitalu, kiedy patrzyła na twarze wokół niej i wiedziała, że tym cudem płynącym z Bożej obietnicy będzie wzrost miłości w rodzinach jej sióstr i braci. Jej ojciec także podjął pewne działania, aby mógł dzielić się miłością przez resztę życia. Poprosił Elaine o rękę.

Potem zadzwonił do wszystkich swoich dzieci i poinformował ich o swoich planach. Jej tata i Elaine chcieli się pobrać latem, co oznaczało, że do tego czasu Erin i Sam znów będą mieszkać w pobliżu. Bez względu na to, że mogła to być dla niej informacja zaprawiona kroplą goryczy, Ashley lubiła Elaine. Cieszyła się też szczęściem taty, tym, że nie będzie musiał żyć samotnie do końca swych dni. W planowanym ślubie ojca i Elaine z pewnością objawiała się chwała Boga.

Lecz nigdy nie wpadłaby na to, że tym, który miał samotnie spędzić Boże Narodzenie, będzie Luke.

Ashley postanowiła zatelefonować do niego natychmiast po tym, jak spotkanie z siostrami dobiegnie końca. Kiedy tak pomyślała, nadjechała Brooke. Była z nią Kari i obie robiły wrażenie niezmiernie zadowolonych, śmiejąc się z czegoś. Kari pewnie zaparkowała swój samochód przy szpitalu, w którym pracowała Brooke, zamiast jechać nim do śródmieścia, gdzie znajdował się budynek poradni. Wychodząc z samochodu, Brooke trzymała za rękę trzyletniego synka Kari, na którego wszyscy mówili RJ, a Kari wynosiła fotelik ze śpiącą w nim Annie.

Ashley nie chciała psuć im dobrego nastroju, lecz musiały się o wszystkim dowiedzieć. Wyjęła z samochodu wciąż jeszcze śpiącego Devina, obeszła auto i oparła się o drzwi pasażera.

Kari pierwsza zauważyła łzy na policzkach Ashley i wyraz jej twarzy. - Co się dzieje? - zawołała. Postawiła fotelik z Annie i podbiegła do siostry. - Co się stało?

- Wejdźmy do środka - zaproponowała Ashley, ocierając palcami wilgotne ślady na obu policzkach.

Brooke patrzyła na nią trochę dłużej, wyraźnie przejęta. Potem wyciągnęła klucz z torebki i otworzyła drzwi, po czym weszły wraz z dziećmi do środka, gdzie było cieplej niż na zewnątrz.

Przez następne dziesięć minut Ashley wytłumaczyła im tragiczne położenie, w jakim znajdowali się Luke i Reagan. Były to dla nich tak

przyniatające wieści, że dopiero gdy Brooke mimowolnie spojrzała na zegarek, przypomniały sobie, w jakim celu tu przyjechały.

- Przepraszam, że zmieniam temat, ale zaraz muszę wracać do gabinetu - powiedziała Brooke, marszcząc brwi. - Rozejrzyjmy się teraz, a potem porozmawiamy o Luke'u.

Wnętrze było bardziej przestronne, niż pierwotnie sądziły, a warunki wynajęcia znacznie korzystniejsze od rynkowych - głównie dzięki wieloletniej przyjaźni ich ojca z właścicielem budynku; znali się zresztą zarówno ze szpitala, jak i z działalności przy kościele. Cena wynajmu stanowiła połowę kwoty, którą normalnie należałoby płacić.

- Przy tych dwóch ścianach możemy postawić sofy - powiedziała Brooke - a meble biurowe w każdym z małych pokoi.

- Kiedy będziesz mogła otworzyć poradnię? - spytała Kari, przekładając fotelik do drugiej ręki. - Ogłoszenie skierowane do wolontariuszy ukazuje się w gazecie od miesiąca.

Brooke uśmiechnęła się, mimo że w jej oczach wciąż widać było niepokój związany z sytuacją Luke'a. - Mamy już dwie emerytowane pielęgniarki, które są najlepszymi przyjaciółkami i chcą pracować na pełny etat. Wiele dziewczyn z ostatniej klasy szkoły średniej chce przychodzić na kilka godzin w tygodniu w ramach pracy społecznej. Jedną z nich jest Bailey Flanigan - wyjaśniła i zamyśliła się na chwilę. - Oczywiście wy też będziecie mogły pomagać w sytuacjach, gdy nasz stały zespół okaże się niewystarczający i będziemy potrzebować wsparcia.

- A co z ultrasonografem? - spytała Kari. Urządzenie będące na wyposażeniu poprzednio działającej poradni zostało sprzedane, kiedy zamknięto placówkę, a teraz ultrasonograf znajdował się na samym szczycie listy sprzętów niezbędnych do ponownego otwarcie poradni. - Czy kontakt taty okazał się skuteczny?

- Tak, oczywiście. W dodatku zrobiliśmy zbiórkę pieniędzy wśród rodzin związanych kiedyś z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym i wygląda na to, że dzięki niej i jeszcze kilku datkom od przyjaciół z kościoła będziemy mieli ultrasonograf.

Ashley ledwie mogła uwierzyć, że to wszystko tak się układało. Jeszcze kilka miesięcy temu ponowne otwarcie poradni było jedynie mglistą, odległą ideą. Gdyby Bailey Flanigan nie opowiedziała o swojej koleżance ze szkoły, Ashley nigdy by nie usłyszała o tej historii od Jenny. Nie zadzwoniłaby też, co oczywiste, ze swoją sugestią do Brooke. A teraz ludzie z kościoła i inni

woluntariusze zmobilizowali siły, aby odpowiedzieć na potrzebę ponownego otwarcia poradni. To wszystko wlało w serce Ashley nadzieję co do każdego aspektu ich przyszłości - nawet ogarniającą jej rozszerzoną rodzinę.

Brooke wyciągnęła ręce do Ashley i Kari. - Pomódlmy się - zaproponowała.

To był prawdziwy powód, dla którego tu przyjechały -aby powierzyć to miejsce Bogu i prosić Go o błogosławieństwo dla każdej kobiety, która kiedykolwiek w przyszłości przestąpi próg tej palcówki.

Utworzyły mały okrąg, a RJ chwycił Kari za rękaw swetra. - Ja też się pomodłę, dobrze, mamo? - poprosił malec.

- Dobrze, kochanie - uśmiechnęła się Kari do niego. - Pomódl się, żeby udało się tu pomóc wielu dzieciom.

- Lubię dzieci - stwierdził RJ i obszedł mamę, stając z jej drugiej strony przy swojej siostrzyczce, jakby chciał ją chronić. - Annie też mnie lubi.

- Tak, nawet bardzo.

Devin obudził się już do tego czasu, ale ciągle jeszcze znajdował się na rękach Ashley. Włożył palce do buzi i przyglądał się kuzynowi. RJ pogłaskał Annie po główce i przez chwilę Ashley poczuła ukłucie głębokiego smutku z powodu straty Sarah i może nawet lekką zazdrość. Jej synek też powinien mieć małą siostrzyczkę, aby mógł ją chronić.

Ashley pociągnęła nosem i spojrzała na siostry. Nie był to dobry czas na odczuwanie żalu; widziała, że Kari i Brooke patrzą na nią. Uśmiechnęła się więc i powiedziała: - Już dobrze. Pomódlmy się.

Podziękowały Bogu za pomysł ponownego otwarcia poradni, za ten lokal, ludzi, sprzęt.

Ze łzami w oczach i łamiącym się głosem Ashley zakończyła modlitwę: - Niech każda dziewczyna, która przestąpi próg tej poradni, pozna dotknięcie Twojej miłości, nasz Ojcze, i niech opowie się za życiem, zarówno swoim, jak i swojego dziecka, aby dziedzictwo Sarah, dziedzictwo wartości nawet tak krótkiego życia, mogło trwać.

Przycisnęła do siebie mocniej Devina i oparła głowę o jego główkę. - Prosimy Cię także za naszych braci, Panie - ciągnęła. - Oni potrzebują teraz Twojej interwencji, Twojej pomocy. Błagamy Cię, pomóż Dayne'owi i Katy wyjaśnić powstałe nieporozumienie między nimi i przekonaj Luke'a, że musi wrócić do domu, aby ratować swoje małżeństwo. Pozwól im zrozumieć, że potrzebują pomocy, i że potrzebują jej już teraz - zrobiła pauzę. - Naucz ich, że nikt nie wygra, kiedy się rozstaną.

Kiedy modlitwa dobiegła końca, siostry uścisnęły się, a Brooke i Kari wróciły do samochodu Brooke i odjechały.

Ashley potrzebowała jeszcze przez chwilę pozostać przed budynkiem. Przełożyła Devina na drugie biodro i przycisnęła wolną rękę do płaskiego brzucha. Wciąż wyraźnie pamiętała delikatne ruchy Sarah, jej kopnięcia i kręcenie się podczas ciąży.

Zanim odjechała, spojrzała na frontową ścianę budynku, na nowo pomalowane ramy okienne i na tabliczkę wiszącą na drzwiach. Uświadomiła sobie, że w tej chwili po raz pierwszy zwróciła na nią uwagę, na wzruszającą ją słowa: „Sarah. Poradnia dla kobiet w niechcianej ciąży”.

Ashley poczuła wzbierającą w jej sercu wdzięczność i ogarniającą ją Bożą dobroć. Bóg nie chciał, aby śmierć była częścią życia. Lecz stało się tak wskutek upadku pierwszych rodziców i teraz, w tym upadłym świecie, wszystko i wszyscy musieli umrzeć. Mimo to Bóg obiecał, że wyprowadzi dobro z każdej sytuacji, z każdego bólu serca. Poradnia „Sarah” i to wszystko, czym ona będzie dla społeczności Bloomington przez najbliższe miesiące i lata, będą dowodem na to, że Pan dotrzymuje Swojej obietnicy. W ten sposób, dzięki śmierci Sarah, Bóg będzie uwielbiony w Bloomington.

Teraz Ashley mogła się już tylko modlić, aby Bóg wyprowadził dobro także z sytuacji, w jakich znajdowali się obecnie jej bracia, Luke i Dayne.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Przygotowanie dla dzieci albumów z listami Elizabeth okazało się trudniejsze, niż John początkowo zakładał. Tym, co najbardziej dało się we znaki, nie były oczywiście kwestie techniczne: kopiowanie, sortowanie czy uzupełnianie albumu o kolejne kartki. Najbardziej wycieńczyło go czytanie poszczególnych listów i upewnianie się, czy trafią do właściwych albumów. Były bowiem wśród nich listy napisane specjalnie do jednego z dzieci, jedynie do niego lub te zawierające ogólne myśli o życiu czy rodzinie, które powinny być znaleźć się we wszystkich albumach. Lektura kolejnych listów wyczerpywała go emocjonalnie.

John wiedział, że nie powinien planować ślubu, dopóki nie upora się z albumami. I teraz - w końcu - tuż po dziewiątej w drugi poniedziałek grudnia praca została zakończona. Wstał i napawał się widokiem sześciu albumów rozłożonych na stole w jadalni. Czuć je było lekko dymem, lecz nie zostały nawet tknięte przez ogień.

Udało mu się też znaleźć na okładki albumów odpowiednie zdjęcia, inne w przypadku każdego albumu. Dla pięciu młodszych dzieci przygotował kolaż ze zdjęć Elizabeth z każdym z nich. Na przykład na okładce albumu, który miała otrzymać Brooke, było zdjęcie Elizabeth stojącej obok Brooke przy drzwiach szkoły podstawowej, gdzie uczyła się ich najstarsza córka, wykonane pierwszego dnia szkoły. Obok niego znajdowała się fotografia Elizabeth i Brooke tańczących razem w salonie. Inne jeszcze zdjęcie ukazywało je razem w dniu otrzymania przez Brooke dyplomu ukończenia studiów, a kolejne zostało wykonane w dniu, kiedy Brooke wyszła za Petera. Może najbardziej wzruszające było zdjęcie przedstawiające Elizabeth z Maddie i Hayley w dniu, kiedy Hayley wróciła do domu ze szpitala po tym, jak niemal utonąła.

Wszędzie widać było Elizabeth uczestniczącą we wszystkich ważnych chwilach i kluczowych momentach życia ich dzieci. Podobne zdjęcia znajdowały się na okładkach albumów przygotowanych dla Kari, Ashley, Erin i Luke'a.

Natomiast album Dayne'a różnił się od pozostałych. Na jego okładce John umieścił jedynie dwa zdjęcia. Fotografie przedstawiającą Elizabeth jako młodą dziewczynę, uczennicę college'u, wyglądającą tak jak wówczas, kiedy urodziła Dayne'a. Było to zresztą zdjęcie zostawione przez nią dla rodziców adopcyjnych Dayne'a, to samo, które potem pomogło mu odnaleźć matkę.

Obok niego znajdowało się ulubione zdjęcie Johna, które zrobił Elizabeth podczas jednej z rodzinnych wycieczek nad jezioro Monroe. Elizabeth siedziała na krzeselku plażowym, a kapelusz chronił jej twarz przed słońcem. Gdy John zauważył, w jak niesamowity sposób oświetlona jest jego żona, chwycił za aparat i pstryknął jej zdjęcie. Nieczęsto się zdarza, aby uchwycone na fotografii oczy jakieś osoby ukazywały to, co akurat nosi ona w sercu; wówczas to się udało. John miał nadzieję, że Dayne to doceni.

Był wdzięczny Ashley za przypomnienie mu o liście, jaki napisała Elizabeth specjalnie do ich pierworodnego syna. Był to ten sam list, który kiedyś przypadkowo znalazła Ashley w pudełku z listami w garderobie Johna, wówczas, gdy John nie wiedział jeszcze, w jaki sposób powiedzieć dzieciom o starszym bracie, a nawet zastanawiał się, czy w ogóle powinny o nim wiedzieć.

Ten list w istotny sposób przyczynił się do odnalezienia Dayne'a i był dla niego czymś głęboko osobistym, należącym jedynie do niego, a przecież najstarszy syn nigdy go nie przeczytał, a nawet nie widział. John otworzył album Dayne'a. Tak, wszystko, co tu się znajdowało, zapewne mocno poruszy Dayne'a, pewnie bardziej niż pozostałych. Jego najstarszy syn odziedziczył po Elizabeth dużą wrażliwość i miłość do rodziny, a za wyjątkiem krótkiego, niespełna godzinnego spotkania w szpitalu tuż przed jej śmiercią, nie widział jej ani nie znał.

John spojrział na drugi koniec stołu, gdzie leżał jeszcze jeden, mniejszy, siódmy album. Jego okładkę pokrywały cztery zdjęcia przedstawiające Johna i Elizabeth, każde z nich zrobione podczas innego etapu ich życia: kiedy byli bardzo młodzi, kiedy zmagali się z trudnościami wychowywania kilkuletnich malców, w czasie gdy dzieci były już nastolatkami i ostatnie przedstawiające etap życia, w którym ich dorosłe już potomstwo zakładało swoje własne rodziny. Te zdjęcia ukazywały ich miłość na przestrzeni lat. John i Elizabeth byli sobie niezwykle bliscy przez cały ten czas, doświadczając jedności umysłów, ciał, serc i dusz.

John nie planował przygotowywania albumu dla siebie, lecz w końcu uznał, że nie miał wyboru. Elizabeth napisała bowiem kilka listów specjalnie w tym celu, aby go zachęcić do jak najlepszego przeżycia tych dni, które mu pozostały, by także na tym ostatnim etapie drogi przez życie potrafił dać z siebie wszystko. Rzecz jasna, nie zamierzał trzymać tego albumu na stoliku przy łóżku. Lecz od czasu do czasu będzie mógł go wyciągnąć; Elaine to zrozumie.

Teraz otworzył album na pierwszej stronie i kolejny raz zaczął czytać znajdujący się tam list. Był krótki i Elizabeth od razu przechodziła w nim do sedna sprawy, co zdarzało się raczej rzadko, kiedy chwyciła za pióro. Za każdym razem, kiedy John go czytał, czuł się bardzo poruszony.

Mój najdroższy Johnie,

Przerwał czytanie i odetchnął głęboko. Nie wzruszał się obecnie tak łatwo jak kiedyś, lecz teraz, gdy wreszcie skończył opracowywanie albumów, poczuł, jak łzy napływały mu do oczu. Po przeczytaniu zaledwie tych kilku słów głos Elizabeth zabrzmiał wyraźnie w jego pamięci: „Mój najdroższy Johnie...”. Jego żona często wypowiadała te słowa, czasami gdy sobie żartowała albo kiedy pod koniec dnia czuła się zmęczona. „Mój najdroższy Johnie - mówiła na przykład - jestem wyczerpana. Chyba najwyższy czas, żebym się położyła”. Albo: „Mój najdroższy Johnie, jak najlepszy lekarz w Bloomington spędził dzisiejszy dzień w pracy?”.

Teraz patrzył przez dłuższą chwilę na te słowa i gdy zamrugawszy kilka razy, znów zaczął widzieć wyraźnie, czytał dalej.

Właśnie zadzwoniłeś i powiedziałeś mi o swoim pacjencie; o tym, jak siedziałeś przy jego łóżku, a wcześniej w istotny sposób przyczyniłeś się do uratowania mu życia. Kiedy odłożyłeś słuchawkę, Bóg podsunął mi pewną myśl i muszę to teraz napisać, muszę powiedzieć Ci o tym na wypadek, gdybym później zapomniała albo już nigdy więcej nie miała takiej możliwości.

Jesteś fantastycznym lekarzem, John. Życie, które udało Ci się dziś uratować, nie było pierwszym, jakie ocaliłeś, i z pewnością nie będzie też ostatnim. Lecz powinieneś o czymś wiedzieć, mój kochany mężu. Najpierw uratowałeś moje życie. Moi rodzice odepchnęli mnie, odrzucili mnie jako kogoś przegranego, przynoszącego rodzinie wstyd. Bóg posłużył się Tobą, aby mnie uratować i aby ukazać mi odkupienie, jakie On pragnął mi ofiarować.

Jakie On pragnął nam ofiarować.

Pamiętaj o tym każdego dnia, kiedy wychodzisz do pracy. Ja zostaję tutaj, mama i żona, kochanka i przyjaciółka, ponieważ Ty tchnąłeś we mnie życie. Przy każdym uderzeniu serca czuję miłość do Ciebie i zawsze będę Cię kochała.

Teraz i na zawsze Twoja, Elizabeth.

Bóg posłużył się nim, aby uratować Elizabeth. Do tego dnia, kiedy przed kilkoma tygodniami odnalazł ten list - zresztą na samym spodzie pudełka -

nawet przez chwilę nie przyszło mu to nigdy na myśl. Elizabeth była inteligentna i ufna, była urodzonym psychologiem i doradcą z naturalnym talentem do rozumienia Bożej mądrości odnoszącej się do ludzkich relacji. Zawsze był przekonany, że to ona wyświadczyła mu ogromną przysługę, stojąc przy nim podczas tych trudnych, pierwszych lat ich związku.

A teraz zobaczył, że ona uważała, iż było dokładnie odwrotnie. I natychmiast pomyślał, że tak właśnie powinno być, że to pasowało mu jakoś do obrazu Elizabeth, jaki nosił w sercu. Zawsze prawili sobie komplementy i teraz - nawet po jej śmierci - otrzymał od niej tej miary komplement. Każde z nich przez całe życie było przekonane, że to, kim jest, zawdzięczało drugiemu.

John zamrugał i przez chwilę myślał o tym, aby wyjść na zewnątrz, pomimo tego, że już od dawna było ciemno, i przespacerować się ścieżką do tej znajomej ławki, na której oboje z Elizabeth spędzili razem tyle godzin, rozmawiając o rodzinie i modląc się o umiejętność pokonywania codziennych wyzwań, jakie przynosiło im życie.

Lecz było na to zbyt późno, a miał jeszcze coś ważniejszego do zrobienia przed położeniem się spać. Musiał zapakować albumy i jakoś dostarczyć je do domów swoich dzieci. W przypadku Brooke, Kari i Ashley sprawa była prosta. Mieszkały w odległości dziesięciu minut jazdy samochodem od niego. Album Dayne'a zamierzał wysłać rano pocztą i prawie z dnia na dzień znajdzie się on na planie w Cabo, więc jego najstarszy syn zapozna się ze słowami matki już niebawem.

Lecz tym, kto według Johna najbardziej potrzebował teraz tego albumu, był jego najmłodszy syn mieszkający w odległości godziny drogi samochodem od Bloomington i teraz nie miał John wątpliwości, że przejechałby nawet całą noc, gdyby to było konieczne, aby oddać te listy w jego ręce.

Ashley przekazała mu najnowsze informacje dotyczące małżeństwa Luke'a, co sprawiło, że podwoił swoje wysiłki, aby ukończyć album jak najszybciej. Luke był szczególnie blisko związany z Elizabeth i może... może jej śmierć sprawiła mu większy ból niż pozostałym dzieciom. Po raz pierwszy przyszło mu to na myśl dopiero przed kilkoma dniami. Luke wiele przeszedł w ostatnich latach, więc może nie było nic dziwnego w tym, że taką trudność sprawiało mu bycie takim człowiekiem, jakim wszyscy chcieliby go widzieć. Oczywiście nie usprawiedliwiała to jego zachowania.

Lecz jeśli ktoś naprawdę potrzebował przypomnienia o miłości, jaką darzyła ich matka, to tą osobą z pewnością był Luke.

Nawet jeśli wszystko wskazywało na to, że takie przypomnienie przychodziło zbyt późno, aby można było jeszcze cokolwiek zmienić w życiu jego najmłodszego syna.

Ashley postanowiła nie czytać swojego albumu, dopóki nie minie czas, jaki dzisiaj zamierzała przeznaczyć na pracę nad obrazem przedstawiającym jej matkę i małą Sarah. Położyła zapakowany album na łóżku stojącym w narożniku pokoju i kończyła malowanie pola kwiatów. Chyba jeszcze nigdy nie urzekło ją piękno kolorów tak jak na tym obrazie. Wyglądał tak, jakby z Bożą pomocą udało jej się uchwycić kawałek rajy - był tak piękny i pełen życia, że chyba właśnie w ten sposób można było wyobrazić sobie jej matkę w niebie.

Było wczesne wtorkowe popołudnie. Landon został z chłopcami w domu, miał dzisiaj wolny dzień. Gdy wczoraj wieczorem ojciec Ashley podrzucił jej album, Landon wiedział, że dzisiaj jego żona będzie pragnęła zaszyć się gdzieś sama i przeczytać go.

- Czy wybierasz się na cmentarz? - spytał rano, obejmując ją w kuchni na powitanie.

Nie musiał dopowiadać nic więcej, wiedziała, co miał na myśli. Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się smutno. - Nie - odparła. - Pomyślałam, że pomaluję przez kilka godzin. Potem usiądę może przy oknie w moim starym pokoju i przejrzę go.

- Świetny pomysł - stwierdził Landon i pocałował ją czule. - Idź na tak długo, jak chcesz.

Teraz, kiedy pole kwiatów było już właściwie skończone, Ashley miała poczucie, jakby jej matka faktycznie przebywała razem z nią w pokoju. Wspomnienia tamtych dni wydawały się takie żywe i namacalne. Do tego dochodził zapach jej starego pokoju i odgłos łagodnego wiatru poruszającego na zewnątrz gałęziami drzew. W powietrzu czuć było zimę i nadchodzące wraz z nią Boże Narodzenie.

Kiedy pracowała, prawie słyszała dobiegający z dołu głos matki: „Ashley, nastawiam czajnik. Chcesz może herbaty?”.

Chciała krzyknąć w odpowiedzi: „Tak, mam... oddałabym wszystko za jeszcze jedną filiżankę herbaty z tobą”. Napływające do oczu łzy rozmazały jej widok; zamrugła, aby odzyskać ostrość widzenia. Poczuła, że zbliża się

koniec kolejnego roku, że coraz więcej czasu upływa od śmierci jej matki i że jakoś musi się wreszcie przyzwyczaić do realiów życia bez niej.

Jej matka odeszła. Życie toczyło się dalej, tak musiało już być.

Lecz tutaj, w tym pokoju, kilka metrów od niej znajdowało się coś, co zawierało słowa jej matki przypominające o jej ogromnej miłości do Ashley i do każdego z jej rodzeństwa. Dzięki temu prawie mogła zobaczyć w drzwiach swoją matkę, uśmiechającą się do niej i obserwującą, jak maluje. „Uwielbiam twoje obrazy, Ashley - wiele razy mówiła jej matka - otrzymałaś ten talent od Boga. Mam nadzieję, że zawsze będziesz z niego korzystać dla Jego chwały”.

Strumyczki łez pozostawiły gorące ślady na jej policzkach. Boże - pomodliła się w duchu - czy ja to robie? Czy ten Twój dar pomaga komukolwiek przybliżyć się do Ciebie?

Bóg nie dał jej odpowiedzi, tylko pozwolił zobaczyć jej pewien obraz. Właśnie w taki sposób Bóg często do niej przemawiał, ukazując jej najcenniejsze chwile życia i zwracając na nie uwagę. Na obrazie widać było ogromny pokój zabaw. Na podłodze Cole i Devin bawili się klockami lego, a trochę dalej widać było małą, może dwuletnią dziewczynkę ze złocistymi włosami. Ashley widziała ją tylko od tyłu, lecz wydawało się, że w jakiś sposób pasuje ona do tego obrazu.

Na ścianie tego pokoju zabaw wisiał obraz; ten, nad którym właśnie teraz pracowała. Ashley miała silne i wyraźne poczucie, że dzięki temu obrazowi jej dzieci były pełne pokoju i wiedziały, że Bóg je kocha i że przygotował dla nich niebo, gdzie pewnego dnia oni wszyscy się spotkają i będą razem żyć wiecznie.

To wyobrażenie zaabsorbowało ją całkowicie, nadając jej pracy sens i odnawiając jej siły nie tylko, aby mogła ukończyć obraz, nad którym właśnie pracowała, ale motywując ją do namalowania kolejnych prac niosących jakieś przesłanie jej dzieciom, a może nawet innym. Używając ciemnopurpurowej farby, położyła ostatnie akcenty na polu kwiatów i odłożyła pędzel do słoika z rozpuszczalnikiem.

Boże... pomóż mi to zrobić- pomodliła się. Potem odwróciła się i spojrzała na album. Nagle przestała odczuwać lęk i trwogę wobec tego, co czekało ją w ciągu najbliższej godziny. Była to przecież możliwość, aby w pewien sposób spędzić trochę czasu z matką. Choć może nie było to łatwe, lecz z całą pewnością nie należało się tego obawiać.

Zanim zaczęła, zrobiła to, co zrobiłaby jej mama. Zeszła na dół, zaparzyła sobie herbatę w ulubionym kubku matki, a potem wróciła na górę i usiadła na wezglówiu swojego łóżka. Postawiła kubek z herbatą na parapecie, uchylając lekko okno, aby opary farb mogły ulecieć na zewnątrz.

Dzisiaj był dość zimny dzień, a prognoza pogody donosiła nawet o pierwszym śniegu tej zimy. Specjaliści od przewidywania pogody zapowiadali białe Boże Narodzenie i większą ilość śniegu tej zimy niż w poprzednich latach. Ashley ucieszyły te wiadomości i wyobraziła sobie od razu całą rodzinę zgromadzoną przy kominku w domu Baxterów, świętującą Boże Narodzenie.

Ponieważ zawartość pudełka przedstawiała dla Ashley wielką wartość, ponieważ to właśnie dzięki niej za chwilę miała w pewien sposób spotkać się z matką, ostrożnie otworzyła opakowanie i wyciągnęła album, kładąc go sobie na kolanach. Wiedziała, że miał zawierać listy jej matki, lecz nie spodziewała się, że znajdzie w nim także fotografie.

Ashley miała mnóstwo zdjęć matki i w ciągu ostatnich lat zeskanowała nawet wiele z nich, aby mieć w komputerze cyfrowy zbiór tych najcenniejszych, lecz nie przeglądała ich już dawno. Kiedy zatem spojrzała teraz na fotografię pokrywającą okładkę albumu, wzruszyła się tak mocno, że nawet sama była tym zaskoczona.

Znajdowało się tam zdjęcie, na którym matka bujała ją na huśtawce w parku i inne, gdzie razem pielili ogródek z kwiatami znajdujący się za domem Baxterów. Ogródek ciągle tam był, a jej ojciec sumiennie pilnował, aby nie zarastał chwastami.

Przeniosła spojrzenie na kolejną fotografię ukazującą Ashley i jej matkę siedzące przy starym jeszcze stole kuchennym. Stały na nim kubki z herbatą i czajniczek, który matka lubiła stawiać między nimi. Zawsze będzie wdzięczna ojcu, że zrobił to zdjęcie, ponieważ często tak się zdarza, że zwyczajnych, codziennych czynności wcale się nie fotografuje, choć to one tak naprawdę stanowią o jakości życia człowieka. A teraz dzięki temu niepozornemu obrazkowi Ashley zawsze będzie miała żywe wspomnienie tych niezapomnianych chwil, kiedy siadały razem z matką przy herbacie, aby rozmawiać o różnych problemach, tak częstych zresztą w jej życiu, szczególnie wówczas, gdy ledwie wkroczyła w trzecią jego dekadę. Patrząc na to zdjęcie, uśmiechnęła się. Co zrobiłabym wówczas bez tych rozmów z mamą? - pomyślała.

Następne zdjęcie przedstawiało jej mamę kołyszącą malutkiego Cole'a. Siedziała w swoim bujanym fotelu, a Ashley kucała obok niej. Matka jedną rękę miała na ramionach Ashley, dając w ten sposób językiem ciała bardzo wymowny komunikat: „To jest moja córka bez względu na błędy, jakie w życiu popełniła. A to jest jej dziecko, które kocham całym sercem”.

Ashley przyglądała się twarzy swojego synka, niemal dziwiąc się, jak była drobna przed kilkoma laty. Po jakim czasie Cole całkowicie zapomni o babci Baxter? Ciągle jeszcze o niej mówił, wciąż wspominał, jak opiekuje się w niebie małą Sarah. Lecz niedługo skończy dziesięć lat, potem piętnaście, jeszcze później będzie w ostatniej klasie szkoły średniej. Te lata szybko zlecą, a babcia stanie się zaledwie przygasającym światłem dzieciństwa Cole'a.

Dlatego stawiała się smutna, kiedy przewracała kartki kalendarza, odliczając czas do nowego roku. Mijające dni zwiększały bowiem odległość dzielącą chwile wypełnione prawdziwą, realną obecnością jej matki od obecnego czasu, gdy pozostały po niej tylko wspomnienia.

Ashley zagryzła wargę i otworzyła album na pierwszej stronie. Znajdował się tam list, który pamiętała. Był to list pełen radości i miłości, ponieważ po roku praktycznie prawie całkowitego braku kontaktu z rodziną Ashley wróciła z Paryża. Teraz starała się sobie wyobrazić, jak ona by się czuła, gdyby Cole opuścił ich po ukończeniu szkoły średniej. Gdyby poleciał do innego kraju i potem wrócił skompromitowany, sprzeniewierzywszy się swojej wierze i wyznawanym wcześniej zasadom. Czy ona potrafiłaby napisać taki list pełen miłości do niego tydzień po jego powrocie?

Przeczytała ponownie list i już знаła odpowiedź. Tak, potrafiłaby to zrobić, bo nauczyła ją tego jej matka, sama ofiarowując jej taką bezinteresowną, w pełni akceptującą miłość. Natomiast dowiedziała się od ojca, że jej matka wcale nie otrzymała takiego daru bezinteresownej miłości od swojej matki, czyli babki Ashley.

Lecz miała miłość Johna Baxtera, a to tłumaczyło wszystko.

Ashley czytała kolejne listy, jeden po drugim, takie, których wcześniej nigdy nie widziała, znajdując w nich niezwykle cenne i wzruszające dla niej fragmenty, zawierające mądrość jej matki. Przeczytała też kilka znanych jej listów, z którymi zdążyła się zapoznać, gdy kiedyś natknęła się przypadkowo na pudełko z listami w garderobie ojca. W trakcie lektury popłakała się, ponieważ oddana w nich czułość matki i jej słowa stały się tak żywe w sercu Ashley, że tęsknota za nią była prawie nie do zniesienia.

W pewnej chwili przerwała czytanie i napiła się herbaty. Potem wolną ręką pociągnęła po pustym miejscu obok siebie na łóżku i starała się sobie przypomnieć, jak to było siedzieć obok matki. Mama opłakiwałaby z nią śmierć Sarah, spędzając z Ashley dużo czasu, aby pomóc jej przeżyć ten wyjątkowo trudny czas.

Odetchnęła szybko kilka razy i podniosła wzrok na obraz oddalony od niej o kilka metrów. Jediną pociechą był fakt, że obraz ten nie przedstawiał jakiejś mrzonki, gdyż jej matka i córeczka naprawdę przebywały razem w niebie. Cole widział je tam, widział je w tak wyrazisty sposób, w jaki jedynie dziecko potrafi coś zobaczyć.

W ciągu następnej półgodziny przerwała przeglądanie albumu i postanowiła sobie, że następnym razem przeczyta ten zbiór listów partiami, aby mogła delektować się każdym z nich. Ostrożnie, z pietyzmem zamknęła album i wsunęła go z powrotem do pudełka, a potem dopiła herbatę.

Ponownie stanęła przed swoim obrazem i jak poprzednio przyszedł jej na myśl ten sam pokój zabaw. Tylko tym razem zobaczyła wyraźniej szczegóły i uświadomiła sobie coś dziwnego. To nie był pokój zabaw w domu, w którym obecnie mieszkała. Był większy, pełen miłości i historii, jakich jeszcze nie zdążyli przeżyć w tym domu.

Wydała z siebie stłumiony okrzyk zadziwienia, zakrywając dłonią usta. Nagle dotarło do niej, jaki widziała pokój. Był duży i jasno rozświetlony światłem wpadającym przez zachodnie okna. Oczywiście nie było możliwe, aby kiedykolwiek miało dojść do skutku to jej widzenie, ponieważ w najbliższe lato stary dom miał zostać wystawiony na sprzedaż. Jej ojciec przeprowadzał się i kiedy to nastąpi, będą spotykali się z nim w nowym domu. Nie będzie już strumyku za domem, stawu z żabami czy ścieżki wokół domu. Nie będzie ogrodu, z którym wiązało się tyle uroczych wspomnień.

Mimo to obraz tego pokoju pozostawał wciąż żywy w jej sercu i duszy, ponieważ było to miejsce, gdzie ona i jej rodzeństwo bawili się, układali puzzle i uczyli się pisać alfabet. Gdyby tylko ten obraz mógł być zapowiedzią tego, co miało nadejść, znakiem mówiącym o tym, że ich ojciec zmieni zdanie i zatrzyma ten dom. Bo przecież ten pokój, którego tak cudowny obraz miała w umyśle, nie znajdował się tam, gdzie obecnie mieszkała. Był to pokój na parterze.

Był to pokój na parterze domu, który nawet gdy zostanie sprzedany, zawsze będzie należał do Baxterów.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Jedynym kontaktem, jaki udało się nawiązać Dayne'owi z Katy, były dwie wiadomości - jedna wysłana przez niego do niej i druga stanowiąca jej odpowiedź. Był już dwunasty grudnia i Dayne postanowił przeprowadzić z reżyserem stanowczą rozmowę dotyczącą sytuacji, w jakiej się znalazł. Gdyby zdjęcia plenerowe w Meksyku potrwały jeszcze przynajmniej tydzień, musiałby wrócić do Bloomington dopiero po świętach Bożego Narodzenia. Prace nad filmem w Los Angeles mogły się nawet przeciągnąć do stycznia.

- Dayne... - mówił reżyser, robiąc wrażenie zaszokowanego. - Nie miałem pojęcia, że jest aż tak źle.

- Ale jest - stwierdził Dayne. Nie obawiał się o swoje małżeństwo tak bardzo jak wcześniej, lecz dopóki nie spotka się z Katy, nie będzie wiedział, co ona sobie o tym wszystkim myślała. Nawet poznawszy prawdę o zdjęciu, Katy mogła dojść do wniosku, że nie będzie w stanie dalej znosić tych wszystkich ciekawskich spojrzeń i stałego naporu mediów wiążących się z małżeństwem z najbardziej rozchwytywanym aktorem Hollywood.

Reżyser nie wahał się ani chwili. Przecież zrobił przerwę w zdjęciach, aby Randi mogła być na pogrzebie matki. Z pewnością i tym razem mógł wstrzymać produkcję i dokończyć prace nad filmem po świętach. - Po prostu rób wszystko, aby to rozwikłać, jasne? - poradził Dayne'owi i poklepał go po ramieniu. - Jeśli to będzie konieczne, przerwiemy zdjęcia. Wiem przecież, jak ten biznes potrafi rozwalić życie.

Dayne, nałożywszy sobie na talerz mnóstwo owoców, zapełniał teraz pusty jeszcze fragment naczynia kawałkami mięsa, zamierzając poszukać sobie miejsca na plaży, aby w samotności zjeść lunch, gdy zobaczył, jak biegnie do niego jeden z pracowników obsługi planu z jakąś paczką w ręku.

- Panie Matthews! - wołał z zatroskaną miną chłopak, przejęty tym, czy uda mu się jeszcze zatrzymać na chwilę Dayne'a, zanim ten odejdzie z talerzem pełnym jedzenia. - Proszę zaczekać!

Dayne zatrzymał się, dając młodemu człowiekowi czas na dobiegnięcie z paczką. - Dla mnie? - spytał.

- Tak - uśmiechnął się chłopak w taki sposób, jakby dostarczenie tej przesyłki do Dayne'a Matthews'a było najważniejszym wydarzeniem jego dnia pracy. - Napisano, że to pilne.

- Dzięki - rzucił Dayne w odpowiedzi i przez chwilę żałował, że nie miał więcej czasu. Chętnie zapytałby chłopaka o jego imię i jak mu się podobało na planie. Może nawet poradziłby mu, aby cieszył się swoją anonimowością, skoro miał taką możliwość, przypuszczając, że zależy mu na jak najszybszym zrobieniu kariery w branży, podobnie jak większości młodych ludzi angażujących się w pomoc przy zdjęciach.

Paczka okazała się cięższa, niż się Dayne spodziewał, lecz pomimo jej wagi był w stanie wsunąć ją pod ramię i nieść razem z talerzem pełnym jedzenia, zmierzając po plaży w stronę krzeseł rozstawionych pod palmą. Do tego czasu wszyscy już zrozumieli, że Dayne Matthews chciał jadać posiłki w samotności. Wiedzieli, że nie wynikało to z faktu, że był tak zarozumiały i dlatego nie życzył sobie kontaktu z innymi, ale że jego życie osobiste skomplikowało się i potrzebował wyciszenia, nawet podczas przerw na lunch pomiędzy pracą nad kolejnymi scenami filmu.

Położył talerz na piasku i oparł paczkę na gołych kolanach. Tu, w miejscu tak daleko wysuniętym na południe, nawet w grudniu było ciepło i przyjemnie. W zasadzie wszyscy mężczyźni nosili krótkie spodenki i podkoszulki.

Spojrzał na karteczkę z adresem nadawcy i przekonał się, że paczka została przysłana przez jego ojca. Rozerwał opakowanie pocztowe i wyciągnął z niego pudełko. Na jego widok zmarszczył brwi, zdezorientowany. Czyżby ojciec przesyłał mu prezent bożonarodzeniowy na dwa tygodnie przed właściwym terminem i to aż do Cabo, do Meksyku? To wydawało się bardzo dziwne.

Dayne podniósł pokrywkę pudełka i to, co zobaczył, tak go wzruszyło, że zaparło mu dech w piersiach i jednocześnie poczuł, jakby topniało mu serce. Wewnątrz znajdował się album, a na jego okładce były dwa zdjęcia Elizabeth Baxter.

Do górnego rogu albumu była doczepiona też mała karteczka z napisem: „Pomyślałem, że powinieneś go jak najszybciej dostać. Kocham Cię, tata”.

Mimo tego wszystkiego, co w życiu przeszedł, doświadczył teraz czegoś takiego, czego jeszcze nigdy wcześniej nie zaznał. Dosłownie poczuł, jak miłość ojca ogarnia go, napełniając jego wnętrze niesamowitym ciepłem i poczuciem akceptacji. To było wprost niewiarygodne, że w oddalonym o tysiące kilometrów Bloomington John Baxter znalazł czas, aby przygotować ten pracochłonny album.

Ta przesyłka nie mogła dotrzeć do niego w bardziej odpowiedniej chwili niż właśnie teraz, gdy niemożność skontaktowania się z Katy ciążyła mu z każdą godziną coraz bardziej. Dayne nie musiał nawet otwierać albumu, aby wiedzieć to z całą pewnością. Teraz jednak nie był w stanie czekać choćby sekundy dłużej, aby przekonać się, co dokładnie znajduje się w środku. Wyjął album z pudełka. Położył go obok krzesła, na którym siedział, i otworzył na pierwszej stronie.

Wewnątrz, osłonięty folią ochronną, znajdował się napisany odręcznie list, zaadresowany w następujący sposób:

Mój najdroższy pierworodny synu...

Dayne odniósł wrażenie, jakby jego serce zawahało się i po chwili zaczęło bić jakimś dziwnym rytmem. Co to było? Ostrożnie wyciągnął list spod folii ochronnej i uważnie przyjrzał się jego pierwszej stronie i słowom na końcu. Był podpisany bardzo prosto: „Twoja matka, Elizabeth Baxter”.

Dayne poczuł, że kręciło mu się w głowie i znów spojrzął na list, nie mogąc uwierzyć, że to było możliwe. Potem powoli zaczął sobie coś przypominać. Kiedy odnalazła go Ashley, gdy zadzwoniła za pierwszym razem, aby w ogóle nawiązać z nim kontakt, powiedziała mu coś o jakimś liście. Tak, mówiła o liście, który napisała do niego matka. A potem pod wpływem ogromnej radości związanej z poznaniem rodziny Dayne całkowicie zapomniał o tym liście.

Przypomniał sobie o nim dopiero w tej chwili.

Odetchnął szybko i powrócił do pierwszego zdania. Zdał sobie sprawę z tego, że to właśnie były te strony, które zapisała Elizabeth, to był atrament, którego wówczas użyła. Przed wielu laty postanowiła usiąść i zapisać to, co czuła. A teraz tamte słowa pozostaną z nim na zawsze jako jeden z jego największych skarbów.

Zaczął od początku, czytając ponownie pierwszą linijkę.

Mój najdroższy pierworodny synu,

Kiedy to czytasz, już mnie odnalazłeś albo przynajmniej znalazłeś pozostałych. Synu, modliłam się o to, abym mogła osobiście przekazać Ci tę wiadomość, ale czas ucieka. Nie mogę spokojnie stanąć przed Panem, dopóki nie zrobię wszystkiego, co w mojej mocy, aby dotrzeć do Ciebie. Nawet jeśli jedynym możliwym sposobem będzie ten list.

Twój ojciec i ja z roku na rok myśleliśmy o tobie coraz bardziej intensywnie. W każde Twoje urodziny i Boże Narodzenie, jesienią, kiedy zacząłeś chodzić do szkoły, w roku, w którym ją skończyłeś. Zawsze byłeś

obecny w naszych sercach, tak jak wyżej napisałam. Nie mieliśmy wpływu na to, co się wydarzyło, drogi synu. Moi rodzice wypędzili mnie, a jakaś kobieta zabrała mi Ciebie, mimo że krzyczałam na nią, żeby mi Cię oddała. Lecz jest coś, o czym musisz wiedzieć. Nigdy nie chcieliśmy Cię zostawić. Nigdy.

Dayne przerwał czytanie i spojrzał na zatokę. Pomyślał, jak musiała czuć się Ashley po przeczytaniu tych dwóch paragrafów. Ona i pozostałe rodzeństwo przez całe życie nie wiedzieli o jego istnieniu i w pewnym momencie już dorosłego życia - w chwili, gdy zdążyła przeczytać zaledwie początek jakiegoś listu - wszystko w jej życiu i w życiu pozostałych Baxterów nagle uległo definitywnej zmianie. Odnalazł miejsce, w którym przerwał czytanie, i wciąż zamyślony potarł kciukiem po lekko wyblakłym tekście.

Po tym, jak mi Cię zabrali, kazali mi o Tobie zapomnieć. Powiedzieli, że będzie dla mnie lepiej, kiedy wmówię sobie, że nigdy się nie urodziłeś. Twój ojciec i ja modliliśmy się, żebyś został adoptowany przez chrześcijańską rodzinę, przez ludzi, którzy wychowają Cię w wierze, która zawsze była dla nas tak ważna. Próbowaliśmy przekonać samych siebie, że Ty należałeś do Boga, że On znalazł dla Ciebie rodzinę i że pracownicy opieki społecznej mieli rację. Ze od samego początku nigdy nie byłeś nasz. Lecz myliliśmy się. Najgłębszy żal, jakiego doznałam w całym życiu, wiąże się z tym, że nie walczyłam bardziej wytrwale, żeby Cię zachować.

Najgłębszy żal, jakiego doznała w całym życiu? Ponownie przeczytał te słowa, a potem jeszcze raz. Dotarło do niego, że jeśli oboje z Katy nie będą bardziej wytrwale walczyć o swoje małżeństwo, to pewnego dnia te słowa mogą stać się jego własnymi. Chyba nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby teraz, po przeczytaniu tych słów, nie podjął bardziej wytrwałej walki o kobietę, którą kochał. Gdyby to były jedyne słowa jego matki napisane specjalnie do niego, i tak musiałby przyznać, jak wielką zawierały dla niego naukę, choć to wszystko wydawało się nieprawdopodobne. Nie mogła przecież przewidzieć, że to ostatnie zdanie, po z górą trzydziestu latach, tak wyraźnie będzie się odnosiło do jego małżeństwa. Ale tak właśnie było. Znów zaczął czytać.

Nigdy nie zapomnę uczucia, kiedy trzymałam Cię w ramionach zaraz po urodzeniu. Miałeś puszyste blond włosy i niebieskie oczy, duże i uważne, jakbyś wiedział, że nie zostało nam dużo czasu. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś poznam to uczucie - ciepłe ciało mojego nowo narodzonego syna

leżące na mojej piersi. Lecz Bóg dał nam więcej dzieci. Jeszcze pięcioro. A na końcu Bóg dał nam syna, którego nazwaliśmy Luke.

Dziwne uczucie zrodziło się w sercu Dayne'a. Przebaczył Luke'owi i pomimo nieznośnego i niezwykle doskwierającego mu braku komunikacji z Katy, nie potrafił nienawidzić swojego brata za to wszystko, co się wydarzyło. Kto mógłby przypuszczać, że po tylu latach, jakie upłynęły od napisania przez Elizabeth tego listu, to właśnie Lukę przyczyni się do cierpienia, jakie spotkało Dayne'a. Jak najszybciej odrzucił tę myśl od siebie i czytał dalej.

Obserwowanie, jak dorasta Lukę, napełniało moje serce zarazem radością i smutkiem. Ponieważ on wyglądał dokładnie tak samo jak Ty. Kiedy podrósł trochę i nauczył się chodzić, wiedziałam, jak Ty byś wyglądał jako dziecko uczące się chodzić. Podobnie było, kiedy wypadł mu pierwszy ząb, kiedy nauczył się jeździć na rowerze, kiedy skończył szkołę średnią. Każde jego osiągnięcie przypominało mi o tym wszystkim, co straciłam wraz z Tobą. Wszystko, czego mi tak bardzo brakowało.

A teraz błagam Boga już tylko o jedno. Aby w tych moich ostatnich dniach miała szansę zobaczyć Cię ponownie, uścisnąć Cię raz jeszcze. Ostatni raz.

Smutek i wdzięczność zmieszały się ze sobą i zalały duszę Dayne'a. Bóg odpowiedział na modlitwę Elizabeth, ponieważ pomimo wszystkich przeciwności udało mu się odnaleźć matkę w sali szpitalnej tuż przed jej śmiercią. Spędzili ze sobą tylko godzinę, lecz zdążyli się uściskać i odpowiedzieć sobie na najważniejsze pytania. Ona powiedziała mu, jak ważna była dla niej wiara w Boga i jak bardzo pragnęła, aby on również poznał miłość ich Zbawiciela, aby mogli razem żyć w wieczności.

Lecz nie było powrotu, nie można było cofnąć przeszłości i jeszcze raz przeżyć tego czasu. Lecz gdyby tak się stało, gdyby to było możliwe, Dayne wiedział z całą pewnością, że byliby sobie z Elizabeth bardzo bliscy, tak jak podczas tego niezmiernie krótkiego czasu, jaki razem spędzili.

Znów spojrzął na list, który trzymał w ręku. Pisała o tym, że miała nadzieję, iż trafił do dobrego, pełnego ciepła i miłości domu, i że była ciekawa, czy ma żonę i dzieci.

Kiedyś już nie wytrzymałam i próbowałam Cię odnaleźć. Akta były zaplombowane i zostaliśmy odesłani. Teraz wiem, że musiały się wydarzyć cud, abym mogła Cię zobaczyć. Ale nie przejmuję się tym. Bóg, któremu służymy, potrafi czynić cuda. Nasze życie jest tego świadectwem.

Modlę się o to, abyś znał Boga i był z Nim w łączności. A także o to, abyś poznał miłość rodziny - naszej rodziny. Możesz należeć do innych ludzi, lecz zawsze będziesz także należał do nas. Ponieważ kiedykolwiek tylko myślę o moich drogich dzieciach, mam przed oczyma nie pięcioro, ale wszystkich sześcioro. Zawsze tak było. Kocham Cię, synu. Jeśli nie będzie mi dana szansa, aby uścisnąć Cię tutaj, wówczas pozostaje mi wierzyć w to, że Bóg pozwoli mi uścisnąć Cię w niebie. A tam nigdy nie będziemy musieli powiedzieć sobie ponownie „do widzenia”.

Twoja matka, Elizabeth Baxter

Przez chwilę Dayne trwał bez ruchu, wpatrując się w trzymaną w dłoni kartkę i próbując wyobrazić sobie, jak mogła wyglądać jego matka, kiedy pisała do niego te słowa. Przekartkował album i stwierdził, że był to zbiór listów Elizabeth do dzieci, a on był jednym z nich, napisała przecież, że zawsze tak o nim myślała.

Potem ostrożnie, żeby nie uszkodzić cennej kartki, wsunął z powrotem list do plastikowej koszulki i zamknął album. Nie mógł spojrzeć na kolejny list, nie teraz, gdy jego serce było tak przejęte słowami, które właśnie przeczytał.

Włożył album z powrotem do pudełka i nałożył pokrywkę. Potem, zapominając o jedzeniu, poszedł w stronę wody i zaczął patrzeć na odległy horyzont. Ostatnia część listu wciąż pobrzmiwała mu w pamięci; część mówiąca o tym, że Bóg potrafi czynić cuda. Było to coś, o czym wielokrotnie słyszał od swojego rodzeństwa przez te ostatnie lata, kiedy ich znał, i uświadomił sobie, jaki dar otrzymali. Otrzymało go każde z nich, a on w szczególności, ponieważ jego rodzice adopcyjni także kochali Boga. Mieli rodziców, którzy wierzyli, że z Chrystusem wszystko było możliwe.

Był to jeden z pierwszych wersetów Biblii, który Bob polecił mu zapamiętać. „Z pewnością spotkają cię w życiu jeszcze różne trudności - powiedział mu przyjaciel - dlatego musisz wiedzieć, że z Bogiem wszystko jest możliwe”.

Bóg wciąż czynił cuda, dlatego wszystko było możliwe.

Sam był tego świadkiem w ubiegłym tygodniu. Najpierw zatelefonował do niego Luke, oczyszczając go całkowicie z zarzutu niewierności, o jaką oskarżał go świat. Lecz zmianę zobaczył także u Randi. Od pogrzebu matki stała się inną osobą. Rozmawiali nawet o tym pewnego wieczoru, siedząc razem na plaży przy grillu po kolejnym dniu zdjęciowym.

Usiadła wówczas naprzeciwko niego, lecz on najpierw nerwowo przeczesywał wzrokiem plażę w poszukiwaniu kamerzystów lub fotografów.

Lecz zanim zdążyło go całkowicie opanować zakłopotanie, wypowiedziała zaskakujące słowa: - Przepraszam, Dayne. - Po raz pierwszy, odkąd ją znał, oczy, które tak kochała Ameryka, spojrzały na niego prostolinijnie i jakby bez czającego się w nich podstępu czy ukrytego motywu. - Przesadziłam, byłam naprawdę żałosna - stwierdziła niespodziewanie. Spojrzała na swój talerz i przez chwilę wyglądała tak, jakby wstydziła się mówić dalej. - W żaden sposób nie będę w stanie ci tego wynagrodzić, ale chcę, żebyś wiedział, że to skończone. Śmierć mojej mamy... to mnie zmieniło.

- Nawet nie zdążyłem ci powiedzieć, jak bardzo jest mi przykro z tego powodu - odparł Dayne, starając się mówić łagodnie, zwłaszcza teraz, kiedy Randi tak bardzo przeżywała stratę matki. Lecz wiedział, że musi zachować dystans ze względu na to, iż mogli ich obserwować paparazzi. - To takie przykre... odejście twojej mamy.

- Tak - powiedziała ze smutną miną, która, z wyjątkiem gry na planie, prawie nie opuszczała jej twarzy, odkąd wróciła z pogrzebu. - Była wspaniałą kobietą. Kiedy umrę - spojrzała poza plażę na widoczne w oddali góry - nie chciałabym, żeby ludzie mówili, że byłam wspaniałą aktorką - stwierdziła i znów spojrzała na niego. - Chciałabym, żeby mówili, że byłam jak moi rodzice.

- Rozumiem - odparł i pokiwał głową.

Potem pożegnała się grzecznie i poszła z talerzem do innego stolika, przy którym byli zebrani mniej znani aktorzy. Od tamtej pory odnosiła się do Dayne'a przyjaźnie, lecz nic ponad to. Utrzymywała z nim pewien dystans, chyba że grali razem w tej samej scenie.

Dla Boga nie było nic niemożliwego, skoro Randi doświadczyła przemiany serca. Była to prawda, która wcale nie zaskoczyłaby Elizabeth Baxter. Ona bowiem uczyła swoje dzieci, aby wierzyć w pozornie niemożliwe rzeczy i aby nieustannie pragnąć Bożego odkupienia dla wszystkich ludzi. A teraz dawała taką lekcję właśnie jemu.

Czas lunchu dobiegał końca, więc Dayne zrobił to, co czynił każdego dnia. Wyciągnął telefon i zadzwonił do Katy. Znów usłyszał jedynie sygnał, po którym włączyła się jej poczta głosowa. Westchnął i zaczął mówić: - Katy, to ja. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Proszę, kotku... zadzwoń do mnie. Szaleję z tęsknoty za tobą.

Zanim zamknął klapkę telefonu, odsłuchał wiadomość, tę jedyną, jaką od niej otrzymał, odkąd poznał prawdę od Luke'a. Jej głos był odległy i jakby

napięty, i brzmiał w taki skrzekliwy sposób, w jaki często brzmiały wiadomości odtwarzane przez pocztę głosową.

- Dayne, to ja - zaczęła Katy i zrobiła pauzę. - Przepraszam, że tak trudno się do mnie dodzwonić. Stephen chce puścić nas do domu wcześniej, niż na początku planował, więc dodaje każdego dnia po kilka godzin zdjęć - nastąpiła kolejna pauza. - Wiem, że chcesz ze mną porozmawiać i ja też tego chcę. Wygląda na to... sama nie wiem, jakby wszystko w naszej relacji działało się trochę za szybko. W każdym razie porozmawiamy, jak będziemy z powrotem w Stanach, a może jak oboje wrócimy już do Bloomington. - Dopiero teraz jej głos stał się bardziej czuły. - Bez względu na to, jak sprawy mają się źle, tęsknię za tobą, tęsknię bardziej, niż myślisz - zawahała się. - Porozmawiamy później.

To było wszystko - jedyna wiadomość, jaką otrzymał od Katy od ponad tygodnia. Dayne ponownie pomyślał o tym, co napisała Elizabeth, i poczuł w sobie przyływ determinacji. Oprócz jej głębokiej wiary, o której pisała, najwyraźniej niepokoiła się także o życie rodzinne Dayne'a - zarówno o dom, w którym wyrastał, jak i o ten, który sam stworzył czy stworzy jako dorosła już osoba.

Zanurzył palce u nóg w wilgotnym piasku i zateęsknił za powrotem nad jezioro Monroe. Ileż życzliwości i troski wykazał jego ojciec, przesyłając prezent bożonarodzeniowy wcześniej, na wypadek, gdyby Dayne potrzebował słów matki już teraz? Ten prezent przypominał mu o mocy daru; o tym, że czasami najlepszym sposobem wyrażenia miłości było po prostu konkretne działanie.

Reżyser zawołał, że skończyła się przerwa. - Na miejsca... Wszyscy na miejsca! - krzyczał przez megafon.

Lecz Dayne nie mógł się ruszyć z miejsca, nie był w stanie zareagować na te słowa. Pewien pomysł zaczął formować się i przybierać coraz bardziej konkretne kształty - najpierw w jego umyśle, a potem głęboko w sercu. Zaśmiał się, a jego głos zmieszał się z łoskotem fal uderzających o brzeg. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Prezent bożonarodzeniowy, o którym teraz myślał, okaże się z pewnością najwspanialszy ze wszystkich, jaki mógłby dać Katy. Myśl o zrobieniu jej tego prezentu napełniła go radością, jakiej nie zaznał od tygodni.

- Matthews... rusz się, człowieku! - zawołał reżyser. - Mamy kupę roboty!

Oczywiście. Ponownie się zaśmiał, a uśmiech na jego twarzy był tak całkowity i pełny, że aż wydawał się jakiś obcy czy nieznany. Ruszył

szybkim krokiem, ponieważ naprawdę miał dużo do zrobienia, aby mogli skończyć filmowanie i wrócić do domu. Katy nie wiedziała o tym, że jego reżyser zgodził się przełożyć na styczeń końcowe prace w Los Angeles. Nie spodziewała się jego powrotu w następnym tygodniu, na kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia.

Najprawdopodobniej stanie się zatem odwrotnie, niż ona myślała - to on wróci do domu wcześniej, dzień lub dwa przed nią, i będzie miał wystarczającą ilość czasu, aby przeprowadzić swój plan. Dayne nie posiadał się z radości, ponieważ dar, jaki zamierzał ofiarować Katy, nie był jakimś zwykłym prezentem. Nie było to coś takiego, co można by zapakować, a potem rozwinąć, aby się tym ucieszyć. Był to raczej prezent, który jakby przeniesie ich do samego początku, było to coś, co wiązało się z jego matką, z jej pragnieniem przed śmiercią, z szansą spotkania najstarszego syna.

Teraz, jeśli Dayne będzie potrafił przejąć od matki jej wiarę w cuda, oboje z Katy odnajdą drogę do tego czasu z przeszłości, kiedy było im ze sobą tak dobrze. A wówczas słowa Elizabeth okażą się żywe i pełne mocy, o co się modliła.

A słowa te mówiły o tym, że z Bogiem nie ma nic niemożliwego.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Choć Katy była całkowicie pochłonięta pracą związaną z kończeniem zdjęć do filmu, jej myśli wypełniały dwie sprawy: zbliżanie się do Boga i powrót do domu.

Nie czuła się dobrze i choć film korzystnie wpływał na jej samopoczucie, pomagając przetrwać smutek związany z sytuacją z Dayne'em i tęsknotą, aby z nim osobiście porozmawiać, obawiała się powrotu do Bloomington. Nigdy wcześniej nie przeżywała depresji, a świadomość nieudanego małżeństwa i utraty Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego powodowała, że jej przeszłość rysowała się mgliście i niepewnie.

Katy siedziała w jednym z foteli i uczyła się tekstu do sceny, którą mieli kręcić. Jeszcze tylko pięć dni i będzie koniec - cieszyła się w duchu.

Stephen twierdził, że był bardzo zadowolony z materiału, jaki zrobili, i nawet często pokazywał jej niektóre nakręcone sceny, aby sama mogła się przekonać, jak dobry powstawał film. - Dajesz z siebie wszystko - uśmiechał się do niej w ojcowski, typowy dla niego sposób. - Będiesz zadowolona.

Tak naprawdę jej zadanie było łatwe. Miała tylko wstawać każdego ranka i po prostu być sobą. Jeszcze będąc w szkole, nauczyła się, że aktor najlepiej gra wówczas, kiedy nie musi udawać, ale gdy w pełni utożsamia się z rolą. Katy osobiście przekonała się o prawdziwości tej teorii. Przeczytała już raz swoją kwestię w scenariuszu, a teraz przerabiała ją w swojej głowie ze wzrokiem utkwionym na wierzchołkach rosnących w pobliżu drzew. Jej rola w tej scenie była marginalna, więc zdążyła szybko opanować tekst.

Zamknęła scenariusz, lecz wciąż patrzyła na drzewa. Boże... jak cudownie, że jesteś tutaj, w Londynie - modliła się w duchu - podobnie jak jesteś w Bloomington. Dziękuję Ci za to... Któregoś z ostatnich dni przeczytała fragment Listu do Rzymian mówiący o tym, że nie było wytłumaczenia dla ludzi, którzy nie wierzyli w Boga, ponieważ dowody Jego istnienia znajdują się w stworzonych rzeczach, takich jak drzewa, niebo czy nawet szare, ponure chmury nad ich głowami.

Bóg był z nią, podtrzymywał ją. Bez względu na to, co stało się z jej małżeństwem, nie przestanie kochać Boga; czuła, że pragnęła być blisko Niego.

Kilka metrów dalej aktorzy zgromadzili się przy stole z prowiantem i popijali kawę. Katy zamyśliła się, co ostatnio zdarzało się jej często.

Wczoraj Stephen rozmawiał z nią o jej przyszłości. - Reżyserzy interesują się tobą, Katy - powiedział. - Wielu z nich bardzo by chciało, żebyś u nich zagrała. Mówiąc szczerze, ja sam czułbym się zaszczycony, gdybym mógł znowu z tobą pracować. Jesteś naturalna i naprawdę profesjonalna w tym, co robisz.

Katy uśmiechnęła się, ponieważ była mu wdzięczna za te słowa i za to, że wierzył w jej talent. Jeszcze do niedawna zastanawiała się, czy była w stanie spełnić oczekiwania takiego reżysera jak Stephen i grać na odpowiednim poziomie. Stephen Petrel był jednym z najlepszych reżyserów w branży i to właśnie on oceniał jej pracę tak wysoko, nie pozostawiając co do tego żadnych wątpliwości. - Dziękuję - odparła krótko i położyła rękę na jego ramieniu. - Jeśli miałabym zostać w branży, nie robiłabym filmów z nikim innym jak tylko z tobą.

Zawód, jaki pojawił się w jego oczach, pokazał jej, że wiedział, dokąd prowadziła ta rozmowa. - Ale... - rzekł smutno.

- Ale skończyłam - powiedziała pewnym głosem. - Dokończę tylko pracę przy tym filmie i zrobię, co będziesz ode mnie chciał w związku z premierą. Ale na tym koniec - zaśmiała się smutno. - Nie mogę już dłużej czekać, naprawdę. Po tym czasie, jaki spędziłam w moim życiu na planie, jedyne czego pragnę, to znów żyć tak jak kiedyś.

Teraz pomyślała o tamtych słowach, które wówczas wypowiedziała. Z pewnością mogła wrócić do Bloomington, lecz prawie nie było nadziei na to, aby znów mogła żyć tak jak kiedyś. Gdyby to było możliwe, bez wahania wróciłaby do tych dni, kiedy pracowała w Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym i była włączona w życie Flaniganów. Wróciłaby do tych czasów, kiedy poważnie myślała o relacji z Heathem albo z tym prawnikiem z dziwnym upodobaniem do krytykowania jej kulinarnych upodobań. Pomyślała też o zabawnym męskim Stanleyu, który próbował się z nią umawiać. Przynajmniej życie sprawiało jej wówczas wiele radości.

Przeszłość przewinęła się w jej głowie jak krótki film. Chciała nauczyć się czegoś z tych dni, kiedy spotykała się z Tadem, studentem aktorstwa, którego poznała, będąc jeszcze w szkole średniej. Kiedy praktycznie z dnia na dzień trafił na listę najlepszych aktorów Hollywood, nie była zdziwiona, gdy się dowiedziała, że zaczął brać narkotyki. Lecz gdy zmarł z przedawkowania, przeżyła to bardzo mocno.

Już nigdy więcej - powiedziała wówczas sobie samej. Przymknęła sobie, że nie zwiąże się już nigdy z aktorem i że nie zacznie pracować w tej branży.

Miała uczyć dzieci i mieszkać w małym mieście. Była gotowa poświęcić wszystko, byleby uniknąć związania się z kimś takim jak Tad. A jak potoczyło się jej życie? Jakby na ironię była żoną najbardziej rozchwytywanego aktora Hollywood i niemal nieustannie czuła się osaczona przez paparazzich, polujących na każde jej potknięcie.

Zmrużyła oczy na bolesne wspomnienie kompromisów, na jakie musiała w życiu pójść. Kochała Dayne'a Matthews'a. Pojawił się w jej życiu i zawładnął jej sercem w taki sposób, wobec którego w zasadzie była bezbronna. Nie stało się tak dlatego, że zobaczyła w nim tego mężczyznę, którego widział w nim cały świat, ale właśnie dlatego, że poznała go takim, jakim był naprawdę. I nawet teraz, po tylu artykułach opublikowanych przez tabloidy na temat jego niewierności, kochała go.

Nie miało znaczenia to, czy kiedykolwiek uda mu się oczyścić z opinii, jaka przyłgnęła do niego po wydrukowaniu jego zdjęć z Randi. Katy nigdy nie wątpiła w jedno: poznała Dayne'a takim, jakim naprawdę był człowiekiem, i jedynie ona go rozumiała. Przełknęła ślinę, jakby próbując się oprzeć opanowującemu ją ponownie smutkowi. Problem nie leżał w tym, że Dayne okłamywał ją przez cały czas. Problem polegał na tym, że po długim czasie pozostawania gwiazdorem zbyt często prawdziwy Dayne ustępował miejsca postaci wykreowanej przez media.

Katy miała nadzieję, że uda im się przetrwać rozłąkę i przez cały czas modliła się o to, lecz w ciągu tych kilku ostatnich tygodni otrzymała odpowiedź, jakiej się najbardziej obawiała. Dayne zawsze miał słabość do takich kobiet jak Randi Wells; aktorek, które próbowały go sobą oczarować i starały się przekonać co do tego, że historia miłosna rozgrywająca się na ekranie powinna ciągnąć się dalej, kiedy kamery już przestaną pracować; że powinna zostać przeniesiona do prawdziwego życia.

Odkąd zobaczyła zdjęcie Dayne'a i Randi, uczucia Katy do męża uległy zmianie i nie wiedziała, czy jeszcze staną się one takie, jak były kiedyś.

Wyobraziła sobie Dayne'a, ponownie usłyszała powagę jego głosu, jakim mówił, gdy zostawił na jej poczcie głosowej ostatnią wiadomość. To zaczęło być wręcz dziwne, jak trudno było im się do siebie dodzwonić. Nie unikała go przecież, mimo jego przekonania, że właśnie tak było. Jedynie całkowicie pochłaniała ją pracę nad filmem - jej główny przecież obowiązek - a kiedy miała krótkie chwile przerwy, wolny czas starała się spędzać na modlitwie. Prawdę powiedziawszy, nie potrzebowała długich wytłumaczeń i przeprosin od Dayne'a. Chciała tylko spojrzeć w jego oczy i przebić się przez tę

warstwę wyjaśnień do tego intymnego miejsca w jego sercu, do którego zawsze tylko ona miała dostęp. Dopiero wówczas będzie wiedzieć, co naprawdę się wydarzyło, jak to się stało, że zdjęcie Randi w jego ramionach trafiło na pierwsze strony tabloidów.

Dziesięć metrów od niej Stephen machał już ręką na aktorów, aby zajmowali swoje miejsca.

Katy właśnie podniosła się z fotela, gdy zadzwonił jej telefon komórkowy. Uśmiechnęła się. Wygląda na to, że zawsze tak musiało być. Dayne dzwonił dokładnie wtedy, kiedy nie mogła rozmawiać. Wyciągnęła telefon z torebki, otworzyła klapy aparatu i przycisnęła go do ucha, nawet nie sprawdzając na wyświetlaczu, kto telefonował. - Słucham?

- Katy? - usłyszała głos Ashley. - Och, tak się cieszę, że udało mi się ciebie złapać. Muszę z tobą natychmiast porozmawiać.

- No dobrze - Katy zakryła wolną ręką drugie ucho i starała się skupić na rozmowie. Najwyraźniej jej szwagierka nie była zdenerwowana czy zrozpaczona, a jedynie bardzo podekscytowana. - Co się dzieje?

Ashley złapała szybki oddech. - Oto, co się dzieje. Właśnie przed chwilą rozmawiałam z tatą i powiedział mi, że rozmawiał z Lukiem w sprawie listów mamy i albumów i potem Luke powiedział mu, że jeszcze Dayne'owi nie udało się tobie powiedzieć - zrobiła krótką przerwę, ledwie łapiąc kolejny oddech. - Czy nadążasz na mną?

- No... - Katy starała się zrozumieć to, co mówiła Ashley, lecz zgubiła się prawie na samym początku. - Nie do końca - odparła z wahaniem w głosie.

- Przepraszam, zacznę od nowa.

Uśmiech lekko uniósł kąciki ust Katy. Ashley, taka sama jak zawsze - pomyślała - tak bardzo pragnąca pomagać innym, próbująca pogodzić i pojednać ze sobą wszystkich Baxterów. Zaśmiała się i własny głos poprawił jej nastrój. Niezależnie od tego, jaki był powód telefonu Ashley, szwagierka uważała go za tak ważny, że należało jej wysłuchać do końca. Usiadła więc z powrotem w fotelu i dała Stephenowi znak kiwnięciem głowy, że za chwilę przyjdzie, jak tylko skończy rozmawiać.

- Katy, jesteś tam? - upewniła się Ashley, a w tle słychać było jakiś dziecięcy głosik, pewnie Devina. - Powiedz mi, że jesteś tam jeszcze.

- Tak, Ash, jestem, jestem - ponownie zaśmiała się Katy. - Może powinnaś zacząć od początku...

Ashley zobaczyła Landona tuż po tym, jak się rozłączyła. Odłożyła z powrotem telefon na bazę i podeszła do niego, gdy przechodził przez kuchnię.

- Jak poszło? - spytał.

- Wydaje mi się, że dobrze - odparła, czując jednocześnie zmęczenie, radość i ochotę do płaczu. - Wysłuchała mnie - oznajmiła, objęła rękami Landona za szyję i oparła głowę na jego piersi. - Nie krzyczała z radości ani nic z tych rzeczy, lecz przynajmniej wysłuchała mnie z uwagą.

Landon pogłaskał ją po włosach i po plecach, kołysząc delikatnie i nie domagając się dalszych informacji.

- To jest takie trudne - starała się powstrzymać płacz. Chłopcy byli w pokoju zabaw - Cole czekał już na to, aby Landon zabrał go do szkoły. Był jasny, słoneczny poranek, a na zewnątrz na ziemi leżało piętnaście centymetrów świeżego śniegu. Przytuliła się do Landona trochę mocniej.

- Pozostało jeszcze dwanaście dni do Bożego Narodzenia i w tym roku pragnę tylko jednego.

Landon znał ją na tyle dobrze, żeby teraz milczeć i pozwolić jej dokończyć. Pocałował ją w czubek głowy i czekał.

- Chciałabym wiedzieć, że cud Sarah naprawdę się zdarzył, że te wszystkie przemiany naprawdę nastąpiły - ciągnęła, odchylając się lekko do tyłu. - Pamiętasz? Tam w sali szpitalnej, jak patrzyłam na wszystkich? Luke i Reagan wyglądali na szczęśliwych, Dayne i Katy także, zwłaszcza ta czwórka.

- A teraz... - podchwycił Landon, patrząc na nią pełnym zrozumienia wzrokiem, a jego oczy odbiły w sobie rozczarowanie widoczne w jej spojrzeniu.

- Teraz wygląda na to, że wszyscy już o tym zapomnieli, jak to było stać tam i patrzeć na życie, które właśnie się narodziło, aby za chwilę zgasnąć - a wszystko zaledwie w ciągu kilku godzin.

- Tato, jestem gotowy! - z sąsiedniego pokoju dobiegł ich głos Cole'a. - A Devinowi przydałaby się chyba nowa pielucha.

- Dzięki, stary - odparł Landon na tyle głośno, aby Cole mógł go usłyszeć, lecz cały czas patrzył z uwagą na Ashley.

- Ale ja pamiętam - szepnął i ponownie ją pocałował, tym razem w usta. - I ty też pamiętasz. Ona nauczyła nas, że życie jest czymś kruchym, a każdy dzień jest darem.

- Właśnie - potwierdziła Ashley. Była tak przejęta sytuacją braci. - Co będzie z Lukiem i Dayne'em i ich żonami? Czy oni nie widzą, nie rozumieją, że życie, jakie prowadzą, obniża sens życia i śmierci Sarah? - zrobiła krok do tyłu, puszczając Landon. Musiał już iść, a jej nie zostało już wiele do dodania. - Ja tylko... ja chciałam, żeby jej życie przydało się na coś właśnie tutaj, w naszej rodzinie.

Landon podniósł rękę, dotykając delikatnie jej twarzy, spojrzał głęboko w jej oczy i rzekł: - Takie jest piękno życia... powód, dlaczego tutaj jesteśmy.

Położyła dłoń na jego dłoni i spytała: - Co przez to rozumiesz?

- Pamiętasz ten werset z Biblii, który tyle dla ciebie znaczył po powrocie do domu ze szpitala?

- Tak - Ashley poczuła, jak zaczyna ogarniać ją spokój na wspomnienie Pisma Świętego. - „Zatrzymajcie się i we Mnie uznajcie Boga”.

- Właśnie - przytaknął. Ashley pomyślała, jak ważny był dla niej Landon, jego głos, jego dotyk... Była Bogu nieustannie wdzięczna na to, że mogła kochać Landon Blake'a.

Ashley podobało się, w jakim kierunku zmierzała ich rozmowa, lecz wciąż jeszcze nie była pewna, jak można było odnieść tamten werset do takiej chwili jak obecna. Spojrzała mu w oczy. - I co to teraz oznacza? - spytała.

- Oznacza to... że Bóg najlepiej wie, kiedy ma działać. Może - skoro wciąż martwimy się o twoich braci - On po prostu jeszcze nie skończył ich przemieniać.

Słowa Landon pozostały z nią, dając jej ukojenie i uspokajając ją jeszcze przez długi czas po tym, jak jej mąż wyszedł z domu, zabierając Cole'a do szkoły i udając się potem do jednostki straży pożarnej, w której pracował. Całą sobą pragnęła, aby to on miał rację, aby to, co widziała w tej chwili, nie było pełnym obrazem.

Ashley przewinęła Devina, a potem położyła go na drzemkę. Następnie otworzyła Biblię i pozwoliła, aby słowa Pisma wypełniły jej duszę. Tak, tak właśnie musiało być. Bóg jeszcze nie skończył działać cudów w związku z życiem

Sarah. Oni wciąż mogą się pojednać, czego tak dla nich pragnęła, ponieważ wciąż jeszcze był na to czas.

Dokładnie mówiąc, pozostało na to jeszcze dwanaście dni.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Wilgotność powietrza zmieniła się. Było to pierwsze odczucie Dayne'a po przebudzeniu się w poniedziałkowy poranek, lecz dopiero po upływie może minuty przypomniał sobie, gdzie się znajdował. Kiedy dotarło to do niego, nagle wyskoczył z łóżka i wyrzwał przez drzwi balkonowe. Serce biło mu mocno i musiało upłynąć kolejnych kilka sekund, zanim udało mu się zebrać myśli.

Nie był już w Meksyku; przebywał w domu w Bloomington, w domu nad jeziorem Monroe. Śnieg pokrywał ziemię, a w najbliższych dniach przewidywano kolejne opady. Dayne uchylił drzwi balkonowe i odetchnął głęboko. Strumień zimnego powietrza podziałał na niego wspaniale, tak jakby potrafił przywrócić do życia jego umęczone serce i duszę.

Jak tu jest pięknie - pomyślał. Zamknął drzwi i chwycił dłońmi futrynę drzwi ponad głową. Potem przeciągnął się i odwrócił, sprawdzając godzinę na małym zegarze znajdującym się na jego nocnym stoliku. Była dziewiąta rano. Spał dłużej, niż zamierzał, lecz to go nie zdziwiło. Przyjechał z lotniska po północy, a potem - pochłonięty planami związanymi z Bożym Narodzeniem - nie mógł zasnąć chyba do drugiej.

Nie próbował już telefonować do Katy. Zostawiła mu kolejną wiadomość, tym razem informując go, że w środę wróci do domu, na sześć dni przed Bożym Narodzeniem.

- Ty ciągle jeszcze będziesz w Los Angeles - mówiła odległym, trochę trudnym do zrozumienia głosem - ale jak tylko dojadę do domu, zadzwonię do ciebie. Masz rację. Musimy porozmawiać jak najszybciej.

Dayne uśmiechnął się i poszedł do swojej garderoby. Fakt, że znalazł się w domu wcześniej od niej, będzie dla niej pierwszym zaskoczeniem. Lecz jeśli chciał zdążyć z przygotowaniem kolejnej niespodzianki, musiał się pośpieszyć. Miał dużo do zrobienia i tylko dzień, najwyżej dwa, na realizację wszystkiego. Zerknął w lustro, przechodząc obok niego, i ledwie siebie rozpoznał. Nie chodziło o opaleniznę, która widoczna była na jego ciele po kilkutygodniowym pobycie w Cabo, lecz o coś w jego oczach.

Zdażył zjeść prawie całą miseczkę owsianki i bananów, zanim uświadomił sobie, co to było. Po prostu wyglądał na szczęśliwego. Zdjęcia umęczyły go potwornie. Nienawidził rozłąki z Katy przez tak długi czas, a do tego musiał znosić te kłamstwa rzucane pod jego adresem przez tabloidy. Tak ponury wyraz twarzy przydał się przy kręceniu scen filmu przedstawiających trudne

relacje. Lecz teraz, kiedy znalazł się tutaj, nic nie było w stanie zagasić uśmiechu na jego twarzy.

Kiedy skończył śniadanie, postanowił, że kolejnym punktem programu dnia będzie wizyta w wydziale architektury powiatu Monroe. Kiedy był jeszcze w Meksyku, sprawdził sobie wszystko w Internecie, wchodząc na stronę urzędu, więc teraz dokładnie wiedział, gdzie musiał się zjawić. Budynek administracji powiatu Monroe znajdował się przy rynku, w śródmieściu Bloomington. Musiał pójść do pokoju numer trzysta dziesięć.

Dayne nucił sobie słowa piosenki, którą słyszał wielokrotnie podczas nabożeństw w kościele w Bloomington: - „Wielka jest Twoja wierność, o Boże, mój Ojczy. Ten, kto idzie za Tobą, nie chodzi w ciemności... Wszystkim, czego mi potrzeba, jest Twa mocna dłoń - wielka jest Twoja wierność, o Panie, wobec mnie!”.

Kiedy jechał do śródmieścia, podśpiewywał sobie, powtarzając wielokrotnie te same słowa, uważając na zakrętach, ponieważ dawno już nie prowadził samochodu w takich warunkach. Na ulicach nie było śniegu, lecz w niektórych miejscach jezdnię pokrywał lód. Miał na sobie stare dzinsy, sięgające za kostkę buty i jakby trochę za dużą brązową zimową kurtkę. Nie założył dzisiaj niebieskiej czapeczki bejsbolowej, którą nosił w Meksyku, ale inną, czerwoną. Nikt nie wiedział o tym, że wrócił wcześniej, więc miał nadzieję, iż dzisiejszego ranka nikt go nie rozpozna.

Oczywiście pod warunkiem, że będzie ostrożny.

Dayne zaparkował samochód przy jednym z wyznaczonych do tego celu miejsc przylegających do rynku i ostrożnie wyszedł ze swojej toyoty 4runner. Kiedy szedł w stronę chodnika, przy każdym wydechu wydobywała się z jego ust para. Dopiero wówczas uświadomił sobie, jak wszystko wokół niego pięknie wyglądało. Zatrzymał się, urzeczony.

Światełka bożonarodzeniowe wisały po obu stronach ulicy. Miejsce to wyglądało jak zimowa kraina z bajki. Katy opowiadała Dayne'owi o okresie Bożego Narodzenia w Bloomington; o tym, jak co roku Święty Mikołaj zapalał coś, co mieszkańcy miasta nazywali baldachimem ze światełek. Teraz, po dojściu do chodnika, Dayne sam mógł się przekonać, skąd wzięła się ta nazwa. Od kopuły zwieńczającej budynek administracji powiatu zostały rozciągnięte ponad rynkiem rozchodzące się promieniście sznury migoczących światełek, biegnąc dalej ponad czterema okalającymi plac ulicami i tworząc razem coś w rodzaju ogromnego, świecącego baldachimu.

Rosnące przed budynkiem pozbawione już liści ogromne jawory też pokryte zostały świątełkami.

Stojąc tak i widząc zaledwie kilka osób wchodzących lub wychodzących ze starego budynku, Dayne poczuł się jak na planie filmowym. Wszystko to wydawało mu się zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Odetchnął głęboko, napełniając płuca chłodnym, czystym powietrzem. Jestem w domu, Boże. Tutaj chcę mieszkać- pomodlił się.

Przypomniał sobie, po co właściwie znalazł się w tym miejscu, więc pospieszył do drzwi wejściowych budynku administracji powiatu i wszedł do środka. Był tak uradowany i miał w sobie tyle rozpierającej go energii, że wbiegł po schodach na trzecie piętro, ponownie powtarzając sobie w myśli słowa tej samej piosenki. Kiedy dotarł do pokoju trzysta dziesięć, wszedł niemal bezgłośnie do środka, mając daszek czapeczki bejsbolowej nisko opuszczony na oczy i postawiony kołnierz zimowej kurtki.

Za blatem udekorowanym na każdym z końców gwiazdą betlejemską znajdowała się sympatycznie wyglądająca kobieta o siwych włosach, ubrana w czerwono-zielony bożonarodzeniowy sweter. Przeglądała jakieś dokumenty, lecz kiedy wszedł, spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Dayne zawahał się, ale nie dostrzegł żadnego znaku, że mogłaby go rozpoznać. Widocznie był to taki typowy, ciepły uśmiech, jakim witali się ludzie w Bloomington w Indianie.

Dayne uspokoił się i poprawił sobie czapeczkę bejsbolową. - Dzień dobry - zaczął swobodnie. - Mam kilka pytań dotyczących jednego z budynków w śródmieściu Bloomington.

-Jasne - odparła kobieta, odkładając dokumenty i podchodząc do blatu. Kiedy szła w jego stronę, Dayne zauważył kolorowe ozdoby naklejone na szybie, wewnątrz których znajdowały się napisy: „Wesołych Świąt Bożego Narodzenia" i „Narodził się Chrystus". Dayne nie mógł uwierzyć, że taka atmosfera mogła panować w budynku użyteczności publicznej. W końcu większość mieszkańców Bloomington uznawała Boże Narodzenie za pamiątkę narodzin Chrystusa.

Kobieta podeszła do niego i położyła ręce na ladzie. - Czy ma pan adres? - spytała uprzejmie.

- Tak, mam - potwierdził. Jej sympatyczny wygląd i bardzo miły sposób odnoszenia się do niego nasunęły mu pewne skojarzenie. Pomyślał, że wyglądała jak ktoś, kto równie dobrze mógłby siedzieć w pierwszej ławce w kościele w Bloomington i śpiewać głośniejsz od pozostałych, może lekko

falszując. Wyciągnął z kieszeni dzinsów kawałek papieru i podał go kobiecie.

Spojrzała na umieszczony tam adres i po jej oczach było widać, że od razu rozpoznała poszukiwany obiekt. - Stary teatr - powiedziała. - Pana pytania chyba już nie będą miały znaczenia. Niech tylko coś sprawdzę.

Dayne mijął budynek teatru ostatniej nocy. Jeszcze zanim opuścili Bloomington, Katy poinformowała go o opóźnieniach w realizacji nowego projektu budowlanego na działce zajmowanej przez teatr. Ze względu wiek obiektu developer musiał poświęcić znacznie więcej czasu, niż to było zwykle konieczne na uporanie się ze sprawami formalnymi. W międzyczasie, aby uchronić teatr przed wyburzeniem, starano się go wpisać na listę zabytków. Walka trwała miesiącami, zanim zapadła ostateczna decyzja. Okazało się, że do uznania obiektu za zabytek zabrakło zaledwie kilku lat. W tej sytuacji wniosek developera mógł ponownie trafić do wydziału urbanistyki powiatu Monroe.

Nie słyszał, żeby teatr został zburzony, lecz chciał to wiedzieć na pewno. Jeszcze wczoraj tuż przed północą stał otoczony żółtą taśmą ostrzegawczą. Mimo to poczuł, jak narastała w nim panika. Przełknął ślinę, czekając, aż kobieta skończy przeglądanie szafki.

Ona zaś sprawdziła najpierw napisy na szufladach, a potem odsunęła trzecią od dołu. Po kilku sekundach przeszukiwania dokumentów podniosła jakiś plik kartek. Znow podeszła wolno do blatu, patrząc przez cały czas na trzymane w ręku dokumenty. - Mm-hm - smutno pokręciła głową. - Tak jak myślałam.

- Ale co? - zapytał szybko Dayne, zastanawiając się, czy słychać, jak mocno bije mu serce.

- Dziś jest ten dzień - powiedziała, spojrzawszy na niego. - Widać ludzie nie cenią już sobie zabytków, tylko nowe mieszkania - ciągnęła tajemniczo. Potem wskazała na szafkę z szufladami i dodała: - Przez ostatnie sześć miesięcy wpłynęło już dwa razy więcej wniosków o pozwolenie na budowę niż w ciągu całego ostatniego roku...

- Przepraszam - przerwał nerwowo Dayne, nie mogąc nic zrozumieć. - Dzisiaj jest dzień na co?

- Na rozbiórkę - odparła krótko. Położyła plik kartek na blacie i stuknęła w nie palcami. - Wszystko tu jest napisane. Dziś rano mają zrobić ze starego teatru stertę gruzu.

To nie mogło być prawdą. Dayne nie był w stanie ani złapać oddechu, ani normalnie myśleć. Nie mógł przecież szczęśliwie wrócić przed czasem do Bloomington i popędzić najszybciej jak się dało do budynku administracji powiatu tylko po to, aby się dowiedzieć, że na wszystko jest już za późno.

Wziął do ręki plik kartek i znalazł wśród nich jedną, zapisaną w górnej części jedynie kilkoma linijkami tekstu. Była to decyzja wydana przez wydział architektury powiatu Monroe zezwalająca firmie Hanson Development na rozbiórkę teatru w Bloomington i na budowę w jego miejscu budynku mieszkalnego, co miało się rozpocząć w lutym przyszłego roku. Ostatnie zdanie dokumentu stwierdzało: „Rozbiórka budynku nastąpi w poniedziałek, 17 grudnia, od godziny dziesiątej”.

Dayne spojrział na zegar wiszący na ścianie pokoju. Była dziewiąta czterdzieści siedem. Był już w połowie drogi do drzwi, gdy rzucił przez ramię: - Dziękuję i wesołych świąt.

- Wesołych świąt i szczęśliwego...

Już nie usłyszał, jak skończyła zdanie. Zbiegł po drewnianych schodach i wybiegł z budynku na zewnątrz na zimne powietrze. Następnie ruszył w stronę zaparkowanego samochodu, uważając jedynie, żeby się nie poślizgnąć na lodzie. Nie miał czasu do stracenia. Proszę, Boże.. .jeszcze nie - modlił się, biegnąc co sił w nogach. Wstrzymaj ich jeszcze tylko kilka minut, proszę.

Odczuwał w sobie taką mobilizację, jakiej chyba w życiu nie doświadczył. Wskoczył do swojego samochodu i nacisnął pedał gazu. Jechał najszybciej, jak to było możliwe przy zachowaniu bezpieczeństwa, aby tylko na czas dotrzeć do parku Bryana, gdzie po drugiej stronie ulicy znajdował się teatr.

Przynajmniej stał tam jeszcze ostatniej nocy.

Bailey nie mogła uwierzyć, że ten dzień w końcu nadszedł.

Stała teraz z Timem Reedem, sporą grupą innych młodych ludzi z Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego i wieloma ich rodzicami przy parku Bryana, a po drugiej stronie ulicy znajdował się teatr, ten sam, w którym spędzili niezliczone godziny na próbach i przedstawieniach wystawianych dla mieszkańców Bloomington.

Od długiego stania na mrozie wszyscy trzęśli się z zimna, otulając się kurtkami zimowymi i nie mogąc przeciwdziałać temu, co miało zaraz nastąpić w żaden inny sposób, jak tylko zbierając się razem, aby modlić się o cud.

Bailey trzymała z jednej strony rękę Connora, a z drugiej Tima.

Jedna z dziewczyn, która grała w wystawianych kiedyś przez Chrześcijański Teatr Młodzieżowy „Opowieściach z Narnii” modliła się na głos. Mając łzy na policzkach, mówiła błagalnym głosem: - Nie pozwól im, Panie, zburzyć naszego teatru. Wiemy, że jesteś pośród nas, że nas widzisz.

Kiedy skończyła, jakiś chłopiec z gimnazjum stojący po jej lewej stronie włączył się do modlitwy i czystym, spokojnym głosem prosił Boga o uratowanie teatru przed rozbiórką.

Bailey lekko odchyliła głowę do góry, otworzyła oczy i patrzyła na budynek znajdujący się po drugiej stronie ulicy. Przed teatrem stali pilnujący porządku policjanci.

Rodzice Bailey również przyłączyli się do modlących się osób. Skoro Bóg nie zmienił nastawienia developerów, nie przemienił ich serc, to oznaczało, że musiał mieć jakiś inny plan. Podobnie jak miał inny plan dla Cody'ego. Przynajmniej tak twierdziła jej matka, lecz tutaj, na tym przejmująco mroźnym wietrze i z butami w śniegu, Bailey nie była co do tego już taka przekonana. Cody wciąż pisał do niej mniej więcej raz na tydzień, że strasznie tęsknił za domem. Czyżby takiego planu mógł chcieć dla niego Bóg?

Podobnie było z członkami Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego. Musieli mieć teatr, jeśli zamierzali jeszcze kiedyś zacząć wystawiać przedstawienia, a ich rodzice mówili między sobą, że znajdą na to jakiś sposób, nawet gdyby to miało oznaczać, iż sami przez jakiś czas społecznie poprowadzą teatr.

Po drugiej stronie ulicy dały się słyszeć jakieś krzyki, przez megafon padały polecenia. Zbliżały się ciężarówki.

Bailey spojrzała w górę na olbrzymią, szarą, stalową kulę wiszącą na grubym łańcuchu, znajdującą się tuż obok budynku teatru. Boże... proszę - pomodliła się w duchu. Musi być jakiś sposób.

Spojrzała w lewo i zobaczyła, że jej matka też miała szeroko otwarte z przerażenia oczy. Popatrzyła na Bailey i pokręciła głową. - Przykro mi - powiedziała ledwie słyszalnym szeptem.

W tej chwili kolejny raz mężczyzna wyglądający na kierownika ekipy krzyknął coś i operator siedzący w kabinie sterowniczej urządzenia do wyburzania domów wprawił stalową kulę w ruch, przesuwając ją w powietrzu raz w jedną, raz w drugą stronę. Teraz była to już kwestia minut, może nawet sekund. Kiedy uwolnią kulę, ona uderzy w teatr, rozbijając jego mury i będzie po wszystkim.

Nastąpi koniec pewnej epoki.

Bailey nie mogła na to patrzeć. Zwiesiła głowę i zamknęła oczy. Już prawie słyszała ten straszliwy dźwięk - odgłos łamiącego się drewna, trzaskających ram okiennych, pękającego szkła i przeraźliwy łoskot zawałającego się budynku. Lecz wciąż nie było tego wszystkiego słychać. Zamiast tego powietrze przeszył przenikliwy pisk opon samochodu zatrzymującego się po drugiej stronie jedni, a po chwili słychać było trzaśnięcie drzwiami.

Modlący się chłopiec przerwał w pół zdania, a wszyscy otworzyli oczy i patrzyli na to, co się działo.

Zobaczyli, jak odwrócony do nich plecami mężczyzna, który wcześniej wyskoczył z samochodu terenowego, biegł w stronę ekipy, która właśnie przystąpiła do rozbiórki. - Stać! Zaczekajcie! - wołał.

Robotnicy jednak zachowywali się tak, jakby go nie słyszeli albo nie chcieli zwracać na niego uwagi.

Mężczyzna wciąż jeszcze biegł w stronę teatru, a wśród modlącej się grupy dały się słyszeć odgłosy poruszenia. Rodzice zaczęli obejmować swoje dzieci, kładli ręce na ich ramionach, a niektóre z mam zakryły sobie usta z wrażenia.

Bailey przyglądała się temu wszystkiemu wraz z innymi. Teraz trzęsa się bardziej niż jeszcze przed chwilą, zaszokowana tym, co zobaczyła. Policjanci zatrzymali biegnącego w ich stronę mężczyznę przy krawężniku i widać było, jak rozmawiali z nim, gestykułując.

Bailey wstrzymała oddech. Otaczający ją przyjaciele i ich rodzice zaczęli szeptać coś między sobą. Wszyscy chcieli dowiedzieć się tego samego. Kim był ten mężczyzna i dlaczego sądził, że mógł mieć jakiś wpływ na powstrzymanie rozbiórki budynku? Minęła może minuta i jeden z policjantów odprowadził mężczyznę do kierownika ekipy; tego, który trzymał megafon. Rozpoczęła się kolejna rozmowa. Mężczyzna w dżinsach wyciągnął z kieszeni jakiś mały kawałek papieru. Przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność, przełożony patrzył na papier, który podał mu ten dziwny mężczyzna. Potem pomachał na swoich podwładnych, zwołując ich do siebie jakby na improwizowaną naradę.

- Co się dzieje? - spytał Connor, nachylając się bliżej siostry.

- Nie wiem - powiedziała Bailey i zrobiła krok naprzód, zmniejszając w ten sposób okrąg, jaki tworzyli, tak że mogła się trochę ogrzać przy Connorze i Timie stojących po obu jej stronach.

- Ten facet wygląda jakoś znajomo - zauważył Tim, też się trzęsąc. - Nie wydaje się wam?

- Może to anioł - wtrącił Connor, mrużąc oczy i próbując zrozumieć sytuację.

Zgromadzeni w okręgu dorośli zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami. Niezależnie od tego, co się działo, bez wątpienia prace rozbiórkowe zostały powstrzymane. Minęła kolejna minuta i przełożony wyraźnie pokiwał głową. Nawet stojąc po drugiej stronie ulicy, Bailey widziała, że mężczyzna śmiał się, długo ściskając rękę nagłego przybysza.

Przełożony podniósł megafon do ust i kierując go w stronę człowieka siedzącego w kabinie dźwigu do wyburzania, polecił: - Opuść kulę! Zmiana planów.

Operator zareagował na jego słowa niemal natychmiast, opuszczając ogromną, stalową kulę do pozycji wyjściowej i nie robiąc żadnej szkody budynkowi teatru.

Przypadkowi przechodnie zaczęli dostrzegać, że działo się coś ważnego. Ludzie wychodzili ze swoich sklepów i biur, gromadząc się po drugiej stronie ulicy przebiegającej obok teatru.

Grupa nastolatków z Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego i ich rodzice zaczęli skandować, wiwatować i padać sobie w objęcia. Bóg sprawił cud, o który prosili, i teraz Bailey nie była w stanie powstrzymać łez spływających po jej zmarzniętych policzkach. Cokolwiek się stało, teatr nie będzie wyburzany - przynajmniej nie tego ranka.

Jeden po drugim mężczyźni w kaskach wchodzili do swoich ciężarówek i odjeżdżali. Tajemniczy mężczyzna ciągle jeszcze rozmawiał z kierownikiem ekipy, która przed chwilą odstąpiła od rozbiórki teatru. Po kilku minutach przełożony poszedł w ślady swoich ludzi, opuszczając teren teatru, a potem stalowa kula została załadowana na platformę ciężarówki.

Kiedy ciężarówka odjechała, Bailey spojrzała w stronę, gdzie zaparkowany był samochód terenowy nieznanego mężczyzny. - Hej! - zawołała, czując, że zaczyna jej się kręcić w głowie. - Jego samochód odjechał.

Zaabsorbowana zbierającym się na chodniku coraz większym tłumem i znacznie spowolnionym ruchem samochodów przejeżdżających obok teatru, Bailey nie zauważyła, jak tajemniczy mężczyzna opuścił teren teatru i wrócił do swojego samochodu. Teraz jego terenówka odjechała i nie udało im się nawet z nim porozmawiać i podziękować mu. Spojrzała na twarze

zgrupowanych wokół niej ludzi. - Czy widzieliście, jak odjeżdżał? - spytała. - Czy ktoś go widział?

Tim pokręcił przecząco głową, a niektórzy z rodziców popatrzyli po sobie ze zdziwieniem. Kimkolwiek był, zjawił się w ostatnim momencie i jakby w odpowiedzi na ich usilne modlitwy.

Naprzeciwko Bailey, po drugiej stronie utworzonego okręgu, jej ojciec głośno odchrząknął. - Podziękujmy naszemu Bogu - zaproponował.

Znów wszyscy chwycili się za ręce, tym razem w oczach zebranych pulsowała radość. Niektórzy przechodnie spoglądali w ich stronę. Jakaś starsza kobieta opatulona w wełnianą kurtkę i szalik, grupa młodych biznesmenów i pewna rodzina przechodząca właśnie obok, wszyscy ci ludzie podeszli bliżej okręgu, a kiedy ojciec Bailey skłonił głowę i zaczął się modlić, obcy ludzie przyłączyli się do ich modlitwy.

- Boże - zaczął - nie potrafimy wyrazić naszej wdzięczności za to, co się stało. Nie rozumiemy tego - zrobił przerwę, a Bailey widziała, jak bardzo był wzruszony. - Wiemy tylko, że bez Ciebie teatr już by nie istniał. Dlatego dziękujemy Ci, Panie. W imię Jezusa, amen.

Potem, tak naturalnie, jakby łapali kolejny oddech, dziewczęta i chłopcy skupieni wokół Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego zaczęli śpiewać. Na początku cicho, lekko drżącymi głosami, lecz potem chwalili Boga śpiewem coraz głośniejszym i śmielej i jakby z przekonaniem, że ich głos wznosił się do nieba, rozchodząc się po parku Bryana i przyciągając gromadzących się wokół nich ludzi. „Kocham Cię, Panie, i do Ciebie wnoszę swój głos... O moja duszo, raduj się!... ciesz się, mój Królu, tym, co słyszysz...” - ich śpiew rozbrzmiewał coraz głośniejszym, a mieszkańcy Bloomington, którzy zatrzymali się, żeby ich słuchać, mieli łzy w oczach. Zdarzyło się coś wyjątkowego i choć nikt z nich nie wiedział, co, sądząc, że może rozbiórka została jedynie przesunięta w czasie, byli przekonani co do jednego: Bóg objawił Swą moc.

Członkowie grupy związanej z Chrześcijańskim Teatrem Młodzieżowym ściskali się jeszcze jakiś czas, uśmiechając się do siebie, po czym rozeszli się do swoich samochodów. Bailey i Connor szli obok siebie, a ich rodzice wyprzedzali ich o kilka metrów, rozmawiając z Shafferami. Tim Reed przyjechał swoim samochodem i zaparkował go po drugiej stronie teatru, więc zdążył ich już opuścić.

- Wiesz, co myślę? - rzucił Connor, spoglądając przez ramię na teatr.

- Co? - spytała Bailey. Przestała się trząść i czuła się wyjątkowo lekko i radośnie, jakby naprawdę wszystko było możliwe dla tego, kto wierzy. Położyła rękę na ramieniu Connora. Był już wyższy od niej, choć wiedziała, że zawsze pozostanie jej małym braciszkiem.

Connor odwrócił się w jej stronę. - Myślę, że on był chyba aniołem - stwierdził z poważną miną. - Pojawia się nie wiadomo skąd i powstrzymuje rozbiórkę teatru. A potem... - pstryknął palcami - ot tak po prostu znika.

Bailey spojrzała na niego w taki sposób, jakby mówiła „może”. W końcu aniołowie istnieli, a tego, co się zdarzyło dzisiejszego ranka, nie dawało się wytłumaczyć w żaden sposób, bo było to sprzeczne z ziemską logiką.

Bailey napomknęła o tym w drodze do domu, a ich rodzice przyznali, że Biblia potwierdzała realne istnienie aniołów.

- Jest taki werset w Liście do Hebrajczyków - zaczął ich ojciec, spoglądając we wsteczne lustro - w trzynastym rozdziale. Mówi o tym, że powinniśmy z dużą uwagą podejmować nieznanym, bo wiele osób gościło aniołów, a nawet o tym nie wiedzieli.

- No, no! - zawołał Connor, przesuwając się z wrażenia na brzeg siedzenia i chwytając ojca za ramię. - To niesamowite. Nigdy o tym nie słyszałem.

Bailey czytała o tym kiedyś przed kilkoma laty, lecz nigdy nie zastanawiała się dłużej nad tym fragmentem Pisma. Lecz teraz ta myśl zaczęła coraz bardziej absorbować jej uwagę i przez resztę dnia - kiedy później poszła do szkoły i pisała test z matematyki, a potem gdy wróciła do domu i dowiedziała się, że całe miasto zastanawiało się nad tym, co też mogło spowodować zmianę planów jednego z największych developerów w okolicy - myślała tylko o tym, że może aniołowie nie nosili powłóczystych szat i nie mieli złotych skrzydeł.

Oni nosili raczej niebieskie dżinsy i czapeczki bejsbolowe, a do tego wszystkiego jeździli terenówkami.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Ashley odłożyła słuchawkę i zawołała z radości tak głośno, że aż odpowiedział jej krzyk Devina. - Właśnie tak... podziękujmy Bogu za wysłuchane modlitwy! - powiedziała pełnym entuzjazmu głosem. Potem wstrzymała oddech i nie wiedziała, co powinna zrobić najpierw. Oczywiście należało powiadomić Landon! Musiała zobaczyć go jak najszybciej i powiedzieć mu o rozmowie, zanim cokolwiek miałyby zapomnieć.

- Devin, kochanie, wybierzmy się na przejażdżkę - rzuciła. Wyciągnęła chłopca z wysokiego krzeselka, pocałowała go w czoło i poszła pospiesznie do garderoby po jego kurtkę. Potem, gdy mu ją zakładała i zasuwała jej suwak, przez cały czas uśmiechała się szeroko do niego. - Właśnie dostaliśmy pierwszy wielki prezent bożonarodzeniowy.

Piętnaście minut później, pośród wirujących wokół płatków gęstego śniegu, podbiegła do drzwi jednostki straży pożarnej, otworzyła je i weszła do środka. Od razu ruszyła z Devinem na rękach do drugiego pomieszczenia, znajdującego się w głębi. Tam, na mocno wysłużonej sofie, siedział Landon i czytał gazetę. Kiedy podniósł wzrok i zobaczył Ashley i Devina, skoczył na równe nogi, a na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju.

Ashley uniosła rękę i zaśmiała się. - Nic złego się nie stało. Wszystko w porządku - uspokoiła go najpierw. Postawiła Devina na podłodze, podeszła do Landon i padła mu w objęcia. - Nie uwierzysz w to, ale musiałam powiedzieć ci to osobiście.

Landon wyglądał na oszołomionego i patrzył na Ashley w taki sposób, jakby jego żona stała się nagle jakąś obłąkaną kobietą. - Jechałaś przez zamieć? - spytał z niedowierzaniem.

Ashley wyjrzała przez okno i lekceważąco machnęła ręką.

- Naprawdę mam coś niesamowitego, a zresztą nie było aż tak źle - odparła, ścisnęła jego przedramię, a z drugiej strony chwyciła rękę Devina. Potem wszyscy troje usiedli na brzegu sofy. - To jest niewiarygodne, Landon! Bóg jeszcze nie skończył, pamiętasz, co wtedy powiedziałeś?

Devin przeniósł się z jej kolan na kolana Landon. Włożył paluszki do buzi i spojrzał na Ashley. - Cieszyć się! - zawołał śpiewnym, niezbyt dobrze rozumiałym głosem, choć widać było, że doskonale wyczuwał radość chwili.

- Tak, kochanie... mama bardzo się cieszy - powiedziała do niego Ashley z takim zadowoleniem, jakby jedynie matka potrafiła docenić, jak szybko rośnie jej ukochane dziecko.

- Chyba nikt nie zarzuci ci braku pasji, Ash - stwierdził Landon, który był przyzwyczajony do tego, że zwykle trzeba było trochę uciszać emocje Ashley. Teraz zaś uśmiechnął się do niej i kręcąc głową, rzekł: - Uspokój się trochę i powiedz wreszcie, z kim rozmawiałaś.

- Dziś rano dzwoniła do mnie Reagan i nie uwierzysz...

Landon objął ręką Devina w pasie i z powrotem posadził go na sofie. Wyraz jego oczu był cieplejszy niż letni dzień nad jeziorem, do tego lekko się uśmiechał. - Jestem pewien, że ci nie uwierzę - zażartował.

Ashley zauważyła, jak śmieją mu się oczy, lecz zignorowała jego przekomarzanie się. Zamiast tego przystąpiła do opowiadania wszystkiego od samego początku. - No dobrze - zaczęła. - Wyobraź sobie, że dziś rano robię śniadanie dla

Devina i dzwoni do mnie Reagan. W końcu Lukę dostał swój album z listami mamy. Zabrał go do tego wynajmowanego mieszkania, usiadł przy stole w kuchni i przeczytał całość, od deski do deski.

Potem Reagan opowiedziała jej wszystko ze szczegółami, a Ashley z przejęcia ledwie łapała oddech. Reagan mówiła płaczącym głosem, przez pół godziny dochodząc do sedna sprawy, lecz Ashley słuchała cierpliwie. Sprawa dotyczyła jej brata i zarazem jednego z najlepszych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miała.

Kiedy Lukę skończył czytać album, wsiadł w samochód i przyjechał prosto do domu. Zapukał do drzwi i kiedy Reagan otworzyła je, zobaczyła przed sobą płaczącego Luke'a, wprost zalewającego się łzami.

- Powiedział jej, że jest mu bardzo przykro i że chciałby, aby poszli razem do psychologa - tłumaczyła Ashley z szeroko otwartymi oczyma. - Powiedział, że potrzebuje pomocy i że jej potrzebuje jeszcze bardziej i zgadnij, co ona odparła?

- Co? - spytał, bujając Devina na kolanie.

- Może nie było to zupełnie idealne, ale lepsze niż milczenie - powiedziała Ashley, odgarniając z twarzy ciemne włosy. - Powiedziała mu, że też nie była całkiem niewinna, ale że myślała o małej Sarah i że nie chciałyby marnować dni, miesięcy i lat swojego życia, nienawidząc Luke'a i poddając się zgorzknieniu. - Potem wyrzuciła do góry ręce i dodała: - Czy możesz w

to uwierzyć? Ta dziewczyna jeszcze tydzień temu nie chciała wykonać nawet jednego telefonu, żeby ratować swoje małżeństwo.

Landon uśmiechnął się i cała jego twarz rozjaśniła się radością. - To zdumiewające - przyznał.

Ashley tłumaczyła dalej, jak Lukę nie zawahał się nawet wówczas, gdy Reagan wyznała, że też czuła się winna. Tylko wziął ją w objęcia i trwali tak długo pośród padających na nich płatków śniegu. - Reagan powiedziała mi – ciągnęła - że ma świadomość, iż to nie oznacza, że teraz już będą żyli długo i szczęśliwie tak jak w bajce, ale coś konkretnego już się stało... Luke w ten weekend z powrotem przeprowadza się do domu! Czy to nie wspaniałe?

- Naprawdę wraca? - spytał wyraźnie ucieszony Landon, potem wstał i postawił Devina na podłodze. Chłopczyk zaczął iść przed siebie, szybko przebierając nóżkami, a Landon ruszył za nim. - To połowa tego, o co się modliliśmy.

- To prawda - przyznała Ashley, uświadamiając sobie, że słowa jej męża rzuciły delikatny cień smutku na radość obecnej chwili. Luke i Reagan znów zamieszkają pod jednym dachem, lecz Ashley wciąż nie miała żadnych dobrych wieści od Katy i Dayne'a. Nawet jeśli będą chcieli przylecieć do domu, może im się to nie udać. Podobno z powodu zbliżającej się śnieżycy lotnisko w Indianapolis miało następnego dnia wstrzymać wszystkie loty. Ashley z zatroskaną miną patrzyła na ganiających się ze sobą po pokoju Landona i Devina. Jeśli będą chcieli przylecieć do domu, proszę Cię, Boże, aby im się to udało. Oni muszą być razem - pomodliła się. Potem przyrzekła samej sobie, że będzie się modliła cały dzień i przez następne dni także, za starszego brata i jego żonę, niezależnie od tego, ile miałyoby to trwać. Wierzyła bowiem, że będzie mogła zobaczyć, jak spełnia się cud życia Sarah także w ich związku; wierzyła, że ich małżeństwo zostanie uzdrowione. Co oznaczało, że musieli się za nich modlić przez cały czas, dopóki nie dotrą od Dayne'a i Katy jakieś dobre wieści.

Ponieważ do Bożego Narodzenia pozostał zaledwie tydzień.

Katy przyleciała samolotem, który jako ostatni otrzymał pozwolenie na lądowanie w Indianapolis przed zamknięciem lotniska z powodu nadciągającej śnieżycy. Wylądowali w środę o piątej rano, po czym Katy wzięła taksówkę do Bloomington. Kiedy wchodziła do samochodu, przepełniała ją radość i zaraz też podziękowała Bogu za bezpieczny lot. Czuła, że pragnie jak najszybciej zobaczyć Dayne'a, nawet gdyby musiała iść do niego przez zasy.

Miała mu tyle do powiedzenia, lecz nie telefonowała do niego do Los Angeles. Chciała najpierw dotrzeć do domu, rozpakować się i nieco odpocząć. Odkąd zadzwoniła do niej Ashley, przez cały czas myślała o tym, co powiedziała jej szwagierka, doświadczając przy tym całej burzy emocji i próbując odnaleźć się w tym wszystkim.

Wydostanie się z lotniska okazało się prawdziwą męką i Katy poczuła tylko, jak w pewnej chwili kierowca gwałtownie skręcił, w ostatnim momencie unikając kolizji z samochodem jadącym sąsiednim pasem. Zamknęła oczy, wyczerpana i pełna niepokoju. Boże... zabierz mnie do domu - modliła się w duchu. To wszystko, czego teraz pragnę. Proszę, zabierz mnie do domu.

Jestem z tobą, córko... nie lękaj się.

Te słowa płynęły prosto z Pisma, z tyłu wersetów, poprzez które Bóg przemawiał do Swego ludu, pragnąc uspokoić ludzi i przekonać ich co do jednej, oczywistej prawdy - On był przy nich podczas życiowych burz, tak jak był ze Swoimi uczniami podczas burzy na jeziorze albo w domu Swoich przyjaciół, Marty i Marii, kiedy po śmierci Łazarza wydawało się, że na wszelką nadzieję jest już dawno za późno. Był teraz z Katy, więc nie musiała się niczego lękać, nawet tutaj, podczas jazdy śliskimi drogami Indiany pośród szalejącej śnieżycy.

Katy usiadła wygodniej na siedzeniu i wyciągnęła z torby Biblię. Nie była pewna, co się dzieje, i zastanawiała się, dlaczego Dayne do niej nie dzwonił. Lecz czuła, że Bóg przygotowywał coś wyjątkowego i zdała się na Jego wolę. Jeśli Dayne był niewinny, to wspaniale. Musieli porozmawiać i zaplanować sobie kolejny etap życia.

Lecz niezależnie od wszystkiego nie mogła tak łatwo spisać na straty swojego małżeństwa, szczególnie w świetle tego, czego się dowiedziała.

Otworzyła Biblię na dwudziestym rozdziale Drugiej Księgi Kronik. Wielokrotnie słyszała w swoim życiu, jak ludzie rozważali na głos fragment mówiący o tym, że bitwa należała do Pana. Była to pocieszająca myśl, zachęcająca do tego, aby powierzyć Bogu swoje problemy i Jemu pozwolić je rozwiązać.

Lecz kiedy studiowała, sama przypadkowo natknęła się na historię opisaną w Drugiej Księdze Kronik. Jozafat i jego ludzie znaleźli się w dużym niebezpieczeństwie i musieli stoczyć najstraszniejszą bitwę życia. Wszystko wskazywało na to, że powinni się poddać, oddając się w ręce wrogów i modląc się, aby w ten sposób mogli ponieść jak najmniejsze straty w

ludziach. Lecz Bóg polecił im, żeby postąpili inaczej. Ulubionym fragmentem tej opowieści był dla Katy werset piętnasty: „Nie bójcie się i nie lękajcie tego wielkiego mnóstwa, albowiem nie wy będziecie walczyć, lecz Bóg”.

Czyż właśnie nie tak się czuła? Media i opinia publiczna tworzyły jakby to wielkie mnóstwo występujące przeciwko Katy i Dayne'owi. Lecz oni oboje należeli do Boga, co znaczyło, że nie musieli bać się tego, co miało nastąpić. Bóg będzie bowiem walczył za nich w tej bitwie.

Katy przeczytała kolejne wersety i dotarła do najbardziej fascynującego miejsca. Podczas gdy ludzie śpiewali na chwałę Bogu, On zastawił pułapki na nadciągającą armię wroga i nieprzyjaciele Jego ludu zostali pokonani. Ta ostatnia część zawsze ją uderzała, może z powodu lat spędzonych w Chrześcijańskim Teatrze Młodzieżowym, gdy prowadziła ten teatr muzyczny.

Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, jak przed każdym przedstawieniem aktorzy Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego zbierali się za kulisami, brali się za ręce i śpiewali utwór „Kocham Ciebie, Panie”. Tej grupie młodych ludzi udało się osiągnąć niesamowite rzeczy, takie jak choćby przebaczenie młodemu kierowcy, który po pijanemu pozbawił życia dwoje ich przyjaciół, i tworząc przyjaźnie, które przeczyły wszelkim stereotypom. Słowo dawało bowiem jasno do zrozumienia, że ludzie należący do Boga odniosą zwycięstwo, gdy będą Mu śpiewać pieśni pochwalne.

Katy spojrzała przez okno na zasypany śniegiem pobocze drogi. Zwycięstwo przychodziło wówczas, gdy śpiewało się Bogu pieśni pochwalne, ale dlaczego tak się działo? To pytanie nie dawało jej spokoju. W jaki sposób wychwalanie Boga śpiewem uwalniało daną osobę od walki, którą musiała stoczyć? Kiedy zastanawiała się teraz nad tym, zaczęła cichutko nucić sobie swoje ulubione piosenki „Zdumiewająca łaska”, „Jak wielki jesteś, Boże” i kilka innych, aż w końcu wyraźnie zrozumiała odpowiedź.

Ponieważ kiedy nuciła, kiedy jej umysł zaczęły napełniać słowa tych starych pieśni, przestała się bać, wątpić czy wręcz odczuwać jakikolwiek niepokój. Prawda o Bożej opiece zaczęła napełniać jej serce. Zrozumiała, że śpiewając na chwałę Bożą, zawierzała Panu swoje życie, oddalając od siebie wszelkie troski i niepokoje tego świata. Powierzała się Bogu, bez względu na to, jak ciężka czekała ją bitwa.

Powróciła do czytania Biblii, odnajdując w piątym rozdziale Ewangelii według św. Mateusza fragment poświęcony „Kazaniu na górze”. Kolejne słowa wydawały się trafiać prosto do jej serca. W miarę czytania pozbywała się smutku, który wypełnił ją podczas ostatnich tygodni. Czytała Pismo Święte z taką determinacją czy wręcz zachłannością, z jaką umierająca z pragnienia osoba pije świeżą wodę ze znalezionej właśnie źródła, czując, jak każde słowo, niby kolejny łyk, wnosi coraz więcej życia do jej duszy.

Jazda trwała trzy godziny, ponieważ przez większą część drogi poruszali się w żółwym tempie. Do czasu, kiedy dotarli do granic miasta, zdążyło wyjść słońce i pracownicy drogowi zaczęli oczyszczać główne ulice. Katy wyprostowała się na tylnym siedzeniu i delektowała się znajomym widokiem Bloomington, przykrytego teraz grubą warstwą śniegu. Dziękuję, Boże... dziękuję, że przyprowadziłeś mnie do domu - pomodliła się.

Na ulicach porozwieszane były światełka bożonarodzeniowe, a większość drzwi została już udekorowana wieńcami. Katy nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie znowu zobaczy Jenny, Jima oraz ich dzieci i zacznie zastanawiać się, co powinna robić teraz dalej, kiedy Chrześcijański Teatr Młodzieżowy nie miał już swojej siedziby.

Ta myśl napełniła jej serce smutkiem. Dlaczego oboje z Dayne'em nie podjęli większego wysiłku, aby uchronić ten budynek od rozbiórki? Co z tego, że teatr nie przynosił zysków? Czy to automatycznie oznaczało, iż należało go zburzyć i na jego miejscu postawić budynek mieszkalny? Czy wszystko, co było wartościowe, musiało od razu przynosić pieniądze?

Katy zmrużyła oczy. Miała ochotę poprosić kierowcę, aby pojechał określną drogą przez śródmieście, gdzie kiedyś stał teatr, lecz nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, aby wypowiedzieć tę prośbę. Jenny powiedziała jej, że rozbiórka miała nastąpić w poniedziałek. Katy pomyślała, że pewnie będzie musiał upłynąć przynajmniej miesiąc, zanim zdobędzie się na odwagę, aby przejechać obok pustego placu, jaki musiał pozostać po teatrze.

Droga prowadząca do ich domu nad jeziorem stała się jeszcze bardziej śliska, więc kierowca znów zaczął jechać bardzo wolno. Gdy wreszcie dotarł do odpowiedniego zjazdu, Katy poczuła ulgę, lecz nie dlatego, że się bała. Po tym, jak Bóg tchnął w jej duszę pokój i upewnił ją o Swej obecności, nie odczuwała lęku. Poczowała ulgę, ponieważ w końcu dotarła do miejsca, do którego po prostu należała.

Przybyła do domu nad jeziorem Monroe.

Zapłaciła kierowcy, a potem mężczyzna pomógł jej przenieść bagaże pod drzwi wejściowe. Jeśli rozpoznał w niej żonę Dayne'a Matthews'a, nie powiedział tego i Katy była mu za to wdzięczna. Pragnęła tylko wejść do środka i jak najszybciej zacząć myśleć o tym, co najpierw powinna powiedzieć Dayne'owi, kiedy do niego zatelefonuje, i jak on zareaguje na jej słowa, czy przypadkiem nie przerwie jej w połowie pierwszego zdania.

Dayne był w Los Angeles, gdzie miał przebywać do Wigilii. To oznaczało, że będzie musiała poczekać do dziesiątej, żeby do niego zadzwonić, ponieważ u niego będzie wówczas dopiero siódma rano. Miała nadzieję, że do tego czasu zdąży już wstać.

Wniosła do środka wszystkie trzy torby. Przy tak niskiej temperaturze panującej na zewnątrz spodziewała się, że dom będzie mocno wyziębiony. W końcu upłynęło już wiele tygodni, kiedy oboje stąd wyjechali, a przecież nie prosili nikogo, aby otworzył dom i włączył ogrzewanie przed ich przyjazdem. Nie mieli zwierząt domowych ani roślin, które wymagałyby podlewania.

Ale jak tylko zrobiła pierwszy oddech, poczuła zapach kawy. - Co to ma znaczyć? - mruknęła pod nosem. Położyła bagaże i ruszyła w głąb domu, skąd dochodził przyjemny zapach. Przeszła za róg i weszła do ogromnej kuchni; było pusto, ale ekspres do kawy w połowie był pełny. Wewnątrz panował spokój, lecz świadomość, że ktoś włamał się do ich domu i zaparzył sobie kawę, była wystarczająca, żeby w tej chwili ze strachu odpłynęła jej krew z twarzy.

- Halo? - zawołała, idąc w stronę ekspresu. Dotknęła go i stwierdziła, że był ciepły. Ktoś naprawdę tutaj był i zrobił kawę. Podniosła wzrok, a jej puls mocno przyspieszył. Były tylko dwie możliwości - pomyślała: albo wciąż tu byli, albo niedawno wyszli.

Odsunęła szufladę znajdującą się przy końcu granitowego blatu i wyciągnęła z niej małą pojemnik z gazem pieprzowym. Dał go jej Dayne na wypadek, gdyby przebywała sama nad jeziorem i musiała się jakoś bronić. Odbezpieczyła pojemnik i wyciągnęła przed siebie.

Powoli, uważnie zaczęła skradać się korytarzem. - Halo... jest tu ktoś? - jej głos odbijał się echem od ścian, a potem cichł. W domu panowała śmiertelna cisza. - Halo?

Katy doszła do sypialni i wycelowała gaz w stronę pomieszczenia. Skoro nikt nie wyskoczył ani nie złapał jej, wsunęła głowę do środka i rozejrzała się po sypialni.

Było pusto. Lecz na starannie zasłanym łóżku leżał kawałek białego papieru. Katy zamrugła i opuściła pojemnik z gazem. Co to było? Czyżby ktoś się włamał, zrobił kawę i zostawił jej jakąś wiadomość? Ta myśl wydawała się absurdalna. Przeszła przez pokój zwyczajnym krokiem, nie stając już jak postać z horroru, co robiła do tej pory.

Podniosła karteczkę i miała wrażenie, że pokój się przechylił. Na papierze było napisane; „Katy, spotkajmy się w teatrze. Dayne”.

Co? Zamrugła i jeszcze raz przeczytała notkę. Czyżby on był w domu? Przecież powinien być w Los Angeles, a ona miała tutaj czekać na niego przez tydzień. Spojrzała jeszcze raz na karteczkę i w jej duszy zapanował zamęt. Skoro był w domu, dlaczego do niej nie zadzwonił? I dlaczego chciał się z nią spotkać w teatrze, jeśli budynek został już zburzony? Usiadła na łóżku, aby nie upaść z powodu zawrotów głowy. Czy to działo się naprawdę? Czy on faktycznie wrócił do domu wcześniej od niej?

Stopniowo przyswajała sobie tę prawdę i wszystko zaczynało do siebie pasować. To Dayne zrobił kawę, a nie ktoś obcy. Lecz czy on przypadkiem nie żartował? Czyżby chciał, żeby przyjechała do niego przez tę śnieżycę i spotkała się z nim w miejscu, gdzie kiedyś stał teatr? I po co właściwie tam pojechał?

Potem ogarnęło ją poczucie, że znajdował się tak blisko. Dayne był tutaj, w domu w Bloomington! I za chwilę znów go zobaczy. Tak, musieli sobie wyjaśnić wiele spraw, lecz zrozumiała w tej chwili i poczuła wyraźnie, że nie może już dłużej bez niego wytrzymać i tak bardzo chciała mu powiedzieć o tym, czego się dowiedziała. Wstała, poszła do garderoby i chwyciła parę wysokich butów i najcieplejszą kurtkę, jaką miała. Jej samochód stał w garażu. Jeśli Dayne chciał, żeby do niego przyjechała, to przyjedzie.

Żeby tylko udało się jej teraz tam dotrzeć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Dayne usiadł na środku starej drewnianej sceny, w tym samym miejscu, gdzie znajdowała się Kary, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Poprzedniego dnia skontaktował się ze Stephenem Petrelem i dowiedział się, że Katy miała przylecieć dziś wczesnym rankiem do domu. Sprawdził w Internecie jej lot i upewnił się, że samolot wylądował bezpiecznie w Indianapolis. Nie wiedział, ile zajmie jej podróż z lotniska do Bloomington, lecz pewien był, że po tak długiej rozłące chciał się z nią zobaczyć właśnie w tym miejscu.

Pragnął się z nią spotkać w teatrze w Bloomington, w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło.

Pomysł zakupu teatru zrodził się w jego głowie nagle i stał się tak oczywisty, że dziesięć razy na godzinę pytał sam siebie, dlaczego nie wpadł na to wcześniej. Powodem oczywiście był fakt, że oboje z Katy mieli przyjeżdżać do Bloomington jedynie okazjonalnie. A skoro Katy nie mogła prowadzić Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego, wydawało mu się, że sprzedaż teatru należała do Bożych planów i była jakby zamknięciem drzwi i zakończeniem pewnego etapu w życiu mieszkańców Bloomington.

W budynku panował straszny przeciąg. W ciągu godziny, odkąd dzisiejszego ranka Dayne przybył na miejsce, obszedł dokładnie wszystkie kąty i zauważył mnóstwo rzeczy, które wymagały modernizacji lub po prostu wymiany. Nikt znający się na rzeczy nie powiedziałby mu, że zrobił dobry interes, kupując ten budynek, lecz Dayne nie przejmował się tym. Złożył ręce i oparł przedramiona na kolanach.

Wciąż widział minę developera, kiedy podbiegł do ludzi, którzy zaczęli rozbiórkę, i poprosił ekipę o wstrzymanie prac. Na początku policjanci okazywali podenerwowanie, myśląc, że był jakimś obłąkanym mieszkańcem albo maniakiem zamierzającym po prostu powstrzymać rozbiórkę. Lecz w ciągu zaledwie kilku sekund rozpoznali go i kiedy wyjaśnił policjantom swoje zamiary, jeden z nich zaprowadził go do developera.

- Chodzi o pieniądze, zgadza się? - spytał Dayne, patrząc uważnie na mężczyznę przed sobą.

Hanson Development był uznaną lokalną firmą developerską wspierającą wszelkie inicjatywy dobroczynne w Bloomington i regularnie przekazującą określone środki finansowe na rzecz szkół znajdujących się na terenie miasta. Zdecydowana większość mieszkańców nie miała za złe developerowi, że w miejscu teatru zamierzał postawić budynek mieszkalny. To władze lokalne

stały na wysokości zadania, próbując uratować teatr od rozbiórki. I gdyby nie próby wpisania budynku teatru na listę zabytków, które wstrzymały prace rozbiórkowe, sytuacja nigdy nie wymknęłaby się developerowi z rąk i dopięłby swego, burząc teatr dawno temu.

Mężczyzna uśmiechnął się niepewnie do Dayne'a. - Jestem przedsiębiorcą, panie Matthews - zaczął. - Oczywiście, że chodzi o pieniądze. I proszę spojrzeć, nasze plany są już w trakcie realizacji. Zainwestowaliśmy już kupę pieniędzy, aby ten projekt mógł zostać w końcu zrealizowany.

- Zdaję sobie z tego sprawę, jednak mimo to chcę kupić ten teatr - odparł Dayne, wyciągając z kieszeni książeczkę czekową. - Jestem także gotów pokryć wszystkie wasze dotychczasowe wydatki.

Mężczyzna otworzył lekko usta z wrażenia i musiało upłynąć trochę czasu, zanim zawołał do siebie swoich ludzi. Po chwili zgodził się na to, że jeśli Dayne mówił poważnie, mogli przerwać rozbiórkę i przenieść rozmowy w inne, bardziej sprzyjające miejsce, gdzie byłoby ciepło i sucho, żeby przynajmniej porozmawiać o możliwości sprzedaży starego budynku.

Dayne uśmiechnął się na wspomnienie tamtego wydarzenia. Jeszcze przed lunchem udało im się porozumieć co do warunków transakcji i to nie tylko obejmującej teatr, ale także budynki znajdujące się po jego obu stronach, które także przeznaczone do rozbiórki. Kwota była dość wysoka, lecz nieporównywalna z dochodami, jakie uzyskiwał Dayne choćby z udziału w jednym ze swoich filmów. Ostatecznie także developer wydawał się zadowolony z tego, że pozbył się starego teatru. Robota papierkowa okazała się prawdziwym koszmarem i teraz Hanson Development potrzebował gotówki. Uzyskując pieniądze ze sprzedaży, przedsiębiorcy mogli nabyć kolejną nieruchomość jako teren pod nową zabudowę.

- Zaczęto przypisywać nam złe zamiary - powiedział developer Dayne'owi po zakończeniu spotkania. - Chyba nie mógłbym wymarzyć sobie lepszego zakończenia.

Teraz Dayne zaczął snuć plany wobec świeżo zakupionych budynków. Pomyślał o pieniądzach, które będzie mógł uzyskać od dotychczasowych najemców, tak aby teatr mógł być finansowo samowystarczalny. Przyszło mu również do głowy założenie restauracji, a może też kawiarni po drugiej stronie. Powiększą i wybetonują parking, łącząc w ten sposób wszystkie trzy atrakcje tego miejsca, a kiedy te prace zostaną ukończone, wartość nieruchomości może nawet przewyższy kwotę, którą Dayne za nie zapłacił.

Odkąd developer wręczył mu klucze, Dayne prawie nie przestawał rozmyślać o projekcie. Teraz wyprostował się i wyciągnął je z kieszeni. Te klucze zdawały się być czymś niesamowitym; miał wrażenie, że może nimi otworzyć cały świat. Pociągnął palcami po zimnym metalu i wkładał je z powrotem do kieszeni, kiedy usłyszał odgłos zatrzymującego się na zewnątrz samochodu.

W normalnych warunkach, przy typowym natężeniu ruchu ulicznego w śródmieściu o tej porze dnia, nie usłyszałby niczego wyjątkowego. Lecz dzisiaj prawie wszyscy mieszkańcy Bloomington przebywali w swoich domach, przygotowując się do świąt Bożego Narodzenia i ciesząc się z obfitych opadów śniegu. Wszyscy poza jedną osobą, której przybycia Dayne nie mógł się doczekać. Odetchnął szybko i spojrzał na tylne drzwi teatru, którymi Katy zawsze wchodziła do środka.

Nagle spostrzegł, że nie znajduje się już na drewnianej scenie. Zobaczył siebie siedzącego w jednym z ostatnich rzędów z czapeczką bejsbolową naciągniętą nisko na czoło i ubranego w bluzę sportową z kapturem, skutecznie maskującą jego tożsamość. Ścisnął mocno oparcie fotela i wpatrywał się w dzieci znajdujące się na scenie, Charliego Browna, Lucy i Schroedera, śpiewających na całe gardła: „Jestem szczęśliwy, bo... dostałem trzy rodzaje lodów... mam siostrę... i znów wróciłem do domu”.

Przedstawienie dobiegało końca, rodzice i wszyscy zgromadzeni na widowni wstali i klaskali z całych sił, a potem... potem pojawiła się ona, dziewczyna o blond włosach o tak niewinnym spojrzeniu, jakiego Dayne nigdy wcześniej nie widział. Weszła na scenę i natychmiast została otoczona przez dzieci, które zaczęły wykrzykiwać jej imię.

- Katy!... Katy!... Katy! - krzyczały z całych sił. Nagle usłyszał jakiś hałas dolatujący od drzwi; ktoś musiał je otwierać.

- Katy? - szepnął Dayne, jego gardło było ściśnięte od nadmiaru emocji, a łzy, które napłynęły mu obficie do oczu, rozmazały obraz. Wstał i czekał, uświadamiając sobie, że całe jego życie nie zależy ani od jego kariery, ani od recenzji jego najnowszego filmu, ani tym bardziej od tego, co pisały o nim tabloidy.

Zrozumiał, że wszystko zależy od tego, co wydarzy się w ciągu najbliższych kilku minut.

Kolejne niespodzianki, jedna po drugiej, spadały na Katy jak seria ogromnych fal, z których każda unosiła ją coraz wyżej i wyżej, wprawiając ją w tak radosny nastrój, jakiego dawno już nie doświadczyła. Jechała

powoli zasypanymi śniegiem ulicami miasta w przekonaniu, że Dayne wzywał ją do miejsca, gdzie kiedyś stał teatr, aby ją pocieszyć, by powiedzieć jej, jak jest mu przykro, że budynek został rozebrany.

Gdy wreszcie zaparkowała przed teatrem, musiała przynajmniej pół minuty wpatrywać się w dobrze sobie znany budynek, aby utwierdzić się w przekonaniu, że oczy jej nie mylą. Gmach był nietknięty i jak zawsze przez wszystkie te lata, kiedy w nim pracowała, stał w samym sercu Bloomington. Poczowała, jak łzy napływają jej do oczu, i z wrażenia zakryła sobie dłonią usta, zszokowana tym, co widziała przed sobą.

Co właściwie się wydarzyło i jaką rolę odegrał Dayne w zachowaniu jeszcze na parę dni tego starego budynku? - zastanawiała się. Umówił się z nią właśnie w tym miejscu, może zatem chciał spotkać się z nią tutaj sam na sam jeszcze ten jeden raz, być może ostatni raz chciał usiąść tu razem z nią i wspominać te wszystkie cudowne chwile, które razem przeżyli w teatrze.

Wysiadła z samochodu i zobaczyła tę tak dobrze sobie znaną markizę, na której Chrześcijański Teatr Młodzieżowy dumnie obwieszczał swoje kolejne przedstawienie. Tylko że teraz...

Chyba musiała mieć jakieś omamy; oczy najprawdopodobniej odmówiły jej posłuszeństwa. Podeszła bliżej i przymrużyła powieki. Z powodu świeżego opadu śniegu trudno było przeczytać napis, lecz teraz, gdy podeszła do niego na odległość kilku metrów, nie miała wątpliwości. Zaczęła się trząść, bardziej za sprawą szoku doznanego na widok, jaki miała przed sobą i radości eksplodującej w jej sercu, niż z powodu mroźnego poranka.

Był to napis następującej treści: „Chrześcijański Teatr Młodzieżowy przedstawia »Charliego Browna«". Napis dokładnie tej samej treści znajdował się tutaj przed kilkoma laty, gdy Chrześcijański Teatr Młodzieżowy wystawiał swój pierwszy musical właśnie w tym budynku. Był to zarazem ten sam napis, który mógł przeczytać wyjeżdżający wówczas z miasta Dayne Matthews, kiedy wpadł na dziesięć minut przed zakończeniem ostatniego przedstawienia w sezonie.

Katy oddychała teraz szybciej, oszołomiona tym wszystkim, co zobaczyła. Szła powoli, stając ostrożnie po głębokim śniegu sięgającym powyżej kostek. W końcu dotarła do tylnego wejścia do teatru i nacisnęła kłamekę. Gdy drzwi się otworzyły, weszła do środka i otrząsnęła śnieg z butów.

Dopiero wówczas podniosła wzrok i zobaczyła obserwującego ją Dayne'a siedzącego na składanym krześle na środku sceny. Miał opaloną twarz, a wokół jego oczu widać było ślady stresu z ostatnich kilku miesięcy. Lecz

właśnie za tym jego spojrzeniem z każdym mijającym dniem tęskniła coraz bardziej.

Wstał, nie odrywając od niej oczu. - Katy... - szepnął.

Zrobiła kilka kroków w jego stronę, lecz po chwili zatrzymała się i rozejrzała wokół. Rzędy krzeseł, sektory z balkonami po obu stronach sali, uroczy hol - wszystko wyglądało dokładnie tak samo, jak wówczas, gdy widziała je po raz ostatni. - Ale jak...? - urwała, ponownie odwróciła się w jego stronę i tym razem zobaczyła łzy na jego policzkach.

- Dayne... jak to możliwe, że tu jesteśmy? - pytała z niedowierzaniem w głosie, błyskawicznie pokonując dzielącą ich odległość. Padli sobie w objęcia, w jednej chwili jakby odrzucając w niepamięć te tysiące kilometrów, które przez ostatnie miesiące oddzielały ich od siebie.

Dayne oddychał ciężko, najwyraźniej próbując opanować emocje. - Już nigdy mnie nie opuszczaj - szeptał. Przywarł do niej mocno, trzymając ją blisko siebie i tuląc twarz do jej twarzy. - Nie mogę żyć bez ciebie.

- Tak mi przykro - mówiła Katy przez łzy, spływające coraz obficiej po jej twarzy. - Jak mogłam w ciebie zwątpić?

Dayne powoli odchylił się trochę do tyłu, a na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania. - Co? - zdziwił się.

- Wiem wszystko. Miałam dzisiaj do ciebie zadzwonić, jak dojadę do domu - wyznała, a na jej drgających od płaczu ustach na chwilę zagościł uśmiech. - Ashley mi powiedziała - wyjaśniła i opuściła podbródek, a głęboki żal wypełniający jej serce odmalował się na jej twarzy. - Ale przecież to nie był jej obowiązek - mówiła dalej pełna skruchy, szukając odpowiednich słów. - Powinnam była polecieć do Meksyku, aby upewnić cię, że ci wierzę. Jednak nie zrobiłam tego.

Oczy Dayne'a wciąż były wilgotne. - Miałem nadzieję, że mi uwierzysz - powiedział ciszej, głosem przepelnionym głębokim smutkiem.

Katy przez chwilę miała ochotę tłumaczyć sobie, powiedzieć mu, że skoro to zdjęcie zdołało przekonać cały świat, to dlaczego nie miałyby wyprowadzić w pole także jej. Skąd mogła wiedzieć, że Lukę przyleciał do Dayne'a do Cabo i że na plaży obściskiwał się z Randi? Lecz każde wytłumaczenie wydawało się niewystarczające wobec jednego, prostego dowodu niewinności jej męża - wobec słowa Dayne'a.

Znów przytuliła się do niego i przycisnęła głowę do jego piersi. - Myliłam się - przyznała, a jej głos został stłumiony przez jego pulower. - Byłam na drugim końcu świata i uwierzyłam tabloidom, ale myliłam się - powtórzyła i

spojrzała na niego. - Kiedy Ashley powiedziała mi prawdę o Luke'u, powinnam była wsiąść w samolot i przylecieć do ciebie, ale musieliśmy skończyć film. Pomyślałam, że zadzwonię do ciebie, kiedy będę już w domu, i powiem ci, jak bardzo jest mi przykro.

- Byłaś gotowa odrzucić to wszystko - powiedział i nie było to pytanie, ale cierpienie, jakie pobrzmiwało w jego głosie, chyba na zawsze pozostanie w jej pamięci. - Po tym wszystkim, co przeszliśmy? Czy można było tak łatwo ode mnie odejść?

- Nie - odparła Katy, pokręciła przecząco głową i jeszcze więcej łez napłynęło jej do oczu. Objęła go w pasie, chwytając jego sweter i zaciskając mocno pięści. - Nawet gdyby to była prawda, nie mogłabym cię opuścić. Bóg jasno mi to pokazał... w ciągu ostatnich kilku dni, jeszcze zanim rozmawiałam z Ashley.

Przez chwilę tulili się do siebie. - Teraz to już nie ma znaczenia. Jesteśmy tutaj. Kocham cię, Katy - wyszeptał Dayne, powoli zbliżając usta do jej ust i całując ją w taki sposób, w jaki pocałował ją po raz pierwszy na trybunach stadionu Uniwersytetu Indiany. To nie była chwila namiętności, ale odnalezienie drogi powrotnej do przeszłości.

Katy spojrzała na niego, a serce mocno waliło jej w piersi. - Powiedz mi, co to wszystko znaczy? - poprosiła, ponownie rozglądając się wokół. - Dlaczego tutaj jesteśmy?

Uśmiech błysnął w oczach Dayne'a i po chwili rozjaśnił całą jego twarz. Dał krok do tyłu, a kiedy to zrobił, jego uśmiech przygasł. - Musiałem być tutaj - stwierdził i spojrzał na nią w taki sposób, który przeniknął w głąb jej serca. Odwrócił się w stronę tylnego rzędu krzeseł i wskazał na miejsce w środku. - Tam właśnie siedziałem, pamiętasz? Kiedy po raz pierwszy cię zobaczyłem.

Kiedy spojrzała w tamtą stronę, jej podbródek drżał. Kiwnęła przytakująco głową, ponieważ nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- A tutaj - wskazał na drewnianą scenę - tutaj znalazłem cię, jak leżałaś pod plastikową choinką.

Katy pociągnęła nosem. - Tego dnia, kiedy poprosiłeś mnie o rękę - powiedziała.

Znów podszedł do niej bliżej i ujął palcami jej twarz, robiąc to w tak delikatny sposób, że Katy odniosła wrażenie, jakby nigdy wcześniej nie zaznała takiego dotyku. - Tego dnia, kiedy powiedziałaś „tak” - dodał i ponownie ją pocałował, tym razem dłużej i bardziej namiętnie.

Kiedy ponownie na niego spojrzała, uśmiechnęła się nieznacznie. - Dlatego tutaj jesteśmy? - spytała i zrobiła lekko zdziwioną minę. - Budynek miał być przecież zburzony, powiedziała mi o tym Jenny.

- To długa historia. Opowiem ci o tym później - stwierdził, cofnął się trochę, a kiedy to zrobił, sięgnął do prawej kieszeni spodni. Zanim jeszcze wysunął dłoń, Katy usłyszała dźwięk uderzających o siebie kluczy, które Dayne wyciągnął po chwili z kieszeni i podniósł do góry, aby mogła je zobaczyć. - Są twoje, Katy. Teatr jest twój - oznajmił, a jego oczy błyszczały niecierpliwym spojrzeniem. Wręczył jej klucze, mówiąc: - Wesołych świąt, Katy.

Pokręciła głową z niedowierzaniem, nie mogąc uwierzyć nawet w to, że stała w tym miejscu, kiedy jeszcze przed tygodniem znajdowała się na drugim końcu świata, gotowa dać sobie z nim spokój i machnąć na wszystko ręką. Z jej ust dobył się cichy krzyk, po czym ponownie spojrzała mu w oczy, starając się zrozumieć jego słowa. - Dayne...? - zaczęła szeptem, całkowicie zszokowana tym, co powiedział. Wyciągnęła rękę, a on wsunął klucze do jej dłoni. - Czy... czy mówisz poważnie?

- Tak - potwierdził. - Możesz zacząć prowadzić Chrześcijański Teatr Młodzieżowy w każdej chwili.

- Choćby jutro? - Katy zaśmiała się i zakryła twarz dłońmi. Nawet nie była w stanie sobie tego wyobrazić ani w to uwierzyć. Czyżby teatr rzeczywiście miał należeć do niej? Czyżby już na wiosnę mieli wystawić swoje kolejne przedstawienie? Opuściła ręce i objęła go w pasie. - Ja chyba śnię, bo czy to może dziać się naprawdę?

- To wszystko prawda, kochanie - przyznał Dayne, a uśmiech ponownie błysnął w jego oczach. - Powinienem był to zrobić już dawno temu. Może powinniśmy byli ostatnie kilka miesięcy spędzić razem, zamiast... - musnął palcami jej policzki, a potem delikatnie dotknął jej brwi. - Chodź i usiądź ze mną. To jeszcze nie wszystko.

Dobrze, że Dayne chciał usiąść, ponieważ kolana Katy zaczęły odmawiać jej posłuszeństwa, nie mogąc unieść tych wszystkich zmian dokonujących się tak nagle w jej życiu, które z każdym uderzeniem jej serca stawało się coraz bardziej cudowne. Po chwili usiedli.

Dayne odwrócił się do niej. - Kupiłem też budynki po obu stronach teatru. Również są twoje - rzekł.

Katy nie mogła pozbierać myśli, próbując sobie przypomnieć wygląd budynków sąsiadujących z teatrem. - Nie mogę w to uwierzyć - wyznała.

Skoro nabył także te sąsiednie nieruchomości, oznaczało to, że nie ofiarowywał jej teatru jako robionego pod wpływem chwilowego nastroju prezentu bożonarodzeniowego, ale że wszystko miał przemyślane. Lecz co to miało oznaczać dla ich przyszłości? On przecież wciąż był związany umową na zrobienie kolejnych filmów i...

- Kocham cię, Katy. Mam nadzieję, że nigdy w to nie wątpiłaś.

Jej wcześniejsze myśli gdzieś uleciały i ogarnęło ją poczucie winy. Jak ona mogła wątpić w jego miłość? W jaki sposób kłamstwo wsączyło się do jej duszy, że uwierzyła tej fotografii - nawet jeśli to zdjęcie wyglądało tak, jakby na nim naprawdę był Dayne? Na kilka sekund zamknęła oczy. Boże, co ja takiego zrobiłam, że zasługuję na miłość takiego mężczyzny jak Dayne Matthews? - spytała w głębi swego serca.

Pamiętaj, córko... jestem bowiem świadomy zamiarów, jakie zamierzam co do ciebie... by zapewnić ci przyszłość...

Oczy Katy znów zalały się łzami. Dziękuję... dziękuję, Panie - mówiła w duszy.

Katy objęła się ramionami. - Ja też cię kocham - wyznała. - Przez resztę życia będę starała się to okazywać.

Dopiero wówczas zaczął jej wszystko po kolei wyjaśniać. Opowiedział jej o swoim pobycie w Meksyku; o tym, jakie wrażenie zrobił na nim album, który przygotował dla niego ojciec. - Zrozumiałem, że czasami prezent może wyrazić znacznie więcej niż jakiegokolwiek słowa - powiedział, a kiedy uśmiechnął się do niej, wyglądał jak zakochany młokos, przed którym otwiera się nieznany mu dotąd świat. - Właściwy prezent w każdym razie - dodał.

Potem podzielił się z nią pomysłem założenia restauracji po jednej stronie teatru i kawiarni po drugiej. Podkreślił, że muszą przede wszystkim zmodernizować wiele rzeczy w samym teatrze, a także na zewnątrz budynku, dopiero wówczas jego plany będą mogły zostać zrealizowane.

- Rozmawiałem ze swoim agentem - ciągnął dalej z miną bardziej poważną niż dotychczas, odkąd weszła do teatru. - Powiedziałem mu, że potrzebuję kilku lat wolnego. Potem będę robił najwyżej jeden film rocznie, dopóki nie powstaną te dwa filmy, które pozostały mi w kontrakcie - oznajmił, a po chwili błysnął mu w oczach gniew. - Powiedziałem, że może zapomnieć o obsadzaniu mnie w filmach miłosnych. Skończyłem z tym - stwierdził stanowczo.

Katy z trudem łapała oddech. Dayne nie pomiął najmniejszego szczegółu. - Ja też. Właśnie nakręciłam swój ostatni film - rzuciła. Wciąż starała się to wszystko ogarnąć, uchwycić rzeczywistość, którą miał przynieść dzień jutrzejszy. Jeszcze jedna sprawa nie dawała jej spokoju. - Jak to się stało... dlaczego nie jesteś w Los Angeles? - spytała.

- Skończymy po świętach - wyjaśnił krótko, biorąc jej ręce w swoje dłonie. - Chcę, żebyś poleciała tam ze mną. Jeśli chcesz, cały wolny czas poza planem możemy siedzieć w domu, ale nie mogę tam być sam. Jesteśmy drużyną, jasne - stwierdził i zrobił zabawną minę. - Potem wrócimy tutaj, a ja postaram się o pracę, o której zawsze marzyłem.

Zrozumiała jego żart i jej śmiech wypełnił salę teatru. - Dekoracje? - upewniła się, gdy udało jej się trochę opanować.

- Dokładnie - przyznał i posłał jej w żartach mocno zaniepokojone spojrzenie. - Oczywiście nie będzie łatwo dostać tę posadę, czeka mnie trudne zadanie.

- Tak, z pewnością - podchwyciła Katy, nachyliła się i pocałowała go - ale przecież spiesz z szefem.

Trochę spoważniał i dodał spokojniejszym tonem:

- W każdym razie będę, od dzisiejszej nocy.

Katy delectowała się dotykiem jego dłoni i zapragnęła zapamiętać tę chwilę, zapragnęła zapamiętać to drewniane krzesło, lekko stęchły zapach starego teatru i spojrzenie jego oczu. Chciała pamiętać o tym nie tylko przez następny tydzień czy też przez kolejne miesiące lub lata, ale także wówczas, gdy się już zestarzeje, a jej włosy staną się siwe. Dayne dał jej najwspanialszy prezent - prezent nawet wspanialszy niż teatr i szansa na normalne życie. On ofiarował jej swoje przebaczenie.

A dzięki temu przyszłość nie mogła być niczym innym jak tylko życiem pełnym jasnego blasku i ostatecznie najwspanialszym zachodem słońca.

Dayne bał się cokolwiek zrobić, nie chciał bowiem w żaden sposób przerwać tych cudownych chwil. Znów był z Katy. Jego plan powiódł się, a teraz cieszył się razem z nią, że koszmarną przeszłość mieli już za sobą i że czekała ich teraz cudowna przyszłość. Oboje z Katy znów byli w Bloomington. Planowali ponowne uruchomienie Chrześcijańskiego Teatru Młodzieżowego i zastanawiali się nad tym, jakie powinno być następne przedstawienie.

Czekało ich jeszcze coś wspaniałego - ogłoszenie mieszkańcom miasta, że Dayne kupił teatr i że razem z Katy zamierzają reaktywować Chrześcijański

Teatr Młodzieżowy. Dayne rozmawiał już z dziennikarzem lokalnej gazety „Bloomington Press”. Reporter musiał jeszcze uzyskać pewne informacje od developera i od administracji powiatu. Artykuł miał się ukazać w przyszłym tygodniu.

Dayne rozejrzał się po sali teatru i pełen entuzjazmu zaczął wymieniać, co można było zrobić natychmiast. Mieli wynająć ekipę do wymiany dachu i odnowić elewację budynku. Stara markiza zdawała egzamin, lecz należało wymienić materiał i zainstalować nowe oświetlenie. - Zajmiemy się też oknami... - ciągnął Dayne.

Nagle Katy wyprostowała się i podniosła do góry jedną rękę. - Dayne, zaczekaj... - usiłowała wejść mu w słowo.

- Odnowimy każde z okien, przywracając je do pierwotnego stanu i...

- Zaczekaj... - próbowała mu przerwać, ale zdawał się jej nie słyszeć. - Chciałabym ci coś...

- Nowy piec, może nawet nowy cały system grzewczy, to będzie jeszcze zależało od... - przerwał nagle i uśmiechnął się. - Przepraszam. Chyba się trochę zagalopowałem - stwierdził, spoglądając na nią z zażenowaniem. - Mówiłaś coś?

Wyraz jej twarzy złagodniał, a jej oczy nabrały nowego blasku, stając się jakby rozmarzone. - Mówiłam... że zapomniałam o czymś - powiedziała i sięgnęła do torebki leżącej przez cały czas na podłodze obok niej, wyciągając z niej coś małego i płaskiego zawiniętego w torebkę plastikową. - Kupiłam to na lotnisku - oznajmiła.

Dayne patrzył na nią z uwagą i zaczął mieć przeczucie, że za chwilę usłyszy coś ważnego. W przeciwnym razie po co tak by się spieszyła, aby dać mu ten prezent kupiony na lotnisku? Wziął torebkę, sięgnął do środka i wyjął z niej zawartość. Był to mały, biały podkoszulek, na którym z przodu znajdował się kolorowy napis: „Jestem dzieckiem Bloomington”. Dayne uśmiechnął się i spojrzał na Katy. Prezent wydał mu się zachwycający i tak odpowiedni, zwłaszcza w sytuacji gdy oboje doszli do identycznego wniosku w tym samym czasie, że to właśnie w Bloomington, a nie w Hollywood chcieli zamieszkać.

- Podoba mi się - stwierdził, podnosząc podkoszulek w stronę Katy. - Powinniśmy oprawić go i powiesić sobie w kuchni.

Katy zaśmiała się. - Nie możemy go oprawić. Jaki byłby z niego pożytek, gdyby miał wisieć za szkłem? - zaprotestowała.

Jaki byłby z niego pożytek? Spojrzał ponownie na podkoszulek, a potem podobnie jak nasilający się stopniowo blask wschodu słońca o wczesnym poranku zaczęła świtać mu w głowie nieprawdopodobna myśl. Powoli przeniósł wzrok na Katy. - Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć, że będziemy mogli go wykorzystać? - spytał niepewnie.

Jej policzki były teraz mocniej zarumienione niż przed chwilą. Przysunęła się bliżej do niego i wszystko wymalowało się w jej oczach. - Nasze dziecko będzie mogło go nosić - powiedziała łamiącym się ze wzruszenia głosem i zamrugła, aby powstrzymać łzy. - To dla niego jest ten podkoszulek.

Dayne nabrał gwałtownie powietrza i skoczył na równe nogi. Spojrzał na nią, nie wiedząc, co robić. - Nasze dziecko? - pytał z niedowierzaniem w głosie. - Jesteś... jesteś...

- Jestem - przyznała, wstając i dotykając ręką brzucha.

- Dowiedziałam się wczoraj, kiedy skończyły się zdjęcia. Kupiłam test w aptece.

Nabrał powietrza i zmusił się, by je wypuścić. Nie był to najlepszy moment na hiperwentylację. - Katy, ty naprawdę jesteś w ciąży? - nie mógł uwierzyć.

- Od dziesięciu tygodni, jeśli dobrze policzyłam - zaśmiała się.

Dayne odchylił głowę do tyłu. - Jestem tata! Będę tata!

- zawołał. Przypomniawszy sobie, że powinien mieć już jedno dziecko. Jego była dziewczyna dokonała aborcji, nawet nie mówiąc mu o tym wcześniej. Lecz ta smutna historia należała już do przeszłości. Podniósł do góry obie ręce i biegał po sali z zaciśniętymi w górze pięściami, tam i z powrotem.

- Nie mogę w to uwierzyć - powtarzał. - To najlepsza wiadomość, jaką kiedykolwiek usłyszałem.

- Wiem - wtrąciła Katy. - Nie mogłam się doczekać, kiedy w końcu ci to powiem - zamaszystym ruchem ręki wskazała na ściany wokół - ale wcześniej zdążyłeś podarować mi teatr. - Zarzuciła mu ręce na szyję i dodała: - Dopiero teraz przypomniałam sobie o tym podkoszulku.

- Przez cały czas... - zaczął i zamyślił się. To wszystko było tak wspaniałe, że nie potrafił tego ogarnąć swoim umysłem. Jeszcze tak niedawno byli w odległych krajach, oddaleni od siebie o tysiące kilometrów, żyjąc w przekonaniu, że ich małżeństwo rozpada się, gdy tymczasem... - Przez cały ten czas Bóg tworzył nasze pierwotne dziecko.

Katy objęła go mocniej za szyję i przytuliła policzek do jego twarzy. - Czy mógłbyś w to wszystko uwierzyć? - spytała.

- Teraz pomału zaczynam w to wierzyć - odparł. Wciąż oddychał ciężko, próbując zdać sobie sprawę z faktu, że za niespełna siedem miesięcy zostanie ojcem. Było to właśnie to, o czym zawsze marzył, a o co modlili się razem z Bobem tamtego pamiętnego wieczoru, kiedy siedzieli przy stole w kuchni w mieszkaniu Boba w mieście Meksyk.

Katy delikatnie kołysała się w jego ramionach, a on czuł, jak bardzo oboje cieszą się tą chwilą. - Czy widzisz, jak ona idzie pomiędzy nami ścieżką wokół jeziora Monroe? - spytała nagle Katy.

Odchylił się na tyle, aby zobaczyć uśmiech na jej twarzy.

- Ona? - zdziwił się.

- Albo on - sprostowała Katy, wzruszając ramionami.

- Wszystko jedno.

Było to dla niej oczywiste. Jedyne, co się liczyło, to fakt, że Bóg obdarzył ich dzieckiem. Dayne delikatnie przycisnął głowę Katy do swojej piersi.

To było paradoksalne. Ludzie mówili, że miał wszystko: wspaniały wygląd i wysportowaną sylwetkę, sławę i tyle pieniędzy, że nie wiedział, co z nimi robić. Niektórzy dodawali do tego jeszcze drogie samochody, kobiety i zaproszenia na najlepsze przyjęcia. Lecz prawda była taka, że to wszystko okazało się puste i bez znaczenia.

Teraz czekała go wspólna przyszłość z Katy, i to tutaj, w Bloomington, gdzie za jakiś czas ludzie zapomną o jego poprzednim etapie życia. Będzie znany z tego, że angażuje się w rozwój miejscowego teatru, pomagając Katy w pracy z dziećmi; z tego, że będzie starał się być jak najlepszym mężem i że co niedziela będzie chodził z rodziną do kościoła. I pewnego dnia, wcale nie tak bardzo odległego, ludzie zobaczą go w roli, jakiej zawsze dla siebie pragnął - roli taty dla swojego dziecka.

Świat spisze go na straty, będzie narzekał, że zrezygnował ze wspaniałej kariery i nieprawdopodobnej sławy. W tej chwili etykietka, jaką ludzie chcieli mu przykleić, wciąż jeszcze do niego pasowała. Dayne naprawdę mógł mieć to wszystko, lecz pewnego dnia miał zamiar z tego zrezygnować.

I ten dzień właśnie nadszedł.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Ashley usadowiła się ponownie na sofie, spędzając Wigilię Bożego Narodzenia w domu ojca. Byli tutaj wszyscy, łącznie z Erin, Samem i ich córkami. Praktycznie w ostatniej chwili Sam otrzymał polecenie od swojego przełożonego, aby polecieć do Indiany i poszukać jakiegoś lokum, w którym będą mogli zamieszkać, gdy przeprowadzą się tutaj w czerwcu, a także aby spotkać się z kierownictwem biura w Indianapolis.

Nie mogło się to stać w bardziej odpowiednim czasie. Śnieżyca, która przeszła tędy w ubiegłym tygodniu, przykryła grubym, białym kocem przestrzenie Indiany i nawet teraz delikatny opad tworzył niezwykły nastrój tego wyjątkowego wieczoru. Podczas kolacji jej ojciec ogłosił, że oboje z Elaine wyznaczyli już datę ślubu, który odbędzie się w ostatnią sobotę czerwca, dokładnie za sześć miesięcy.

Ashley spojrzała na ojca i Elaine siedzących obok siebie przy stole w jadalni i rozmawiających żywo z Erin i Samem o ich przeprowadzce. Na blacie w kuchni znajdowała się ogromna torba z papierem ozdobnym, który pozostał po rozpakowaniu prezentów.

Na tym samym blacie obok torby leżała dzisiejsza gazeta. Na pierwszej stronie opublikowano artykuł donoszący o tym, że Chrześcijański Teatr Młodzieżowy wznawiał swoją działalność. Katy informowała w nim, iż prawie wszyscy młodzi ludzie zdążyli się z nią już skontaktować, poruszeni najnowszymi doniesieniami. Przesłuchania miały się odbyć w drugiej połowie stycznia, po tym jak Katy i Dayne wrócą z Los Angeles.

Wszystko zaczynało się doskonale układać, o co wytrwale modlili się Ashley i Landon. Teraz nie pozostało jej nic innego, jak tylko przypatrywać się opadającym łagodnie za oknem płatkom śniegu i cieszyć się, że cała rodzina spotkała się razem na święta. Wszyscy z wyjątkiem Luke'a i Reagan.

Cały dom prawie trząśł się od śmiechu w sposób typowy dla domu Baxterów. Ryan, Landon, Peter i Dayne siedzieli w pokoju telewizyjnym i oglądali najważniejsze mecze ligi NFL z ostatniego tygodnia. Co chwilę któryś z nich krzyczał coś w rodzaju: „Czy możesz w to uwierzyć?”. Mężczyźni zaprzyjaźnili się ze sobą i Ashley była pewna, że Sam nie mógł się doczekać, kiedy ponownie do nich dołączy.

Wcześniej wszyscy razem byli na nabożeństwie wigilijnym, nawet Lukę i Reagan. Lecz potem Reagan powiedziała Ashley, że muszą jeszcze coś załatwić, zanim do nich dołączą. Ashley przekazała jej słowa ojcu oraz

pozostałym członkom rodziny i oczekiwała pojawienia się brata z żoną. Uśmiechała się na wspomnienie dzisiejszej obecności całej rodziny w kościele. Przypomniała też sobie, jak przed kilkoma tygodniami cała rodzina pojechała na Uniwersytet Indiany na coroczny koncert, na którym zawsze pojawiała się połowa mieszkańców Bloomington.

Kiedy na koniec wszyscy razem zaśpiewali kolędę „Cicha noc”, Ashley spojrzała po twarzach swoich bliskich i zrodziła się w jej sercu nadzieja - co zdarzało się jej ostatnio dość często - że jej mama miała w niebie okno, przez które mogła to wszystko widzieć. Ponieważ sposób, w jaki spędzali tegoroczne święta Bożego Narodzenia, z pewnością uczyniłby jej mamę bardzo szczęśliwą.

Ashley rozejrzała się po pokoju, przenosząc wzrok z gorących płomieni tańczących w kominku na podłogę w miejsce, gdzie jej siostry grały w karty ze starszymi dziećmi.

Ashley czuła się zbyt zmęczona, aby włączyć się do gry. Siedząc pod starą narzutą zrobioną przez matkę przed dwudziestoma laty, cieszyła się błogim spokojem.

- Coley, twoja sytuacja chyba nie wygląda najlepiej - rzuciła Maddie, spoglądając z udawanym niepokojem na kuzyna.

- Ale ciągle jeszcze mogę wygrać - odparł Cole, puszczając oko do Kari. - Prawda, ciociu?

- Pewnie, że możesz - przytaknęła Kari, uśmiechając się do niego i spoglądając porozumiewawczo na Brooke.

- Choć obawiam się, że masz już niewielkie szanse.

Po kilku minutach dalszej gry okazało się, że wypowiedziane głośno obawy Maddie okazały się uzasadnione.

- Przegrałeś, Coley - powiedziała najdelikatniej, jak potrafiła, gdy jej kuzyn stracił ostatnią kartę. Przerzuciła swoje długie blond włosy przez ramię i dodała słodkim głosem:

- Naprawdę mi przykro.

Siostry Ashley starały się opanować śmiech. Nikt z kuzynów Cole'a nie kochał go tak bardzo jak Maddie, lecz z drugiej strony nikt też nie potrafił drażnić się z nim tak jak ona.

Cole przyglądał się Maddie przez chwilę i można było odnieść wrażenie, że chyba zrozumiał - być może po raz pierwszy w życiu - iż będzie mógł odejść jako wygrany, jeśli tylko uda mu się zbagatelizować wagę samego zwycięstwa. Nagle uśmiech usunął z jego twarzy marsową minę.

- W porządku, Maddie. Nic się nie stało - stwierdził. - Teraz będę mógł wreszcie usiąść spokojnie obok mamy.

Maddie spojrzała na niego zdezorientowana, jakby czuła, że powinna posłać mu jakąś ripostę. Jednak tylko zmarszczyła brwi i z powrotem zajęła się grą.

Cole zachichotał. Potem wstał, przeszedł przez pokój i ułożył się na sofie obok Ashley. - Mogę dostać kawałek koca? - spytał.

- Jasne - zgodziła się Ashley z radością. Czuła ciepło na sercu, kiedy obserwowała, jak jej mały synek szybko rósł, a teraz mogła zobaczyć, jak jego nogi zwisają z sofy i dotykają już podłogi. Rozłożyła koc w taki sposób, aby okrywał ich oboje. - Co słysząc?

- Świetnie - odparł Cole, opierając głowę na jej ramieniu.

- To dobrze - pogładziła go ręką po włosach.

- O czym myślisz? - spytał, biorąc ją za rękę.

- Nie wiem, trochę o Bożym Narodzeniu i o rodzinie. O tym, jak dobrze jest być nam razem.

- Aha - odparł zamyślony. - Zastanawiałem się, czy może nie myślałaś o Sarah.

Smutek po stracie córeczki, z którym nie udało się Ashley jeszcze uporać, z nową siłą uderzył w jej serce. Przełknęła ślinę, przejęta słowami syna i spytała: - O czym myślisz?

- O Sarah; o tym, jak bardzo tęsknię za moją małą siostrzyczką - odparł i wtulił się w nią jeszcze bardziej.

- Zwłaszcza teraz, kiedy widzę tutaj Annie.

Lzy, które błysnęły w oczach Ashley, pojawiły się tam bardziej za sprawą radości niż smutku. Jak to wspaniale, że Cole ciągle pamiętał o Sarah, a jej krótkie życie miało taki wpływ na jej najstarszego syna.

- Wiem - przyznała i spojrzała na stojący w kącie dziecięcy fotelik. Leżała w nim Annie, przez sen delikatnie pocierając policzkiem o kocyk. - Ja też tęsknię za Sarah, kiedy patrzę na nią.

- Ale przynajmniej mamy Annie - zauważył Cole, spoglądając na Ashley. - A do tego Sarah może czuć się bezpieczna, bo jest z babcią w niebie.

- Właśnie.

Cole znów oparł głowę o ramię mamy. - Chyba pójde spytać, czy dziadek miałby ochotę na kawałek czekolady - stwierdził.

- Dziadek czy ty? - przekomarzała się Ashley, łaskocząc go i wywołując uśmiech na jego twarzy.

- No dobrze... dobrze - przyznał, wstając i całując ją w policzek. - Może obaj mamy ochotę na coś słodkiego. Kocham cię - dodał. Potem pomachał jej, odwrócił się i odszedł.

- Ja też cię kocham - powiedziała Ashley, wstała i przeciągnęła się. Młodsze dzieci siedziały przy stole w kuchni i kolorowały swoje książeczki z obrazkami przedstawiającymi Maryję, Józefa i małego Jezusa w żłóbku. Jej ojciec zdążył już zgromadzić dzieci wokół siebie i teraz czytał im opowieść bożonarodzeniową z Ewangelii według św. Łukasza, tak jak to robił podczas każdej Wigilii.

Ashley weszła do kuchni i stanęła za plecami Devina. Korzystając z wielkich, bezpiecznych dla dzieci kredek rysował długie, czerwone linie w miejscu, gdzie znajdowały się postaci trzech mędrców. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej. - Mama, zobacz! - zawołał.

- Tak, synku, bardzo ładnie - pochwaliła go, po czym ruszyła wokół stołu, podziwiając rysunki RJ-a, Heidi Jo i Amy. Na koniec podeszła do Hayley.

Sam fakt, że Hayley w ogóle żyła, był niewiarygodny, zaś to, że siedziała przy stole i kolorowała postaci, nie wychodząc za linie, wprost nie mieściło się w głowie. Dziewczynka uśmiechnęła się do Ashley. - Cześć - przywitała się. Jej oczy były jasne i niewinne, takie jak zawsze. Co kilka miesięcy można było u niej wyraźnie zauważyć kolejny etap na drodze do nabywania nowych sprawności. Tego roku w szkole zaczęła pisać alfabet, uczyła się literować poszczególne słowa i próbowała czytać. Po tym, jak omalże nie utonęła, żaden lekarz - nawet tata Ashley i Peter - nie uwierzyłby, że Hayley będzie w stanie kiedykolwiek robić takie rzeczy.

- Cześć - odpowiedziała Ashley i położyła rękę na ramieniu Hayley. - Opowiedz mi o swoim rysunku.

Hayley właśnie kolorowała scenę przy żłóbku. Wszystkie zwierzęta były brązowe, a ludzie zostali pomalowani na niebiesko. I choć rysunek nie wyglądał na zbyt staranny, to niebo nad Betlejem było wyjątkowo jasne i intensywnie żółte. Hayley opowiedziała o każdym zwierzęciu, o Maryi, Józefie i Jezusie, a potem wskazała na żółte niebo. - Tej nocy zdarzył się cud, ciociu Ashley, dlatego ta część jest taka złocista - tłumaczyła.

Ashley przyznała w duchu, że stwierdzenie Hayley było wyjątkowo sensowne. Miała już zapytać, czy któreś z dzieci nie chciało czegoś słodkiego, gdy usłyszeli, jak otwierają się drzwi wejściowe.

- Jesteśmy! - zawołał Tommy, wpadając do kuchni. Nosił teraz okulary, które w połączeniu z jego krótko obciętych włosami nadawały mu wygląd

postaci z filmów rysunkowych. Podniósł ręce i zakrzywił palce, aby jak najwierniej wcielić się w dinozaura, a po chwili w całym domu rozległ się jego krzyk.

- Słysząc, że już jesteśmy - powiedziała Reagan, zdmuchując z oczu grzywkę i wchodząc do kuchni z Malin na ręku. - Nie ma to jak Boże Narodzenie z rykiem tyranozaura.

Przerwano rozmowy i wszyscy zebrali się przy choince. Brooke machała rękoma, dopóki nie skupiła na sobie uwagi każdego członka rodziny. - Wiecie, co teraz nastąpi, prawda? - spytała.

Ashley uśmiechnęła się do Kari, a niektórzy z mężczyzn przewrócili oczyma.

- Właśnie, i możecie sobie jęczeć - mówiła radosnym głosem Brooke. - Czas na zdjęcie dzieci!

Co roku na Wigilię robili grupowe zdjęcie wszystkim wnukom Johna Baxtera. Tym razem Ashley miała przeczucie, że będzie to wymagało zaangażowania wszystkich dorosłych. Mężczyźni przynieśli blisko choinki kilka krzeseł, a Ashley i jej siostry przygotowywały swoje dzieci, upewniając się, że ich fryzury były w odpowiednim stanie i że pozostałości po lodach waniliowych zostały starte z ich lepkich policzków.

Starsze dzieci stanęły za krzesłami, plecami do choinki. Przyszła także Elaine i pomagała usadowić najmniejsze dzieci z przodu na krzesłach. Annie już się obudziła i Kari ułożyła ją uważnie na rękach Jessie. Kiedy wydawało się, że już wszystkie były na swoich miejscach, Ashley i pozostałe kobiety usunęły się spomiędzy dzieci i wszyscy chwycili za swoje aparaty fotograficzne.

Przez następne kilka minut każdy z nich zrobił pełno zdjęć. Wiedzieli, że jeśli będą mieli szczęście, może uda się im znaleźć jakieś jedno ujęcie, na którym wszystkie dzieci będą uśmiechnięte i z otwartymi oczami.

Kiedy zdjęcie grupowe mieli już za sobą, dzieci zostały zaprowadzone do pokoju telewizyjnego, aby mogły tam obejrzeć film rysunkowy o Bożym Narodzeniu. Gdy film się już rozpoczął, dorośli poszli do salonu.

Ashley i Landon dołączyli do pozostałych jako ostatni i w salonie zapanowała cisza. Ashley spojrzała na twarze zebranych. Pogroziła im w żartach palcem i powiedziała: - Przestańcie zachowywać się tak tajemniczo.

Prawie natychmiast wstała Reagan i podeszła do niej. Miała w rękach małą, czerwoną torebkę. Uśmiechnęła się, lecz w jej spojrzeniu było coś poważnego i głębokiego. Podała torebkę Ashley i ucisnęła ją. - Mamy z

Lukiem dla ciebie jeszcze jeden prezent - zaczęła. - Coś, co zrobiłam specjalnie dla ciebie. Oczywiście - tu uśmiechnęła się do Luke'a- tak jak to w naszym życiu bywa, jeszcze pół godziny temu nie mieliśmy torebki na ten prezent.

Landon wyglądał na zaintrygowanego. Ashley wydawało się, że on też był niezmiernie zaskoczony tym niespodziewanym prezentem. Wszystkie oczy skupione były na niej, kiedy odebrała torebkę i uśmiechnęła się czule do Reagan.

- Nie musiałaś tego robić - stwierdziła.

- Wiem - powiedziała i kiwnęła na Luke'a, żeby do niej dołączył. Po chwili, precyzyjnie się ostrożnie pomiędzy zgromadzonymi, Lukę stanął obok Reagan.

Potem uściskała Ashley, co przypomniało jej o dzieciństwie, kiedy w Wigilię w domu Baxterów nie gromadziła się jeszcze wokół choinki taka liczba osób. Powróciła myślami do tych dni, kiedy jej mały braciszek był jej najlepszym kumplem. Następnie cofnął się, ponownie zajmując miejsce obok Reagan, i spojrzawszy Ashley w oczy, rzekł: - To jest coś, co oboje bardzo chcieliśmy zrobić.

Ashley nie mogła już dłużej czekać. Wyciągnęła bibułę ze środka i podała ją Landonowi. Potem wyjęła z torebki niezwykle delikatną ozdobę choinkową. Była to ręcznie wykonana piękna biała koronka w kształcie koła, z przeplecioną po obwodzie czerwoną wstążką. Na środku Reagan wyhaftowała słowa: „Nasz mały Cud”, a pod nimi rok.

- Odwróć ją na drugą stronę - poprosiła Reagan, przysuwając się bliżej do Luke'a.

Gdy Ashley to zrobiła, natychmiast napłynęły jej do oczu łzy. Z drugiej strony znajdowało się zdjęcie malutkiej Sarah. Było to wyjątkowe ujęcie, ukazujące jej piękną twarzyczkę i prześliczne niebieskie oczy. Ashley spojrzała na Reagan.

- Skąd... skąd wiedziałaś? - spytała z niedowierzaniem.

- Pomyślałam, że chciałabyś mieć coś na choinkę - odparła łamiącym się głosem. - Nie mogliśmy przecież zapomnieć o niej w tym wyjątkowym czasie.

- Nie... chodzi mi o to, skąd wiedziałaś, że właśnie o to się modliliśmy? Żeby Bóg wyprowadził cud z życia Sarah.

Reagan zrobiła zdziwioną minę, wzruszyła ramionami i powiedziała: - Nie wiedziałam o tym.

Łzy szczęścia popłynęły po twarzy Ashley. Oczywiście, że Reagan nie miała pojęcia o modlitwie, którą od śmierci Sarah oboje z Landonem zanosili codziennie do Boga. Ale Bóg wiedział o tym.

Ashley uścisnęła jednocześnie Reagan, Luke'a i Lando-na, na którego twarzy zobaczyła łzy. - Dziękuję, Reagan - szepnęła. - Nigdy tego nie zapomnę.

Pozostali członkowie rodziny wstali i otoczyli ich kołem, czekając na swoją kolej, aby móc zobaczyć tę wyjątkową ozdobę choinkową i przypomnieć sobie twarz dziecka, które dane im było znać tylko przez tak krótką chwilę. Ta scena skojarzyła się jej natychmiast z chwilą w szpitalu, kiedy podczas zaledwie kilku godzin życia Sarah wszyscy zgromadzili się wokół jej malutkiej córeczki.

To był zatem ostatni etap cudu, jaki dokonywał się w związku z życiem Sarah. Bóg nie tylko wykorzystał życie Sarah, aby przemienić serca Dayne'a i Kary oraz Luke'a i Reagan, ale sprawił także, że nikt z nich nigdy nie zapomni tej malutkiej córeczki, wnuczki i kuzynki, której nie dane było żyć na tyle długo, aby spędzić Boże Narodzenie z rodziną Baxterów. I w ten sposób ona nie tylko będzie żyła w niebie z ich najdroższą, kochaną mamą, gdzie pewnego dnia wszyscy się spotkają. Ale będzie także żyła w ich sercach.

Ashley uświadomiła sobie, że jeszcze nie pozwoliła całkowicie odejść Sarah, jeszcze w pełni nie podziękowała Bogu za jej krótkie życie, bo tak bardzo pragnęła tego, żeby jej córka żyła dłużej od niej samej.

Po drugiej stronie okręgu, jaki razem utworzyli, ojciec Ashley położył rękę na ramieniu Elaine i zaczął śpiewać:

- „O Panie, mój Boże! Zachwycam się tym wszystkim, co stworzyły Twoje ręce...”.

Była to pieśń pochwalna jak żadna inna. Ashley spojrzała na stojącą obok niej Katy, która wcześniej już zdążyła podzielić się z nią nowiną, mówiąc jej, czym obdarował ją Bóg.

Kiedy ozdoba ponownie znalazła się w jej rękach, Ashley spojrzała na nią, na słodką twarz swojej malutkiej córeczki.

Po chwili niektórzy przyłączyli się do śpiewu, jednak głos ojca był najmocniejszy ze wszystkich: - „Widzę gwiazdy, słyszę grzmoty burzy... Twoja moc ukazuje się we wszechświecie”.

Kiedy nastąpił refren, wszyscy już razem zaśpiewali: - „A zatem moja dusza śpiewa, Boże mój i Zbawicielu... Jak wielkie są Twoje dzieła! Jak wielkie są Twoje dzieła!... A zatem moja dusza śpiewa...”.

Ashley zamknęła oczy i śpiewała najgłośniejszym głosem, jak potrafiła, wysławiając swego Boga i Króla za cud życia Sarah i za to wszystko, co od Niego otrzymała. Tą pieśnią wszyscy podziękowali Bogu za Sarah.

Kiedy skończyli śpiewać, Ashley poczuła ulgę i w głębi swojego serca wiedziała, co to było. Bitwa została zakończona; Sarah całkowicie należała do Boga. Chwyła Katy za rękę i pomyślała, że to właśnie było takie wspaniałe w rodzinie Baxterów, iż jednoczyli się w chwilach wielkiego smutku i w czasie ogromnej radości i dzięki sobie nawzajem stawali się silniejsi.

Ashley nie chciała myśleć o następnych świętach Bożego Narodzenia, kiedy dom Baxterów będzie już należał do kogoś innego. Jednak jej ojciec miał rację. Te ściany i okna nie były przecież częścią rodziny Baxterów. Potrzebowali jedynie Boga i siebie nawzajem.

W przyszłości, kiedy będą się razem spotykać podczas świąt Bożego Narodzenia, będą się śmiać i wspominać te lata, które minęły. I zawsze będą śpiewać pieśni pochwalne swojemu Zbawicielowi, a kiedy będą to robić, zawsze będą się czuć zwycięzcami - niezależnie od tego, jakie trudności będą spotykały ich w ciągu minionego roku. Będą zwycięzcami, ponieważ z Bogiem będą mogli stanąć do każdej bitwy. I pewnego dnia w niebie doświadczą największego zwycięstwa ze wszystkich.

Będzie to spotkanie, o jakim żadne z nich nigdy nawet nie ośmieliło się marzyć.

Słowo od Karen Kingsbury

Drodzy Przyjaciele,

Jakie to dla mnie jest smutne, że zbliżam się do końca ostatniej serii o rodzinie Baxterów. Z tą częścią, pisaną bezpośrednio po śmierci mojego taty, związany jest wyjątkowy dla mnie ciężar emocjonalny. Mój tata zawsze mi powtarzał, że pewnego dnia każdy będzie wiedział, jak dobrym jestem pisarzem. Lecz kiedy go zabrakło, wyraźnie zdałam sobie sprawę, że samo życie jest dużo ważniejsze niż pisanie.

Mój tata mocno wierzył w życie, pisałam Wam o tym ostatnim razem. Lecz wierzył także w cuda. Dlatego nikt z nas nie był zbyt zszokowany,

kiedy tata przeżył atak serca, czego wytłumaczeniem może być jedynie cud. Możecie o tym przeczytać na mojej stronie internetowej www.KarenKingsbury.com.

Dzięki temu, co przeszliśmy wraz z moim tatą, sprawa cudów zagościła w moim sercu tak mocno jak nigdy wcześniej. Słyszałam od Was setki razy, jak bardzo się cieszyacie, że pod koniec poprzedniej części córeczka Ashley nie została cudownie uzdrowiona. Oczywiście nie stało się tak dlatego, że źle życzyście biednej Ashley. Chcieliście po prostu otrzymać historię zbliżoną do prawdziwego życia i przeczytać o tym, jak Bóg dotyka nas także wówczas, gdy nasze życie nie układa się tak, jakbyśmy sobie tego życzyli.

Cieszę się, że spodobało się Wam to zakończenie. Był to jedyny sposób, w jaki mogłam poprowadzić tę historię, znając pełnego mocy Boga, jakiemu służymy, i wiedząc, ile cierpienia jest wokół nas. W tej części miałam więc możliwość wyraźnie ukazać fakt, że nawet ze śmierci Bóg może wyprowadzić cuda. Widzimy to wiele razy w życiu ludzi, których mamy wokół siebie, i w naszych społecznościach. Przy odejściu mojego taty doświadczyłam tego osobiście.

Bóg działa nawet pośród burz naszego życia.

Historie Ashley, Dayne'a i Luke'a, którzy na końcu tej książki doczekali się wreszcie tego upragnionego dla siebie dnia, wykorzystałam do tego, aby napisać o bitwach, jakie w życiu toczy my. Doświadczamy bowiem śmierci najbliższych, chorujemy, tracimy relacje z innymi czy też miewamy problemy finansowe. Bóg jednak mówi nam w Drugiej Księdze Kronik, że nie musimy toczyć naszych bitew sami. On może pójść przed nami.

Czy nie jest to najwspanialsza wiadomość? Ci, którzy kochają Chrystusa, dokądkolwiek zmierzają, są chronieni. Wygrywają bitwy, niezależnie od tego, jak tragiczna wydaje się być ich sytuacja.

Jeśli zaś chodzi o nasz dom, uwielbiamy te chwile, kiedy Donald wyciąga swoją gitarę i wszyscy gromadzimy się wokół, aby śpiewać piosenki na cześć Pana. Siadamy na zewnątrz na werandzie przed domem albo zbieramy się w którymś z pokojów dzieci. Pomiędzy piosenkami często któreś z dzieci wypowie krótką modlitwę i w miarę upływu czasu nasze serca stają się coraz bardziej czułe. Czasami ktoś z nas wzruszy się do łez, ponieważ wiemy, że zwycięstwo przychodzi wówczas, kiedy chwalimy Boga naszym życiem.

A teraz, wracając do Baxterów. Wiem... wiem. Często słyszę to od Was, moi wierni przyjaciele, wiele razy w tygodniu. „Proszę - piszecie - nie

pozwól skończyć się opowieści o Baxterach! Nie możesz przestać pisać o tych ludziach".

Wierzcie mi, że ja nie mniej od was martwię się tym, iż piszę już ostatnią książkę o Baxterach zatytułowaną „Zachód słońca”. I dlatego zdecydowałam, że zachowam tych bohaterów przy życiu w inny sposób. Kiedy zakończy się seria „Wschód słońca”, po tym, jak ukaże się jej ostatnia część, na mojej stronie internetowej rozpocznę pisanie bloga poświęconego Baxterom. Te same treści będą także publikowane w moim biuletynie, który ukazuje się co miesiąc. Raz dowiecie się czegoś o Ashley, innym razem o życiu Dayne'a. John dorzuci coś o swoim nowym małżeństwie, a Katy podzieli się z Wami radością bycia mamą. Nie będą to pełne rozdziały czy całe książki, ale będziecie wiedzieć, co słyszeć u Baxterów i co się jeszcze u nich wydarzy.

I oczywiście, jeśli Bóg pozwoli, w najbliższych latach powstaną kolejne opowieści, poznacie nowe rodziny i nowych poruszających bohaterów. Noszę w swoim sercu tyle historii, że jeszcze spotkamy się pomiędzy okładkami książki. Bądźcie więc na bieżąco.

Jeśli zaś podczas czytania tej książki po raz pierwszy w życiu postanowicie nawiązać relację z Chrystusem, weźcie, proszę, Biblię do ręki i przeczytajcie Ewangelię według św. Jana. Zaznaczcie sobie ten tekst, podkreślcie go, uczcie się go na pamięć. Pismo Święte jest naszą najsilniejszą bronią, jaką mamy, kiedy maszerujemy do bitwy z Bogiem u naszego boku. Znajdźcie też najbliższą parafię, gdzie będziecie mogli wzrastać w miłości i poznawać naszego wszechmogącego Boga.

Jeśli nie możecie znaleźć Biblii albo jeśli nie możecie sobie pozwolić na jej zakup, a postanowiliście rozpocząć życie z Chrystusem, wyślijcie mi e-maila. Jako temat wpiszcie słowa „New Life”. Dołączcie swój adres, a ja wyślę Wam Biblię.

Jak" zawsze więcej informacji możecie znaleźć na mojej stronie internetowej, gdzie można także poprosić o otrzymywanie mojego biuletynu. Piszę tam o tym, co robię, o moim życiu jako chrześcijańskiej żony i matki, a także o mojej służbie pisarskiej. Dodatkowo możecie tam znaleźć zdjęcia żołnierzy, którzy, służąc teraz naszemu krajowi, potrzebują Waszej modlitwy. Jest tam również informacja, jak można nawiązać ze mną kontakt. I nie zapominajcie o tym, że uwielbiam dostawać od Was pocztę.

I jeszcze jedno. Jeśli Wasi rodzice jeszcze żyją, zatelefonujcie do nich i powiedzcie im, że ich kochacie. Zróbcie to jeszcze dziś, kiedy nie jest na to za późno.

Do następnego razu, w Jego świetle i miłości,
Karett Kingsbury

RS

RS